

**ROBERT RANKIN**

(Członek Wiktoriańskiego Stowarzyszenia Steampunkowego)

**DZIEWCZYNA PŁASZCZKA**

**I INNE NIENATURALNE ATRAKCJE**

*THE JAPANESE DEVIL FISH GIRL AND OTHER UNNATURAL ATTRACTIONS*

Przełożyła Ewa Siarkiewicz



Ta powieść dedykowana jest Connorowi,  
razem z ogromem miłości od jego dziadka.

# 1895

## 1

Wielki Salon na pokładzie „Imperatorowej Marsa” oszałamiał wykwintną subtelnością.

Przepastne kanapy, obite najbledszym japońskim jedwabiem, były przemyślnie ustawione pod wysokimi gotyckimi oknami widokowymi. Stoliki na wszelkie okazje z wyżłobionymi, wygiętymi nóżkami ugięły się pod srebrnymi tacami pełnymi pasztecików, tartinek i egzotycznych owoców. Na ścianach okrytych przepięknymi tkaninami sir Williama Morrisa lśniły w świetle elektrycznych żyrandoli ozdobne kryształowe lustra. Pochodzące z Jowisza ośmiokątne dywany na klonowych posadzkach urzekały oryginalnością, a orchidee z wenusjańskich lasów, w wazach z francuskiej porcelany, roztaczały delikatną, egzotyczną woń.

Wielki Salon buzował gwarem rozmów.

Śmietanka londyńskiego towarzystwa, błękitnokrwieści arystokraci, ocierali się gładkimi, obszytymi galonami ramionami o potentatów z innych światów. Dźwięczały kieliszki do szampana, krążyły spojrzenia pełne znaczeń. Wysokiej rangi oficerowie Elektrycznych Muszkietarów królowej, w błękitnych mundurach aż kapiących od orderów z licznych kampanii, wymieniali dowcipy z korpulentnymi książkami z królewskich domów Jowisza.

Mężczyźni byli elegancy i wymuskani, kobiety blade i czarujące, o cieniutkich taliach otoczonych pancerzem z filigranowego mosiądzu, zaakcentowanych rozkloszowanymi spódnicami i tiurniurami upiększonymi piórami pawi i strusim puchem, woskowymi różami, klejnotami i jeszcze większą ilością klejnotów. Na ich głowach, umieszczona między ufryzowanymi, wymuskanymi lokami, znajdowała się ostatnia nowinka: maleńki jedwabny kapelusik ozdobiony inkrustowanymi, wieczorowymi goglami.

Za Wielkim Salonem, na pokładzie spacerowym, damy i dżentelmeni wędrowali wte i wewte, rozkoszując się widokami. Podczas tego dziewiczego rejsu wieczór był ciepły i łagodny, a widoki warte podziwiania.

Na czystym nocnym niebie migotały gwiazdy i planety, którym można się było przyglądać przez jeden z wielu teleskopów ustawionych wzdłuż poręczy w równych odstępach.

Poniżej rozciągał się Londyn.

„Imperatorowa Marsa” - długi na pół kilometra smukły srebrzysty kształt, jedyny w swoim rodzaju luksusowy powietrzny statek wycieczkowy - dryfowała bezgłośnie nad wielką metropolią.

Niestety, tej niezwyklej nocy miasto po raz kolejny zalewała gęsta zupa przemysłowej mgły. Ponad mętym kłębowiskiem wystawała jedynie kopia katedry Świętego Pawła oraz identycznego kształtu wieża Instytutu Rozwoju Nauki Babbage'a. Na południu szczyt Sydenham lśnił złotą poświatą, jakby tkwił tam jakiś wspaniały, królewski skarb. To był właśnie cel lotu cudownego statku. Kryształowy Pałac.

Dzisiejszej nocy miał się tam odbyć koncert dla wyjątkowego towarzystwa znajdującego się na pokładzie „Imperatorowej Marsa”. Titrel de Schentefleur będzie dyrygował Mechaniczną Orkiestrą Mazaela w przedstawieniu kosmicznej operetki panów Williama Gilberta i Arthura Sullivana:

### „Mars i ludzkość”

(Poruszająca i przykładowa opowieść  
z obecnego Wieku Moralnej Uczciwości)

Poruszającą i przykładową opowieść zamówił premier, pan Gladstone. Filar społeczeństwa osobiście przeczytał i poprawił libretto, aby się upewnić, że historia, jak to brytyjska armia pokonała Marsjan, zostanie opowiedziana w sposób korzystny dla wszystkich zainteresowanych. Sposób, który położy nacisk na bezinteresowną, lojalną odwagę zwyciężskich Elektrycznych Muszkieterów królowej oraz bezduszne okrucieństwo i wrodzone tchórzostwo obywateli Marsa.

To, że owo zwycięstwo mogłoby być w jakikolwiek sposób „skażone”, oburzyłoby wszystkich bez wyjątku ludzi, którzy pochłaniali informacje o toczącej się niezwyklej międzyplanetarnej kampanii za pośrednictwem artykułów w „Timesie”. Mimo to...

Byli tacy, którzy znali całą prawdę. I inni, którzy chcieli tę prawdę ukryć przed tymi, którzy jej nie znali.

Wszelkie wojny są obrzydliwe, a wojna między gatunkami istot rozumnych, jak wojna między Marsem a Ziemią i następujący po niej ludobójczy odwet, wchodzi do królestwa

obrzydliwości zarezerwowanego dotąd dla zdeprawowanych ekspozycji w Słynnym Gabinecie Ludzkich Dziwadeł profesora Trumienki.

Krótko mówiąc, prawdziwa opowieść wygląda tak.

Jak to zostało doskonale opisane piórem pana Herberta Wellsa w kronice wydarzeń „Wojna światów”, wszystko się skończyło, kiedy żołnierze marsjańscy wylądowali w swoich maszynach wojennych na brytyjskiej ziemi i rozpoczęli dzieło zniszczenia.

Ta straszliwa okoliczność, która zaskutkowała zakończeniem wielu żywotów i zniszczeniem wielu dóbr materialnych, w gruncie rzeczy była szczęśliwa, jeśli można użyć tego słowa w tym akurat wypadku, ograniczyła się bowiem do południowych terenów Anglii. Ci, którzy przeczytali pracę pana Wellsa, rozumieją, że Marsjanie nie zostali pokonani przez bezinteresowną i lojalną odwagę, lecz padli ofiarą ziemskich bakterii, na które ich niezemskie ciała nie miały naturalnej odporności. Najeźdźcy wylądowali i zginęli. Ich trzynożne rydwany śmierci zatrzęsły się i upadły.

Ziemia i brytyjskie imperium ocalały. Ogłoszono zwycięstwo.

Po czym nastąpiło świętowanie i lud tańczył radośnie na ulicach przyozdobionych girlandami, wiwatując na cześć królowej i kraju.

W Westminsterze jednakże, za zamkniętymi drzwiami, ministrowie robili bilans...

W tajnej komnacie spotkała się tajna rada... To był rok 1885.

U szczytu stołu siedział pan Gladstone, po jego bokach dwóch typów o pogrzebowej aparycji. Ich nazwiska nie zostały zapisane i nadal pozostają przedmiotem nieustannych spekulacji. Z prawej strony Gladstone'a, obok jednego z anonimowych typów, zasiadał znakomity naukowiec i matematyk Charles Babbage, wesoły mężczyzna o czerwonej twarzy, dokładnie opatulony wielką ilością tweedu. Naprzeciwko niego siedział wychudzony, lecz o wytwornej osobowości obcokrajowiec o nazwisku Nikola Tesla. Nazwisko to przyszłość będzie znała jako „jednostka SI strumienia indukcji magnetycznej równa przepływowi jednego webera w jednym metrze kwadratowym”. Obok niego stało puste krzesło. A naprzeciwko tego krzesła, obok pana Babbage'a, siedział Silas Faircloud, nowo mianowany królewski astronom, wąty gruźlik.

Tajna rada została przywołana do porządku i pan Gladstone przemówił.

- Panowie. Spotkaliśmy się tutaj z powodu okoliczności, którą wszyscy musimy uznać za przerażającą: z obawy, że dalsze siły wroga właśnie w tej chwili mogą zbierać się na Marsie, przygotowując do kolejnego ataku. Panie Faircloud, co pan o tym myśli?

Pan Faircloud odchrząknął.

- Taka możliwość zdecydowanie istnieje. Astronomowie z całego kraju, a nawet w

całym cywilizowanym świecie, wszystkie swoje instrumenty wycelowali w tę planetę. Co prawda nie widać żadnej aktywności Marsjan, jednak.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział pan Babbage<sup>1</sup> - ale nie miałem pojęcia, że istnieje urządzenie optyczne zdolne do zaobserwowania powierzchni Marsa w stopniu pozwalającym na dostrzeżenie pojazdów kosmicznych.

- Właśnie teraz pracuję nad takim urządzeniem - oświadczył pan Tesla - jakkolwiek moje nie posiada optyki zbudowanej ze szkła, lecz z bardziej metafizycznych partykuł, które niesione falami radionicznymi przenikną przez eter przestrzeni kosmicznej.

- Właśnie. - Pan Gladstone uderzył w stół zaciśniętą pięścią. - Wszyscy jednak musimy się zgodzić, że prawdopodobieństwo kolejnego ataku jest wysokie.

Silas Faircloud pokiwał głową.

- Możemy jedynie spekulować, czy na Marsie w ogóle są jeszcze jakieś siły wojskowe. Możliwe, że przylecieli do nas z całą swoją potęgą. Że zatriumfowali nad całością.

- A pan co o tym myśli, panie Babbage? - spytał premier. - Jest to zgodne z prawami matematycznymi?

- Och, jak najbardziej, sir. - Pan Babbage uśmiechnął się, wysyłając ku wszystkim potężny, szeroki promień ciepła. - Jakkolwiek sposób myślenia Marsjan ma niewiele odniesień do naszego sposobu myślenia - i mam tu raporty z autopsji ciał Marsjan przeprowadzone przez lekarza jej królewskiej mości, sir Fredericka Trevesa, które sugerują, że mózg Marsjanina ma więcej wspólnego z mózgiem rekina lub morświna niż z mózgiem człowieka - to niezależnie od tych różnic, uniwersalna logika dyktuje, że jeśli decydujesz się na wojnę z inną planetą, najlepiej będzie, jeśli przytłoczysz wroga tak szybko i tak inteligentnie, jak to tylko możliwe. Inaczej mówiąc, leć na niego z całą swoją potęgą w jednym potężnym ataku.

Pan Gladstone przytaknął w zamyśleniu.

- I można powiedzieć - rzekł - że Wielka Brytania zwycięży ostatecznie, kiedy walki zostaną przeniesione na Marsa.

- Przeniesione na Marsa? - zdziwił się Silas Faircloud. - Jak to możliwe?

- Panie Babbage, proszę. - Premier wskazał na niego.

- Za pomocą procesu, który pan Tesla nazwał „wsteczną inżynierią”. Ujmując to prosto, naprawiamy i odtwarzamy marsjańskie statki kosmiczne. Przystosowujemy ich

---

<sup>1</sup> Historia zapisała, że Charles Babbage zmarł w 1871 roku - lecz historia, jak to stosownie ujął Henry Ford, „jest bzdurą”.

urządzenia kontrolne do ludzkich pilotów. Lecimy na Marsa i dokonujemy...

- Zemsty - dokończył pan Gladstone. - Obrzydliwe słowo, wiem, ale wojna to obrzydliwy interes. Zamierzam zasugerować, aby Elektryczni Muszkieterzy Królowej zostali postawieni w stan gotowości. Poproszę o pańskie zdanie, panie Faircloud.

- Cóż. - Królewski astronom się nadał. - Skoro ma to zostać zrobione, najlepiej, jeśli stanie się to szybko. Biorąc pod uwagę najbliższe lata, teraz Mars znajduje się najbliżej. Okazja sama się nasuwa, lecz konsekwencje mogą być przerażające.

- A dokładnie? - spytał premier.

- To tylko spekulacje. Być może na Marsie istnieją zjadliwe bakterie, na które jego mieszkańcy są uodpornieni, lecz które mogą zniszczyć żołnierzy z Ziemi.

- Mało prawdopodobne - stwierdził Nikola Tesla.

- Moje badania sugerują, że marsjańska atmosfera jest cieńsza niż nasza, być może podobna do tej na górskich szczytach. W takim wypadku promieniowanie słoneczne oczyści planetę z bakterii. Uważam, że środowisko naturalne Marsa jest całkowicie sterylne. Mogę postawić na to swoją reputację.

- A jest to znakomita reputacja - zauważył pan Gladstone. - Jak rozumiem, ostatnio dokonał pan wielkich odkryć na polu... Jak to się nazywa - telemównicy?

- Telekomunikacji - sprostował pan Tesla, przytakując skromnie. - Zdolność porozumiewania się słowami na wielkie odległości, bez korzystania z kabli, drutów czy podobnych środków transmisji.

- Niesamowite - wyrzeźił królewski astronom. - Że też dożyliśmy takich cudów. Lecz nadal niepokoję się o naszych żołnierzy. Pojazdy Marsjan muszą zostać wyposażone w sprężone powietrze i wystarczające racje pożywienia. Trzeba wszystko dobrze zaplanować. Kto wie, co nas będzie czekać na Marsie? Potężne armaty wycelowane w niebo? Kto to wie?

- Rzeczywiście, kto to wie. - Pan Gladstone wyjął cygarnicę, a z niej cygaro. Obciął koniuszek łańcuszkiem od zegarka i włożył między wargi. - Szybkość i siła - zabrzmiało to troszkę niewyraźnie - są podstawą, więc proponuję, żebyśmy korzystali z usług pewnego młodego dżentelmena, który ostatnio wyplątał się z kłopotów afrykańskich. Stawiam go na czele sił uderzeniowych. Panie Babbage, pan jest najbliżej - czy mógłby pan otworzyć drzwi i zaprosić go do środka?

Charles Babbage wstał od stołu, podszedł do drzwi i otworzył je. Stojący tam drobny mężczyzna o twarzy dziecka uśmiechnął się szeroko.

- Panowie - powiedział premier - pozwólcie przedstawić sobie pana Winstona Churchilla.

## 2

Historia nie zapisała, że Winston Churchill zorganizował atak na Marsa. Nie było o tym także nawet słowa w librecie „Marsa i ludzkości”. Pojawiły się bowiem pewne kontrowersje.

Pan Gladstone zaprosił młodego mężczyznę do środka.

Pan Churchill wszedł z uśmiechem.

Pan Gladstone wskazał puste krzesło i pan Churchill na nim usiadł. Pan Gladstone oznajmił:

- To pańskie przedstawienie.

Pan Churchill podniósł się i uklonił uprzejmie.

- Jestem wdzięczny, że zostałem wybrany do tego zadania. Zadania, które mnie osobiście nie przysporzy chwały, lecz które ma nieocenione znaczenie dla przyszłości brytyjskiego imperium.

Pan Faircloud zakaszłał leciutko.

- Sir, nie zostaliśmy sobie przedstawieni, lecz...

- Jest pan królewskim astronomem - wszedł mu w słowo pan Churchill. - A tu widzę bardzo znanego pana Babbage'a i też znanego pana Teslę. A ci dwaj pogrzebowi dżentelmeni to...

Pan Gladstone przyłożył palec do ust.

- Nikt nie powinien ujawniać nazwisk Dżentelmenów w Czerni.

- Właśnie - zgodził się, uśmiechając, pan Churchill.

- Ale jak... - zaczął Silas Faircloud.

- Mam swoje kontakty - wyjaśnił zwięźle pan Churchill. - Sieć wywiadowczą. Koniecznością jest wiedzieć, kto jest kim. I komu można w czym zaufać.

- Wszystkim tu obecnym można zaufać. - Premier skłonił głowę w stronę pana Churchilla. - Dlaczego, jeśli mogę spytać, uważa pan, że udział w tym szlachetnym przedsięwzięciu nie przysporzy mu chwały?

Młody mężczyzna z twarzą dziecka wyciągnął z kieszeni plik papierów.

- Ponieważ w żadnym razie nie wolno nam ujawnić metody, dzięki której osiągniemy sukces. Powody staną się oczywiste, gdy tylko je wam wyjaśnię, panowie.



- Więc proszę, słuchamy, sir - powiedział pan Gladstone.

- Sir?

- Istnieje wiele sposobów na wynagrodzenie tych, którzy służą koronie.

I pan Churchill uśmiechnął się jeszcze raz.

- Pana sługa, sir - powiedział. I zaczął czytać z kartek zapisanych pismem maszynowym. - „Z ośmiu nieczynnych marsjańskich pojazdów międzyplanetarnych, które ocalały, trzy można przystosować do działania, wypełnić zbiorniki paliwem, będącym ekwiwalentem marsjańskiego paliwa raketowego, załadować sprężone powietrze i żywność wystarczającą do...”.

- To jest mój raport - przerwał mu pan Babbage. - Jak...

- Jak, nie jest ważne. - Uśmiech pana Churchilla stał się co prawda szerszy, ale na pewno nie cieplejszy.

- Trzy statki mogą polecieć na Marsa. Każdy statek może przewieźć pięciuset żołnierzy królowej z całym wyposażeniem i karabinami powtarzalnymi Królewskiego Enfielda. Półtora tysiąca żołnierzy przeciwko potędze całej planety.

- Brytyjskich żołnierzy - dodał z dumą pan Gladstone. - Najlepszych na świecie.

- Na tym świecie - poprawił pan Churchill. - Są jednak nieprzygotowani na nieznane warunki, jakie mogą znaleźć na innym.

- Mają wysokie umiejętności adaptacyjne - sprzeciwił się premier. - Kilka tysięcy ludzi służy w Afganistanie. Wkrótce ten buntowniczy naród zostanie przywołany do porządku i nie będzie już sprawiać kłopotów naszemu światu.

Pan Churchill powstrzymał się od komentarza.

- Mars - oświadczył - jest dla nas wyzwaniem. Moje rozwiązanie jest proste i okaże się efektywne. Jednakże, jak już powiedziałem, nie przysporzy mi chwały.

- Więc wysłuchajmy tego planu. - Gladstone skorzystał z okazji, żeby zapalić cygaro, które cały czas poruszało się w jego ustach, gdy mówił.

- Nie wysłemy żadnych oddziałów - stwierdził kategorycznie pan Churchill. I zamilkł, pozwalając, aby jego słowa nabrały mocy.

- Żadnych oddziałów? - Zdumiał się pan Babbage.

- W takim razie jak...

- Półtora tysiąca cywilów - obwieścił pan Churchill.

- Żadnego wyposażenia ani karabinów Królewskiego Enfielda. Tylko w ubraniu, w jakim stali. Lub być może leżeli.

- Proszę, niech pan to wyjaśni. - Pan Babbage nie ustępował.

- Ministerstwo Obrony ostatnio eksperymentowało z nowym rodzajem broni. Skomplikowanej współczesnej broni, która odłoży kule do muzeum.

Pan Babbage jęknął.

- Mówi pan o gazie trującym. Słyszałem pogłoski o tym okropieństwie.

- To ma coś wspólnego z muskatem, prawda? - spytał Silas Faircloud.

- Z musztardą - poprawił pan Churchill. - Gaz musztardowy. Straszliwie skuteczny. Ale Ministerstwo myśli o czymś więcej. W rzeczywistości, biorąc pod uwagę kampanię Marsjan i ich niewątpliwy brak odporności na ziemskie mikroby, możecie określić moją propozycję jako „broń biologiczną”.

Rozległ się świst wciąganych oddechów.

Pan Faircloud zakaszał cicho i rzekł:

- To nie bardzo, jak by to powiedzieć, brytyjskie.

- Tak jak i metoda dystrybucji. - Pan Churchill przesunął wzrokiem po obecnych. - Półtora tysiąca dusz na pokładzie trzech marsjańskich statków to będą nieuleczalnie chorzy. Przypadki śmiertelne. Gruźlica. Ci, którzy cierpią na koklusz, szkarlatynę, dyfteryt, cholere, tyfus, wszy na genitaliach...

- Ludzie nie umierają z powodu wszy na genitaliach - sprzeciwił się pan Babbage.

- Owszem, jeśli zarażają mnie - odparł pan Churchill.

Na chwilę zapadła cisza, po czym odezwał się pan Gladstone:

- Trochę godności, panowie, proszę. Pozwoliłem, żeby wzmianka o „muskacie” przeszła niezauważona, ale jeżeli zamierzamy obniżyć nasze poczucie humoru do poziomu wodewilów, będę zmuszony przerwać to spotkanie.

- Bardzo przepraszam - odparł ze skruchą pan Churchill. - Syfilitycy, a także ci, którzy są w zaawansowanym stadium jakichkolwiek seksualnie lub w inny sposób przenoszonych chorób śmiertelnych. Trzy statki kosmiczne wypełnione plagą wysłane w podróż bez powrotu.

- Ufam, że nie zostanę zaproszony na tę beznadziejną wycieczkę - powiedział Silas Faircloud.

- W żadnym razie, sir. - Na twarzy Winstona Churchilla wciąż rozlewał się uśmiech. - Co więcej, za jednym zamachem zwolnimy półtora tysiąca łóżek na oddziałach chorób przewlekłych. Same zalety, żadnych wad.

- Jak długo nikt się o tym nie dowie. - Pan Faircloud lekko zadrżał. - To straszny pomysł. W pewien sposób nawet szlachetny. Patrząc na to bez emocji, pytam się, gdzie w tym jakaś szkoda? Lecz jako zwolennik działań humanitarnych wiem, że udzielenie zgody na coś

takiego będzie...

- Nie musi się pan tym kłopotać. - Pan Churchill uklonił się królewskiemu astronomowi. - Całą odpowiedzialność wezmę na siebie. Co znaczy, że zajmę się wszelkimi przygotowaniem. Dostarczymy tych nieszczęśników na Marsa. Miejmy nadzieję, że Marsjanie nie otworzą ognia do swoich statków. A kiedy już wylądują i otworzą włązy, natura zacznie działać. Sugeruję, żebyśmy za miesiąc czy dwa, kiedy już więcej marsjańskich statków zostanie poddanych „wstecznej inżynierii”, wysłali tam kontyngent muszkietarów. Miejmy nadzieję, że nie napotkają żadnego oporu ani żadnego żyjącego Marsjanina. Panowie, oto moja propozycja.

Pan Churchill usiadł na krześle.

Nie usłyszał jednakże oklasków.

- Zapali pan cygaro? - spytał pan Gladstone.

- Z przyjemnością - odparł młodzieńczy pan Churchill. - Zawsze się zastanawiałem, jak one smakują.

I tak to było. Odniesiono wielki sukces. Niewiele pojawiło się pytań o półtora tysiąca śmiertelnie chorych pacjentów, którzy zniknęli z łoży boleści. A na pytania zadane na forum Parlamentu o ludzkie ciała znalezione na Marsie, kiedy Elektryczni Muszkietrzy Królowej zeszli po długich trapach na powierzchnię teraz już martwej planety, sprawnie odpowiedział młody byczek o nazwisku Churchill, który powoli budował swoją reputację.

- Jestem świadom, że istnieje coś, co nazywam teorią spiskową, dotyczącą ludzkich ciał znalezionych - i pochowanych zgodnie z tradycją chrześcijańską - na Marsie. Zgodnie z tą teorią przez całe lata przed marsjańską inwazją na Ziemię istoty z Marsa przylatywały na naszą planetę i porywały ludzi, aby przeprowadzać na nich eksperymenty, które są zbyt straszliwe, aby się w nie zagłębiać. Teoria, jaką ostatnio usłyszałem, która może, ale nie musi mieć cokolwiek wspólnego z rzeczywistością, mówi, że władze Francji przez lata współpracowały z tymi ohydnyimi obcymi, zaspokajając ich potrzeby w zamian za zaawansowaną technologię. Słyszałem, że informacja ta dotarła do uszu jej wysokości królowej Wiktorii, która rozkazała, aby odrażające transakcje zostały natychmiast zakończone. I że właśnie zakończenie współpracy skłoniło Marsjan do ataku na Anglię. Co nieuchronnie doprowadziło do odwetu, który zakończył się eksterminacją nikczemnych Marsjan i rozszerzeniem się imperium brytyjskiego na Marsa. Boże, chroń królową.

I tak to było.

Albo prawie.

Okazało się bowiem, że w tym, co mówił pan Churchill, tkwiło ziarno prawdy. Istoty z innych planet rzeczywiście przez dekady odwiedzały Ziemię. Jednakże nie pochodziły z Marsa.

Przylatywały z Wenus i z Jowisza. Czyli z dwóch pozostałych, z czterech ogółem, zamieszkałych planet w naszym systemie słonecznym. Te istoty przybywały w tajemnicy, ale w pokojowych zamiarach. Lecz kiedy Ziemianie zmiotli odrażających Marsjan, ludzie z Wenus i Jowisza przedstawili się jej wysokości królowej. Ziemia dołączyła do kongresu planet i tak rozpoczęła się nowa era międzyplanetarnych podróży i przemów.

To był rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty piąty, a dziesięć lat później, w roku Pańskim tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym, „Imperatorowa Marsa”, kończąc swój dziewiczy rejs wycieczkowy, opadła na lądowisko w Londyńskim Królewskim Porcie Kosmicznym w Sydenham, na południe od Kryształowego Pałacu. Trapy zostały opuszczone i królowa Wiktoria, królowa Anglii, imperatorowa Indii i Marsa, rzuciła swój królewski cień na czerwony dywan, który biegł od statku kosmicznego, przez budynek Pierwszego Terminalu (perfekcyjnie odzwierciedlający architekturę Parlamentu), i dalej, w górę wzgórza aż na szczyt, do pałacu z kryształu, gdzie tego wieczoru odbędzie się koncert dla uczczenia dziesiątej rocznicy brytyjskiego triumfu nad Marsem.

Jej wysokość będzie cudownie się bawić podczas oglądania popisowych numerów z fikaniem koziołków komików Gilberta i Sullivana, i słuchając ich muzycznych ewokacji siły i męstwa Brytyjczyków. Jednakże prawdy królowa nigdy nie pozna.

### 3

Zakonserwowane macki Marsjanina były postrzępione na końcach. Powietrze wypełniał ohydny i niezdrowy odór. Wagon cyrkowy, w którym znajdowały się „Najbardziej Chwalebne Nienaturalne Atrakcje”, kiwał się niepewnie na szerokich kołach, a nieustanny hałas i drzenie pary, która wydostawała się z silnika trakcyjnego, jaki ciągnął wagon, wcale nie polepszało nastroju typa siedzącego w jego zagrożonym wnętrzu.

George Fox był chudym chłopakiem, którego nogi potrzebowały mnóstwa przestrzeni. Kiedy koła wagonu wpadły w kolejną dziurę, George poleciał do przodu i przylepił się twarzą do szklanego zbiornika z zakonserwowanym Marsjaninem. Zaklął krótko, lecz soczyście, i spróbował się wyprostować. Zakończyło się to niepowodzeniem i George z powrotem wylądował na tyłku.

W marnym świetle migoczącej w latarence świecy niewiele można było dostrzec z aparycji George'a, ale oświetlony profil wyglądał dość rozsądnie. Szlachetny profil z imponującym podbródkiem. Błyszczące niebieskie oko i atrakcyjne bokobrody. Burza falujących brązowych włosów. Koszula z kołnierzykiem, który wymagał porządnego wyszorowania. I kostium asystenta artysty cyrkowego. Kostium, doprawdy, bardzo krzykliwy.

George wystrzegał się słowa „błazeński”, jakkolwiek takim właśnie tytułem obdarzył go jego pracodawca, profesor Cagliostro Coffin.

- To ten, kto zdobywa sympatię i ciepłe uczucia nieustannie powiększającego się tłumu za sprawą skoków, zabawnych wywrotek i sztuczek nad ziemią. To szlachetna sztuka, mój chłopcze. Szlachetna sztuka.

Szlachetna sztuka! George Fox trzymał palce przy nosie. Nie był niczym więcej niż błazeńskim, nieruchliwym oszustem. A teraz to. George spojrzął spod oka na zakonserwowanego kosmitę w jego szklanym więzieniu. Obrzydliwe stworzenie, same macki, bulwiaste, drgające wypustki i inne części, blada i łuskowata skóra, która dzięki szwom po autopsji wygląda jak złożone puzzle.

Ostatnio obowiązki George'a zostały ograniczone do opiekowania się i konserwacji koszarnej istoty. A on nienawidził konserwowanego Marsjanina. Nie tak jak członek

jednego gatunku nienawidziłby swojego naturalnego wroga, ale nienawiścią do głębi osobistą, dokładnie ukierunkowaną. W jakiś sposób ta martwa bestia nienawidziła George'a, a George nienawidził jej. Co więcej, dochodził do wniosku, że taka droga rozwoju kariery zupełnie mu nie odpowiada i powinien poszukać innego stanowiska, bardziej dostosowanego do jego umiejętności.

Jakiegokolwiek te umiejętności mogłyby być.

Wagon znów szarpnął i George poczuł się przemoknięty do szczytu formaliną, która przelała się ze zbiornika z Marsjaninem. Zacisnął zęby i pozwolił, aby w nagrodę zalała go fala odrazy.

Wreszcie wagon zatrzymał się z warkotem i czyjeś dłonie otworzyły drzwi szeroko.

- Śpisz? - rozległ się głos profesora. - Z pewnością twoje życie jest pełne luksusów.

Tym razem to George zawarczał i podniósł się bardzo ostrożnie. W wagonie znajdowało się mnóstwo różnych rzeczy, a wszystkie, jak stwierdził profesor Coffin, „są wielkiej wartości i nie do zastąpienia”.

„Holistyczne Zwierciadło”, w którym można dostrzec odbicie całego świata i wszystkich ludzi na nim żyjących.

Kamień z wieży Babel.

Księga napisana językiem uniwersalnym, który może być odczytany przez każdego, niezależnie od rasy, czy zna on ten język, czy też nie.

Mechaniczny Łokieć Przeznaczenia, który rozwiązuje zagadki matematyczne i ocenia wiek pań na podstawie kształtu ich kolan ukrytych pod sukniami.

Wypchane pozostałości nie tylko Brutusa, Psiego Houdiniego, ale także syreny, złowionej niedawno przez rybaków na brzegu wyspy Feegee.

O wszystkich tych rzeczach profesor Coffin nieustannie opowiadał.

I żadnej George Fox nie widział na własne oczy.

Pudła z wszystkimi skarbami wyrastały po obu stronach George'a w chybotliwych stosach.

Z wielką ostrożnością wyszedł z wagonu prosto w noc.

- Gdzie jesteśmy? - spytał profesora. - Tam, gdzie powinniśmy być?

- Aha. - Profesor stanął na czubkach swoich szpiczastych butów. - To właśnie z powodu takich pytań twoje usługi są mi niezbędne, młodzieńcze. Dotarliśmy do celu. Wspólne Pole na wschód od Kosmodromu Sydenham. Właśnie tutaj dzisiejszego wieczoru wystawimy naszego konserwowanego towarzysza. Jednakże... - I powąchał powietrze otaczające młodego George'a Foksa - mogłoby się wydawać, że użyłeś zawartości tego

zbiornika jako oryginalnej wody kolońskiej. Obawiam się jednak, że tym nie przyciągniesz zainteresowania dam, chłopcze. Najlepiej będzie, jeśli się umyjesz.

- Prowadź mnie do najbliższej łaźni - powiedział George z nadzieją w głosie.

- Spragniony koń zawsze trafi do koryta - zawył profesor Coffin, śpiewając te słowa, jakby to była ballada z wodewilu, i jakby było mu mało, wykonał dziwny, stepujący taniec.

George Fox zazdrościł pracodawcy. Profesor dawno już pożegnał młodość. Miał ile - sześćdziesiąt lat? George nie wiedział na pewno, zresztą jemu, jak każdemu nastolatkowi, wszyscy ludzie po trzydziestce wydawali się starzy.

Profesor jednak był dziarski i chudy jak obietnica wierności dziwki. I miał charyzmę. I prezencję. Niemal jak poeta.

Jego twarz była twarzą pana Puncha, z uśmiechem tak szerokim, jak to tylko możliwe. Nosił garnitur bardziej krzykliwy niż strój George'a, i przy szyi szeroką chustę firmy Blueberry. Wywijął laską z główką w kształcie głowy szkieletu i śmiał się równie często, jak był poważny, nazywał ludzi kmiotkami i ufał jedynie cyrkowcom. Miał dziwny akcent, nikt nie wiedział, skąd pochodzi. A gdy go ktoś o to pytał, twierdził, że jego domem jest wszechświat.

George musiał niechętnie przyznać, że bardzo profesora lubi. Jakkolwiek nigdy w życiu nie zmusiłby się, żeby powiedzieć to głośno. Pewnie dlatego, że gdyby to zrobił, obaj poczuliby się zakłopotani.

Fox westchnął, spojrzął w stronę koryta dla konia i wciągnął w płuca potężny haust powietrza.

- Na Boga, cóż to jest?

- To, mój chłopcze, jest „Imperatorowa Marsa”.

Przyczepiony kablami do cumowniczych masztów, wielki statek wycieczkowy wypełniał jedną czwartą horyzontu; jego spód aż migotał od tysięcy lamp naftowych i nowoczesnych żarówek elektrycznych. Jakkolwiek został zbudowany przez brytyjskich rzemieślników w hangarach Northoltu, pod ścisłym dozorem jego konstruktora, sir Ernesta Lovella, „Imperatorowa Marsa” była niezmiernie piękna. O tym, że to największy pojedynczy wyczyn ludzkiej inżynierii od czasów piramid egipskich, trąbiono bez ustanku na Grub Street.

George cofnął się o krok i wypuścił powietrze z płuc.

- To jest najpiękniejsza i najbardziej przerażająca rzecz, jaką widziałem w swoim krótkim życiu. I...

- Proszę, nie mów tego - powiedział profesor.

- Czego?

- Na przykład: „Pewnego dnia, gdy już będę bogaty, wyruszę w podróż na tym statku”.  
Lub coś równie nonsensownego.

- Ach... Często mówię takie rzeczy?

Profesor Coffin skinął krótko głową, na której tkwił kapelusz zrobiony z tego samego materiału co jego garnitur.

- Przypominasz sobie Liverpool, gdzie zabrałem cię do restauracji w filharmonii? Powiedziałeś: „Pewnego dnia będę właścicielem takiego przybytku”. Albo w Paryżu, kiedy powiedziałeś to samo o tej żelaznej potworności zaprojektowanej przez tego żalosego Francuzika, Aleksandra Eiffela.

George musiał przyznać, że rzeczywiście patrzył z zawiścią na wieżę Eiffela. A jeśli już mówimy o osobistych brakach, podkreślonych przez powyższe słowa profesora Coffina, można powiedzieć, że George nie miał w sobie owej naturalnej pogardy odczuwanej wobec Francji, a która jest nieodłączną cechą wszystkich „dobrych” Brytyjczyków. Nienawidził Marsjan, ale Francuzi byli w porządku.

- Przepraszam - George był znów przygnębiony.

- Nie ma za co, chłopcze. - Coffin poklepał go po ramieniu, po czym wytarł palce w ogromną czerwoną, kraciastą chustkę do nosa. - Jesteś ambitny. Nasiona wielkości zostały w tobie zasiane już w czasie narodzin. Osiągniesz wspaniałe rzeczy. Uwierz mi, znam się na tym.

- Naprawdę pan tak myśli? - spytał George z nadzieją w głosie.

- Oczywiście, oczywiście. Lecz jedna rzecz naraz. Najpierw wybiorę miejsce, potem ty rozbijesz namiot. A kiedy już wszystko zostanie zrobione, wtedy przemówisz do tłumu.

- Ja? Na podium, przemawiający do tłumu? Nie pan? Ale to jest...

- Zaszczyt? Drobiazg, chłopcze.

- Zamierzałem powiedzieć „ogromny dowód zaufania”, jako że bez wątplenia odpowiednio podniesie mi pan wtedy pensję.

Profesor Coffin zdjął kapelusz i umknął w poszukiwaniu miejsca na namiot.

George usiadł na bocznych stopniach wozu i wpatrzył się w noc. Za kosmodromem i „Imperatorową Marsa” wyrastało wzgórze Sydenham, a na jego szczycie stał Kryształowy Pałac, jaśniejący od świateł i wspaniały poza wyobrażeniem.

Młodzieniec westchnął ciężko. To naprawdę jest wiek cudów. Epoka, wydawałoby się, w której wszystko możliwe. Każdy tydzień przynosi jakieś wspaniałości. Każdego dnia dzienniki donoszą o najnowszych przygodach. Nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzało. A George był tutaj, i to był jego czas, i wiedział, że musi coś zrobić.



W jakiś sposób zdobyć nazwisko.

Odnieść sukces.

Znów westchnął głęboko i zwiesił głowę.

- Dobry panie.

Nie wyprostował się.

- Dobry panie, jeśliś łaska.

I George uniósł głowę. Po czym podniósł całe swoje ciało i wyprostował się.

- Madame - powiedział. - Jak mogę pani pomóc?

Spoglądała na niego młoda kobieta. Piękna młoda kobieta. To oczywiste, mimo że jej twarz oceniała skromnie jeździecka woalka: opadała z maleńkiego kapelusika umieszczonego między burzą jaskrawoczerwonych loków.

Sądząc po stroju, na pewno pochodziła ze szlacheckiego rodu. Pełne plisek ramiona jej wciętego w talii żakietu, skrojonego zgodnie z wyjątkowym, nie do podrobienia kontynentalnym stylem Pierre'a Antoine'a Berquina de Rambouilleta, lśniły od pereł. Gorset z mosiądzu był wybitny turkusami. Światło lampy naftowej odbijało się od jej wieczorowych gogli w oprawkach z kości słoniowej.

- Do pani usług, madame. - George Fox kłaniał się niemal do ziemi.

Kobieta zachichotała i uniosła wachlarz skromności. Kiedy pióra się rozwinęły, George poczuł woń delikatnych perfum, która uniosły się z tego przepięknego przedmiotu.

- Obawiam się, że się zgubiłam - wyjaśniła dama, dama w opałach. - W jakiś sposób zostałam oddzielona od moich towarzyszy. Przyznam, to moja wina. Zafascynował mnie pewien przedmiot pokazywany przez cyrkowego konferansjera - „Holistyczne Zwierciadło”, w którym można ujrzeć odbicie całego świata i wszystkich jego mieszkańców.

- W istocie? - powiedział. - W istocie?

- A teraz jestem nieco przestraszona. Wokół mnóstwo brutalnych typów, a ja jestem bez opieki i, och, taka bezbronna.

George'owi wydało się, że wyczuł w tych słowach cień erotycznej prowokacji. Z pewnością było to pobożne życzenie.

- Proszę, pozwól mi, pani, zaproponować moją opiekę - rzekł z całą galanterią Don Kichota lub nawet Kawalera Tannhausera. - I jeśli znasz cel, do którego udają się twoi towarzysze, nie odrzucaj mojej oferty towarzyszenia ci do owego miejsca przeznaczenia.

- Jesteś wcielonym urokiem. - Młoda dama leciutko dygnęła. - Właśnie przyleciałam na „Imperatorowej Marsa”, żeby wziąć udział w koncercie w Kryształowym Pałacu. Ale jestem poniekąd krótkowidzem i nie wiem nawet, jak ta sala koncertowa może wyglądać.

Gdybyś był, panie, tak uprzejmy i odeskortował mnie tam, z przyjemnością odwdzięczyłabym się za kłopot.

- Możliwość towarzyszenia takiej damie jak pani sama w sobie będzie nagrodą. - George czuł, że wznosi się na wyżyny kurtuazji.

- Jak sobie życzysz, panie - odparła młoda dama.

- Lecz mam dodatkowy bilet i to byłaby ogromna szkoda, gdyby się zmarnował.

- Dodatkowy bilet? - George nie mógł uwierzyć.

- Na koncert? Na królewski uroczysty koncert?

- W istocie - odparła dama. - W istocie.

- W takim razie, madame, będę niewymownie wdzięczny, akceptując tę tak szczerą ofertę.

- Czy ja panu nie przeszkadzam? W pańskiej pracy, być może?

- W mojej pracy, być może? - Rozejrzał się. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, ale nie było śladu po profesorze Coffinie. - Nie zajmuję żadnego stanowiska - powiedział bez namysłu. - Jestem niezależnym finansowo dżentelmenem. - I uśmiechnąwszy się, podał ramię damie.

Dama odpowiedziała uśmiechem.

- Tylko jedna, malutka sprawa - powiedziała.

- To znaczy?

- Być może mógłby pan skorzystać z koryta dla koni. W tej chwili pachnie pan raczej nieszczególnie.

## 4

George pośpiesznie napisał list do pracodawcy, wyjaśniając, że został wezwany w ważnej sprawie, niedługo wróci i przeprasza za wszelkie kłopoty, jakie jego nieobecność może spowodować.

Uznawszy, że list jest rzeczowy i wyraża odpowiednią dawkę zatroskania, zwinął kartkę i wsunął w szczelinę drzwi wozu cyrkowca. Szybka wizyta przy końskim poidle, melonik na głowę i był gotów.

Tak naprawdę bez trudu znalazł drogę do Kryształowego Pałacu. Wyglądał na szczycie wzgórza tak samo jak tańczący tucznik na śniadaniu u bogatej wdowy. Uderzająco.

Kiedy George zbliżał się doń poważnie i dystyngowanie, rozkoszując się każdą chwilą towarzystwa pięknej damy, dotarło do niego, jak bardzo chciałby mieć na własność tę budowlę, i być może zmienić jej wnętrze na wiejski park, gdzie można by jeździć powozami i gdzie hodowano by rzadkie dzikie ptactwo. Twarz George'a przybrała pożądlivy wyraz, który nie pozostał niezauważony.

- Wydaje się pan zmartwiony. - Piękna kobieta trzymała go pod ramię. - Co pana martwi?

Spojrzał w dół na urocze stworzenie i dotarło do niego, że nie zna jej imienia.

- Wiem, że nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni, tak jak to ma miejsce w szlachebnym towarzystwie, lecz proszę, pozwól mi, pani, się przedstawić. Jestem George Geoffrey Arthur Fox i czuję się dumny, że mogę cię, pani, eskortować.

Urocze stworzenie zachichotało dziewczęco.

- Jest pan dżentelmenem, panie Fox. Nazywam się Ada Lovelace.

- Do pani usług, madame. - Uniósł melonik.

To był bardzo przyjemny moment, kiedy tak szli powoli do potężnego szklanego pałacu; bijące światła wnętrza niemal oślepiały. Roilo się od ludzi ubranych w modne stroje, wspaniałych w swojej elegancji, ludzi z tego świata i nie tylko. Sama śmietanka tej belle époque.

George przyglądał się im wszystkim nieufnie: burmistrzom i paladynom, papieskim nuncjuszom i ważniakom, książęcym potentatom. Patrzył na gospodarów i szachinszachów,

komisarzy policji i członków rządów, oligarchów i wielkich wezyrów, imperatorów i indyjskich oficerów, wenusjańskich eklezjastów w liturgicznych szatach i z perfumerkami, wesołych trolli z Jowisza w pantalonach i rajtuzach...

- To dopiero jest życie - mruknął George.

Ada nachyliła się ku niemu i wyszeptała:

- Lubisz Wenusjan?

- Nie wiem. Nigdy żadnego nie spotkałem.

- Ja spotkałam kilkoro. - Głos Ady był cichy, ale George wsłuchiwał się weń uważnie.

- I w ogóle ich nie lubię. Nigdy nie wiadomo, co myślą.

Wzruszył ramionami i powiedział, że on zazwyczaj nie ma pojęcia, co inni myślą.

- No i mają trzy płcie - dodała Ada.

Zatrzymał się jak wmurowany.

- Co powiedziałeś? - spytał.

- Mają trzy płcie - powtórzyła. - Męską, żeńską i „duchową”. A w ich statkach kosmicznych nie ma silników. Są napędzane wiarą. Nazywają je anielskim wiatrem.

- Brzmi niewiarygodnie - wyraził wątpliwość George.

- Ale to prawda. Nazywają je także statkami eterowymi, i słyszałam, że zamierzają nawrócić wszystkich Ziemiaków na swoją religię. Mają własną biblię zwaną Księgą Sayito i mówią o „Gwiezdnej Bogini”, która pokaże się wszystkim już niedługo, kiedy nastąpi „Wielkie Objawienie”.

- Och. Proszę, nie uważaj mnie za bezbożnika, lecz ja podchodzę bardzo ostrożnie do ludzi, którzy nie chcą wytłumaczyć Księgi Objawienia.

- Cóż, Wenusjanie mnie przerażają - wyszeptała. - Może i są smukli i piękni, lecz tak samo smukły i piękny jest floret.

Obok nich przeszedł wysoki Wenusjanin, po czym zatrzymał się i obrzucił ich spojrzeniem. George z łatwością dostrzegł jego urodę, ale nie wyczuwał zagrożenia. Istota z Wenus, mężczyzna, kobieta, a może to trzecie, stała wysoka i smukła, z włosami białymi jak alabaster, i kokietowała oszłamiającymi piórami. Twarz miała wychudłą, z ostrymi kośćmi policzkowymi, a oczy złote i promienne. Zebrany w talii ornat o wysokich ramionach sięgał aż do ziemi. Perfumerka, bez której nigdy nie widziano żadnego mieszkańca Wenus, zwisała z bladej lewej dłoni niczym kadzielnica. Wydobywał się z niej w małych porcjach lśniący zielony dym. Stworzenie to wyglądało jak człowiek, aczkolwiek niezupełnie. George zastanawiał się, jak tym istotom udało się przez tak długi czas przebywać incognito między ludźmi na Ziemi. Zapewne, jak przypuszczał, poruszali się w przebraniu - panowie, panie czy

to trzecie - jakkolwiek ich wewnętrzna „inność” z pewnością była trudna do ukrycia.

Jednak nic więcej nie zostało powiedziane w kwestii Wenusjan, jako że George i Ada dotarli do Kryształowego Pałacu. George spojrział na oszłamiające szklane ściany, odległy wir wysokiej fasady. Usłyszał, jak ktoś z tłumu powiedział, że dzisiejsze złote oświetlenie pałacu jest dziełem pana Nikoli Tesli, który umieścił wokół budynku dziesięć tysięcy szklanych rurek i wzbudził w nich proces fluorescencji za pomocą pętli indukcyjnej w drutach, które nie dotykały samych rurek.

- Pewnego dnia wszystkie domy będą tak oświetlone - usłyszał George.

A potem weszli do środka. Mieli przed sobą olbrzymią przestrzeń, pełną wysokich posągów, wyrzeźbionych z krzemionki wydobytej na Księżycu. Księżycu jej wysokości, jako że pierwszą flagą tam zatknietą był Union Jack. Szum neonowych rurek, trzaski statyki tysięcy wykształconych głosów. Splendor i piękno.

George był oczarowany.

To było towarzystwo, do którego należał.

To było jego miejsce.

Stali teraz na czerwonym dywanie, ograniczonym aksamitnymi sznurami rozciągniętymi między mosiężnymi stojakami. W kolejce do sali koncertowej. Aż drżał z podniecenia.

- Muszę gdzieś pójść - wyszeptała Ada.

- Gdzie może być lepiej niż tu? - spytał.

- Gdzie dla pań - wysyczała Ada. - To była długa droga, a ja mam delikatną budowę. - Och. Najmocniej przepraszam. Być może wie ten gość?

Wskazał na wysokiego, smagłego mężczyznę w turbanie, stroju koronacyjnym, na koturnach i w rajtuzach. Miał bujną brodę i zakręcone wąsy.

- Ty go zapytaj. Zemdlałabym z zakłopotania.

- Ach. Istotnie.

Przecisnął się przez kolejkę, wywołując tym niezadowolenie hrabiów, wicekrólów i kilku radzy. Wypowiedział nagłące słowa do ucha wysokiego, smagłego gościa i ten skinął na Adę.

Pospieszyła przez niezadowolony tłum, pochyliła się pod aksamitnymi sznurami, które zamykały drogę, i zniknęła w pewnym gdzie dla kobiet.

George wrócił na swoje miejsce w kolejce.

- Ona musiała zrobić siusiu - wyjaśnił czerstwemu kardynałowi, który spojrział z dezaprobatą.

Kolejka powoli poruszała się do przodu, w miarę jak bilety były sprawdzane i kierunki wskazane przez wysokiego i smagłego gościa, do którego dołączyło kilku mu podobnych.

Kiedy George dotarł do czoła kolejki, zaczął się martwić.

- Lepiej, żeby zaraz wróciła - mamrotał do siebie z niepokojem. - Ona ma oba bilety, a patrząc, jak ci ludzie na mnie kręcą nosem, z pewnością nie wejdę bez biletu.

I dopiero w tej nieprzyjemnej sytuacji dotarło do niego, że tak naprawdę nie widział tych biletów. Nie miał okazji sprawdzić ich autentyczności.

Czy też w ogóle tego, że istnieją.

Oczywiście, głośno protestował. Wyjaśniał, że to dama ma bilety. Że dama wkrótce wróci. I że wszystko się wyjaśni, kiedy wróci.

Lecz dama nie wróciła.

I czy istniał choć jeden dżentelmen, który byłby gotów uwierzyć, że jakikolwiek dżentelmen zaufałby kobiecie, że zajmie się biletami? George, słysząc to, najeżył się. Lecz, jak mu wyjaśniono, on jak widać nie jest dżentelmenem. Jest zwyczajnym ciamajdą z cyrku, który myślał, że znalazł sposób, aby przeżyć przygodę w świecie o wiele poziomów wyższym od jego niskiego urodzenia; który ośmielił się wejść między lepszych od siebie.

George, słysząc to, nie tylko się najeżył.

Zaczął kląć.

Co doprowadziło do dalszych nieprzyjemności, o których został wcześniej uprzedzony. Został wyprowadzony z Kryształowego Pałacu przez dwóch smagłych typów w turbanach. Obaj, jak zauważył w przelocie, mieli na sobie zbyt dużo medali. Niewątpliwie z kampanii w Afganistanie, która wciąż wkrótce ma się zakończyć.

W cieniu gałęzi buków sprali go bezlitośnie i pozostawili nieprzytomnego, aby zastanowił się nad swoją głupotą.

## 5

George obudził się w ciemności. W ciemności, która się poruszała. I był to ruch pełen zgrzytów i szarpnięć, a kiedy się ocknął, poczuł potworny smród.

- Och, nie - jęknął i poważnie się zaniepokoił.

Sięgnął do kieszonki kamizelki i wyciągnął pudełko zapalek, zapalił jedną i spojrzał w twarz Lucyfera.

Zakonserwowany Marsjanin gapił się na niego nienawistnie zakonserwowaną gałką oczną. George jęknął i znów zapadł w niespokojny sen.

Tym razem obudził się, gdy boczne drzwi wozu zostały otwarte na oścież i do wnętrza wlało się jaskrawe słoneczne światło.

- Wstawaj, mój żaloszny towarzyszu - zawołał głos profesora Coffina. - Kolejny wspaniały dzień oczekuje twojego spóźnionego przybycia.

George zamrugał, przystosowując wzrok do światła i, kiedy już odzyskał głos, spytał:

- Co się stało?

- Martwiłem się o twoje bezpieczeństwo. - Postać profesora była jedynie ciemnym zarysem na tle porannego światła. - I nie bez przyczyny, jako że znalazłem cię na terenach Kryształowego Pałacu zakrwawionego, połamanego i zgłanowanego.

- Zgłanowanego?

- Załatwionego na cacy. Opatrzyłem twoje rany i przywlokłem cię do domu.

Nawet w stanie półświadomości George wyczuwał w tych słowach obłudę. Można rzec, że profesor nie powiedział mu wszystkiego.

- Wstał kolejny dzień. - Coffin nachylił się do wnętrza wozu i zmierzwił George'owi włosy. - Jesteś już całkiem zdrowy, albo z pewnością będziesz, gdy tylko coś wrzucisz na ruszt. Musimy odrobić finansowe straty z wczorajszego wieczoru.

- A gdzie teraz jesteśmy? - George, mrużąc oczy przed światłem, dostrzegł na zewnątrz skromną chatę, albo i dwie.

- W małej wiosce, którą zwą Brentford. - Profesor Coffin wyprostował się i pokręcił łaską. - Na północnym brzegu Tamizy, naprzeciwko Królewskich Ogrodów Kew.

George z trudem wydostał się z wozu i przyjrzał się przyjemnemu otoczeniu.

- Idziemy tam. - Profesor wskazał końcem laski budynek. - Zajazd Pod Latającym Łabędziem. Zjemy śniadanie.

W zajezdzie Pod Latającym Łabędziem serwowano wyśmienite śniadania. Specjalnością zajazdu było popularne danie dnia i George rozkoszował się - między innymi popularnymi daniami - porcją cielecych żeberek, dwoma porcjami klenia z Melbury, trzema wołowymi jądrami (cienko pokrojonymi) i krótko przysmażoną wołową parową, która byłaby przebojem na śniadaniowym stole jej wysokości w Windsorze. I wszystko to splukał porterelem. Wspaniała rzecz.

Wytarł usta rękawem marynarki i kiwnął głową z zadowoleniem.

- Byłby pan tak uprzejmy i powiedział mi, co naprawdę zdarzyło się zeszłej nocy?

Profesor Coffin przełknął kawałek koniny z Corby.

- A ty byłbyś? - Taka była jego odpowiedź.

- Popełniłem błąd - przyznał George. - I porzuciłem pana, swojego pracodawcę. Bardzo przepraszam. Zapłaciłem za moje bezmyślne zachowanie.

- Nie będziemy już więcej rozmawiać na ten temat.

- Coffin przełknął parę łyków portera. - Wet za wet, oko za oko, równowaga została zachowana.

- Profesorze. - George Fox spojrział znad swojego śniadania. - Spotkał pan kiedyś Wenusjanina?

- Wielu, mój chłopcze. Bardzo wielu. I żadnemu z nich bym nie zaufał.

- Dlaczego? Ich uroda jest niezwyklej rzadkości i wydają się mieć doskonałe maniery.

- Mają trzy płcie, wyobrażasz to sobie? - Profesor Coffin wbił widelec w miętoszkę i włożył ją do ust.

- Męską, żeńską i „duchową” - powiedział George ze znawstwem.

- Nie - powiedział profesor. - Wszystkie w jednej istocie. Nazywa się ich „trimaafrodytami”. Mogą się sami rozmnażać. Nie potrzebują do tego seksualnego partnera.

- Mogą uprawiać seks sami ze sobą? - George wypłuł z siebie kawałek śniadania.

- Cóż, nie myśl sobie, że nie widziałem, jak ty to robisz.

Tym razem George zakrztusił się śniadaniem.

- Żartuję, oczywiście - powiedział profesor Coffin.

- Nie napluj mi swoimi mielonymi jądrami do piwa, proszę.

George upił łyka piwa ze swojego kufla.



- Nie ufam tym łobuzom. - Profesor Coffin skrzywił się z odrazą. - Są zbyt słodcy i uprzejmi. I słyszałem, że w ogóle nie mają maszyn. Wywołują zdarzenia siłą swoich umysłów. Przemieszczają swoje statki przez przestrzeń kosmiczną jedynie mocą wiary.

- Słyszałem o tym. - George znów zabierał się do śniadania.

- Wenusjanie to zgraja czarnych magów. - Coffin splunął na wysypaną trocinami podłogę.

- Zaraz, moment - wtrącił George. - Czarni magowie? To z pewnością duża przesada?

- Przemyśl to. Określiłbyś siebie jako chrześcijanina, prawda?

- Tak zostałem wychowany.

- Nie o to pytałem.

- Zatem jestem chrześcijaninem. Wierzę w Boga.

- A wierzysz w magię?

- Ma pan na myśli czary?

Profesor gwałtownie pokiwał głową.

- Magia jest teraz bardzo modna wśród londyńskich wyższych sfer. W bogatych domach ciągle odbywają się seanse magiczne.

George przytaknął. W gazetach pełno było opowieści o pewnym mężczyźnie, Danielu Dunglasie Home, który przeprowadzał seanse, i w jego duchowej obecności stoliki poruszały się same z siebie, instrumenty same grały, a pan Home, o czym było powszechnie wiadomo, lewitował. Był ulubieńcem wyższych sfer, poważanym przez damy dworu. Na twarzy George'a pojawił się pewien charakterystyczny wyraz.

- Nawet o tym nie myśl - przestrzegł pracodawca. - Twoja przyszłość nie ma nic wspólnego ze spirytyzmem.

George zachłannie rzucił się na swoją wyzerkę.

- Chodzi o to - kontynuował profesor - że na Ziemi praktykuje się magię, lecz według mnie w niewielkim stopniu i raczej nieskutecznie. Przyznaję, że warunki istniejące na innych planetach mogą sprzyjać prawdziwej magii. Takiej, którą można kontrolować i wykorzystywać. Lecz czy jest to boska magia, czy dzieło diabła?

- Zawsze się zastanawiałem - George znów wytarł usta rękawem - kim był pierwszy mag. Magowie zwykle twierdzą, że mają starożytne magiczne księgi. Rękopisy napisane przez Paracelsusa czy też pańskiego imiennika Cagliostro. Lecz kto napisał pierwszą? I skąd wzięł te wszystkie informacje? Naprawdę chciałbym to wiedzieć.

- W takim razie powiem ci. - Profesor Coffin dopił piwo i zamówił u barmana dolewkę. - Odpowiedzią jest Mojżesz. Kiedy Mojżesz wszedł na górę Synaj i otrzymał

kamienne tablice z Dziesięcioma Przykazaniami, Bóg obdarzył go zaufaniem. Dał mu nie tylko przykazania. Także pierwszą magiczną księgę. Lub też podyktował ją Mojżeszowi, który wszystko to zapisał.

- Ale dlaczego?

- Aby ulepszyć ludzkość. Dać jej wiedzę. Mojżesz mógł używać magii w dowolny sposób.

- I robił to?

- Wiesz, że nie. Kiedy zszedł z góry po raz pierwszy i zobaczył, jak Izraelici oddają cześć złotemu cielcowi, rzucił na ziemię nie tylko kamienne tablice, ale także grimuar.

- Więc jakim cudem Mojżesz jest pierwszym magiem, skoro wyrzucił pierwszy grimuar i nigdy nie korzystał z magii?

- Powiedziałem, że został mu podyktowany. To dało mu status pierwszego maga. Jedyne go człowieka, który kiedykolwiek otrzymał magię bezpośrednio od Boga. Rzucił na ziemię księgę, ale nie zniszczył jej w płomieniach. Została naprawiona i przechodziła z rąk do rąk przez kolejne pokolenia. Niewielu było w stanie odczytać ją właściwie. Magia się rozproszyła. Gdyby Izraelici nie zrobili tego złotego cielca, nasz świat wyglądałby inaczej. Pamiętaj o tym... - Profesor Coffin zrobił znaczącą przerwę.

- Dalej - nalegał George. - To bardzo ciekawe.

- Niektórzy mówią, że to wydarzenie było powodem narodzin pierwszej teorii spiskowej. Mówi ona, że zrobienie złotego cielca było wynikiem mactwa pewnego bardzo złego Izraelity, który to wszystko zaplanował. Wiedział, że Mojżesz, znany z wybuchowego temperamentu, kiedy zejdzie z góry, niosąc słowa Boga, i zobaczy swoich rodaków modlących się przed cielcem, wpadnie w szale i rzuci na ziemię, cokolwiek zostało mu dane.

- Ach, rozumiem. I wtedy ten zły człowiek pośpiesznie zabrał to, co Mojżesz rzucił w szale.

- Właśnie. I to, co w zamierzeniu miało być „dobrą” białą magią daną przez Boga w prezencie człowiekowi, w rękach złych magów stało się „złą” czarną magią.

- To bardzo dobra opowieść - podsumował George, który właśnie skończył śniadanie. - Lecz zadajmy sobie kilka pytań. A co, jeśli Bóg umieścił Adama i Ewę nie tylko na tej planecie, ale także na Wenus, Marsie i Jowiszu? A co, jeśli Mojżesz z Wenus nie został zmuszony do rzucenia grimuaru? Wtedy magia wykorzystywana przez Wenusjan byłaby dobrą magią, prawda?

Profesor Coffin zamamrotał coś nieprzyjemnie pod nosem.

- Cóż, ja nie mam nic przeciwko Wenusjanom - powiedział George. - Nie uczynili mi

nic złego. Natomiast ta młoda Ziemianka, hm, to zupełnie inna para kaloszy.

- Wiedziałem! - Profesor Coffin skoczył na nogi i zastępował. - Po prostu wiedziałem. Zeszłego wieczoru pozwoliłeś się ogłupić i zamroczyć jakimś ślicznemu młodemu stworzeniu. Wiedziałem!

George tylko pokiwał głową.

- Nie wiń się za to, mój chłopcze. To się zdarza każdemu z nas. Próbuje uczyć się na swoich błędach. Nie wiadomo, może będziesz pierwszym mężczyzną w historii tej planety, który naprawdę potrafi uczyć się na swoich błędach. A teraz - ukłonił się przed George'em - przedstawienie musi trwać. Musimy dotrzeć na jarmark do Hounslow, i byłbym zadowolony, gdybyśmy do końca dnia zarobili pensa czy dwa.

Fox uśmiechnął się, wstał z krzesła i strzepnął okruszki z kamizelki.

Profesor Coffin prowadził lokomotywę drogową. Tym razem George stał obok niego. Lokomotywa drogową była wspaniałą maszyną, pełną wypolerowanych mosiężnych ozdób w kształcie kłosa jęczmienia. Miała wielkie wirujące koła zamachowe i roztaczała wokół zapach dymu i oleju. Ta cudowna machina od niedawna znajdowała się w posiadaniu profesora. Dzięki szczęściu wygrał ją w karty od właściciela jednego z cyrków, Mandible Haxana, który reklamował się jako „Genialny Czarnoksiężnik” i prezentował gawiedzi atrakcję znaną jako Maszyna Hieronymusa lub Intuicyjny Prognosta - konstrukcję z mosiądzu, kości słoniowej, skóry i barwionej gutaperki. „Prognosta” brał pytania od ludzi z tłumu i odpowiadał na nie mechanicznym głosem. Maszyna Hieronymusa wykreślała horoskopy i oferowała tym, którzy zapłacą dodatkowego florena za to, że „dokładnie przepowie im przyszłość”.

Jak widać, pan Mandible Haxan nie pomyślał o wykorzystaniu Maszyny Hieronymusa, żeby przewidzieć swoją najbliższą przyszłość, zanim podjął się fatalnej dla niego w skutkach gry w karty z profesorem Coffinem.

Fox doskonale znał umiejętności karciane profesora. Kiedyś był właścicielem złotego zegarka kieszonkowego. Ten zegarek spoczywał teraz w kieszonce kamizelki profesora Cagliostro Coffina.

Z tej akurat pomyłki George wyciągnął właściwe wnioski. Nigdy więcej nie zagra w karty ze swoim pracodawcą.

Droga między Brentford a Hounslow przechodziła przez Park Syon, wielką posiadłość należącą do samego lorda Brentforda. Wysokie ściany rezydencji, na których szczycie stały charakterystyczne urny Roberta Adama, ukrywały przed wzrokiem George'a piękny widok

wypielegnowanych ogrodów i znajdujących się w nich kopuł rozkoszy. Chodziły plotki, że lord Brentford miał dwadzieścia konkubin i jako kamerdynera małpę, która nosiła fez i wyszywaną kamizelkę. Plotkowano także, że jaśnie pan, kiedy nie przepychał w Izbie Lordów w parlamencie ustaw reformatorskich na rzecz biednych kosztem bogatych, angażował się w praktyki sztuki diabelskiej, o którą to sztukę profesor Coffin oskarżał Wenusjan.

George wiedział, że znów ma na twarzy ten swój szczególny wyraz, więc oderwał wzrok od wysokich ścian luksusowej posiadłości i utkwiał go na drodze przed nimi. Za farmami i przydrożnymi zajazdami leżało Hounslow. Hounslow z jarmarkiem Hounslow, tym wspaniałym, słynnym jarmarkiem.

George otrzepał z marynarki płatki sadzy i oddał się optymistycznym rozmyślaniom.

## 6

W obecnym roku Pańskim tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym - zawołał profesor Coffin ponad kakofonią pary wydostającej się z silnika - Anglię przemierza prawie sto cyrków wędrownych, oferujących swoje cuda. Istnieje też nieprzeliczona rzesza mniejszych trup wędrownych czy też grup przedstawiających tylko jedną atrakcję. Jarmark w Hounslow odbywa się co roku od co najmniej pięciuset lat. Zobaczysz mnóstwo rzeczy, które cię rozbawią i zadziwią, lecz trzymaj ręce w kieszeniach.

George Fox przybrał myślący wyraz twarzy.

- Trzymaj dłoń na sakiewce.

- Rozumiem.

Kiedy zbliżyli się do Hounslow, było już pewne, że będą mieli liczącą się konkurencję na polu „atrakcji edukacyjnych”. George rozpoznał kilka wozów po bocznych napisach. „Toby, czująca Świnia”, „Potworni szamani z ciemnej strony Księżyca”, „Automatyczni tombakowi minstrele”, „Podróżujący zmiennokształtni”, „Łagodny Napoleon i wrzeszcząca Nowa”. Przeczytawszy ten ostatni napis, George uniósł brwi. „Dick, Dack i Dock, syjamskie trojaczki” i zawsze popularny „Mechaniczny indyk”, który kiedyś zdrowo pogiębił George'a w szachach.

Ta zróżnicowana grupa była czymś więcej niż jedynie „liczącą się konkurencją”. A dzień w dodatku robił się gorący. Co nie przysłuży się atmosferze w małym namiocie, w którym króluje śmierdzący zakonserwowany Marsjanin.

Podobne myśli zagościły także w głowie profesora Coffina, który powiedział do George'a:

- Kiedy dojedziemy na miejsce, ty, mój chłopcze, pośpiesz do najbliższej apteki i kupisz pięć kanistrów formaldehydu i dziesięć wody destylowanej. A także bukiety fiołków w liczbie stu oraz dwie maski, te nowe, których używają chirurdzy w szpitalu londyńskim.

- I wszystko to będzie w Hounslow tak od ręki?

- Z pewnością znasz taką piosenkę z wodewilów - powiedział profesor, i nie czekając na odpowiedź, zaśpiewał:

*Gdy potrzebna ci czapeczka  
A do niej zwiewna wstążeczka  
Albo płaszcz dostojny, w którym pójdziesz wszędzie  
Gdy nie mają go w Brentfordzie  
W Neasden, Penge ni w Deptfordzie  
W Hounslow Town na stanie z pewnością wszystko będzie  
Och...*

Lecz George szybko mu przerwał.

- Poszukam tych rzeczy, które są panu potrzebne, o ile zostaną wyposażony w odpowiednie fundusze.

- Mój drogi, zobaczymy, co będzie można wziąć na kredyt.

George Fox pokręcił głową.

- Niech pan na mnie spojrzy. Obdarty, zabrudzony sadzą i śmierdzący obrzydliwym fetorem Marsjanina. Proszę mi wierzyć, profesorze, żaden aptekarz, chemik czy ktokolwiek, kto ma coś wspólnego z farmacją, nie da mi nic na kredyt.

Profesor Coffin cmoknął.

- Naprawdę powinieneś przeznaczyć choć część tej dużej pensji, którą ci płacę, na siebie i nowe ciuchy. Wiejskie kmiotki dobrze nie przyjmą cuchnącego błazna.

- Asystenta - sprostował George Fox. - Asystenta.

- Właśnie. Zaufanego i wartościowego asystenta.

Słyszac to, George uśmiechnął się dumnie.

- Który teraz na moje polecenie wrzuci węgla do pieca, jako że w bojlerze spada ciśnienie.

Godzinę później parowóz drogowy profesora, wagon i wszystko inne stało już na wrzosowiskach Hounslow. Właśnie na tym terenie Dick Turpin niegdyś rabował bogatych. Akurat w tym dniu można by wykazać pewne podobieństwo.

Profesor Coffin położył banknot jednofuntowy na wyciągniętej dłoni George'a.

- Sam postawię namiot, a ty leć szybko do apteki.

George, chociaż był uczciwym chłopakiem, przez dłuższy czas wpatrywał się w funta.

- Jeśli zechcesz oddalić się z pieniędzmi - przestrzegł profesor - oczywiście będę zmuszony cię ścigać, dogonić i zamorfować.

- Zamorfować?

- Zamordować. - Słowo używane czasami przez pana Charlesa Dickensa, który kazał swoim robotnikom uchylać czapek przed dobrze urodzonymi i mówić rzeczy w rodzaju „siękuję baldzo, wasza 'stojność”.

- Nigdy wcześniej nie miałem w ręku funta - przyznał George.

Coffin kiwnął głową, minę miał poważną.

- Rozumiem, po prostu to doświadczenie cię podekscytowało.

- Nie. Niezupełnie. Zastanawiałem się tylko, czy doświadczony farmaceuta, ze swoją wiedzą chemiczną, jaką z pewnością musi posiadać, rozpozna, tak jak ja natychmiast poznałem, że ten banknot jednofuntowy został namalowany kredką i tuszem. I że jest fałszywy.

Mrucząc coś gderliwie, profesor Coffin schwycił fałszywkę i wymienił ją na prawdziwy banknot jednofuntowy.

- Postaram się tak szybko wywiązać z zadania, jak to tylko możliwe - obiecał George.

- Weź ze sobą wózek - powiedział profesor. - I przywieź go z powrotem! - dodał.

George Fox rozumiał, że sposób transportu tak szkodliwej substancji jak formaldehyd powinien być dokładnie przemyślany. Z takimi rzeczami po prostu nie można się śpieszyć. Każdy pracodawca, zwłaszcza taki jak jego, który znał gwałtowną naturę takiej substancji chemicznej, na pewno wiedział, że transport wymaga czasu. Nie oczekiwałby powrotu George'a wcześniej niż za godzinę czy dwie.

Z pewnością nie.

Więc George odszedł szybko, ciągnąc za sobą wózek, i po chwili zwolnił do kroku spacerowego.

Bo przecież tyle było do zobaczenia. Tyle cudów.

Z pewnością miesiące, które przepracował u cyrkowego impresaria, nauczyły George'a, że to, co widzi, niekoniecznie jest tym, co rzekomo ma być. Pełne emfazy słowa namalowane wielkimi i rzucającymi się w oczy literami obiecywały o wiele więcej niż to, co w rzeczywistości prezentowały. Wspaniała kapryśna piękność z długimi złotymi włosami zakrywającymi nagie piersi, która kokietowała swoim rybim ogonem, niekoniecznie dokładnie odzwierciedlała okaz skryty wewnątrz ogrodzonego terenu - pomarszczoną, polakierowaną, okropną istotę, bezbożną mieszkankę małpy i halibuta, która ma uchodzić za pojmaną syrenę.

Lecz w oczach George'a magia cyrku nigdy nie straci swojego uroku. Przecież uciekł od swojej bardzo szanowanej rodziny, aby dołączyć do cyrku. A kiedy odkrył, że w cyrku

nikomu nie są potrzebne jego usługi (nie miał żadnych wyjątkowych umiejętności), to zanim spotkał profesora, podejmował się wielu brudnych prac u wielu podejrzanych artystów cyrkowych.

Profesor z pewnością był wmieszany w różne podejrzane działania. Można jednak powiedzieć, że przynajmniej jego Marsjanin był prawdziwy. I nawet jeśli wszedł w posiadanie tej istoty w sposób nie do końca uczciwy, to kimże jest George, żeby to oceniać? Z pewnością był to prawdziwy okaz!

Chociaż George Fox nienawidził go całym sobą!

Manewrował wózkami między cyrkowymi namiotami i rosnącym tłumem. Nie był to wyrafinowany tłum bogaczy, jaki poprzedniego wieczoru wypełniał Kryształowy Pałac. Zwyczajny tłum nieokrzeszańców i biedaków. Charkotliwy śmiech bezzębnych staruch i pijackie przysięgi ich towarzyszy raczej nie polepszały nastroju George'a.

Nie byli to ludzie, do których by się przyznawał. Być może powinien wrócić do rodziny. Zostać uczniem w firmie ojca, która produkowała oszklone barki na alkohol. George poczuł wewnętrzny dreszcz. Nie tego chciał. Pragnął przygody i rozwoju. Chciał doświadczyć ducha obecnych czasów.

Przez zamyślenie George'a przebił się głos naganiacza uwodzącego tłum. George ujrzał barwnego człowieka siedzącego na wysokim podium. Nad nim błyskały kulami żarówek słowa:

## MACMOYSTER FARL

### APOKALIPTYCZNY EGZAMINATOR

Naganiacz był ubrany w czerwony, aksamitny garnitur, nawet kapelusz miał z czerwonego aksamitu. Kolor jego nosa pasował do koloru ubrania, a piękne, wywoskowane wąsy zawijały się jak bliźniacze wskazówki zegara i skakały przy każdym nawoływaniu. Słowa nawoływacza przyciągnęły uwagę George'a. Do pewnego stopnia nawiązywały do dyskusji podczas śniadania z profesorem Coffinem.

- Zbierzcie się wokół - wołał naganiacz, unosząc laskę - i wysłuchajcie moich słów. Chcielibyście poznać swoją przyszłość? Chcielibyście rozmawiać ze zmarłymi? Ty, sir - uchwycił wzrok przechodzącego gościa - ty, sir, czuję, że ostatnio odniosłeś stratę.

- Ano, prawda. - Gość zatrzymał się. - Moja ukochana córka Mary zeszła na suchoty tydzień temu. Tak jak dekadę temu jej matka, moja droga żona Mary. Chociaż ona była jedną z tych, którzy zostali zabrani do nieba podczas wczesnego wniebowzięcia, jak powiedział



nam doktor, kiedy przyszedłem do szpitala i zobaczyłem puste łóżko.

- Chciałbyś znów porozmawiać z ukochanymi kobietami?

- Tak, gdybym mógł, sir. Gdybym tylko mógł. Ale myślę, że ci od seansów, spirytyści, to zgraja oszustów.

- Też tak myślę - zgodził się naganiacz; robił wszystko, byle tylko gość dołączył do zbierającego się wokół tłumu. - Lecz wewnątrz tego namiotu siedzi człowiek, który może rozmawiać z duchami. Chrześcijański naukowiec, o wysokiej moralności. Nauczył się tej sztuki od tajnego ministra rządu - i co pan o tym myśli?

- Myślę, że chciałbym wiedzieć więcej.

- Macmoyster Farl - naganiacz kręcił szerokie koła laską - nauczył się swojej sztuki w tajnym Ministerstwie Przypadkowych Odkryć, gdzie pracował z zespołem psychicznych prestidigitatorów, zajmujących się kontaktami ze zmarłymi w celu rozszerzenia panowania brytyjskiego imperium na krainę zmarłych.

- Oooo! - Dla tłumu to było objawienie.

- Tak - krzyczał naganiacz. - To prawdziwe objawienie, prawda?! I w temacie objawienia, Macmoyster Farl był świadkiem seansu mającego na celu obudzenie bestii - antychrysta.

- O, rany - rozległo się w tłumie. Niektórzy wyrazili swoje myśli bardziej grubiańsko.

- Muszę dodać - napomknął naganiacz - że to był francuski seans.

Jego słowa wywołały w tłumie okrzyki radości oraz pogardliwe prychnięcia.

- Za lśniącego pensa, tylko tyle, moi przyjaciele - zachęcał naganiacz - możecie porozmawiać z Macmoysterem Farlem, który w waszym imieniu skontaktuje się z duchami. Jeśli nie będzie to całkowicie szczere i jeśli każde pytanie nie spotka się z satysfakcjonującą odpowiedzią, pieniądze zostaną wam zwrócone. Co macie do stracenia, kiedy macie tyle do zyskania?

- Ja chcę! - krzyknął gość, który stracił dwie swoje Mary. - Zaufam słowom tego znakomitego człowieka. Weź mojego pensa, żebyśmy znalazł się na czele widowni, zanim wparuje tam tłum.

Rzucił naganiaczowi pensa i zniknął w namiocie.

George Fox pogrzebał w kieszeniach. Wiedział, że to prawdopodobnie bzdury. Macmoyster Farl pewnie był oszustem, twierdzącym, że posiada dar, którego tak naprawdę nie ma. Lecz coś ciągnęło go do namiotu. Coś mówiło „Chodź”.

- Wejdz, młody panie - zawołał do niego naganiacz.

- Zmysły mówią mi, że jesteś młodzieńcem poszukującym. Młodzieńcem, którego

swędzi coś, czego nie może podrapać. Jakkolwiek nie są to wszy, bo widzę, żeś czysty.

George pogrzebał w kieszeniach jeszcze głębiej. Wyciągnął na światło dzienne kawałek sznurka, fragment woskowej pieczęci, na wpół zjedzone toffi, które naprawdę powinien dokończyć.

I lśniąca, dużą miedzianą jednopensówkę.

Obrócił monetę w palcach i powiedział:

- Wchodzę.

# 7

Gdy tylko George wszedł do namiotu dla publiczności pana Macmoystera Farla Apokaliptycznego Egzaminatora, natychmiast zauważył kilka rzeczy. Po pierwsze, że to ogromny namiot, w którym mogło się pomieścić nawet i sto osób. Po drugie, że w środku czysto i ładnie pachnie, a przede wszystkim, że jest chłodno. Wypuścił z ust powietrze, które zmieniło się w mgiełkę, zupełnie jak podczas zimowego poranka. Jak im się udało to zrobić?, spytał sam siebie George. I jeszcze jedno - przyjrzał się siedzeniom. To nie były zwyczajne ławki czy trybuny, lecz pojedyncze krzesła doskonałej jakości.

Przesunął dłonią po oparciu krzesła. Mahoń.

Na przedzie wznosiła się scena oświetlona nowoczesnymi światłami elektrycznymi. Mosiężny pulpit dla mówcy był kunsztownie uformowany w kształt anielicy z szeroko rozłożonymi skrzydłami; trzymała nad jej śliczną głową rozłożoną księgę.

Wysoka jakość, ocenił George. I prawie, prawie przybrał ten swój wyraz twarzy, ale się powstrzymał. Profesor Coffin powiedział mu głosem, w którym nie było odrobiny wahania, że kariera spirytysty nie jest dla George'a. I chociaż on niekoniecznie wsłuchiwał się w każde słowo profesora, czy też wierzył w nie jak w objawienie, w głębi duszy wiedział, że nie chce zostać naganiaczem spirytysty, obojętnie jak doskonale ów spirytysta prosperuje. Spirytyzm przecież polegał na komunikowaniu się ze zmarłymi, a komunikowanie się ze zmarłymi - obojętnie, jaką miłą nazwę by się temu nadało - tak naprawdę było formą nekromancji.

George zajął krzesło w trzecim rzędzie od sceny; za nim zasiadło wielu klientów. Skrzyżował ramiona na piersiach i rozglądał się wokół, zastanawiając, jakkolwiek nieco późno, dlaczego w ogóle tu się znalazł.

Poczuł przymus, presję przeznaczenia? Wzruszył ramionami, bo wiedział, że to nie to. Poświęci kwadrans, żeby się przekonać, ile to warte, i jeśli to wszystko okaże się nabijaniem w butelkę, wyjdzie i zajmie się sprawunkami dla swojego pracodawcy, biedniejszy o pensa, lecz mądrzejszy.

W ciągu kilku minut wszyscy, którzy mieli zająć miejsca, już usiedli, kłapa namiotu odcinająca wewnątrz od zewnętrznego świata opadła i zapadła cisza. To była bardzo

intensywna cisza, zaskakująca cisza, biorąc pod uwagę harmider na dworze. I niewątpliwie miała wpływ na obecnych w namiocie. Bezzębne gęgania i pijane obietnice opadły do szeptów i zamarły. George znów się rozejrzył. Zebrało się tu mniej niż trzydziestu kmiotków, z nim włącznie. Niezbyt wielki zarobek, przy wejściówce za pensa. Ledwie pół korony. Skąd więc takie wspaniałe umeblowanie?

Potem myśli George'a, nieważne, w jakim miały pobiec kierunku, zostały zakłócone potężnym dźwiękiem gongu. Głos - dochodzący, jak George przypuszczał, przez ukryty megafon - przeciął ciszę.

- Moi panowie, panie i mój dżentelmenie. Bystrzy i szlachetni klienci, witam was w Akademii Wiedzy Duchowej. On przemierzał zamieszkane światy w poszukiwaniu wiedzy ezoterycznej. Współpracował z lamami w Tybecie, plemiennymi szamanami na pustyni Kalahari, mnichami w Parnassusie, eklezjastami na Wenus, cenobitami z Jowisza. Zdobył zaufanie pytii, księży i pujarów, którzy przekazali mu arkana swojej wiedzy i mądrości. Codziennie kontaktuje się z tajnymi przywódcami Wielkiego Białego Bractwa. Jest mistrzem ascendencji. Oto Macmoyster Farl.

Widownia, oszołomiona tą litanią metafizycznych kwalifikacji, nie wiedziała, czy ma zacząć klaskać, czy z respektem złożyć dłonie jak do modlitwy. Więc po prostu siedziała.

Jeszcze jedno uderzenie gongu, fluorescencyjny błysk, i oto już się zjawił. Przed tłumem, na scenie przy mosiężnym aniele.

George był pod wrażeniem tak dramatycznego wejścia. Scena wyglądała solidnie, nie dostrzegł żadnych zapadni czy trampolin. Bardzo ciekawy trik, pomyślał, i silna osobowość.

Macmoyster Farl był niezwykle wysoką mężczyzną. Przeróżająco wysoki, jak przeróżająco wysoka wieża, i tak chudy, że aż oczy bolały, kiedy się na niego patrzyło. Miał na sobie fantastyczny kostium, jakiego George nigdy wcześniej nie widział. Z pewnością były to szaty średniowiecznego czarodzieja, ozdobione kabalistycznymi znakami, runami i sekretnymi symbolami, wyszytymi srebrną nicią na szkarłatnym jedwabiu. I, och, ten turban na głowie, lśniący od oszałamiającej obfitości klejnotów. Chryzoprazy i turmaliny, kamienie księżycowe i jaspisy, rubiny i szafiry, heliotropy. Na tym jednym kapeluszu tkwiło całe bogactwo rady.

A co do twarzy tej nieprawdopodobnej postaci - och, co to była za twarz! Z bokobrodami i dziko rozwichrzonymi białymi wąsami, które opadały po obu stronach oblicza tak ściągniętego, o skórze tak napiętej, że wyglądało bardziej jak czaszka. Ale nos był długi, a oczy lśniące i bardziej niebieskie od turkusów.

Cisza, tylko cisza.

Potem przemówił.

- Drodzy podróżnicy - powiedział głosem tak głębokim, że znów wywołał zadziwienie, jako że wydobywał się z tak wątlej postaci. - Pojawiłem się, aby przekazać dalej mądrość, którą poznałem. Żeby odpowiedzieć na wasze pytania, jakiegokolwiek będą. By mówić w imieniu waszych bliskich po drugiej stronie i przekazać wam ich odpowiedzi wyszeptane w moje uszy. Niech was nie wstrzymuje powściągliwość i nieśmiałość, pytajcie mnie o wszystko. Pytajcie o wszystko.

Cisza się przedłużała. Jak gdyby wszyscy naraz wciągnęli powietrze i zatrzymali je w płucach. W końcu odezwał się pierwszy gość.

- Moje dwie Mary - powiedział, jako że stracił żonę i córkę z powodu suchot. - Chciałbym z nimi porozmawiać. Chciałbym wiedzieć, czy zagnały spokoju.

Macmoyster Farl uniósł długi, chudy jak patyk palec i przytknął opuszką do swojej lewej skroni. Zamknął oczy i zaczął się lekko kiwać na obcasach.

A potem zrobił coś, co sprawiło, że wszyscy widzowie westchnęli.

Uniósł się.

Łagodnie do góry, w powietrze, i tkwił tak, zaprzeczając dobrze znanemu prawu grawitacji, ze trzydzieści centymetrów nad sceną. I to, jak się wydawało, bez pomocy kabli.

George patrzył na to z aprobatą. Sam ten pokaz wart był sześciopensówki. Przynajmniej nie zapłacił pensa za darmo.

- Twoja córka leży w spokoju na cmentarzu dla biedaków w Spitalfields - powiedział. Pytający kiwał głową. - Lecz twoja żona... - Macmoyster przerwał, chwając się lekko w powietrzu, jakby popychała go łagodna bryza. - Nie leży w ziemi, która jest naszym błogosławionym domem.

- Co to znaczy? - spytał gość.

- Mars. - Głos Macmoystera odbił się echem. - Została skremowana na Marsie.

- Ale to nie może być. - Gość wstał z krzesła i załamał rękę. - Mylisz się, nie mówisz o mojej Mary.

- Mary Harcourt - zaintonował głos Farla. - Urodzona trzeciego marca tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku. Zmarła piętnastego kwietnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego.

- Na Marsie? - Mężczyzna wciąż kręcił głową.

- Jest szczęśliwa. - Głos Macmoystera stawał się coraz głębszy. - Patrz uważnie, a przyprowadzę ci ją.

I wtedy sytuacja, już dziwna, przybrała jeszcze dziwniejszy obrót.

Światła wewnątrz namiotu przygasły, Macmoyster Farl wyciągnął z jakiegoś miejsca

wokół siebie zapaloną świecę, której płomień był jedynym źródłem światła.

Pojawiły się miękkie i łagodne szepty, jak gdyby śpiewali uczestnicy nieszpórów. Albo chór w odległej kaplicy, a może to były anioły? Albo nawet cherubiny?

- Moja Mary! - krzyknął mężczyzna, kiedy na scenie pojawiła się kobieta, przezroczysta jak duch. Miała na sobie białą suknię i wianek z fiołków na długich włosach.

Oczy George'a niemal wypadły z jego głowy. Słyszał o iluzji zwanej Duchem Peppera - to ulubiony pokaz burlesek. Lecz do tego była konieczna wielka tafla zakrzywionego szkła oraz fałszywa niższa scena z oszukańczymi światłami.

Tu niczego takiego nie było.

Ubrana na biało zjawa uniosła bladą dłoń i odezwała się jak z wielkiej odległości.

- Nie płacz już za mną, Johnny. Jestem teraz częścią tego, co jest wszystkim. Zaznałam spokoju, i tego też ci życzę.

I już jej nie było. Nagle. Zniknęła.

Elektryczne światło rozbłysło całą mocą. Świeca sama zgasła. Macmoyster Farl opuścił się na scenę i skrzyżował ramiona na piersiach.

George dobrze wiedział, że tłum jest zmienny i trudny do opanowania. W jednej chwili trzymasz go pewnie w dłoni, w drugiej prześlizguje ci się przez palce jak rteć.

Według George'a, reakcja tłumu na ten niesamowity pokaz mogła być dwojaka: burzliwe oklaski lub wrzeszcząca paniczna ucieczka.

I w istocie, było to drugie.

Gość, który stracił dwie Mary, stał na czele. Uciekał, wrzeszcząc, z namiotu, a za nim ruszył spanikowany tłum. Nikt nie wołał o zwrot swojego pensa, jako że widzieli wystarczająco dużo. Czuli wystarczająco dużo. Doświadczyli wystarczająco dużo. Tłum pragnął nudnej, bezpiecznej rzeczywistości zewnętrznego świata.

I tłum sięgnął po to z pośpiechem, ludzie przewracali cenne krzesła, potykali się jeden o drugiego.

Nagle George zorientował się, że jest sam w wielkim namiocie. No i Macmoyster Farl na scenie. George potrząsnął głową i wzruszył ramionami. Mimo że wciąż miał otwarte usta.

- Trattara tam tam. - Głos Macmoystera Farla wydawał się wyższy i bardziej normalny. - Żeby użyć współczesnego żargonu świata konferansjerów, okazuje się, że „za szybko zahitowałem i spaliłem pewniaka”.

George nie miał nic do dodania.

- Widzisz, to moje pierwsze przedstawienie - wyznał Macmoyster Farl; zdjął wysadzany klejnotami turban, odkrywając nagą czaszkę. - Czuję, że będę musiał uspokoić

pokaz i podchodzić do widowni bardziej ostrożnie.

- To niewiarygodnie skomplikowana sztuczka - stwierdził George. - Lewitacja była pierwszorzędna, a iluzja ducha rewelacyjna.

- Sztuczka? - powtórzył Macmoyster Farl. - Iluzja?

- Naprawdę imponujące. I mówię to jako ktoś, kto jest w pańskim zawodzie.

- Medium? Ty?

- Konferansjer - wyjaśnił George. - Jakkolwiek nie jestem iluzjonistą. Przedstawiam okazy edukacyjne.

- Konferansjer? - Błada twarz Macmoystera Farla powoli czerwieniała. - Nie jestem konferansjerem. Wszystko, co widziałeś i czego doświadczałeś, było w stu procentach prawdziwe. Nie wierzysz dowodom, kiedy widzisz je na własne oczy?

- To było najbardziej przekonujące. Ale...

- Nie ma żadnego ale, młody człowieku. Poświęciłem życie metafizyce i teraz chcę podzielić się swoją wiedzą i mądrością. Widziałeś Mary tego mężczyzny, prawda?

George przechylił głowę na bok.

- Momencik. Wychwytyję w twoich słowach szczerość. Naprawdę mówisz mi, że to, co właśnie widziałem, to nie była wypracowana sztuczka mistrza iluzji, lecz działanie prawdziwego mistyka potrafiącego porozumiewać się ze światem duchów?

Macmoyster Farl skinął łysą głową i wsunął turban pod prawe ramię. Przyłożył długi lewy palec do skroni i znów uniósł się nad sceną.

- Czy ty - głęboki głos powrócił - ty, George Geoffrey Arthur Fox, błazen pana Charlesa Milvertona Snodgrassa, który przedstawia siebie jako profesora Cagliostro Coffina, chciałbyś poznać swoją przyszłość?

- Cóż - odparł George. - Nie wiem. Charlie Milverton Snodgrass? - dodał.

- Księga - zahuczał Macmoyster Farl. - Księga Sayito zostanie dla ciebie otwarta. Znajdziesz ją, młody George'u Foksie. Na twoich ramionach spocznie przyszłość planet.

Macmoyster Farl nabrał powietrza w płuca.

- Co to znaczy? - spytał George.

Lecz zanim odpowiedź została mu udzielona, do namiotu wpadł kłęb ludzi i rozpętała się burza.

- To on! - zawołał głos.

I George Fox zobaczył policjantów. Przerażająco wielkich, ubranych na niebiesko. Towarzyszyło im dwóch dziwnych facetów o pogrzebowym wyglądzie, kierujących tym, co okazało się aresztowaniem. Byli to dwaj Dzentelmeni w Czerni, i wcale nie podobali się

George'owi.

Macmoyster Farl został ściągnięty ze sceny. Wokół jego delikatnych nadgarstków zapięto kajdanki i wywleczono go z namiotu pośród wielkiej wrzawy.

George patrzył na to w napięciu. Macmoyster Farl zawołał do niego potężnym głosem:

- Przyszłość będzie zależeć od ciebie.

I George został sam. Posępny Dżentelmen w Czerni wrócił do namiotu, nachylił się nad George'em i wyszeptał mu prosto do ucha:

- Zapomnij o wszystkim. Nic nie widziałeś i nic nie słyszałeś. Rozumiesz?

George Fox otworzył usta.

Przy jego szyi kliknął pistolet.

- Nic - powtórzył George. - Nic nie widziałem i nic nie słyszałem.

- Grzeczny chłopiec.

I George znów został sam.

Trochę później, wstrząśnięty do głębi duszy, George opuścił namiot. Nie było śladu po Macmoysterze Farlu, budzących lęk policjantach czy Dżentelmenach w Czerni. George westchnął i zadrżał.

Potem ze zdenerwowaniem odkrył, że ktoś zwinął mu wózek profesora Coffina.



## 8

Profesor Coffin nie był specjalnie zadowolony z powrotu George'a.

    Nie podobało mu się, że wrócił tak późno. I że wrócił bez towarzystwa wózka.

    Jednakże zauważył stan George'a.

    George wyglądał na zmęczonego. Zdołowanego i skonanego. Z pewnością czuł się wykończony fizycznie. Ciągnął za sobą drewnianą paletę, wyblaganą u aptekarza, załadowaną pięcioma kanistrami formaldehydu i dziesięcioma destylowanej wody. Były na niej także bukietki fiołków, w liczbie stu, oraz para tych nowych masek na twarze, modnych wśród chirurgów ze szpitala londyńskiego.

    Profesor Coffin poprosił o resztę pieniędzy.

    George podał je trzęsącą się ręką.

    Coffin przyjrzał się przygaszonemu asystentowi.

    - Co ci leży na wątrobie, chłopcze? Wyglądasz na przybitego, i to nie z powodu utraty mojego wózka.

    George usiadł na bocznych schodkach wagonu cyrkowego i ukrył twarz w dłoniach.

    Profesor usłyszał szloch i położył dłoń na ramieniu George'a.

    - Powiedz mi wszystko, i powiedz mi to teraz. Jeśli ktokolwiek cię skrzywdził, pożałuje.

    Zbliżało się późne popołudnie i chociaż profesor Coffin postawił namiot wystawowy, za pomocą wyciągarki wytargał z wagonu Marsjanina w pojemniku i sam wmanewrował go do namiotu, przymocował baner „Najbardziej Chwalebna Nienaturalna Atrakcja”, ustawił brzydką mównicę, wspiął się na nią i ogłosił wszem i wobec chwalebną naturę jego nienaturalnej atrakcji, to nie zarobił jeszcze ani jednego pensa.

    Prawdę mówiąc, wyciągnął pieniądze od kmiotków, lecz kiedy byli już w namiocie i niemal oślepli od smrodu zakonserwowanej bestii, wszyscy zacisnęli pięści i zażądali zwrotu gotówki.

    Profesor Coffin był boleśnie zirytowany, lecz nie na tyle, żeby nie zauważyć bólu u kogoś innego. Usiadł obok przygnębionego chłopca i poprosił jeszcze raz, by ten mu się zwierzył.

Wtedy George opowiedział mu ponurym głosem swoją historię.

- Macmoyster Farl - powiedział profesor, kiedy opowieść się skończyła. - To nazwisko przychodzi mi na myśl pewne wspomnienia.

- Zna go pan? On jest prawdziwy? Znał moje nazwisko i pana także, panie Snodgrass.

- Fuj. - Coffin splunął. - Jak dla mnie, jest niestety wystarczająco prawdziwy. Nigdy nie spotkałem tego człowieka, jedynie słyszałem o nim opowieści.

- Twierdzi, że podróżował na inne planety, i opowiedział mi bardzo dziwne rzeczy.

- Bohater Korony - oznajmił profesor. - Kapitan w regimencie Middlesex Elektrycznych Muszkieterów Królowej. Służył w marsjańskiej kampanii i z pewnością widział straszne rzeczy na tej zapomnianej przez Boga planecie. Zdobył ONI - Order Niebiańskiego Imperium - za odwagę, lecz podczas drugiej tury zaciągu w jakiś sposób został tam porzucony. Wędrował samotnie po tym martwym świecie przez pięć lat, aż znalazła go archeologiczna ekspedycja Towarzystwa Królewskiego. Oczywiście, Mars jest teraz częścią Wielkiej Podróży, jeśli jesteś wystarczająco bogaty, żeby zapłacić za przelot, ale pięć lat temu, przed świtem wycieczek turystycznych w kosmosie, rzadko kto odwiedzał Marsa.

- Bohater Korony. - George pokiwał głową. - Dzisiaj nikt by się nie domyślił, że on był kiedyś żołnierzem.

- Archeolodzy zabrali z Marsa rozwścieczonego szaleńca. Przez jakiś czas przebywał w szpitalu psychiatrycznym St. Mary w Bethlem, znanym bardziej jako Bedlam.

- I być może teraz tam wróci. - George westchnął.

- Sposób, w jaki został aresztowany, był co najmniej dziwny. Całą akcją kierowało dwóch białych typów w czarnych pogrzebowych strojach. A jeden... - George znów ukrył twarz w dłoniach.

- Dżentelmeni w Czerni - powiedział profesor Coffin ponuro. - Nic dobrego nie przychodzi, kiedy staje się na drodze tych straszliwych indywiduów.

- Kim oni są? - spytał George spomiędzy palców.

- Lepiej nie wiedzieć.

- On mi groził.

- Jestem pewien, że to zrobił.

- Przestraszył mnie.

- Przykro mi.

George uniósł głowę i popatrzył na profesora.

- Bardzo przepraszam. Znowu pana zawiodłem. Nic pan ze mnie nie ma, lepiej poszukam zatrudnienia gdzie indziej.

- Nie, absolutnie nie, mój chłopcze. Zgadzam się, że ostatnio kosztowałeś mnie więcej niż zazwyczaj. Lecz taka jest dola impresaria cyrkowego. Jednego dnia uczta, innego pusty talerz. Lecz w końcu jakoś zatriumfujemy. Powiedz mi więcej o tym, co powiedział ci Macmoyster.

- Powiedział, że księga otworzy się dla mnie. Że ją znajdę. I że na moich ramionach spocznie przyszłość planet.

- Widzę powód twojego przygnębienia. Co to za księga, o której mówił?

- Księga Sayito.

Profesor Coffin uśmiechnął się.

- Znana także jako Wenusjańska Biblia.

- W istocie. - George przypomniał sobie rozmowę z Adą Lovelace, a było to niezbyt radosne wspomnienie.

- Ale któż to wie, co to może mieć wspólnego ze mną. Na pewno nie ja.

Profesor Coffin wstał i zakręcił laską.

- Pomyślę nad tym i jeśli jakaś muza mnie oświeci, ja oświecę ciebie. Lecz na razie - skłonił się przed George'em - temperatura powietrza spadła i myślę, że powinniśmy opróżnić pojemnik z naszym przyjacielem Marsjaninem i szybko napęlnić go na nowo, poupychać w namiocie bukiety fiołków i usadzić ciebie na mównicy. Wtedy przed wieczorem zarobimy co nieco, a to pozwoli nam napęlnić żołądki. Co na to powiesz, mój lojalny bla... asystencie?

- Powiem tak - zgodził się George. I potrząsnął dłonią profesora.

Zakończyli tę okropną robotę w mniej niż godzinę, po czym George zajął miejsce na mównicy. Jako wieczorny naganiacz chciał sprawić, żeby profesor był z niego dumny.

Więc nawoływał przechodzących kmiotków. Tego wieczoru tchnął nowe życie w Najbardziej Chwalebłą Nienaturalną Atrakcję.

- Wchodźcie, wchodźcie wszyscy. Popatrzcie na prawdziwego diabła w jednej z jego straszliwych form. Za tymi ścianami z płótna skrywa się najbardziej zła istota w całym wszechświecie. To Phnaarg, król wszystkich Marsjan. Pokonany przez generała sir Macmoystera Farla, kawalera ONI, bohatera Brytyjskiego Imperium, który pewnego razu walczył z tym potworem na szpady. - I George entuzjastycznie przedstawił ową walkę na szpady, tnąc i parując laską profesora Coffina. - Przyjdźcie, zobaczcie na własne oczy to cudo, które was zadziwi i wywoła dreszcz. Zakaz wstępu damom bez towarzysza oraz dzieciom poniżej pięciu lat.

Kiedy odległe dzwony wieży zegarowej w Hounslow wybiły dziesiątą i tłum

rozrzedził się i zniknął, profesor Coffin uśmiechnął się.

- Doskonale - krzyknął, przeliczając monety. - Absolutnie doskonale.

- Jest pan ze mnie dumny, sir? - spytał George Fox.

- Aż brakuje mi słów, mój chłopcze. Brakuje mi słów.

- Profesor Coffin podrzucał miedzianą jednopensówkę na dłoni. - Zarobiliśmy więcej niż funta, mój chłopcze, co ty na to?

- Sądzę, jako że je liczyłem, kiedy brałem, iż jest o wiele więcej. Jest...

- Dwa funty, jeden pens i dwupensówka - powiedział profesor Coffin.

- Tak, dokładnie tak.

- I jedna trzecia z tego należy do ciebie.

- Jedna trzecia? Pan płaci mi tylko jedną czwartą.

- Tym razem postarałeś się wyjątkowo. Jeszcze zrobimy z ciebie konferansjera.

Złożenie namiotu, zaciągnięcie Marsjanina z powrotem do wagonu cyrkowego, zamknięcie wszystkiego wewnątrz i rozmontowanie silnika trakcyjnego (jako że profesor Coffin dostrzegł ukrywających się w tłumie sługusów Mandible Haxana) zabrało mnóstwo czasu, ale profesor i jego cenny asystent poszli na posiłek i piwo.

Tawerny w Hounslow nigdy nie zamykały się podczas jarmarku. Sprzedawały piwo i jedzenie całą dobę. Profesor Coffin poprowadził George'a obok zatłoczonych i hałaśliwych piwiarni, zanim skręcił w wąską boczną uliczkę i podszedł do nieoświetlonych drzwi.

- To jest porządniejsze miejsce - wyjaśnił George'owi, którego żołądek głośno grał marsza. - Lecz zanim wejdziemy, musisz coś wiedzieć. Tu właśnie unoszą swoje kufle członkowie ekskluzywnego bractwa.

- Ekskluzywnego bractwa?

- No co ty, chłopcze. Ci wyjątkowi. Bardzo specjalni ludzie. Wielu jest moimi bliskimi przyjaciółmi i w przeszłości pracowało ze mną. Zobaczysz, że większość z nich jest czarująca. Jeśli okażesz im uprzejmość, ciebie też tak będą traktować.

- Nie bardzo rozumiem. Ale to pewnie z braku jedzenia.

- Zjesz dziś wieczorem porządną kolację, a ja postawię ci piwo. - Profesor zastukał w drzwi.

Przez chwilę nic się nie działo, potem rozległ się dźwięk odsuwanych zasuw i w ciemność ulicy wyjrzała twarz.

- Quenten, mój dobry przyjacielu i towarzyszu. - Profesor Coffin wyszedł z ciemności i uściśnął towarzysza.

Towarzysz powiedział:

- Mój dobry przyjaciel Cagliostro.

I kiedy przyjaciele ściskali się i witali, George się gapił. Z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami.

Jako że Quenten nie był zwykłym człowiekiem. Jego twarz różniła się na tyle, że z pewnością wystawałby z tłumu. Jakość wyjątkowości. Coś bardzo specjalnego.

Quenten puścił oczko znad ramienia profesora Coffina.

Puścił oczko do George'a.

Puścił oczko do George'a jednym okiem.

Z samego środka czoła.

## 9

Quenten Vamberry Trzeci. - Profesor Coffin dokonał prezentacji. - A to jest mój asystent, George Fox.

Quenten Vamberry wysunął się z objąć profesora i uściskał dłoń George'a.

- Cholernie fajnie cię poznać, George - powiedział.

Zaprowadzono George'a do wygodnego pokoju pachnącego chmielem i dymem fajkowym. Lampy napełnione wielorybim olejem z ciężkimi, ciemnymi osłonami wisiały na ściennych kinkietach i rzucały kręgi światła na wyszorowane drewniane stoły. Gwar radosnych rozmów nie umilkł, kiedy George wszedł do pomieszczenia, nikt na niego nie spojrzał, nikt nie zwrócił uwagi.

- Porter? - spytał Quenten George'a i profesora. - Porter i kolacja, jak sądzę.

- Tak, w istocie, w istocie. - Coffin uśmiechnął się olśniewająco. Usiadł na krześle przy pustym stole i skinał na George'a, żeby poszedł w jego ślady.

George usiadł, zdjął kapelusz i zaczął ugniatać palcami jego brzeg. Ostrożnie wędrował spojrzeniem między klientelą.

To naprawdę byli najbardziej specjalni ludzie.

Karzeł z twarzą wytatuowaną jak u Maorysa, grał w szachy z kimś, kto wyglądał jak indyjski książę. Ten džentelmen miał na głowie biały turban z pojedynczym rubinem, koszulę z wysokim kołnierzem i białą muszką, dwurzędową wieczorową marynarkę z ciemnej tkaniny i szerokimi jedwabnymi klapami. Marynarka jednakże wybrzuszała się dziwnie, a kiedy postać poruszyła się, z przodu marynarki wychynęła mała ręką i przesunęła szachowego pionka.

- Laloo, hinduski podwójny chłopiec - powiedział profesor, śledzący spojrzenie George'a. - Pasożytniczy bliźniak, wyrasta z jego piersi. Laloo nazywa go Anną, ale to chłopiec. I gra w szachy lepiej od Laloo.

George Fox w zadziwieniu pokręcił głową.

- Co za niezwykli ludzie.

- I, jak ci powiedziałem, wielu z nich to moi dobrzy przyjaciele. - Poprzez uprzejme wskazywanie, unikając jednak bezpośredniego wskazywania palcem, zwrócił uwagę George'a

na kilku znakomitych klientów tawerny. - Fedor Jeftuchew. Pokazywany jako Jo Jo, Rosyjski Chłopiec o Psiej Twarzy. Chociaż od stóp do głowy pokryty jest grubym, jasnobrązowym futrem, a jego twarz przypomina teriera, to nigdzie nie znajdziesz młodego człowieka o bardziej uroczej osobowości.

Fedor uchwycił spojrzenie George'a i pomachał do niego ręką. George oddał uśmiech, skinął mu głową i też lekko pomachał dłonią.

- Carl Untham - kontynuował profesor. - Bezrękie Cudowne Dziecko. Urodzony bez górnych kończyn, potrafi robić stopami to wszystko, co robi rękami każdy człowiek. I jest wirtuozem skrzypiec. Być może później sprawi nam przyjemność swoją grą. Ale nie naciskaj - kiedy sobie wypije, staje się wojowniczy i bywało, że wykopywał natręta prosto przez okno.

- Będę o tym pamiętał - zapewnił George.

Profesor Coffin mówił dalej. Opowiedział o brodatej kobiecie i chłopcu-żabie znanym jako Hopp, i parze pięknych sióstr syjamskich, Dzikim Człowieku z Borneo, spiczastogłowym eleganciku o imieniu Zip i albinosie Unzie, którego zaplecione w warkocz włosy sięgały kolan.

A potem pojawiła się kolacja. Dwie wypełnione po brzegi miski nadgeru z marynowanymi frytkami na talerzyku obok oraz wielki półmisek chlebowego puddingu, na który nikt nie byłby w stanie kręcić nosem. Nawet we wtorek, kiedy świat woli zwykle bułki. George i profesor zatracili się w cudownym procesie pochłaniania kolacji i George był zadowolony z tego, że żyje.

Miał właśnie jeden z tych momentów w życiu, które czasami przydarzają się ludziom, i którzy są za nie wdzięczni. To moment głębokiego zrozumienia i szczęścia z powodu dobrego jedzenia i jeszcze lepszego towarzystwa.

- Uśmiechasz się, przeżuając - zauważył profesor. - Według mnie to dobry znak.

George uśmiechnął się jeszcze szerzej i przełknął jedzenie.

- Naprawdę cieszę się, że z panem pracuję, profesorze. Życie w drodze nigdy nie jest nudne. Jakkolwiek...

- Twarz George'a nieco spochmurniała. - Muszę się przyznać, że nienawidzę tego Marsjanina.

Śmiech niemal zadławił profesora Coffina, który opluł George'a marynowanymi frytkami.

- Wybacz - ocierał serwetką brodę - lecz ty i to zakonserwowowane straszdyło nie jesteście kochającym się zespołem.

George kontynuował napychanie żołądka.

- I po prawdzie - mówił dalej profesor, przesuwając serwetką jeszcze raz po brodzie - sam nie wiem, jak długo jeszcze będę mógł go wystawiać. On już się rozkłada i niedługo nie będzie niczym więcej niż zupą.

- Moje serce nie pęknie, kiedy ją wylejemy - odparł George.

- Nie, ale twój brzuch będzie burczeć. Zarobiliśmy dziś niezłą sumkę, młody George'u. Jesteś urodzonym mówcą. Jeśli stracimy Marsjanina, musimy w zamian znaleźć coś jeszcze lepszego.

- Być może ktoś tutaj jest teraz bez pracy - zasugerował George.

Coffin uciszył go.

- Ci tutaj to artyści pierwszej klasy, zasługują na najwyższe stawki.

- Jeśli przyciągną kmiotków, z pewnością zasłużą na swoje pensje.

- To jest trochę bardziej skomplikowane. - Profesor Coffin dokończył kolację, otarł usta gigantyczną czerwoną, kraciastą chustką do nosa i odchylił się na krześle, głaszcząc po brzuchu.

George zebrał resztki tłuszczu z talerza kawałkiem chlebowego puddingu i cmoknął z zadowoleniem.

- Naprawdę mi smakowało.

- Trattara tam tam. - Profesor Coffin upił piwa. - To dało mi do myślenia.

- O czym? - spytał George.

- Co mogłoby zastąpić naszego cuchnącego nikczemnika z Czerwonej Planety.

Od pobliskiego stolika dobiegł chichot i Laloo obdarzył ich szerokim uśmiechem.

- Usłyszeliśmy twoje słowa, Cagliostro - powiedział dobrze ubrany młodzieniec.

- To trudny los ciężko pracującego i ubogiego artysty cyrkowego. - Profesor Coffin westchnął. - Gdy wspaniali ludzie jak ty dostają królewskie wynagrodzenie, my, cyrkowi konferansjerzy, impresaria, musimy bulić za niezliczone wydatki, dźwigać na barkach ciężar odpowiedzialności, a w naszych pocerowanych kieszeniach pozostają jedynie miedziaki.

Laloo zachichotał.

- I popatrz - zwrócił się do George'a. - On mówi to wszystko bez jednego uśmiechu.

- Uwierz mi, nie jest to łatwe. - Coffin tym razem uśmiechnął się szeroko. - Wymaga to lat praktyki, a ja nie robię się coraz młodszy.

- Prawdę mówiąc - stwierdził Laloo - dni pokazów na żywo dziwów natury mogą być policzone. Wyobraźnię ludzi podbijają mechaniczne cuda i wszędzie plenią się podróbki.

- Podróbki? - George nie znał tego terminu.

- Fałszywki - wyjaśnił Laloo. - Jak to profesor zauważył, jakkolwiek nie bezpośrednio,



żywy artysta potrzebuje jedzenia, mieszkania i zapłaty. Kukły nic takiego nie potrzebują.

- Kukły? - dopytywał się George.

- Albo „konserwowe rupiecie”. Dwugłowe dziecko czy nienarodzone syjamskie bliźnięta zrobione z wosku i włosów, wsadzone do wystawowej butli. Podczas ostatniego tournée po Ameryce odwiedziłem firmę w Nowym Jorku o nazwie „Merz i Hansen - Fabryka Skamieniałych Mumii, Dwugłowych Gigantów, Wężów Morskich, Podwójnych Dzieci etc.”. Chwałą się, że potrafią stworzyć wszystko, co możesz sobie wyobrazić, i to w trzy tygodnie - tyle czasu potrzebuje papierowa miazga, żeby wyschnąć.

- Niesamowite. - George był pod wrażeniem.

- To śmierć dla wędrownych widowisk - dodał profesor. - Być może stajemy się anachronizmem. Nasz czas przemija. Wkrótce pojawią się elektryczne wirniki i huczące motorowe wozy.

- Jakże posępna pieśń - powiedział Laloo - i taka, której brakuje prawdy naszej przeszłości. Tak, nie możemy walczyć z nowym, lecz dlaczego mielibyśmy próbować? Byłoby to głupie. Musimy się przystosować, my wszyscy, tak jak człowiek dostosowuje się do przyszłości. I kto wie o tym lepiej niż ty? Przedstawiałeś tyle różnych atrakcji, a każda na swój sposób była uszyta zgodnie z bieżącą modą.

- Racja - zgodził się profesor Coffin; uniósł swój kufel portera ku Laloo i wołał o jeszcze. - Ale marzeniem każdego artysty cyrkowego jest znalezienie Atrakcji. Za ujrzanie tego czegoś zapłaciliby cały świat. A także inne światy.

- Istnieją niezwykle i cudowne istoty - zauważył Laloo.

- Na przykład Joseph - wtrącił się karzeł z wytatuowaną twarzą. - Niektórzy mówią, że jest najwspanialszy w naszych czasach.

- Joseph? - spytał George.

- Joseph Carey Merrick<sup>2</sup> - uściślił profesor Coffin.

- Reklamowany jako „Człowiek-Słoń”. Niesamowity facet pod każdym względem. Ale już dawno temu zrezygnował z wędrownego życia i mieszka teraz w Szpitalu Londyńskim na specjalnej pensji.

- Stamtąd też pochodzi Marsjanin, nieprawdaż? - spytał George.

- Dzięki łaskawej donacji sir Fredericka Trevesa, sponsora i przyjaciela pana Merricka.

W ciągu wielu lat naszej znajomości zaopatrzyłem go w kilka okazów. Z chęcią wypożyczył

---

<sup>2</sup> Historia zapisała, że Joseph Carey Merrick zmarł w 1890 roku. Najwyraźniej historia znów się pomyliła.

mi Marsjanina.

- Ucieszył się, że pozbędzie się smrodu - mruknął George.

- Teraz myślę, że taki był prawdziwy powód. Poza tym opowiedział mi wtedy dziwną historię.

- Niech pan mówi dalej. - George, Laloo i wytatuowany karzeł przysunęli się do profesora, żeby dobrze słyszeć jego słowa.

- W tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku w Whitechapel popełniono siedem morderstw.

- Kuba Rozpruwacz - wyszeptał George.

- Właśnie. Niektóre z ran wyglądały jak zadane chirurgicznymi narzędziami. A każda ofiara zginęła o rzut kamieniem od Szpitala Londyńskiego.

- Chirurg? - spytał George.

Profesor Coffin pokręcił głową.

- Pan Treves tak nie uważa. Twierdzi, że zrobił to Joseph Merrick. Podobno pan Merrick zwierzył mu się z tego, kiedy upił się szampanem.

- Sensacyjna bajeczka - uznał Laloo.

- I taka, której szeroka publiczność nigdy nie poznała - wyszeptał profesor Coffin. - Pan Merrick jest ulubieńcem wysokich sfer i jest chory. Umrze kochany i tak właśnie zapisze się w historii.

- Ale... - zaczął George.

- Nie powiedziałem, że tak się stało - sprostował profesor Coffin - lecz że tak się stanie.

Zapadła cisza, każdy pogrążony był we własnych myślach.

- Oczywiście - odezwał się wytatuowany karzeł - wszyscy wiemy, co byłoby największą atrakcją świata, gdyby komukolwiek udało się ją zdobyć.

- Ach - mruknął Laloo.

Profesor Coffin skinął głową.

- To znaczy co? - spytał George. - Co by to mogło być?

- Legenda - odparł Coffin. - Historia przekazywana z ust do ust w palarniach, kuchniach...

- Znam człowieka, który twierdzi, że Ją widział - wtrącił Laloo. - Czy też że zna człowieka, który Ją widział. Coś w tym stylu.

- Co to jest? - powtórzył pytanie George.

- Słyszałem - powiedział karzeł - że Barnum<sup>3</sup> właśnie teraz negocjuje warunki. Ma nadzieję, że uda się pokazać Ją w Londynie przed jubileuszem królowej.

- Co to jest? - spytał George. Jeszcze raz. Znów.

- A ja słyszałem, że nie można na Nią patrzeć bez specjalnych gogli - dodał Jo Jo, Rosyjski Chłopiec o Psiej Twarzy. - Że Jej spojrzenie może zamienić w kamień, tak jak wzrok meduzy.

- Jeśli ktokolwiek nie powie mi natychmiast - warknął George - zostanę zmuszony do przemocy.

- Wtedy wylecisz przez okno - skomentował bezręki pan Untham.

- Niech ktoś mi powie, błagam.

- Jest znana pod wieloma imionami - zaczął Laloo - i istnieje wiele opowieści mówiących o Jej pochodzeniu. Niektórzy mówią, że Ona jest nienaturalnym zjawiskiem, prawdziwą chimerą kobiety i ryby.

- Syrena? - zgadywał George. - Prawdziwa syrena?

- Nie syrena. - Karzeł pokręcił głową. - Jakkolwiek ma coś z ryby. Jest ostatnią ocalałą z Atlantydy. Oddycha skrzelami, ale chodzi na dwóch nogach.

- Atlantyda, phi - prychnął pan Untham. - Urodziła się w kotle alchemika. Jest kreacją ostatniego z Magów. Urodzona w wazonie o kształcie dziewczyny i obdarzona życiem dzięki słowom zawartym w Księdze Mojżesza.

George popatrzył na Coffina.

Profesor wzruszył ramionami.

- Jest wiele, wiele teorii, ale wszystkie zgadzają się, że Ona gdzieś istnieje. I że jest najcudowniejszą istotą w całym wszechświecie. Nazywają ją Japońską Dziewczyną Płaszczką.

- Nazywają Ją Sayito - dodał karzeł.

---

<sup>3</sup> A historia zapisała, że Barnum zmarł w 1891 roku. To niedorzeczne!

# 10

Wrócili do Hounslow Heath, jakkolwiek nieco chwiejnie z powodu wypitego piwa. Jako że powietrze w wagonie cuchnęło za sprawą Marsjanina, profesor wyciągnął koce i zasugerował George'owi, że skoro noc jest ciepła, to może powinni zrobić sobie biwak na dachu.

Krążący w ich żyłach alkohol zrobił ze wspinaczki niezłą komedię, która zakończyła się, kiedy obaj padli na dachu i wpatrzyli się w gwiazdy.

- Wiedział pan - powiedział George. - I niech pan temu nie zaprzecza.

- Zakładam, że mówisz o Dziewczynie Płaszczce z Japonii.

- Wiedział pan, że Ona jest tą, którą nazywają Sayito. I ponieważ Macmoyster Farl twierdził, że pewnego dnia otworzę Księgę Sayito i spotkam ją, zabrał mnie pan do tej właśnie piwiarni i tak pokierował rozmową, żeby zahaczyła o ten właśnie temat.

- Wierzysz, że posiadam taką dozę subtelności i przewrotności, z jakich byłbym dumny, gdybym je miał.

- Więc to tylko zbieg okoliczności? - wydukał z pijacką czkawką George.

- W tym wypadku tak. Jakkolwiek niektórzy może uważaliby, że to palec Przeznaczenia, wskazuje, wskazuje, wskazuje. - Profesor Coffin wskazał palcem na George'a.

- Wskazuje na ciebie, młody George'u.

- Nie jestem nikim wyjątkowym. Chociaż chciałbym być.

- Więc możliwe, że jest to właśnie twój moment. Dzień, który zmieni twoje życie.

- Naprawdę? - George nie mógł uwierzyć. - Naprawdę pan tak myśli?

- Wierzę, że w życiu każdego człowieka pojawia się taki moment, lecz niewielu go rozpoznaje i idzie tam, dokąd prowadzi ich Przeznaczenie.

- Cóż. - George westchnął. - Nie wiem, co powiedzieć.

Po niebie przeleciała spadająca gwiazda i George Fox wypowiedział życzenie.

Świt przyniósł ze sobą mżawkę i dach stracił na uroku.

- Dokąd teraz? - spytał George, kiedy przeczyszczał pogrzebaczem palenisko w silniku trakcyjnym. - Dalej za innymi wagonami na następny jarmark, czy gdzie?

Profesor Coffin wyciągnął piersiówkę, nalał odrobinę mother's ruin do zakrętki i

podsunął George'owi.

- Wczesnoporanny ożywiacz. Na pewno przypominasz sobie naszą wczorajszą nocną rozmowę?

- Że mój moment nadszedł i muszę iść tam, dokąd poprowadzi mnie Przeznaczenie?

- Właśnie to. Jakie myśli na ten temat przyniósł ci poranek?

George rozejrzał się wokoło. Cyrkowcy wynurzali się z namiotów i karawanów. Przenosili dobytek do wymalowanych wagonów, przygotowywali silniki parowe, ładowali węgiel. Romskie kobiety prały ubrania w ogromnych cynkowych baliach. Umorusane dzieciaki bawiły się między tablicami pokazowymi a zwiniętymi płótnami.

George odetchnął głęboko, próbując się uspokoić.

- Kocham to życie - powiedział.

Profesor Coffin przyjrzał mu się z namysłem.

- Jesteś do niego urodzony. Ale nie zawsze będzie do ciebie pasować. Tkwi w tobie coś więcej, młodzieńcze. Coś, co czeka na odkrycie.

- A ta Japońska Dziewczyna Płaszczka?

- Którą niektórzy nazywają Sayito?

George przybrał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Co pan z tego rozumie?

- Ważniejsze, co ty z tego rozumiesz, George. To tobie zaoferowano przepowiednię. Gdybyś ty poprosił mnie, żebym dołączył do ciebie w poszukiwaniu najcudowniejszej istoty w całym wszechświecie, najwspanialszej atrakcji, która kiedykolwiek istniała, jak ty myślisz, jaka byłaby moja odpowiedź?

- Stąd czuję Marsjanina. - George się skrzywił. - Myślę, że pana odpowiedź brzmiałaby „tak”.

- Więc poszukamy Jej? Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że tak.

Profesor Coffin wykonał krótki, triumfujący taniec. Splunął na wnętrze prawej dłoni i uderzył z plaśnięciem w dłoń George'a.

- Kiedy znajdziesz ten cud - powiedział radośnie - i mam na myśli kiedy, a nie jeśli. Kiedy znajdziesz ten cud, musisz obiecać mi, że podzielimy się pół na pół wszystkimi zarobkami.

- Pół na pół?

- Jeżeli to ci odpowiada, mój chłopcze.

- Tak, jak najbardziej.

- Więc mamy przybitą umowę.

Z przybitą umową, obydwaj stali z rękami w kieszeniach i rozglądali się wokół.

- Więc - powiedział George.

- Właśnie, więc - odparł profesor.

- Racja.

- Racja jak porcja za dziewięć pensów - dodał profesor.

- Ser - powiedział George.

I:

- Ser? - spytał profesor.

- Skończyły mi się rzeczy do powiedzenia - wyjaśnił George.

- Trattara tam tam. Musimy ułożyć plan kampanii.

- Nie odmówiłbym teraz śniadania.

- Plan kampanii - powtórzył profesor. - Jeśli mamy odkryć ten cud, dobrze byłoby wiedzieć, gdzie zacząć szukać. Zgadzasz się z tym?

- Japonia - powiedział George. Bez wahania.

- Wydaje się to logiczne miejsce na początek. - Coffin zaczął chodzić tam i z powrotem, mierząc kroki laską.

- Powinniśmy przebyć Kanał - powiedział George - przedrzeć się przez Europę, potem przejechać przez Rosję, następnie Chiny, potem na południe przez Zatokę Koreańską do Japonii.

- Twoja znajomość geografii jest niezwykła - stwierdził Coffin.

- To był mój ulubiony przedmiot w szkole.

- I arytmetyka?

- Mam pewne umiejętności w tej dziedzinie, to prawda.

- Więc prawdopodobnie możesz obliczyć, ile dni zajmie silnikowi trakcyjnemu, jadącemu z najwyższą prędkością ośmiu kilometrów na godzinę, przejazd przez kontynent europejski, Rosję, Chiny i Koreę, żeby dostać się do Japonii?

George spróbował dokonać koniecznych kalkulacji w myślach. Z wysiłku aż zmarszczył czoło.

- Oszczędzę ci siniaków na mózgu, George. Odpowiedzią jest wiele, wiele, wiele, wiele dni. I właściwie nie założylbym się nawet, czy silnik da radę pokonać Kanał.

- W takim razie jesteśmy pokonani - doszedł do wniosku George. - To się nie uda.

- Są jeszcze inne środki transportu. Pamiętaj, że żyjemy we współczesnych czasach. Są pociągi na parę, które jadą z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. I inne

pojazdy jeszcze szybsze.

- Och. Oczywiście mówi pan o statkach kosmicznych. One mogą zabrać bogaczy w Wielką Podróż, ale w Japonii nie ma kosmodromów.

- To prawda - zgodził się profesor Coffin. - Nigdzie na Ziemi nie ma kosmodromów poza Londynem. Ale istnieją inne latające pojazdy i jeden, który lata do Japonii.

George uniósł melonik i podrapał się po głowie.

- Zachwycałeś się nim zaledwie dwa dni temu, młodzieńcze. - Profesor Coffin pogrzebał w kieszeni kamizelki i wyciągnął drukowaną ulotkę. - Zobaczyłem ją, gdy fruwała na poboczu. Nie wiem, dlaczego ją podniosłem, ale tak zrobiłem. Właśnie w ten sposób, młodzieńcze, dotrzemy do Japonii.

George wziął pogięty papier, wyprostował i przyjrzał się mu.

**DOKOŁA ŚWIATA  
W SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ DNI**

przeczytał.

WSPANIAŁY LOT PEŁEN CUDÓW  
SIEDEMNAŚCIE STOLIC DO OBEJRZENIA  
PODCZAS TEJ ZDUMIEWAJĄCEJ POWIETRZNEJ  
PODRÓŻY PO PLANECIE  
PARYŻ - RZYM - MOSKWA - TOKIO ETC.

IMPERATOROWA MARSA  
NAJNOWOCZEŚNIEJSZY STATEK POWIETRZNY  
ODLATUJE Z KRÓLEWSKIEGO KOSMODROMU  
W SYDENHAM  
27 LIPCA 1895 ROKU

Bilety od 200 gwinei

George popatrzył na profesora.

- „Imperatorowa Marsa”?

- I odlatuje za trzy dni.

- Ale dwieście gwinei za bilet? Jak zdobędziemy takie bogactwo?
- Ach, da się zrobić. Tak szlachetna i awanturnicza sprawa warta jest sprzedaży wagonu i jego zawartości.
- I Marsjanina? - upewnił się George z rozkoszą w głosie.
- I lokomotywy. Mandible Haxan z radością ją odkupi.
- Ale czterysta gwinei?
- Niezbędna jest inicjatywa nas obu. To jest olbrzymie zaangażowanie z mojej strony, młodzieńcze. Będę musiał rozstać się ze wszystkim. Żeby przeżyć, będziemy musieli nieźle się nagłówkować. To cię podnieca, czy raczej napełnia strachem?
- Tak się składa, że i jedno, i drugie.
- Więc zrobimy to, chłopcze?
- „Imperatorowa Marsa”. - George się rozmarzył.
- Polecieć na „Imperatorowej Marsa”.
- Na poszukiwanie Japońskiej Dziewczyny Płaszczki - dodał profesor Coffin.



# 11

Pierwszy kosmodrom na Ziemi od chwili powstania był powodem zmartwień i różnicy zdań. Inżynieria wsteczna brytyjskiego imperium zastosowana wobec marsjańskich statków i następująca po niej anihilacja całej rasy Marsjan uradowała cały świat. A przybycie emisariuszy z Wenus i Jowisza, którzy zaprosili Ziemię do stowarzyszenia planet (Mars został wykluczony ze względu na wojowniczą naturę i ekspansjonistyczną politykę jego mieszkańców), oraz przedstawienie się owych emisariuszy na dworze królewskim królowej Wiktorii sprawiło ludzi w stan radosnej euforii.

Lecz radość, uniesienie i ekscytacja otwarciem handlu i komunikacji między planetami zakończyły się. Przynajmniej dla wszystkich z wyjątkiem najbogatszych obywateli imperium brytyjskiego. To imperium brytyjskie było właścicielem marsjańskich statków kosmicznych. Miało wyłączność na korzystanie z tych statków do komunikowania się z innymi planetami. Podpisywało traktaty i umowy handlowe z Wenusjanami i Jowiszanami.

To imperium brytyjskie zbudowało pierwszy - i jedyny - kosmodrom. W Londynie.

Amerykanie nie byli z tego zadowoleni. Chcieli zbudować kosmodrom w Waszyngtonie. P.T. Barnum, uważany przez większość, jeśli nie przez wszystkich, za największego impresaria, obiecał nawet sfinansować budowę Waszyngtońskiego Portu Kosmicznego (pod warunkiem że jako jedyny dostanie koncesję na restauracje i budki z jedzeniem na kosmodromie oraz zezwolenie na prowadzenie stałego cyrku w halach przylotu).

Także Francja, Cesarstwo Pruskie i Carska Rosja zażądały zgody na własne kosmodromy. Jednak imperium brytyjskie było nieugięte. Pierwszy i jedyny kosmodrom będzie znajdował się w Londynie.

Potem nadszedł czas na zaprojektowanie portu kosmicznego - jego hal, hangarów, platform lądowniczych i tak dalej. Oczywiście pod uwagę wzięto jedynie brytyjskich architektów i inżynierów. Mówiono także - teorie konspiracyjne znów zaczęły żyć własnym życiem - że o kontrakty ubiegać się mogli jedynie wysocy rangą masoni. W Izbie Gmin wybuchła walka na pięści między Isambardem Kingdom Brunelem, projektantem Wielkiej Zachodniej Linii Kolejowej i niemal każdej innej rzeczy, która mogła być zrobiona z żelaza i

stali, a Alfredem Waterhouse'em, architektem Muzeum Historii Naturalnej i niemal każdej innej rzeczy, która mogła być wzniesiona z terakotowych cegieł.

Walkę na pięści wygrał Brunel, lecz to Waterhouse wygrał kontrakt swoim projektem budynków Parlamentu opartym na neogotyckim majstersztyku Charlesa Barry'ego. Projekty architektoniczne zaaprobowała osobiście jej wysokość królowa Wiktorja, która uznała je za wybitnie odpowiednie. A to z powodu, tu cytat: „Jako że budynki Parlamentu przekazują idee uczciwości, sprawiedliwości, prawdy i cnoty w naszym świecie, to taki projekt pomoże zapoznać z tymi ideami podróżników z innych światów”.

Czy owi podróżnicy z innych światów przyjmą brytyjską demokrację lub czy rzeczywiście czekają na wpływ ziemskiej polityki i politycznego myślenia, to zupełnie inna sprawa, nad którą trzeba by się zastanowić. Zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie teologiczne.

Najeźdźcy z Marsa, swoim nagłym pojawieniem się udowadniając, że na innych planetach też istnieje inteligentne życie, wywołali spore zamieszanie wśród wyznawców wszystkich religii. Do tej pory Ziemia monopolizowała, można powiedzieć, rynek dotyczący Boga. To, że inne planety są zamieszkałe i że obywatele tych planet wyznają religie, które niekoniecznie odzwierciedlają naszą, boleśnie irytowało hierarchów ziemskich instytucji kościelnych.

Papież ogłosił, że skoro w Biblii (bądź co bądź jest Słowem Boga) nie ma ani jednej wzmianki o życiu poza Ziemią, to mieszkańcy innych światów muszą być uznani za pogan i jako tacy powinni być nawróceni na chrześcijaństwo. Arcybiskup z Westminster uważał podobnie, lecz nie spieszył się z przekazaniem jej wysokości królowej wiadomości od papieża, że Rzym chciałby wysłać na Wenus i Marsa misjonarzy, którzy zajmą się tamtejszymi mieszkańcami w taki sam efektywny i uprzejmy sposób, w jaki zajęli się kilka wieków temu ludami Ameryki Południowej.

To wszystko coraz bardziej się komplikowało.

Sprawa handlu międzyplanetarnego wywołała poruszenie wśród biznesmenów spoza imperium brytyjskiego. Zwłaszcza kiedy się dowiedzieli, że Anglia, podpisawszy traktaty i umowy handlowe na wyłączność, sama będzie się zajmować całym międzyplanetarnym interesem. „Żeby zapewnić uczciwość, sprawiedliwość, prawdę i cnotę”, wyjaśniła królowa Wiktorja.

Pan Gladstone przedstawił to w formie zrozumiałej dla wszystkich.

- Jako reprezentant planety Ziemia rząd brytyjski wszedł w ważny sojusz z rządami Wenus i Jowisza, sojusz zarówno handlowy, jak i militarny, który zapewnia zarówno siłę, jak i bezpieczeństwo. - I dodał:

- Jeśli Johnny'ego Foreignera to nie obchodzi, to tym gorzej dla Johnny'ego Foreignera.

Wszystko więc było już ustalone! Przynajmniej ku satysfakcji imperium.

Co oczyszczało pole dla bardziej istotnych kwestii. Jak na przykład dla nazwy kosmodromu.

Pan Charles Babbage, który został mianowany szefem Brytyjskiego Imperialnego Programu Kosmicznego, wysunął kilka propozycji, które uznał za właściwe. Między innymi:

**Charlesa Babbage'a Wielkie Astronomiczne Interplanetarium**

**Charlesa Babbage'a Niebiańsko-Pantehniczna Zatoka Kinetyczna**

**Charlesa Babbage'a Trójświatowe Przewodnictwo**

I być może najbardziej oczywiste

**Charlesa Babbage'a Astrodrom**

Wszystkie nazwy zostały jednakże odrzucone, być może dlatego, że wszystkie zaczynały się od „Charlesa Babbage'a...”.

W końcu stanęło na:

**Królewski Londyński Port Kosmiczny**

I tak już pozostało.

Tak więc dwudziestego siódmego lipca roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego zadziwiający srebrny statek powietrzny unosił się elegancko nad pasami startowymi od jednego do szóstego. Dzień ten był jednym z najśnieczniejszych, i chociaż kolejna przemysłowa zupa ścisnęła Londyn za gardło, tutaj, w tym wspaniałym wiejskim krajobrazie w pobliżu wielkiego wzgórza, na którym wznosił się Kryształowy Pałac, niebo było błękitne, śpiewały ptaki i wydawało się, że wszystko w imperium jest, jak powinno być.

Wokół portu kosmicznego, dokładnie podzielonego na sektory odpowiadające danym planetom, stały pojazdy z innych światów.

Pękaty transportowiec z Jowisza, cały z wypolerowanej miedzi (lub jej jowiszańskiego odpowiednika), z wybrzuszonymi i pociętymi nitami bokami oraz małymi, lśniącymi pilotażowymi „pryszczami”. „Pryszcze” wyrastające w nieregularnych odstępach wyżej, niżej i wokół wszystkich boków okrągłego statku, wyglądały jak symptomy jakiejś mechanicznej zarazy.

Luksusowe statki turystyczne z Jowisza wyglądały natomiast zupełnie inaczej. Smukłe, stalowe strzały z doczepionymi silnikami.

Lecz tego poranka - jak i każdego innego - oczy Ziemianina najsilniej przyciągały statki kosmiczne z Wenus. Te międzyplanetarne pojazdy były przykładem niezrównanego

piękna. Lud Wenus oczywiście nie nazywał swojej planety Wenus. To była nazwa, jaką nadał ich światu lud tej planety. Lud Wenus nazywał swoją planetę Magonią. A swoje statki kosmiczne „chmurokrętami”. Chmurokręty z Magonii. Naprawdę niezrównanie piękne.

Okręty były nazwą jak najbardziej stosowną, ponieważ przypominały egzotyczne galeony. Skonstruowane nie z metalu, lecz z jakiegoś na wpół przezroczystego materiału organicznego, który lśnił tęczowym poblaskiem, nieustannie przesuwającym się między całym spektrum barw, nie ujawniały żadnych cech aerodynamicznych. Te natomiast były produktem zwiewnych, bajecznych zamków, wieżyczek o stożkowatych dachach wyrastających z pokładów galeonu, z kłębiącymi się, nieprzezroczystymi żaglami ustawionymi jedne na drugich. Niektórzy mówią, że łapały wiatr słoneczny, lecz inni w to wątpili.

Twierdzono, że te magiczne statki podróżują dzięki magii, napędzane jedynie wiarą, i nazywane są przez Magonian anielskim wiatrem. Mówiono, że Magonianie przemyśliali swoją drogę przez pustkę kosmosu. I chociaż nie oferowali zbyt wiele w zakresie dóbr materialnych, zniechęcali Ziemiaków do wszelkich form turystyki i pragnęli jedynie nawracać na swoją wiarę, patrzono na nich z mieszaniną zachwyty i podejrzliwości.

Zbliżało się południe i na pokład „Imperatorowej Marsa” ładowano ostatnie bagaże i spóźnionych bogaczy. Tragarze jęczeli z wysiłku, uginali się pod wnoszonymi po trapach ciężkimi dębowymi skrzyniami i walizami ze skóry rekina, należącymi do dam wielkimi torbami podróżnymi od Petera Carla Faberge i Louisa Vuittona, napełnionymi po brzegi ekskluzywnymi perfumami, pudrami, szminkami, buteleczkami z pachnącymi solami od Crawforda z Piccadilly, koronkowymi chustami do nosa, niezliczonymi parami rękawiczek, pracowicie uszytymi ręcznie „niewymownymi”, mosiężnymi gorsetami i całym panteonem damskiej bielizny i odzienia wierzchniego, butami, kapeluszami, parasolkami, goglami na każdą okazję.

Bagaż dżentelmenów zawierał przyrządy do golenia z uchwytami z kości słoniowej, emaliowane pudełeczka z woskiem do wąsów, inkrustowane tabakierki, podróżny zestaw do Tantalusa, broń palną do wymuszenia swojego punktu widzenia w obcych miejscach, akcesoria tytoniowe oraz cały zestaw tweedowych i lnianych garniturów, oficjalnych strojów i kapeluszy, jakich potrzebuje zamożny dżentelmen podróżujący za granicę.

Dodajmy do tego jeszcze skrzynie z najlepszym szampanem, konieczne medykamenty, podróżne biblioteki, kosze piknikowe, ukulele i mechaniczne pianole, Belerathona, konia sir Digdy Pendletona, bez którego nigdzie się nie ruszał, i Darwina, małpiego kamerdynera lorda Brentforda.

Potężny podniebny statek iskrzył się w promieniach słońca, rzucając cień w kształcie cygara na kostkę brukową portu kosmicznego.

Wreszcie załadowano ostatnie bagaże i mechanicznie uniesiono trapy towarowe. Pokłady spacerowe były pełne radośnie przepychających się członków klasy wyższej - machali na pożegnanie do swoich mniej szczęśliwych krewnych, którzy mogli jedynie stać na ziemi, odmachiwać i udawać, że nie pożera ich zazdrość. Wyższa klasa na pokładzie była ubrana w swoje najlepsze stroje wyjściowe. Dżentelmeni w „porannych oficjałkach” w pastelowych barwach z pasującymi kapeluszami i rękawiczkami. Damy w chmurze jedwabiu i koronek z wachlarzami z bladej satyny z wyszytymi bon motami i gustownymi erotycznymi rysunkami piórka Aubreya Vincenta Beardsleya.

Oczywiście na pokładzie był Oscar Wilde. Tak jak i Bram Stoker, Dama Nellie Melba, zaangażowana do zabawiania gości w Wielkim Salonie, pan Babbage, Nikola Tesla, Little Tich, który podróżował do Nowego Jorku, pierwszego przystanku, żeby występować przez pół roku w Carnegie Hall, oraz horda innych londyńskich celebrytów. Charles Darwin<sup>4</sup> (nieświadomy, że jego małpi imiennik kiwał się w luku towarowym) wymieniał żarty z mistykiem i poszukiwaczem przygód Hugo Rune'em. Księżniczka Elsie, jedna z mniej znanych córek królowej Wiktorii, rozmawiała przyciszonym tonem z enigmatyczną postacią spowitą w najczarniejszą czerń, w aksamitnej masce na twarzy i w kapeluszu nieprawdopodobnych rozmiarów na głowie. Ten dżentelmen, jak głosiły plotki, był nikim innym jak ulubieńcem towarzystwa - Josephem Careym Merrickiem, znanym powszechnie jako Człowiek-Słoń.

Letnie słońce zaczęło zachodzić. Dżentelmeni palili drogie cygara, w jawnym nieposzanowaniu zdrowia i zasad bezpieczeństwa, i wznosili toasty szklaneczkami z ciętego kryształu. Damy machały wachlarzami i łagodnie obracały parasolkami. Kelnerzy i piloci, obsługa, służący, kamerdynerzy i pokojówki, w wykrochmalonych i idealnie wyprasowanych uniformach krążyli po statku, wykonując swoje obowiązki. Rzucono liny i odezwał się gwizdek bosmana. „Imperatorowa Marsa” po raz kolejny była gotowa wzbić się w powietrze.

I nagle usłyszano wołanie. Wołanie, żeby się koniecznie zatrzymać na jedną chwilę. Rozległ się dźwięk trąbki dorożkarza i ujrzano, jak przez wybrukowaną drogę kosmodromu pędzi w stronę statku powietrznego pojazd ciągniony przez konie, pierzchając na bok ludzие tłumnie zgromadzeni na ziemi.

Dorożka zatrzymała się tuż przed unoszącymi się właśnie trapami pasażerskimi.

---

<sup>4</sup> Który nie zmarł w 1892 roku, jak to historia nieprawidłowo zanotowała.

Dwóch mężczyzn, ubranych w najmodniejsze stroje, wyskoczyło z pojazdu załadowanego bagażami i pośpiesznie wbiegło na unoszący się trap, i tym samym zaokrętoowało się na „Imperatorową Marsa”.

To późne przybycie wywołało śmiech i aplauz wśród towarzystwa, które oceniło to jako „modne spóźnienie”, jakie ostatnio zyskiwało na popularności.

- Panowie, poproszę wasze nazwiska - powiedział majordomus statku powietrznego, kłaniając się stylowym spóźnialskim, i pstryknął palcami na gońców hotelowych, żeby wzięli bagaże dżentelmenów.

Starszy z dwóch mężczyzn zakręcił czarną laską ze srebrną główką.

- Profesor Coffin - powiedział. - I mój młody podopieczny oraz uczeń, lord George Fox.

# 12

Lord George Fox? - spytał zwyczajny George Fox, obracając w urękawiczonej dłoni lśniący mosiężny klucz do Arystokratycznej Kabiny. - Jakim cudem zdobyłem tytuł?

Profesor Coffin uciszył chłopaka szybkim ruchem palców.

- Odrobina próżności z mojej strony - wyszeptał. - Będziesz mi za to wdzięczny podczas rozmów z tymi zadufkami.

George Fox uśmiechnął się i pogłaskał się po imponującej szczęce.

- Szkoda, że żadna rodzina ani przyjaciele nie machają nam na pożegnanie - rzekł. - Gdyby moja matka mogła mnie teraz zobaczyć... - Głos George'a odpłynął, gdyż myślenie o rodzicach nieuchronnie sprowadzało na niego smutek. Być może mógłby wysłać im pocztówki z egzotycznych portów, do których zawinie. Pozdrowi ich, przekaże słowa miłości, poprosi o wybaczenie, że od nich uciekł.

Westchnął i pomachał do obcych ludzi, a potem wykrzyknął:

- Och, niech pan popatrzy!

Profesor Coffin spojrział w kierunku wskazywanym przez George'a i zobaczył pędzące z niebezpieczną szybkością pojazdy, które kierowały się w stronę wielkiego statku, co wzbudziło panikę wśród stojących na lądzie.

- Inni spóźnialscy - zawołał George do majordomusa. - Nie możemy bez nich odlecieć.

- Wszyscy pasażerowie zostali już odhaczeni na liście, Wasza Lordowska Mość - odpowiedział mężczyzna. - To są handlarze, jak przypuszczam.

George przyjrzał się uważniej i powiedział:

- Och, tak, rzeczywiście.

Bo z pewnością byli to handlarze.

George dostrzegł wagon o wysokich ścianach z ozdobnymi słowami:

JONATHAN CRAWFORD

Ubrania dla Wyższych Sfer

- U niego szyliśmy nasze ubrania.

A na powozie parowym, który pędził na złamanie karku:

**ELIAS WAIRWAING**  
**Królewskie Laski i Parasole**

- Nasze fikuśne laski pochodzą od niego - zauważył George.

A na żółtym powozie ciągnionym przez dwa takie same czarne wałachy:

**LOUIS VUITTON**

- A nasze walizki pochodzą od... - I głos George'a po raz kolejny zanikł. Spojrzał twardo na profesora Coffina, który tylko wzruszył ramionami.

Liny cumownicze opadły, kotwica lądowa została wciągnięta i „Imperatorowa Marsa” wdzięcznie uniosła się w niebo.

George wciąż patrzył twardo na profesora Coffina.

- Myślę, że ci handlarze wołali moje nazwisko - powiedział. - Moje nazwisko poprzedzone tytułem: „Lord”.

Profesor Coffin znów wzruszył ramionami, jakkolwiek jakby nieco boleśnie.

- A co mogłem zrobić? - wyszeptał. - Potrzebowaliśmy nowych ubrań, nowych lasek, nowych walizek. Nie mogłeś przecież wejść na statek w swoim starym wdzianku, śmierdząc Marsjaninem. Prawda?

George pokiwał ze smutkiem głową.

- Ci handlarze to snoby - ciągnął profesor Coffin.

- Nie daliby kredytu zwykłym ludziom jak my, ale dla „lorda” zrobiliby wszystko.

- Więc przedstawił mnie pan jako lorda. A oni dowiedzieli się, że to bujda.

- Trattara tam tam. Kiedy wrócisz do Anglii z toną złota, będziesz mógł ich spłacić, jeśli taka będzie twoja wola.

- Niewątpliwie tak zrobię - zapewnił George.

- I proszę, nie myśl o mnie źle. Sprzedałem wszystko, co miałem, żeby kupić bilety. Z pewnością nie pożałujesz mi nowych ubrań, prawda?

Z pewnością George nie miał takiego zamiaru. Uśmiechnął się lekko na tę myśl i wpatrzył się w rozciągający się pod nimi krajobraz.

Na szczycie wzgórza Kryształowy Pałac błyszczał jak diament. Miejska zabudowa zewnętrznych Londynu wsiąkała w wiejskie tereny. Miasteczko Penge rozciągało się w całym



swoim uroku.

- To wszystko jest takie piękne. - George był urzeczony widokami.

- Tak, jest co podziwiać - zgodził się profesor. - Lecz ten kurz wzbity przez kopyta koni dorożki...

- Nie zapłacił pan dorożkarzowi - wtrącił George.

- ...wysuszył moje gardło - zakończył profesor.

- Więc proponuję, żebyśmy przeszli do baru.

- Na pokładzie jest bar?

- Dwa, o ile wiem, i pokój z bilardem. I sala gier, gdzie można pograć w karty, szachy i inne takie, z towarzyszami podróży.

- W karty? - George przypomniał sobie swój stracony złoty zegarek.

- I mam coś dla ciebie. - Profesor Coffin wyciągnął ów zegarek z kieszonki kamizelki.

- Jego lordowska mość powinien mieć czasomierz, nie sądzisz?

George wziął zegarek z wdzięcznością.

- Cóż, z pewnością, dziękuję panu bardzo.

- Drobiazg, mój chłopcze. Teraz jesteśmy partnerami, wszystko dzielimy pół na pół.

Więc co powiesz na dzin z tonikiem?

- Zdecydowanie tak.

Bar tylko dla dżentelmenów znajdował się na górnym pokładzie. Skrywał się - i „skrywać się” było odpowiednim określeniem - we wnętrznościach statku. Nie oświetlało go naturalne światło, nie było w nim okien, i już teraz wypełniał go przyjemny dym z cygar.

Brzuchate istoty w kilometrach tweedu, z bokobrodami w kształcie kotletów schabowych i z wieloma podbródkami, zaciągały się kubańskimi cygarami i tuliły pękate szklaneczki brandy w palcach jak różowe kielbaski. Na głowach dżentelmenów tkwiły korkowe hełmy ozdobione kolorowymi goglami.

- Turyści z Jowisza w pełnej gotowości na polowanie na tygrysa - wyjaśnił profesor Coffin.

Dziwna koścista postać, ubrana w surdut jak z epoki regencji, z wysoką fioletową peruką na głowie i kamizelką wyszytą prawdziwą galaktyką klejnotów bawiła jowiszańskich turystów, wyciągając różne niezwykle obiekty z delikatnej chustki do nosa.

Coffin zamówił drinki i, ku nieświadomości George'a, kazał zapisać je na konto lorda Foksa. Potem dołączył do George'a, który usiadł przy stoliku w stylu spotykanym w brytyjskich pubach, a wspaniale zrobionym z aluminium i drzewa balsy. George przyglądał

się mu uważnie.

- Wszystko tu jest bardzo lekkie - zauważył. - Niesamowite.

- Cieszę się, że ci się tu podoba - powiedział profesor.

To była prawda. Pobyt tutaj wydawał się George'owi spełnieniem jego największych marzeń. Jednak wolałby raczej wrócić na pokład spacerowy, gdy tylko on i profesor skończą drinki. Bar dla dżentelmenów, jakkolwiek luksusowy, był straszliwie zatłoczony, a wspaniały statek wycieczkowy ofiarowywał jeszcze mnóstwo innych wspaniałości.

- Włącznie z twoją kabiną - powiedział profesor, jakby czytał mu w myślach. - Masz kabinę z widokiem. Nie będziesz rozczarowany.

- Jestem za to wszystko wdzięczny - powiedział George. - Mam tylko nadzieję, że ja nie rozczaruję pana. Poświęcił pan wszystko na naszą wyprawę. Myślę, że znajdziemy to, co szukamy. Jap...

Lecz profesor położył lekko dłoń na ustach George'a.

- Lepiej nie wymawiać głośno tego imienia - rzekł. - To nasz święty sekret, twój i mój, pół na pół - zgadzasz się?

- Owszem - przytaknął George, kiedy kelner podszedł do nich z drinkami.

- Proszę, podpisz rachunek, jeśliś łaskaw - powiedział profesor.

I „lord” George podpisał.

Kiedy kościsty dżentelmen w stroju z epoki regencji zakończył swój pokaz, skłonił się pozaziemskiej widowni i pytając, czy może, i słysząc odpowiedź, że owszem, może, usiadł przy stole George'a i profesora.

- Dostrzegłem podróżującego kolegę. - Uśmiechnął się do profesora Coffina. Wyciągnął rękę i otrzymał specyficzny uścisk dłoni.

- Profesor Cagliostro Coffin - powiedział impresario.

- Kabina Celtycka Pięćset Szesnaście.

- Hrabia de Saint-Germain - odparł kolega. - Praga Czterysta Dwadzieścia Siedem.

Pojawiły się pełne zrozumienia kiwnięcia głowy. George przyglądał się temu w oszołomieniu.

- Mój młody podopieczny, lord George Fox - przedstawił profesor.

George wyciągnął dłoń z nadzieją, że otrzyma specyficzny uścisk, ale dostał jedynie zwykły.

- Dokąd zmierzasz? - spytał profesor hrabiego.

- Wszędzie, do wszystkich miast. Postęp jest tak wielki, tyle jest nowych miejsc do

zobaczenia. Tyle rzeczy do nauczenia.

- Zabieram swojego podopiecznego w wielką podróż - mówił profesor Coffin. - Będzie to edukacyjne dla nas obu, jak myślę.

- Przygotowałeś jakieś przedstawienie? - dowiadywał się hrabia.

- Och, nie - odparł profesor. - Tymczasowo zrezygnowałem z życia impresaria.

- Ale to nigdy nie zniknie z twojej krwi. - Hrabia pomachał chusteczką i wyciągnął z niej żywego kurczaka. Postawił go na kolanie i pogłaskał puchatą główkę.

- Masz wspaniałe umiejętności - pochwalił profesor. - A jednak nie rozpoznaję twojego imienia z żadnego plakatu.

- W tej chwili iluzjonizm jest dla mnie jedynie hobby - odparł hrabia. - Zrezygnowałem z objazdowych przedstawień już wiele lat temu. Teraz jestem chemikiem. Komponuję perfumy.

- Można na tym sporo zarobić, jeśli zajmuje się tym człowiek, który wie, co robi.

- Tak mówią - przyznał hrabia. - Dlatego też jest w tej profesji mnóstwo strzeżonych sekretów. Jak w każdej innej.

George pomyślał, że być może powinien wycofać się na pokład spacerowy ze swoją szklaneczką dżinu. Czuł, że ta rozmowa niespecjalnie wzbudzi jego zainteresowanie. Z ust wymknęło mu się ziewnięcie, więc za nie przeprosił.

- Wydaje mi się, że twój podopieczny uważa mój zawód za nudny.

- Jestem tylko zmęczony - zapewnił George. Chociaż nie był.

- A przecież mógłbym powiedzieć ci o takich rzeczach i pokazać ci takie rzeczy, że włosy stanęłyby ci dęba.

- Naprawdę? - George udał zainteresowanie. Chociaż w to wątpił.

Hrabia uśmiechnął się szeroko; George zauważył, że twarz mężczyzny pokrywa gruba warstwa pudru. A gdy przyjrzał się mu bliżej, stwierdził, że coś w tej postaci kojarzy mu się z muzealną mumią.

- Słyszałeś kiedykolwiek o Aromacie Niewiedzy?

George zaprzeczył.

- To legendarne perfumy - odezwał się profesor Coffin; wydawał się wiedzieć mnóstwo o większości spraw. - Perfumy, które raz powąchane, wprowadzają wachacza w trans, sprawiają, że jest on podatny na niemal wszystkie sugestie.

- Na absolutnie wszystkie sugestie - uściślił hrabia. - Jedno wciągnięcie zapachu i jesteś jak zaklęty. Marzeniem każdego mężczyzny jest mieć taką wodę kolońską, a kobiet takie perfumy.

- I takie coś istnieje? - spytał George.

- Szukam tego - odparł hrabia. - Można by rzec, że to święty Graal perfum.

George niemal powiedział, że on i profesor szukają czegoś podobnego, lecz przypomniawszy sobie wcześniejsze słowa profesora, zamilczał.

- Myślę, że gdyby się panu udało to odkryć, stałby się pan naprawdę bogatym człowiekiem. Lecz trudno mi uwierzyć, że taka magiczna rzecz mogłaby naprawdę istnieć.

- Czyżby? - Hrabia de Saint-Germain uniósł upudrowaną brew. - Więc nigdy nie słyszałeś o Szatańskim Chuchu?

George pokręcił głową.

- Przypuszczam, że mam coś takiego każdego ranka po tym, gdy zbyt dużo wypiję.

- Nie mówię o czymś takim. Chciałbyś, żebym wyjaśnił? A kiedy już to zrobię, zademonstrował?

Teraz George poczuł się nieco zakłopotany.

- Być może chciałbym. Naprawdę nie wiem.

- Chłopcu nie może stać się krzywda - odezwał się profesor Coffin. - Słyszałem o Szatańskim Chuchu, lecz nigdy nie widziałem demonstracji. Wiem jedynie, że efekty mogą być śmiertelne.

- Twojemu podopiecznemu nic się nie stanie - zapewnił hrabia. - Jakkolwiek może odczuć pewien dyskomfort.

I wtedy przedstawił George'owi opowieść, która go wystraszyła.

# 13

- Musisz wiedzieć - zaczął hrabia de Saint-Germain, krzyżując wywatowane ramiona na migotliwej piersi - że podczas swojego życia sporo podróżowałem po wielu dziwnych krainach. Wędrowałem po pustkowiach, przedzierałem się przez dżungle, snułem się po moczarach, wspinałem po górach i zwiedzałem świetne cuda w Ogrodzie Ziemskich Rozkoszy.

George Fox popatrzył w stronę drzwi i pomyślał o promieniach słonecznych.

- I powinieneś wiedzieć - ciągnął hrabia - że podróżnik musi umieć obronić się przed złodziejami, piratami, rozbójnikami i rozmaitymi bestiami.

- Właśnie tym się kierując, zdobyłem dla nas parę pistoletów - powiedział profesor Coffin do George'a.

- Pewnie dlatego zauważyłem wóz rusznikarza, pędzący na nas, kiedy statek wznosił się w powietrze - powiedział George. - Jakkolwiek wówczas tego nie skomentowałem.

- Mogę kontynuować? - spytał hrabia. Potakujące kiwnięcia głów wystarczyły, by ciągnął: - Jestem wdzięczny. Studiowałem wiele różnych form sztuk walki. Stałem się mistrzem w walce na miecze samurajskie, kije Barito i irlandzkie pałki-walące-wszystko-dookoła. W Chinach, w świątyni Shaolin, nauczyłem się kung-fu, co znaczy dosłownie „pusta ręka”. Tamtejsi mnisi rozwinęli system samoobrony, w którym nie używa się broni, jako że nie wolno im żadnej nosić przy sobie. Ich techniki pozwalają im rozbroić nawet najbardziej utalentowanego szermierza. To niesamowite, do czego są zdolni. Słyszałem pogłoski o tajemnych technikach, które nie wymagają kopniaków ani uderzeń pięści, jedynie lekkich, lecz znaczących dotknięć ciała, które skutkują całkowitą klęską atakującego. System ten znany jest jako Dimac lub Dotyk Śmierci. Mistrz Dimac, odpowiednio dotykając człowieka, może doprowadzić do jego śmierci kilka dni później.

- Nie na wiele się to zda, jeśli akurat z tym kimś walczysz - zauważył George.

- Próbuję w ten sposób dotrzeć do sedna sprawy - odparł hrabia. - Dowiedziałem się także, iż niektórzy mistrzowie Dimac twierdzą, że opanowali tę sztukę w takim stopniu, że potrafią wpłynąć na człowieka w ten sposób, nawet go nie dotykając.

- To z pewnością byłoby niemożliwe. - George prychnął. - Nie można wpłynąć na

człowieka, nie dotykając go.

- Tak ci się wydaje. Ale tak nie jest. Twój profesor prawdopodobnie pamięta, kilka lat temu był popularny mesmeryzm.

Coffin skinął głową.

- W tamtych czasach nie wierzono w jego moc, teraz, ulepszony, znany jest jako hipnoza. I, jak powiedział hrabia, można wpłynąć na człowieka bez dotykania go, jedynie używając do tego celu hipnozy.

George pokiwał z namysłem głową. Kiedyś w popularnym wodewilu widział pokaz hipnotyзера. Nie był jednakże pewien, czy wierzy w to czy nie.

- Znów widzę na twojej twarzy zwątpienie, wasza młoda lordowska mość - rzekł hrabia. - Lecz jest, jak jest. Japońscy mistrzowie stworzyli system walki znany jako Kiai-jutsu lub Wrzask. Tak jak sopran może strzaskać kryształowy kieliszek do szampana dzięki projekcji wysokiego dźwięku, tak i ci zabójczy goście ranią atakującego odpowiednio dostosowanym krzykiem.

George nie wydawał się przekonany.

- Skoro więc wątpisz i w to, wasza lordowska mość, to nie mam powodu wierzyć, że nie zwątpisz, kiedy powiem ci, że są tacy, którzy opanowali tajemną technikę rozbrajania oponenta jedynie swoim oddechem.

George szykował się, żeby wstać i wyjść. Profesor jednak zasugerował, żeby został.

- Szatański Chuch - powiedział hrabia de Saint-Germain. - Rozwinięcie go zajęło mi siedem lat, lecz teraz jestem mistrzem - właściwie jedynym mistrzem - tej szczególnej techniki. Szukałem oddechu tak strasznego, że każdy człowiek nim uderzony natychmiast traciłby przytomność. Eksperymentowałem z ziołami i przyprawami, które zebrałem podczas moich podróży, dorzucając ich kombinacje do codziennych posiłków. Najpierw potrafiłem pokonać kanarka, potem gryzonia, a jeszcze później dorosłego mastiffa. Mój problem polegał jednak na tym, że nie byłem pewien, kiedy mogę zostać zaatakowany, a nie mogłem łykać ziół i przypraw za każdym razem, kiedy podchodził do mnie jakiś podejrzanie wyglądający osobnik. Więc prowadziłem eksperymenty, używając specjalnych technik oddychania, których nauczyłem się w Oriencie, dodawałem zioła i przyprawy do posiłków. Aż udoskonaliłem technikę. Mogę na żądanie wezwać z głębi siebie Szatański Chuch i wyrzucić go na odległość niemal dwóch metrów, sprowadzając cierpienie i kalectwo na każdego, kto chciałby mnie skrzywdzić.

George powoli kiwał głową. Myśli, które w tej chwili krążyły w jego umyśle, zaczęły się od: Czy istnieje najmniejsza możliwość, że choćby jedno słowo z tej historii było

prawdziwe?, i skończyły na: Nie, prawdopodobnie nie.

Hrabia uśmiechnął się do profesora, widząc jego zbolaną minę. Usiadł głębiej w fotelu, wciągnął w płuca potężny haust powietrza, zatrzymał na chwilę, po czym wypuścił go na George'a.

George natychmiast poczuł najbardziej rysztokowy, cuchnący, plugawy, ohydny i odrażający smród, z jakim kiedykolwiek miał nieszczęście się zetknąć. Niewyobrażalnie przekraczał fetor zakonserwowanego Marsjanina. Wydawało się, jakby pochodził z przeklętego królestwa gnijących trupów, ścieków i psich odchodów.

Zachłysnął się, zadławił, próbując odetchnąć, i zemdlał. Profesor Coffin złapał go, kiedy ten opadał na stół.

- To gorzkie doświadczenie - zwrócił się do hrabiego.

- Z pewnego punktu widzenia całkiem zabawne. Lecz jeśli skrzywdziłeś mojego podopiecznego, to wierz mi, Szatański Chuch czy nie, odpowiesz mi za to.

- Jak widać, masz wielki respekt dla tego młodego człowieka - zauważył hrabia. Wyciągnął z kieszonki kamizelki smukłą fiołkę z płynem i z uwagą odkręcił zakrętkę. - Wyrzuciłem z siebie najłagodniejszy z oddechów. To mu pomoże odzyskać siły.

- Sole trzeźwiące? - spytał Coffin.

- Nic podobnego.

Pomachał otwartą buteleczką pod nosem George'a, który od razu odzyskał przytomność.

- Doświadczyłeś jedynie przyjemności - oznajmił mu hrabia. - Nie masz żadnych wspomnień Szatańskiego Chuchu ani niczego z naszej rozmowy go dotyczącej. Cieszysz się miłą przechadzką po pokładzie spacerowym. Żegnaj, chłopcze, to była przyjemność poznać ciebie.

George Fox wstał, nasadził na głowę melonik, lekko skłonił się hrabiemu:

- To była przyjemność pana poznać, sir. - Szybko opuścił bar dla dżentelmenów.

Profesor Coffin patrzył na fiołkę z płynem, kiedy hrabia de Saint-Germain uważnie ją zakręcał.

- Aromat Niewiedzy - powiedział do hrabiego.

- W istocie - odparł hrabia.

„Imperatorowa Marsa” płynęła spokojnie na zachód. Łagodny pomruk elektrycznych turbin, bezcenny dar pana Tesli dla statku, nie przeszkadzał w radości egzaltowanych ludzi, którzy spacerowali po promenadzie.

George Fox spacerował między nimi, z melonikiem na głowie przekrzywionym na sposób znany jako dziarski, kręcąc modną laseczką dłonią w rękawiczce. Odetchnął głęboko świeżym powietrzem. Było doprawdy idealnie. Czuł w żołądku pewien niepokój, lecz złożył to na karb choroby wysokościowej, jako że po raz pierwszy w życiu był na pokładzie statku powietrznego. Wyprostował ramiona i lekko się uśmiechnął. Nikt na niego się nie gapił ani go nie obwąchiwał, jak to się zdarzało podczas jego fatalnej wizyty w Kryształowym Pałacu. Wyglądał jak oni i czuł się jak oni, a ludzie tu uważali go za jednego z nich.

Podszedł do balustrady ochronnej i przechylił się przez nią, patrząc w dół na Anglię. Poniżej przesunęło się Bath, jego ulice i budynki układały się we wzór zrozumiały jedynie dla wysokiej rangi wolnomularzy. George aż westchnął, zachwycony tym pięknem.

To było życie dla niego. Naprawdę. Przypomniawszy sobie zdanie Oscara Wilde'a, coś jak „każdy człowiek w końcu odnajduje swoje miejsce w życiu, nieważne, czy jest ono poniżej czy powyżej tego, w którym się urodził”.

Przez chwilę pomyślał o tym.

Wszystko to stało się tak szybko. Jego spotkanie z Macmoysterem Farlem, Apokaliptycznym Egzaminatorem, który przekazał mu prorocstwo. Prorocstwo, które George pamiętał co do słowa. „Księga Sayito zostanie dla ciebie otwarta. Znajdziesz Ją, młody George'u Foksie. Na twoich ramionach spocznie przyszłość planet”.

Przeszedł go lodowaty dreszcz. Macmoyster Farl został wyciągnięty ze stanu lewitacji przez policyjnych sługusów pod komendą Dzentelmenów w Czerni. George zastanawiał się, co się z nim stało. Pewnie nic dobrego, pomyślał. Ale potem uśmiechnął się lekko. On nic nie mógł zrobić dla Macmoystera Farla. Mógł jedynie ruszyć na poszukiwanie z profesorem. Czy spotkają go wielkie rzeczy czy naprawdę straszne rzeczy, pokaże przyszłość. Przyszłość, w której czekało go kilka doprawdy ekscytujących miejsc przeznaczenia.

„Imperatorowa Marsa” najpierw zadokuje w Nowym Jorku, swoim pierwszym porcie docelowym. Potem San Francisco. Potem Hawaje. Potem Tokio. I tam może znajdą Japońską Dziewczynę Płaszczkę. Kto to może wiedzieć? Tak czy inaczej, była to podróż jego życia. Znajdując się na pokładzie najbardziej zadziwiającego statku, jaki kiedykolwiek został zbudowany na Ziemi, w towarzystwie najświetniejszych mieszkańców Londynu, George z pewnością był „ulubieńcem bogów”. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Powrócił do kręcenia swoją laską i powolnej przechadzki. Zdobył plan statku i wędrował to tu, to tam, zaglądając do wielkiej jadalni, do kasyna, do sali koncertowej, pływalni, buduaru absyntu, Wielkiego Salonu i w końcu dotarł do własnej kabiny. „Arystokratycznej Kabiny”. Wszystko w niej mu się podobało.



Zamknął drzwi, położył melonik na umywalce z fałszywego marmuru i rzucił się w ubraniu na łóżko.

Przechyliło się na jedną stronę i George spadł na podłogę.

Z poczuciem lekko urażonej godności wstał i podejrzliwie przyjrzał się łóżku. Wtedy zauważył, że zwieszało się jak hamak na czterech aluminiowych łańcuchach, z których każdy był przyczepiony do czterech oddzielnych słupków, a wszystkie spotykały się na suficie przymocowane do centralnej kolumny.

Bez wątpienia, żeby zapewnić komfort podczas wietrznej pogody, pomyślał i ostrożnie wsunął się do łóżka.

Ułożywszy się wygodnie, George Fox objął ramionami głowę i, uśmiechając się z zadowoleniem, uciął sobie popołudniową drzemkę.

# 14

Śnił o straszliwym smrodzie i obudził się, gwałtownie siadając na łóżku. Był już wieczór, przez iluminator wpadały do pokoju promienie księżyca. George wstał, przeciągnął się, wygładził pogniecione ubranie i otrzepał z kurzu ramiona. Podszedł do umywalki, przekręcił mosiężny kurek i zagłębił się w przyjemnej wilgoci chłodnej wody spływającej między rozcapierzonymi palcami dłoni. Spryskał wodą twarz i wytarł ręcznikiem. Był podekscytowany. Jego pierwsza noc na cudownym latającym statku - jakież egzotyczne atrakcje go tu czekają? Profesor Coffin powiedział mu szeptem, że na pokładzie jest Nimfarium, ale George w to wątpił. Oczywiście czeka go kolacja w wielkiej jadalni. Trochę się tym martwił. Z pewnością będzie mnóstwo sztuców, a on nie miał pojęcia o odpowiedniej etykiecie związanej z nożem, widelcem i dziwnie wygiętą łyżką. Na „Imperatorowej Marsa” oferowano obsługę pokojową. Może byłoby bezpieczniej zjeść w kabynie, niż ryzykować popełnienie jakiejś gafy, która ujawni jego fałszywy status w tym podniebnym świecie.

Przyjrzał się sobie w wielkim lustrze w pięknej ramie. Niewątpliwie wyglądał, jakby należał do towarzystwa, nawet jeśli nie bardzo wiedział, jak się ma zachowywać. I to nie tylko przy stole.

Ale się nauczy.

Nasadził na głowę melonik i ująwszy w urękawiczoną dłoń modną laseczkę, wyszedł z kabiny.

Pokład spacerowy był opustoszały. Arystokracja przebierała się do kolacji. George rozkoszował się nagłą samotnością na obszernym pokładzie. Kroczył między rzędami leżaków, wzdłuż kortu tenisowego i boiska do badmintona, dotarł do krawędzi pokładu i przesunął dłonią w rękawiczce po barierce ochronnej. Wyjrzawszy poza nią, dostrzegł zwisające łodzie ratunkowe, okryte brezentem i przyłączone linami okrętowymi.

- Łodzie ratunkowe? - powiedział do siebie. - Jeśli ten potężny pojazd nagle spadnie z nieba, do czego przydadzą się te łodzie ratunkowe?

Nagle ujrzał coś niespodziewanego. Błysk ruchu powyżej łodzi ratunkowej. Ktoś odsunął okrywający ją brezent. George patrzył, jak wyłania się ognistej barwy głowa,

pojawiają się nagie, kształtne ramiona. Ten ktoś uniósł miskę do mycia i przechylił poza brzeg łodzi. Serce George'a podskoczyło. Pasażer na gapę!

Kucnął, żeby nie być dostrzeżony, i wyrzął poza krawędź pokładu. Pasażer na gapę był atrakcyjną młodą kobietą z jaskrawoczerwonymi włosami, skreconymi w loki, które zdobił maleński kapelusik ozdobiony parą wieczorowych gogli.

Poza tym nie miała na sobie nic więcej.

Pasażerka na gapę była całkowicie naga.

George'owi opadła szczeka, wytrzeszczył oczy.

Pasażerką na gapę była niegrzeczna Ada Lovelace.

Cofnął się i wstał, uśmiechając się szeroko. To Ada Lovelace; niegodziwie go wykorzystwała, żeby dostać się do Kryształowego Pałacu. Powiedziała, że przyleciała do Londynu na „Imperatorowej Marsa”, lecz teraz w to wątpił. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że podróżowała na statku jako pasażer na gapę.

Podszedł do pobliskiego leżaka i rozsiadł się wygodnie. To rzeczywiście była „sytuacja”, i to taka, która, jak uznał, mogła obrócić się na jego korzyść. Nie miał mściwej natury, o nie. Nie myślał o zemście. Ale być może jakaś drobna kara byłaby całkiem na miejscu, żeby nauczyć przewrotną młodą dziewczynę przyzwoitości.

- Pokład spacerowy jest pusty - mruknął do siebie.

- Być może mógłbym nasikać na nią z góry.

Lecz wtedy, oburzony tą okropną myślą, zmodyfikował ją na opróżnienie kubelka z lodem. Doszedł jednak do wniosku, że byłoby to okrutne, i zastanawiał się, co jeszcze mógłby zrobić.

Wzruszył ramionami i westchnął. Nie mógł wymyślić nic wstrętnego, po prostu się do tego nie nadawał. Wrócił do barierki, oparł się o nią i spojrzął w dół. Ada była już na wpół ubrana, we wspaniałe pantalone i podkoszulkę.

Zwilżył wargi i zawołał:

- Panno Lovelace, znów się spotykamy.

Uroczą kobietą zamarła, a potem oczy pełne strachu uniosły się do góry, napotykając jego uśmiechnięte spojrzenie.

- Ty - powiedziała głośnym szeptem. - Jesteś tutaj. Ale jak?

I nagle uświadomiwszy sobie, że niewiele ma na sobie, Ada Lovelace zanurkowała pod brezentowe okrycie, a George z szerokim uśmiechem popatrzył w niebo.

Statek dryfował tuż nad wczesnowieczornymi chmurami. Powyżej niebo rozciągało się w swojej czarnej, usianej gwiazdami chwałę. George, który niewiele wiedział o astronomii,

potrafił jedynie rozróżnić kilka konstelacji, a do tego Wenus i Marsa, różowego i łagodnie migoczącego.

Coś się poruszyło niżej i trochę się zdziwił, widząc już porządnie ubraną Adę; wspinała się po linach przytrzymujących łódzie ratunkowe, by wreszcie wskoczyć na pokład.

- Ciekawe, w jaki sposób wspiąłeś się po szczeblach tego świata, George'u Foksie. - Starła się wyrównać oddech.

- Lord George Fox - odparł George. - Spotkałaś mnie, kiedy podróżowałem incognito. O ile pamiętam, wspomniałem, że jestem niezależny finansowo.

Przybrała taki wyraz twarzy, który wyrażał niemal wszystko bez wypowiedzania tego na głos.

- Jak widać, znajdujesz się w pożałowania godnych okolicznościach - zauważył George. - Natychmiast zawołam majordomusa i zażądam, żeby umieścił cię w lepszym pokoju.

- Błagam, nie, sir. Myślę, że doskonale rozumiesz moje okoliczności. Przepraszam, że tak okrutnie cię wykorzystałam, to było niewybaczalne. Lecz jestem w straszliwej potrzebie, a ty masz nade mną przewagę. Jeśli twoim życzeniem jest użyć mnie wedle swojej woli, niech tak będzie, ale w zamian proszę, żebyś nie zgłaszał majordomusowi mojej obecności.

- Użyć cię wedle mojej woli? - Oczywiście George'a zrobiły się jeszcze większe. To oczywiście był sposób na „wyrównanie rachunków”. A tej kobiecie nie brakowało urody.

- Nie - rzekł stanowczo. - Jestem dżentelmenem i wykorzystanie przewagi nad młodą, bezbronną kobietą byłoby dla mnie niewybaczalne.

- Och. - W sposobie, w jaki to powiedziała, był cień pewnego rozczarowania. - Cóż, dziękuję ci, miły panie - i dygnęła.

- Złożymy to w ręce majordomusa - zdecydował George. - Będzie wiedział, co należy zrobić.

- Och nie, lordzie George'u, proszę, nie.

- Żartuję - uspokoił ją. - Jesteś głodna?

- Rzadko nie jestem głodna. O tej porze wychodzę z łodzi i wygrzebuję coś do jedzenia, gdy bogacze przebierają się do kolacji, i potem, kiedy wracają do kajut.

- Zjedz kolację ze mną - zaproponował.

- W wielkiej jadalni? Nie mogę. Nie mam biletu, a tym samym miejsca przy stole.

- Jest piękny wieczór. Może moglibyśmy zjeść kolację tutaj. Al fresco, jak to mówią. Jestem pewien, że goniec hotelowy da się namówić, żeby przynieść nam tutaj jedzenie.

Ada Lovelace wpatrzyła się w oczy George'a.

Oczy miała wielkie i zielone. W oświetlającym je blasku księżycy George ujrzał w nich swoje odbicie. Ogarnęło go wrażenie niewyobrażalnej intymności.

- Usiądź przy tym wiklinowym stoliku, ja wszystko zorganizuję.

Odchodząc, zerknął na nią przez ramię.

- Będziesz tu, kiedy wrócę?

- Tak - odparła Ada. - Obiecuję.

Na kolację zjedli pieczone przepiórki i słodkie ziemniaki, czubki szparagów i różyczki brokułów. Pili szampana z wąskich kieliszków, rozkoszowali się truflami i słodkimi ciasteczkami.

I kiedy tak siedząc sami na pokładzie, wznosili toasty za siebie i za gwiazdy, George czuł się szczęśliwy.

- Powiedz mi - spytał, kiedy uznał, że to już odpowiedni czas - co się stało, że żyjesz w taki sposób? Jesteś młodą, dość wyrafinowaną damą. Czyżby Przeznaczenie wykorzystało cię okrutnie?

Wpatrzyła się w swój kieliszek.

- Tak samo ciebie mogłabym o to zapytać. Nie zostałeś źle wychowany. Jednak twój akcent nie jest tworem szkół prywatnych, a kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, cuchnąłeś płynem do balsamowania i miałeś na sobie kostium białego cyrkowego.

- Asystenta - sprostował. - Asystenta.

- I z pewnością nie masz tytułu. Lord Fox, rzeczywiście.

- Właściwie to brzmi dobrze. - George patrzył na swoją uroczą towarzyszkę przez szkło kieliszka do szampana. - I pewnego dnia, kto wie, może zostanę lordem.

- A ja damą. Być może zostanę królową Saby, co też jest prawdopodobne.

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie. Traktowałem cię z uprzejmością, zaoferowałem jedzenie i napitek. Zbyt wiele żądam, chcąc się dowiedzieć o twoich niepowodzeniach? Być może nawet w jakiś sposób będę mógł ci pomóc.

Ada powiedziała, że bardzo przeprasza. Przyzwyczaiła się już do samotności i do tego, że sama musi się o siebie troszczyć. Pochodziła z szanowanej rodziny, lecz wcześniej odkryto, iż posiada niezwykle zdolności, ma głowę do matematyki. Tak naprawdę była genialnym dzieckiem. Ale... I w tym miejscu to ale zaprezentowało swoją smutną twarz. Żaden uniwersytet nie chciał przyjąć dziecka z genialnymi zdolnościami, ponieważ było dziewczynką. Tak bardzo pragnęła brać udział w jakimś naukowym przedsięwzięciu, najlepiej przy rozwijaniu Maszyny Różnicowej pana Babbage'a albo przy dalszym

zrozumieniu i wstecznej inżynierii zdobytej technologii Marsjan. Ale w Anglii nikt nie zaproponuje jej takiej możliwości, więc na pokładzie „Imperatorowej Marsa” ucieka do Ameryki, żeby w tym kraju, który oferuje kobietom możliwości większe niż jej ojczyzna, znaleźć stanowisko odpowiadające jej geniuszowi.

- Cóż - powiedział George, kiedy Ada skończyła swoją opowieść. - Życzę ci wszystkiego najlepszego. Każdy powinien móc podążać za swoim marzeniem, a słyszałem, że w Ameryce jest mnóstwo możliwości. Mam nadzieję, że znajdziesz tam to, czego szukasz.

- Dziękuję ci, lordzie George'u. - Ada, patrząc na George'a, zatrzepotała rękami. - Jesteś bardzo miłym młodym dżentelmenem i byłabym szczęśliwa móc nazywać cię swoim przyjacielem.

Uśmiechnął się nieco blado. Młode damy zawsze mu to mówiły. Zawsze chciały być jedynie jego przyjaciółkami, chociaż niektóre mówiły: najlepszymi przyjaciółkami. I chociaż George bardzo chętnie wzięby sobie kochankę i doświadczył radości, jakie obiecywał akt seksualny, wydawało się to raczej nieosiągalne, dopóki nie spotka młodej kobiety, która będzie chciała od niego czegoś więcej niż przyjaźni.

Jakkolwiek gdyby chciała małżeństwa, to pewnie zmusiłaby George'a do czekania.

Nagle jego uwagę przykuły obce dźwięki. Czas minął szybciej, niż się spodziewał. Kolacja się skończyła i ludzie już pojawiali się na promenadzie, by zażyć wieczornego spaceru, wypić koktajle i zapalić cygara.

- Nasz wspólny wieczór sprawił mi mnóstwo przyjemności - powiedział George.

Kiedy jednak się obrócił, na wiklinowym stoliku ujrzał jedynie na wpół opróżniony kieliszek.

Ada Lovelace zniknęła.

I George znów był całkiem sam.

# 15

Płynącemu wysoko nad chmurami statkowi powietrznemu zabrało piętnaście godzin pokonanie ogromnej przestrzeni Atlantyku. Był to rewelacyjny początek podróży, jako że miała trwać siedemdziesiąt dziewięć dni. George, który postanowił się trochę przespać, obudził się, gdy profesor załomotał w drzwi kabiny, i zdumiał się, słysząc, że „Imperatorowa Marsa” właśnie zbliżała się do Nowego Jorku.

Z drugiej strony był tym nieco zasmucony, pragnął spędzić więcej czasu z Adą. Czasu, który, jak miał nadzieję, mógłby doprowadzić do czegoś więcej niż jedynie przyjaźni. Lecz oto, tak znienacka, był już Nowy Jork i dziewczyna wkrótce zeskoczy ze statku.

- Co się z tobą działo ostatniej nocy? - Profesor Coffin wpadł jak burza do kabiny George'a. Zaczął przrzucać jego rzeczy, bawić się nowiutką szczotką do włosów z borsuczego włosia z rączką z kości słoniowej. Bez potrzeby otrzepywać z kurzu kapelusz George'a. - Brakowało mi ciebie na kolacji. Dzieliłem stolik z rosyjskim naukowcem, chemikiem o nazwisku Orflekoff, i jego wnukiem Ivanem.

George nie zareagował.- Był też konstruktor sztucznych kończyn Fischel i jego mały synek Artie.

Na to też nie.

- I aktor szekspirowski z wyższych sfer o nazwisku Ornott-Tobee oraz jego brat Toby.

- Naprawdę? A może przez przypadek spotkał się pan z wielołącznikowym panem Uważaj-bo-dostaniesz-w-szczękę-jeśli-nie-przestaniesz-wymyślać-tych-okropnych-żartobliwych-nazwisk i jego synem Ivorem?

- Nie - odparł profesor Coffin. - I nie życzyłbym sobie tego. Więc... - I zatańczył dziarsko, jak to on. - Wstawaj, mój powabny młodzieńcze. Nowy Jork na nas czeka i musimy zobaczyć się z pewnymi ludźmi.

- Tak? Z jakimi ludźmi?

- Z jednym w szczególności, mój chłopcze, i mam na myśli Phineasa T. Barnuma.

Zjedli późne śniadanie w wielkiej jadalni, obszernym pomieszczeniu, w którym z łatwością mogło się zmieścić tysiąc albo i więcej pasażerów.

I kiedy objadali się croissantami, marmoladą imbirową, jajkami w koszulkach, gotowaną szynką i zestawem serów, popijając to wszystko kawą nalewaną z miedzianej kawiarki, profesor Coffin przekazał George'owi złe wieści.

- Ostatniej nocy wydarzył się wypadek - powiedział młodzieńcowi, który przeżuwał jajko w koszulce.

- Cały statek aż buzuje od plotek i lepiej będzie, jeśli dowiesz się tego ode mnie niż od jakiegoś chłopca hotelowego czy pucybuta.

George zaczął się zastanawiać, co też zaraz usłyszy.

Profesor Coffin nie kazał mu długo czekać.

- Przypominasz sobie hrabiego de Saint-Germaina, z którym spotkaliśmy się w barze dla dżentelmenów?

George skinął głową, nie przerywając przeżuwania.

- Uroczy gość. - Profesor pokiwał głową.

- To była przyjemność poznać go - zgodził się George. - Ale co dziwne, nie mogę sobie przypomnieć, o czym on rozprawiał.

- To nie ma znaczenia. Poznaj tę tragiczną wieść. Otóż ostatniej nocy hrabia zbyt sobie pofolgował z absyntem w jednym z buduarów, i żeby oczyścić umysł, poszedł na spacer na promenadę. Wypadł przez barierkę ochronną.

George zakrztusił się resztką jajka.

- Wielka szkoda - ubolewał profesor. - Był wszechstronnie wykształconym człowiekiem.

- I wypadł na sam dół, prosto w morze? - spytał George, przerażony tą myślą.

- Z wysokości dwóch i pół kilometra. Do tej pory jeszcze nikt nie wypadł. On jest pierwszy. Rozmawiałem wcześniej z panem Guinnessem, który zamierza stworzyć księgę rekordów. Zastanawia się nad umieszczeniem hrabiego na samym początku, więc jak sądzę, zapewni mu to pewnego rodzaju pośmiertną sławę.

- Okropne - powiedział George. - Naprawdę okropne.

- Och, nie wiem. To może być jedna z najbardziej interesujących ksiązek.

- To jest nawet mniej zabawne niż te głupie nazwiska stworzone od zawodów, jakimi uraczył mnie pan wcześniej - stwierdził George. A potem spytał: - A gdzie się podziały koszulki od jajek?

Po śniadaniu poszli na pokład spacerowy, aby podziwiać panoramę Nowego Jorku podczas lądowania statku. George zachwycił się drapaczami chmur, Statuą Wolności,



wielkimi morskimi liniowcami zacumowanymi w Porcie Manhattańskim. Wszystko to wydawało się cudem dla George'a, trzymającego się kurczowo barierki ochronnej, jako że nie miał zamiaru dołączyć do hrabiego.

George oczekiwał większego zamieszania podczas zejścia ze statku i postawienia stopy na amerykańskiej ziemi. Profesor pokazał urzędnikom „Dokumenty Identyfikacyjne” i George znów zaobserwował ten szczególny uścisk dłoni.

„Imperatorowa Marsa” zacumowała ponad Central Parkiem, i po przejściu przez kontrolę imigracyjną i celną, George i profesor wyszli z parku i zatrzymali dorożkę.

Dorożka przypominała te londyńskie, jakkolwiek miała szersze koła i żółty kolor. Dorożkarz nosił czapkę z futra szopa pracza i długi wełniany płaszcz z brzegami z kozłej skóry. Kiedy dowiedział się o narodowości swoich pasażerów, poinformował ich, że jeśli będą potrzebować cokolwiek - „cokolwiek, słyszycie mnie, cokolwiek” - podczas pobytu w Nowym Jorku, wtedy on, pan Frontier, a jeśli nie on, to jego syn, Wilde, będą szczęśliwi spełnić ich potrzeby. Wyjątkowa lubieżność, jaka emanowała z porozumiewawczego opuszczenia powieki i przesadnego puszczenia oczka, dokładnie wyjaśniły George'owi, o co mu chodziło z tym „cokolwiek”.

- Wilde Frontier - powiedział profesor Coffin, szturchając George'a między zębra.

Amerykańskie Muzeum Barnuma znajdowało się na Broadwayu w teatralnej dzielnicy Nowego Jorku. Jak do tej pory spalono je już dwukrotnie, za pierwszym razem przez żołnierzy Konfederacji podczas amerykańskiej wojny domowej, lecz za każdym razem powstawało z prochów jak bezwstydny, pyszniący się, radośnie barwny feniks.

Po tym, gdy wysiedli z pojazdu i po krótkich, acz intensywnych negocjacjach dotyczących zapłaty (jako że ani George, ani profesor nie mieli amerykańskiej waluty), obaj panowie zapatrzyli się na krzykliwą fasadę muzeum.

Amerykański gotyk charakteryzował się zbyt dużym nagromadzeniem bezsensownych architektonicznych elementów, żeby oczy mogły nań patrzeć spokojnie. Obfitość różowych pasożytujących cherubinków umieszczonych na kawałkach terakoty między wyrzeźbionymi mitologicznymi bestiami, kwiatami, owocami i niepotrzebnymi ozdóbkami wręcz bolała. Wielki łuk centralnego okna zrobiony był ze szkła witrażowego, dzieła Dante Gabriela Rossettiego, który dostał zlecenie od Barnuma, gdy spędzał wakacje w nowojorskiej dzielnicy Queens. Przedstawiał on wielkiego cyrkowca jako Noego. Za nim wznosiła się góra Ararat, a na niej stała arka, z której wyglądały pary wszelkich stworzeń. Stworzeń, które można było obejrzeć w Amerykańskim Muzeum Barnuma.

- Ten człowiek jest bogiem - powiedział profesor Coffin, kłaniając się przed zwariowanym budynkiem. George tylko pokiwał głową.

Dorożkarz przyjął jako zapłatę od profesora „diamentowy” pierścień. Ten, który miał być w posiadaniu rodziny profesora od pokoleń. George jednakże rozpoznał go: profesor kilka miesięcy temu kupił pierścień u rzemieślnika za kilka szylingów. Na szczęście przy wejściu do muzeum Barnuma nie było problemu z wymianą zagranicznej waluty.

Kasjerka, przystojna młoda dama w kostiumie ukazującym dużą część biustu, pracowała na mosiężnym urządzeniu z mnóstwem kółek zębatach i wajch, urządzenie po naciśnięciu klawiatury numerycznej ukazywało aktualny kurs wymiany każdej istniejącej waluty.

Zarówno George, jak i profesor byli pod wrażeniem niezwyklej maszyny. Jakkolwiek być może nieco niezadowoleni, kiedy dowiedzieli się, jak bardzo niekorzystny jest kurs wymiany angielskiego funta do amerykańskiego dolara.

Profesor Coffin rozstał się z dwoma funtami i razem z George'em weszli do tak zwanego Dziesięciocentowego Muzeum.

Pięć pięter wypełnionych cudami. Były tam fenomeny pochodzące z wielu wieków, zadziwiające stworenia, żywi dzicy i dwugłowy gigant. Słynna Syrena Feegee, cyrkowa trupa małp, a nawet wybór automatycznych łóżek.

- Automatyczne łóżka? - zdziwił się George, przyglądając się poetyckiemu afiszowi, jaki reklamował tę atrakcję.

- Znajdziesz tu zarówno dziwy naukowej proweniencji, jak i te odnoszące się do naturalnej filozofii.

- Dla pana to miejsce jest rajem, czyż nie? - zagadnął George.

- To jest w mojej krwi, chłopcze. - Profesor Coffin postukał laską w miejsce na swoim ciele, gdzie znajduje się serce. - Albo to masz, albo nie. Pan Barnum wzniosł sztukę cyrkową na wyżyny. Spójrz tutaj, George.

Profesor skierował jego uwagę na olbrzymią szklaną gablotę, w której widniała wykonana w najdrobniejszych szczegółach diorama bitwy pod Waterloo.

Za dotknięciem guzika - profesor Coffin dotknął tego guzika - kółka zębata zostały wprowadzone w ruch i rozpoczął się pokaz skomplikowanej animacji: żołnierze maszerowali, muszkiety strzelały, ludzie i konie padali.

George patrzył i znów potrząsał głową.

- Nie przypominam sobie z lekcji historii, żeby w bitwie pod Waterloo brały udział

sterowce.

- Licencja poetycka - wyjaśnił profesor. - Te żelazne kanonierki też są prawdopodobnie odrobinę zbyt nowoczesne.

Wędrowali przez wspaniałe muzeum. Obejrzeni tańczących Zulusów. Głowy zmniejszone przez członków plemienia Jivaro. Pokaz żonglujących ropuch. Wyścig świń. „Rozumnego konia pod wierzch”, który dawał rady brokerom na nowojorskiej giełdzie. Kobiety o szyjach jak żyrafy i dziewczyny z talerzami w wargach. Giganta o imieniu Tomaso i generała Tomcia Palucha.

Słynny karzeł Barnuma kilka razy okrążył glob podczas swoich tournée, na które bilety sprzedawano z wyprzedzeniem. Był przedstawiony na dworze królowej Wiktorii i w niemal każdym domu królewskim Europy. Zebrał ogromne bogactwo, a co więcej, zdobył wielką miłość.

Generał Tomcio Paluch zaśpiewał kilka humorystycznych piosenek, zatańczył solo gawota i opuścił scenę przy burzliwych oklaskach.

- Całkiem możliwe - stwierdził George - że to on jest największą atrakcją cyrkową, która przyciąga kmiotków.

- To prawda - odparł profesor. - Bez wątplenia jest to najbardziej satysfakcjonująca finansowo atrakcja w historii. Lecz my będziemy mieć coś lepszego.

- Zaczynam się nad tym zastanawiać. - George zmarszczył brwi. - Jestem tak oszołomiony tym wszystkim, co ostatnio widziałem i czego doświadczyłem, że się zastanawiam, czy aby przypadkiem nie śnię. Ale niech pan o tym pomyśli. Być może to, czego szukamy, nie istnieje. Ona może być tylko legendą. Być może nie ma słowa prawdy w historii o Sayito.

Coffin machnął dłonią.

- Cicho, mój chłopcze. Musimy zamienić kilka słów z właścicielem tej szacownej instytucji na temat tego, czego szukamy. Lecz musimy zrobić to w taki sposób, żeby ten wspaniały impresario nie domyślił się, że naprawdę szukamy tego, czego szukamy. Rozumiesz?

- Mógłbym, gdybym się bardzo postarał. Myśli pan, że on tu naprawdę jest?

- To on. - Profesor wskazał łaską.

Z lewej strony sceny korpulentny gość rozmawiał z Tomciem Paluchem.

Miał na sobie szary garnitur uszyty zgodnie z modą amerykańską, z szerokimi rękawami i trójrzędową kamizelką ze skóry ośmiornicy. Do pleców miał przytwierdzone urządzenie z wypolerowanego drewna sosnowego i lśniącego mosiądzu, które od czasu do

czasu wypuszczało z siebie kłęby dymu z rury kominowej przyczepionej do wysokiego, ciemnego kapelusza. Było podłączone do wysokich mosiężnych butów tęgiego gościa za pomocą skomplikowanego systemu skórzanych wajch przy pasie i syczących tłoków.

George przyglądał się temu w osłupieniu.

I kiedy tak patrzył na korpulentnego mężczyznę i ozdabiające go niesamowite mechaniczne akcesoria, sprawy przybrały nagły i najbardziej nieoczekiwany zwrot.

- Och - i - Au! - krzyknął P.T. Barnum, nagle podskakując wysoko.

Generał Tomcio Paluch odskoczył na bok, jako że najwyraźniej roztrzęsiony pan Barnum rozpoczął na scenie pokaz czegoś, co wydawało się stepowaniem z ekstrawagancko wysoko uniesionymi nogami, a okrzyki, jakie akompaniowały tańcowi, stopniowo rosły do niepokojącego crescendo.

- On się pali - zauważył George. - A jego maszyna jest poza kontrolą.

- Trattara tam tam - powiedział profesor Coffin.

- Rusz się, zrób coś, George.

Ale George tego nie usłyszał; już spieszył na pomoc dymiącemu impresariowi brykającemu na scenie. Skoczył na scenę i zdarł kurtynę. Rzucił ją na P.T. Barnuma i całym sobą przycisnął mężczyznę do podłogi.

Rozległy się głośne syki i pluskania pary, a nogi Barnuma rzucały się dziko. Lecz George trzymał go mocno i uderzał w dymiący piecyk, który zasilał aparat.

Wreszcie, ku uldze wszystkich obecnych, nastąpiła cisza i bezruch. George odwinął impresaria z kotary i pomógł mu podnieść się na nogi.

- Wszystko z panem w porządku? - spytał. - Może powinienem wezwać lekarza?

P.T. Barnum pozbył się swego wojowniczego plecaka, poodpiął linki łączące go z jego mosiężnymi butami i rzucił to wszystko na scenę.

- Dziękuję ci, młodzieńcze. Ten demoniczny mechanizm z pewnością by mnie wykończył, gdybyś nie zainterweniował z taką pomysłowością. Obawiam się, że świat nie jest jeszcze gotowy na Patentowany Pneumatyczny Wspomagacz Pieszego Barnuma. Mechaniczna pomoc w chodzeniu. Być może powinienem jeszcze przemyśleć propozycję pana Henry'ego Forda, żeby zainwestować w jego bezkonny powóz. W rzeczy samej, doprawdy, tak, tak!

- Cieszę się, że mogłem pomóc. Jest pan pewien, że nie odniósł pan żadnych uszkodzeń?

- Zdrowy i nieuszkodzony jak srebrna dolarówka.

- Barnum otrzepał się z kurzu. - I jestem na wieki ci wdzięczny za uchronienie mnie od

cierpienia. Nazywam się Phineas Taylor Barnum i będę uhonorowany, poznając twoje imię.

- Jestem George Fox - powiedział młody George Fox. I potrzęsął dłonią impresaria.

# 16

Biuro P.T. Barnuma samo w sobie było cudem. George, na którego ostatnio cuda spadały z taką częstotliwością, że był pewien, iż wytrzyma jeszcze kilka, gapił się osłupiały na zatłoczone pomieszczenie.

George przedstawił P.T. Barnuma profesorowi. I znów do gry weszło to specjalne uściśnięcie dłoni i wielki impresario powitał nieco mniejszego impresaria jako kolegę podróżnika i zaprosił ich obu na drinka do prywatnych kwater.

Biurko pana Barnuma - wyrzeźbione ze słoniowych kłów, inkrustowane zębami tygrysa i obłożone rolowaną narzutą z futer misiów koala - było ogromne. W porównaniu z nim pełnowymiarowy stół do bilarda wydawałby się dziecięcym stolikiem. Było zarzucone mnóstwem dziwnych rzeczy, niemożliwych do opisania. George zauważył szklane kopuły zawierające szkielety płodów umieszczone w żywych obrazach przedstawiających historyczne wydarzenia. Oblężenie Troi. Koronacja królowej Elżbiety Pierwszej. Szturm na Alamo. Amerykanin ustawiający flagę amerykańską na Księżycu. George tylko przewracał oczami. Ze ścian patrzyły na niego szklanymi oczami wypchane głowy bizonów i niedźwiedzi. W kącie stała pełna zbroja samuraja, cała z żółwiowej skorupy i kolców jeżozwierz. W innym kącie stała woskowa figura Jezusa Chrystusa z ręką uniesioną w błogosławiącym geście nad mapą Ameryki. Było tu też mnóstwo mechanicznych instrumentów z miedzi, mosiądzu i stali.

- Usiądźcie, gdzie znajdziecie miejsce - poradził im pan Barnum, wyciągając skądś butelkę whisky i trzy szklaneczki.

Profesor Coffin zdjął okazałą stertę plakatów cyrkowych z bujanego fotela obitego zieloną skórą i usiadł. George przysunął bliżej masywny stołek na słoniowych nogach i z ulgą na niego opadł. Pan Barnum rozlał alkohol i posunął szklaneczki w ich stronę tak daleko, jak mógł na przepastnym biurku. Sięgając z wysiłkiem - skorzystał z pomocy George'a - profesor Coffin zaopatrzył się w drinka i wznosił toast za pana Barnuma.

- Och, nie, absolutnie nie - wzbraniał się mężczyzna. - Za George'a, za uratowanie mojego bostońskiego tyłka.

- Za George'a. - Profesor uniósł szklaneczkę.

Drinki zostały wypite i usta ze smakiem oblizane.

- A więc - zagadnął P.T. Barnum - co tacy wspaniali dżentelmeni robią po drugiej stronie Wielkiej Sadržawki?

- Oblatujemy glob na pokładzie „Imperatorowej Marsa” - powiedział profesor. - O ile wiem, została nazwana ósmym cudem świata.

P.T. Barnum odchrząknął.

- Ostatnio rozmawiałem z prezydentem tego szczęśliwego kraju na temat budowy większej i bardziej luksusowej wersji tego statku powietrznego.

George Fox uniósł brwi i upił więcej ze szklaneczki.

- Jako że jesteśmy w Nowym Jorku - kontynuował profesor Coffin - po prostu musieliśmy zejść do pańskiego muzeum. Jest słynne na całym świecie. Nie wolno takiej okazji przegapić.

- Robię, co mogę, żeby zapewnić rozrywkę, edukację, oświecenie i budujący wpływ. Ufam, że nie jesteście rozczarowani.

- Cóż... - Profesor zamilkł.

- Cóż? Co mam rozumieć przez to „cóż”?

- Myślę, że zostaliśmy źle poinformowani - wyjaśnił profesor. - Powiedziano nam, że ma pan tutaj najwspanialszą z atrakcji. Tę jedyną najwspanialszą atrakcję, jaka kiedykolwiek istniała. Jak ją nazywano, George? Chińska Dziewczyna Ryba czy coś w tym rodzaju, tak?

George Fox zauważył dyskretne mrugnięcie.

- Coś tak. Myślę, że to była japońska, tak, właśnie - Japońska Dziewczyna Płaszczka.

PT. Barnum odchylił się na krześle za biurkiem. Okrągła głowa kiwnęła się łagodnie, a twarz przybrała wyraz głębokiego zastanowienia.

- Japońska Dziewczyna Płaszczka - powtórzył wolno. - Cóż, to jest to.

- Bardzo byśmy chcieli ją zobaczyć - pośpiesznie wytrącił George. - Obecnie jest zaangażowana jako jedna z pańskich stałych artystek?

Na twarzy pana Barnuma tym razem pojawiło się zaskoczenie.

- Jedna z moich stałych artystek? A to coś zupełnie innego.

- W Anglii istnieje wiele różnych opinii na temat, kim ona naprawdę jest - powiedział profesor Coffin.

- Niektórzy mówią, że to syrena, inni, że jakaś egzotyczna istota z rodzaju tych, jakich nikt na Zachodzie nigdy nie widział. Jeśli ją pan tutaj ma, bardzo byśmy chcieli ją zobaczyć.

- Doprawdy? Chcielibyście ją zobaczyć?

- Tak, sir, bardzo byśmy chcieli.

Profesor Coffin skinął głową.

- Cóż, panowie - Phineas Taylor Barnum opróżnił zawartość swojej szklaneczki jednym łykiem - tkwię w tym zawodzie ponad sześćdziesiąt lat i spotkałem najróżniejsze rodzaje hien, kuglarzy, oszukańczych handlarzy, kramarzy i śliskich złodziei, ale żaden z nich nie dorasta wam do pięt, panowie. Czy to jest ten angielski subtelny urok? No cóż, to jest to.

- Nie bardzo rozumiem sens pana wypowiedzi - odezwał się George.

- Obawiam się, że ja rozumiem aż za dobrze - odparł profesor Coffin.

- Muszę pogratulować wam waszej bezczelności i pomysłowości. - P.T. Barnum wstał z za biurka i wziął szpadę, która ponoć należała do samego majora Roberta E. Lee. - Jak to zostało zrobione, ha? Jakoś się wam udało dokonać sabotażu w moim Pneumatycznym Wspomagaczu Pieszego, żeby być w pobliżu, by mnie uratować i w ten sposób wkraść się w moje zaufanie. Jak?

- Nic takiego nie zrobiliśmy. - George był oszołomiony. - Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Och, rzeczywiście? - krzyknął Barnum. - Och, rzeczywiście? Myślę raczej, że chcieliście ukraść mi ten Największy Skarb Impresaria tych i wszystkich innych czasów.

- Więc naprawdę pan ją ma - stwierdził Coffin.

- To, co mam, a czego nie mam, to nie wasz interes. Natychmiast opuście mój dom albo zawołam mojego małego kamerdynera Charlesa, żeby wyrzucił was na ulicę.

Kolejny mały kamerdyner, pomyślał George nie bez zazdrości.

- Wnocha! - wrzasnął pan Barnum. - Przestępcy! Rzezimieszki! Zbrodniarze! Koniokrady! - I zamachnął się szpadą.

- To wszystko jest jedną wielką pomyłką - sprzeciwił się George.

- Daj spokój, mój przyjacielu - powiedział profesor.

- Dla nas gra się skończyła i musimy dokonać pełnego godności odwrotu. Moje serdeczne przeprosiny, panie Barnum. Lekkomyślnie zakładaliśmy, że uda nam się ukryć przed pańskim zmysłem obserwacyjnym. Powinno być dla nas oczywiste, że będzie pan świadom takiego matactwa. Odejdziemy teraz i nie będziemy pana więcej kłopotać. Chodź, George.

- Ale... - odezwał się George.

- Chodź, chłopcze!

George Fox wstał ze stołka na słoniowych nogach i pochylił głowę przed Mistrzem.

- Nie zamierzaliśmy w żaden sposób pana oszukać, sir - przekonywał. - Chcieliśmy tylko dowiedzieć się, czy zatrudnia pan Japońską Dziewczynę Płaszczkę czy nie. Z pewnością



nie jest to takie straszne.

- Wynocha! - krzyknął pan Barnum. - Won!

- Tak właśnie. - Profesor wycofywał się tyłem do drzwi. - Przepraszamy, że zabraliśmy pański cenny czas. Proszę przyjąć uprzejme słowa pożegnania.

- To jest śmieszne - powiedział George, ale i on cofał się do drzwi przed szalejącą szpadą.

W drzwiach biura sytuacja stała się dla George'a nieco kłopotliwa. W jakiś sposób on i profesor utknęli w nich razem. George za żadne skarby nie mógłby wyjaśnić, jak to się stało. Tak jakby profesor z pełnym rozmysłem zaaranżował utknięcie.

P.T. Barnum natarł na nich, zamachując się szpadą. George nagle stał się świadomy słów „Padnij na kolana, George”, które profesor wyszeptał mu chrapliwie do ucha. I niemal instynktownie opadł na kolana.

Zrobiło się nagle zamieszanie, kiedy P.T. Barnum potknął się o George'a i wypadł na korytarz, upuszczając szpadę, którą profesor Coffin kopnął poza zasięg rąk. Doszło do gwałtownej szamotaniny, kiedy profesor skoczył na brzuchatego impresaria i usiadł mu okrakiem na piersi, przycisnął mu ramiona i unieruchomił w najbardziej pozbawiony godności sposób.

George patrzył z niedowierzaniem, jak Coffin wyciągnął z kieszonki kamizelki smukłą szklaną fiolkę i przytknął ją do nosa pana Barnuma.

- Teraz wrócimy do twojego biura - powiedział profesor do impresaria. - Tam opowie nam pan wszystko, co wie, o Japońskiej Dziewczynie Płaszczce. Pan mnie rozumie, panie Barnum?

P.T. Barnum skinął głową.

- Wszystko co wiem - rzekł.

# 17

Wrócili do biura Phineasa Barnuma. George był osłupiały. Pan Barnum ruszał się jak automat. Na sztywnych nogach, patrząc w przestrzeń, podszedł do wielkiego biurka, a potem opadł na fotel jak worek kartofli.

- Co pan mu zrobił? - spytał George profesora.

Coffin utrzymał to w sekrecie.

- Pozostaw to mnie. Proszę, George, zamknij drzwi do biura. Po tej stronie zauważyłem klucz, więc go przekręć.

George to zrobił, cały czas potrząsając głową; czuł niepokój, jako że się tu działy rzeczy cokolwiek dziwne.

- Usiądź, George - polecił profesor. - Nie chcę, żeby coś ci umknęło. To się może okazać bardzo ważne.

George usiadł na taborecie na słoniowych nogach i spojrzał na profesora, który usiadł na zielonym, skórzanym bujanym fotelu, po czym zwrócił się do pana Barnuma.

- Sprawiłby mi pan przyjemność, sir, gdyby powiedział pan teraz mnie i George'owi wszystko, co jest panu wiadomo o Japońskiej Dziewczynie Płaszczce. Niczego nie pomijając. Wszystko.

Oczy wielkiego impresaria były szkliste i niewidzące.

Odchrząknął miękko.

- Powiem wam wszystko. Trzymałem w sobie ten straszny sekret zbyt długo - z radością nim się podzielę.

Profesor kiwnął głową.

- Opowiadaj.

Oczy P.T. Barnuma wydawały się koncentrować na jakimś odległym punkcie.

- Bardzo dawno temu - zaczął. - Tak dawno temu... Jak wiecie, przeżyłem niezwykle długie lata w wybranym zawodzie. Jestem pewien, że przyćmiłem wszystkich przede mną w świecie cyrkowym. Przedstawiłem publiczności mnóstwo najbardziej unikatowych atrakcji i wszyscy wyjątkowi ludzie, których pokazywałem, skorzystali na swoich zawodowych kontaktach ze mną. Ja...

Profesor Coffin uniósł rękę.

- Jestem jak najbardziej świadom pańskiej czcigodnej kariery - posiadam kopię pańskiej autobiografii. Proszę jednakże mówić jedynie o interesującej mnie sprawie. O Japońskiej Dziewczynie Płaszczce.

- W świecie cyrku zawsze istniały pogłoski - kontynuował P.T. Barnum - o jakiejś wspaniałej atrakcji, wspanialszej niż inne. Była zawsze za kolejnym wzgórzem, w następnym kraju, daleko za oceanem. Na terenach, o których stare mapy mówiły TAM ŻYJĄ SMOKI. Pierwszy raz usłyszałem o tej istocie, o którą pytaacie, kiedy byłem w Oregonie. Istnieje tam pewna tajemnicza strefa, kilka kilometrów od Wielkiego Przełomu, która jest znana jako Wir Oregoński. Dziwna magnetyczna anomalia geograficzna, gdzie grawitacja wyczynia z tobą sztuczki i nic nie wygląda, jak powinno. Zastanawiałem się nad kupieniem tego obszaru i otwarciu go dla amerykańskiej publiczności jako Najdziwniejszego Miejsca na Ziemi. To właśnie tam spotkałem mężczyznę o nazwisku Farl.

- Macmoystera Farla? - spytał George ze zdumieniem.

- Jego ojca, Sebastiana Farla. W tym czasie amerykańską widownię uwodziły swoimi pokazami spirytystycznymi dwie siostry, które, strzelając stawami palców u stóp, udawały, że przekazują wiadomości od bliskich zmarłych szukającym u nich pocieszenia. Sebastian Farl drwił z sióstr - od razu rozpoznał w nich szarlatanki i przedstawił mi się jako jeden z nielicznych na planecie prawdziwych mediów, naprawdę mogących komunikować się ze zmarłymi. Dostrzegłem, że w tym, co robił, jest pewna nowość i że przedstawiając się jako prawdziwy Apokaliptyczny Egzaminator, mógłby stać się uosobieniem sensacji. Jednakże czułem konieczność przetestowania go w jakiś sposób. Nie, żeby udowodnić prawdziwość jego umiejętności, rozumiecie, lecz żeby sprawdzić, czy są przekonujące.

- I został pan przekonany? - spytał profesor Coffin.

- Będzie pan łaskaw mi powiedzieć, do czego ta opowieść prowadzi?

- Prowadzi do mojej odpowiedzi na pańskie pytania. - Głos P.T. Barnuma stał się przenikliwy. - Żąda pan ode mnie odpowiedzi i ja czuję się zmuszony ich udzielić. Żądał pan, abym niczego nie pominął - więc proszę pozwolić mi opowiedzieć moją historię.

George spojrzał na profesora. W tym wszystkim było coś bardzo niewłaściwego. Sprawiało to, że serce George'a ścisnęło się w nieprzyjemny sposób i czuł, że ma już dosyć.

- To jest bardzo ważne - szepnął profesor George'owi, wyczuwając doskonale troskę młodego mężczyzny. - Być może nie jest to zbyt przyjemne, ale konieczne. To twoje przeznaczenie, młodzieńcze. Nie ma nic ważniejszego.

George wstrzymał swój protest i P.T. Barnum ciągnął:

- Sebastian Farl przeprowadzał swoje seanse w chatce na krawędzi Wiru Oregońskiego i tam właśnie rozmawiałem z duszami.

- Duszami zmarłych? - George poczuł, że włosy stają mu dęba na rękach.

- Tak mi wtedy powiedziano i było to całkiem przekonujące. Sebastian Farl wymyślił termin „channeling”, aby opisać to, co robi. On „channelingował dusze”, ale nie dusze zmarłych, jak, niestety, się o tym przekonałem. W całym kraju, i rzeczywiście na całym świecie, było wielu takich jak Farl, którzy wierzyli, że rozmawiają ze zmarłymi. Żaden właściwie nie był szarlatanem, ale też żaden nie „channelingował” duchów zmarłych.

- Nie bardzo rozumiem - wtrącił George. - Komunikowali się z czymś, lecz nie z duchami zmarłych?

- Właśnie - odparł P.T. Barnum. - Komunikowali się z istotami z innych światów. Komunikowali się z eklezjastami z Wenus.

- Och. - George był pod wrażeniem. - To prawda?

- Owszem. Ale nie wiedziałem o tym aż do dnia pięć lat temu, a wtedy było już za późno dla mnie, i obawiam się, za późno dla nas wszystkich.

George spojrział na profesora, ten wzruszył ramionami.

- Może napijemy się po kropelce pana wyjątkowego napitku? - zagadnął profesor. - Moje kości mówią mi, że będziemy tego potrzebować.

- W rzeczy samej, będziecie. - Wielki impresario nalał pełne szklaneczki whisky. Siadając na powrót w swoim fotelu, opowiadał dalej. Na jego twarzy było widać ból, którego powód wkrótce stał się oczywisty.

- Uważałem, że Farl jest autentycznym medium, że rozmawia bezpośrednio ze zmarłymi - kontynuował pan Barnum. - Poprosiłem go, by skontaktował się z moją matką, zadał jej pewne określone pytania, na które jedynie ona mogła odpowiedzieć. Odpowiedzi, jakie mi przekazał, były prawdziwe w każdym szczególe.

- To znaczy, że on rozmawiał ze zmarłymi - przyznał George skonsternowany.

- Nie. Odpowiedzi były właściwe, lecz moja matka w tym czasie żyła sobie szczęśliwie w swoim domu.

- To było czytanie w myślach - stwierdził profesor Coffin. - Widziałem takie pokazy. Wydają się niewytłumaczalne, ale medium tak naprawdę wydobywa żądane informacje z podświadomych gestów i ruchów ciała.

- Nadal pan nie rozumie - powiedział P.T. Barnum.

- Tak jak ja wtedy. Wszystko jest połączone. Wszystko - wszyscy żyjący, martwi, mieszkańcy tej planety i każdej innej - wszystko jest częścią jednej istoty. Duszy świata,

uniwersalnej duszy. Duszy samego Boga. Powiem wam, co się zdarzyło i co się dopiero wydarzy. Byłem sceptyczny co do pokazu pana Farla. Odpowiedzi były właściwe, a jednak moja matka nadal żyła. Więc eksperymentowałem z nim dalej. Zaczął odbierać informacje od istoty, która nazywała samą siebie Hieronimus, a która przekazała Farlowi zestaw instrukcji do skonstruowania urządzenia mechanicznego do spełniania życzeń. Ta maszyna miała za zadanie tylko jedno: szukać czegoś cennego, co zostało zagubione. Czegoś o najwyższej wadze. Czegoś o nazwie Sayito. Sebastian Farl przekonał siebie samego, i muszę przyznać, że mnie także, iż rozmawiał bezpośrednio z aniołami. Ta maszyna życzeń miała być czymś w rodzaju dziewiętnastowiecznej Arki Przymierza. Byłaby łącznikiem między ludzkością a Sayito...

- Ale czym jest Sayito? - dopytywał się George. - Czym jest Japońska Dziewczyna Płaszczka?

- Jest boginią - odparł P.T. Barnum. - Żyjącą, oddychającą boginią. I eklezjaści z Wenus, którzy komunikowali się z panem Farlem i o których pan Farl myślał, że są aniołami, wierzyli, że ta bogini jest gdzieś na Ziemi. Podyktowali panu Farlowi plany maszyny, która mogła ją zlokalizować, aby on mógł ją dla nich odnaleźć.

- To nie ma sensu - stwierdził George. - Wiemy teraz, że ludzie z Wenus i Jowisza odwiedzali Ziemię od wielu lat. Z pewnością mogli sami odszukać boginię bez pomocy Ziemi.

- Gdyby Wenusjanie i Jowiszanie mogli poruszać się między nami anonimowo i bez przyciągania uwagi, prawdopodobnie tak by było. Lecz nigdy tak nie było i nie jest do dzisiaj. Istnieje organizacja oświeconych ludzi, połączona z każdym rządem na Ziemi, która monitoruje ruchy przybyszów z innych planet. W pierwszym rządzie odpowiadają oni przed Watykanem i ich zakon powstał jeszcze za czasów inkwizycji. Są znani jako Dzentelmeni w Czerni.

W głowie George'a tak już wirowało, że uniósł dłonie.

- Nie, proszę, niech pan zwolni, sir, jeśliś łaskaw - rzekł. - Mówi nam pan, a przynajmniej na to wygląda, że żyjąca bogini o imieniu Sayito naprawdę istnieje i że eklezjaści z Wenus chcą w jakiś sposób ją zdobyć, porwać z naszej planety - to pan sugeruje?

- Taka jest prawda - odpowiedział pan Barnum.

- Dzentelmeni w Czerni od stuleci powstrzymywali ich próby dostania się na naszą planetę. Dlatego też eklezjaści wymyślili nową taktykę. Większość prostych ludzi uważa media za nieszkodliwych dziwaków. Jeśli jakieś na wpół obłąkane medium zbudowałoby zwariowaną maszynę życzeń, to kto podejrzewałby, że kryją się za tym zbrodnicze motywy? I

musisz zrozumieć, George'u Foksie, że dopiero kiedy mieszkańcy Wenus nawiązali oficjalne kontakty z mieszkańcami tej planety, zrozumiałem, że te przekazy nie pochodziły od aniołów, lecz od istot z innej planety. Dowiedziałem się o ich świętej księdze, Księdze Sayito, rękopisie napisanym w ich języku, ale który może być rozumiany przez każdego. Lecz wtedy było to już bez znaczenia. Nadzorowałem i opłaciłem konstrukcję tej maszyny z czysto egoistycznych powodów - chciałem w ten sposób zdobyć i wystawić największą atrakcję na Ziemi, żyjącą boginię. Wyobraźcie to sobie, jeśli łaska. Żyjąca bogini.

George Fox przytaknął z namysłem, a potem spytał, czy Maszyna Hieronymusa naprawdę została zbudowana.

- W rzeczy samej. Za nienależnie wielkie pieniądze. I przetestowana, tylko raz. Jedenaście lat temu.

George Fox spojrzął w oczy pana Barnumowi.

- Czy w tej dacie jest coś ważnego?

- Obawiam się, że tak. Maszyna została skonstruowana w Londynie. W jej stworzeniu brały udział dwa największe umysły - pan Charles Babbage i pan Nikola Tesla. Nie do końca rozumiem, na czym polega działanie tej piekielnej maszyny, wiem tylko, że kiedy została wprawiona w ruch, wytworzyła energetyczny impuls o tak niewiarygodnie wielkiej mocy, że przeniknął on ten świat i wydostał się na zewnątrz. Przypuszczam, że taki był cel - jakieś eteryczne fale miały przenieść wiadomość na Wenus. W ten sposób miejsce tego, czego szukano, zostanie ujawnione eklezjastom na tym odległym globie.

- Czytałem o tym - przypomniał sobie George. - Praca pana Tesli, wiadomości przesyłane przez powietrze z jednego miejsca w drugie. Nazywa się to telegrafia.

- I tak samo między planetami - dodał P.T. Barnum. - Ale historia nie zanotowała, że ta wiadomość dotarła również do innego świata. Świata wojowniczych istot, które także szukały sposobu na zdobycie największego skarbu wszechświata dla siebie.

- Marsjanie - domyślił się George. - Marsjanie odebrali wiadomość.

P.T. Barnum pochylił głowę.

- W rzeczy samej.

- Więc pan...

- Więc ja - powiedział P.T. Barnum - z powodu mojej głupoty i pragnienia posiadania największego skarbu wszechświata - żyjącej bogini - sfinansowałem zbudowanie Maszyny Hieronymusa i to ja jestem odpowiedzialny za to, co pisarz H.G. Wells nazwał „wojną światów”.

# 18

Usłyszawszy to, George zaniemówił. W przeciwieństwie do profesora Coffina.

- Bogini - rzekł. - Sayito. Czy ta Maszyna Hieronymusa obliczyła jej lokację?

- Znużyłem się - powiedział pan Barnum. - Nie mogę już więcej o tym rozmawiać.

- Wręcz przeciwnie. - Profesor Coffin podniósł się z fotela, obszedł potężne biurko i podstawił smukłą fiolkę pod nos impresaria. - Gdzie jest Sayito? - spytał. - Gdzie jest Japońska Dziewczyna Płaszczka?

- Nie wiem - krzyknął pan Barnum, chwając się.

- Maszyna sama się zniszczyła - jak przypuszczam, było to w niej zaprogramowane. Jakakolwiek wiadomość została wysłana, to ja jej nie znam. Marsjanie zaatakowali Londyn, miejsce, gdzie była maszyna, i na końcu zostali pokonani przez ziemskie bakterie.

Profesor Coffin potrząsnął panem Barnumem.

- Niech pan tego nie robi - sprzeciwił się George.

- Powiedział nam wszystko, co wiedział. I tak już mam dreszcze.

Coffin uniósł dłonie.

- I to jest wszystko, co pan wie? Zadałem proste pytanie. Czy pan wie, gdzie możemy ją znaleźć?

- Wiem coś jeszcze - odparł pan Barnum. - Ale nie chcę o tym mówić.

- Nalegam, aby mi pan powiedział. Natychmiast.

- Tylko to. - P.T. Barnum walczył ze sobą, żeby nie powiedzieć, lecz najwyraźniej czuł przymus, któremu nie był w stanie się oprzeć. - Kiedy maszyna uległa samozniszczeniu, Sebastian Farl powiedział dwa słowa, a potem padł na ziemię martwy.

- Co powiedział?

- *Umbilicus Mundi*.

- Co to znaczy?

- Dosłownie „pepek świata”.

- Masz na myśli środek Ziemi?

- Pepek świata, tylko tyle wiem.

- I to absolutnie wszystko? - żądał odpowiedzi profesor.

- Wszystko - odparł P.T. Barnum. - I ciągle jestem prześladowany przez takich ludzi jak wy. Te poszukiwania muszą się skończyć. Sayito należy zostawić w spokoju. Wierzę, że ona jest ostatnią z bogów. Ostatnią ze starożytnego panteonu. Nie dla oczu śmiertelników. Nie jest jakąś tam atrakcją, na którą kmiotkowie mogą się gapić. Jeśli waszym celem jest znalezienie jej, przestańcie, dopóki jeszcze możecie. Nic z waszych poszukiwań nie przyjdzie dobrego, jedynie samo zło.

- W porządku. Więcej nie będę pana kłopotał. Teraz zaśnie pan na pół godziny. Po obudzeniu się nie będzie pan miał żadnych wspomnień z tej konwersacji, nie będzie pan nawet wiedział, że nas spotkał. Będzie pan szczęśliwy i spokojny. A teraz, proszę, zaśniej.

Phineas Taylor Barnum, największy impresario świata, położył głowę na biurku i zaczął głośno chrapać.

- Chodź, George - mruknął profesor Coffin. - Niczego więcej już się tutaj nie dowiemy, musimy kontynuować nasze poszukiwania gdzie indziej.

George spojrzał na niego.

- O czym pan mówi?

- Że wiemy, iż Sayito istnieje. To nie była zmarnowana wizyta.

- Nie - powiedział George. - I nie, nie, nie. Pan nie rozumie? Ten człowiek zrobił coś strasznego. Chciał znaleźć Sayito i jego chciwość doprowadziła do śmierci tysięcy ludzi. Jak sam powiedział: „Nic z waszych poszukiwań nie przyjdzie dobrego, jedynie samo zło”.

- Czasami wychodzi z niego ponura natura - odparł profesor - lecz często tak bywa z wielkimi postaciami. Mnie samego od czasu do czasu ogarniają złe przeczucia, obawy.

- Pan mnie nie słucha. Musimy porzucić poszukiwania. Ja już mam dość. Koniec. To wszystko jest okropne.

Profesor Coffin pokręcił głową.

- George, George, George. To ty nie rozumiesz. Macmoyster Farl, syn Sebastiana Farla, wypowiedział prorocstwo. Ty znajdziesz Sayito. To twoje przeznaczenie, George.

- Nie. - George po raz kolejny wstał z taboretu na słoniowych nogach. - Nie chcę brać w tym udziału. Przykro mi, profesorze. Zainwestowałem pan w tę wyprawę wszystko, co pan posiadał, ale to beznadziejne przedsięwzięcie. Mamy do czynienia z siłami mistycznymi, potęgą bogów. Pokonanie ich nie leży w naszym zasięgu.

- Trattara tam tam. Pojmuję. Więc tak to jest.

- Jest, jak jest. Przykro mi, lecz tak to jest.

- W porządku, George, doceniam, że mi to powiedziałeś. Jesteś dobrym i uczciwym chłopcem i zmuszanie cię do zrobienia czegokolwiek wbrew twojej woli byłoby niewłaściwe.



Rozumiem.

- Ta cała sprawa jest niewłaściwa - powiedział George. - I ja tego nie zrobię.

- Rozumiem. - Profesor Coffin obrzucił George'a spojrzeniem od stóp do głowy. - Czujesz się dobrze? Wydajesz się wstrząśnięty, jesteś bardzo blady.

- To wszystko było niepokojące. Ale dojdę do siebie.

- Nie jestem taki pewien. A twoje zdrowie i powodzenie jest dla mnie sprawą najważniejszą. Nie chcę, żebyś zachorował. Zażyj nieco wzmacniacza.

- Nieco czego?

Lecz nic więcej nie udało mu się powiedzieć, gdyż nagle smukła fiolka pełna bezbarwnego płynu została podsunęta pod jego nos i przez jakiś czas George nie był w stanie nic powiedzieć.

Dotarła do niego woń kawy. Bardzo aromatycznej.

- Oni wiedzą, jak parzyć kawę - powiedział profesor Coffin. - Ta mieszanka ma w sobie wanilię.

George powąchał, a potem upił z kubka.

- Bardzo smaczna - ocenił. I uświadomiwszy sobie nagle, że niezupełnie wie, gdzie jest ani jakim cudem się tu znalazł, postanowił dowiedzieć się tego od profesora.

Ten odparł:

- No co ty, George.

Siedzieli na wiklinowych krzesłach przed delikatesami Delmonico, na stoliku stała kawa, a w dłoniach trzymali cygara.

- Powiedziałeś, że masz ochotę na kubek amerykańskiej kawy - wyjaśnił profesor Coffin. - Pamiętasz, jak to mówiłeś, prawda?

- Och, tak. - George rozejrzał się wokół. Było popołudnie, promienie słońca przebijały się między drapaczami chmur i rzucały ukośne cienie. - Nie powinniśmy odwiedzić Amerykańskiego Muzeum Barnuma? - spytał. - Przypominam sobie, że wcześniej pan coś o tym mówił.

- Nie sądzę. - Profesor zapalił cygaro. - Nie sądzę, żebyśmy mogli się tam dowiedzieć czegoś użytecznego. Myślę, że powinniśmy gdzie indziej zacząć nasze poszukiwania.

- W porządku - odparł George, rozkoszując się kawą. - Niech będzie tak, jak pan uważa za najkorzystniejsze.

Profesor Coffin skinął głową i uśmiechnął się.

- Niech będzie tak, jak uważam za najkorzystniejsze.

Wrócili na „Imperatorową Marsa” po czwartej po południu.

- Idź się zdrzemnij - zasugerował profesor. - Spotkamy się o ósmej na kolacji w wielkiej jadalni, a potem pójdziemy na wykład do audytorium.

- Na statku jest audytorium? - zdziwił się George.

- Obok sali koncertowej. Między nią a salą gimnastyczną.

- A o czym będzie ten wykład?

- „Zaawansowany rachunek różniczkowy i twierdzenie Euklidesa”.

- Właściwie po posiłku lubię się przejść po pokładzie spacerowym - powiedział George.

- Wykładowcą będzie pan Charles Babbage - wyjaśnił profesor Coffin. - A pan Babbage ma nam mnóstwo do powiedzenia. - Puścił do George'a porozumiewawcze oczko, co wprawiło młodzieńca w konsternację.

Był tak samo zmieszany, kiedy wrócił do kabiny i ułożył się do popołudniowej drzemki. Kiedy już zasypiał, zastanawiał się, dlaczego ostatnimi dniami czuł się po południu dziwnie zmęczony. I nad tym, czy aby w jego głowie coś nie zaczynało szwankować. Męczyły go dziwaczne myśli, dotyczące tego, co robił danego dnia. Wydawało się, że coś mu umknęło. Mógł sobie przypomnieć, jak opuszczali statek i wchodzili do kanarkowo żółtej dorożki. Ale następną rzeczą, jaką pamiętał, to jak pił waniliową kawę na zewnątrz delikatesów Delmonico. A między jednym a drugim minęło kilka godzin. George westchnął żałośnie. Zapyta o to profesora, kiedy się obudzi.

Profesor uspokoi jego myśli.

Profesor wie, co jest najkorzystniejsze.

Kołysząc się leciutko w hamaku, George zapadł w sen...

Żeby obudzić się gwałtownie z dziwnego snu o korpulentnym mężczyźnie w dziwnym pokoju. Obudził go ogłuszający huk i fala uderzeniowa, która przewróciła umywalkę, a jego wyrzuciła z hamaka.

George pozbierał się z podłogi, cały czas słysząc krzyki i dzwonki alarmowe.

Musiało się stać coś strasznego.

# 19

George otworzył drzwi kabiny i zobaczył korytarz pełen wrzeszczących ludzi. Niektórzy byli nieprzyzwoicie rozebrani, a wszyscy przerażeni i spanikowani.

- Co się stało? - Próbował przekrzyknąć straszliwą wrzawę, żeby ktoś go usłyszał. - Co się stało? Niech mi ktoś powie, proszę!

Niestety, nikt nie był specjalnie zainteresowany odpowiedzią na jego pytanie. Jakby wszyscy oszaleli.

Zauważył ściśniętego w tłumie pucybuta, więc chwycił go za kark i wciągnął do kabiny.

- Proszę mnie puścić - krzyczał chłopiec. - Statek spada i wszyscy jesteśmy straceni!

- Tam ciebie zgniotą. - George zamknął drzwi. - Teraz mów, co się stało.

- Zostaliśmy zaatakowani - zajęczał nieszczęśnik.

- Anarchiści zbombardowali statek. Musimy ratować życie.

- To może się okazać nieco problematyczne. - George przyjrzał się iluminatorowi.

- Nie możemy tędy wyjść, sir. - Pucybut cały się trząsał. - Anarchiści siedzą na drzewach i strzelają do nas z rusznic.

- Naprawdę? A ja miałem wrażenie, że w korytarzu wyczułem dym. Czy przez przypadek się nie palimy?

- Tak, sir, palimy się. Bomba uderzyła w Kinemę. Jest tam straszny pożar.

- Kinema?

- Jest na górnym pokładzie, między salą do golfa a lodowiskiem.

- W rzeczy samej - mruknął George. Powoli. - Cóż, mamy do wyboru zostać i się usmażyć albo zaryzykować iluminator. Co ty na to?

- Pójdę za panem przez iluminator, sir - powiedział chłopak. Z namysłem.

- Jest dosyć wysoko - powiedział George. Z takim samym namysłem. - Chyba najlepiej będzie, jeśli cię podsadzę i pomogę ci się precyzyjnie.

Pucybut był mniejszy niż George. No i George ratował go przed śmiercią w dymie i płomieniach.

- I już! - stęknął George, kiedy wypychał chłopca przez otwarty iluminator.

Chłopiec ani nie spadł na zatracenie, ani też nie został zastrzelony przez snajpera. Upadł bezpiecznie na pokład służbowy, niecały metr poniżej iluminatora, tak jak przewidział George. On musiał się nieco wysilić, żeby precyzyjnie się przez otwór, ale strach przed nieuchronnym nieszczęściem dodaje stopom skrzydeł i pozwala sięgnąć po takie rezerwy siły, jakie w innych okolicznościach nie byłyby osiągalne.

Spadł na pokład za chłopcem.

- Wygląda, że tu całkiem bezpiecznie - rzekł. - Gdzie jest Kinema?

Pucybut wskazał palcem.

- W takim razie powinniśmy uciekać w przeciwną stronę. Trzymaj się blisko mnie.

Teraz George już wiedział, tak jak wielu na pokładzie wielkiego statku powietrznego wiedziało już przedtem, że wielki pęcherz został wypełniony helem. I że hel był stabilnym, niepalnym gazem. Więc z pewnością nie czeka ich tu potężna, wszystko ogarniająca eksplozja, która wymaże z mapy pasażerów statku, sam statek, Central Park i kawałek Nowego Jorku. Ale ogień to zawsze ogień, a zdjęty strachem tłum przerażał.

Ludziska już teraz wyskakiwali przez barierki ochronne. Spadali na drzewa, nawet do jeziora. A zapewne jezioro było celem tych, którzy tłumnie obsiedli łodzie ratunkowe.

W sali balowej orkiestra nadal grała. Jakby nie stało się nic niespodziewanego.

- Tak sobie myślę - powiedział George do pucybuta, kiedy przyglądali się błyskom chaosu i zamętu - iż może się to wydawać antyintuicyjne.

- Anty-co? - spytał chłopiec.

- Wbrew zdrowemu rozsądkowi - wyjaśnił George. - Ale sądzę, że będzie lepiej, jeśli wdrapiemy się wyżej, niż gdybyśmy mieli zaryzykować skok w dół.

- Wdrapać się wyżej? - Chłopak odchylił głowę do tyłu, żeby spojrzeć na akry srebrnych żagli wypełniających większą część nieba. - Wspiąć się tam? Oszalał pan?

- Oni pewnie wkrótce uporają się z ogniem - tłumaczył George. - A jeśli zeskoczysz w dół, prawdopodobnie sobie coś złamiesz albo ktoś na ciebie spadnie, albo jeden z tych anarchistycznych snajperów cię ustrzeli. I co ty na to?

- Myślę, że jeszcze raz pójde za panem, sir - odparł chłopak, któremu nie brakowało bystrości.

Zaczęli się wspinać. Po trapach towarowych, linach okrętowych i cumach, ręka za ręką, bez przestanku. Było tak, jakby zdobywali cudowną górę, bajkowo srebrną i lśniącą. Cudowność tego nie umknęła George'owi, jakkolwiek w głębi tkwiła w nim pewna obawa, dotycząca tego, co może się stać, jeśli pęcherz gazowy naprawdę zostanie przebity. Rzeczywiście, wtedy spadaliby długo, długo i chociaż on naturalnie martwił się o siebie,

jeszcze bardziej martwił się o pucybuta, który stał się teraz, w oczach George'a, jego podopiecznym.

- Jeśli pęcherz z gazem zostanie przebity - zaczął chłopiec - to...

- Nie zostanie - przerwał mu George. - Zaufaj mi.

Widok ze szczytu „Imperatorowej Marsa” mieli ładny. To, co się działo niżej, było szczęśliwie zakryte wybrzuszeniami boków statku, więc widok był w większości panoramiczny i przyjemny. Wielki park i wysoko wznoszące się za nim budynki. Jednakże bijący z „Imperatorowej Marsa” słup dymu rzeczywiście przykrywał większość tego, co leżało na wschodzie.

- U ciebie wszystko w porządku? - spytał George chłopca. - Upewnij się, że zawsze czegoś mocno się trzymasz.

Chłopak spojrzał na niego i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nie jest pan taki jak ci inni ważniacy, sir. Z pewnością uratował mnie pan przed zadeptaniem. Myślę, że powinienem podziękować za uratowanie mi życia.

- Zrobiłem to, co zrobiłby każdy - odparł George. Jednak w głębi serca wiedział, że tak nie jest. - Zastanawiam się, dlaczego anarchiści chcieliby wysadzić statek - zastanowił się głośno.

- Bo prawdopodobnie nie są anarchistami - powiedział pucybut. - Prawdopodobnie to owi Kreacjoniści, którzy nienawidzą Wenusjan.

- O czym ty mówisz?

- Wszystkie gazety tutaj o tym pisały, sir. Ja czytam gazety. Czytałem je w Anglii, a potem znalazłem tutejsze, żeby je czytać. Mam nadzieję zostać pisarzem, sir. Kiedy dorosnę.

- Godna uznania ambicja - pochwalił George. - Pisanie jest szlachetnym zawodem.

- Nie ten rodzaj pisania, o jakim myślę, sir. Chcę się specjalizować w literaturze dla dorosłych. Książki erotyczne, lub sprośne, jak powszechnie się je nazywa. Lecz jak już powiedziałem, w londyńskich gazetach nie wspomniano, że statek będzie zagrożony, gdy tylko przybędzie do Nowego Jorku. Tutejsze gazety mówią, że grupa Chrześcijańskich Fundamentalistów, „kult”, jak się ich tutaj nazywa, chce zniszczyć „Imperatorową Marsa” i wszystkich na jej pokładzie. Twierdzą bowiem, że jest powietrzną Sodomą i Gomorą, i że Wenusjanie i Jowiszanie są pomiotem szatana i przybyli na Ziemię, żeby zacząć koniec świata, zanim nadejdzie właściwy czas na ten koniec.

George'owi udało się wydać z siebie jedynie jęklliwe:

- Naprawdę? - co i tak było dość trudne, kiedy się miało opadniętą szczękę.

- Oni nie mają duszy, wie pan.

- Kto? - George próbował wziąć się w garść. - Chrześcijańscy fundamentaliści?

- Nie, ludziska z Wenus i Júpitera. Nie są jak my. My mamy dusze, bo rajski ogród był u nas, na tej planecie. Jesteśmy prawdziwymi dziećmi Boga. A tamci to diabelskie plemie. Powinni wrócić na swoje szatańskie planety.

- I ci Chrześcijańscy Fundamentalisci w to wierzą, tak?

- Chyba wszyscy w to wierzą - stwierdził pucybut. - Dla mnie to brzmi całkiem rozsądnie.

George ze smutkiem pokręcił głową.

- Myślę, że wszyscy powinniśmy współżyć w pokoju - rzekł.

- O, ja także, sir. Kiedy tylko odeślemy te kosmiczne świnię na ich planety.

Przez chwilę George zastanawiał się nad wyrzuceniem chłopca przez burtę. Czy świat naprawdę potrzebuje rasistowskiego autora pornografii? Czy nie ma ich już wystarczająco? A jeśli nawet nie ma ani jednego, to czy naprawdę jakiegoś potrzebuje?

- Patrzy pan na mnie jakoś tak pedalsko - powiedział pucybut. - W razie gdyby zaszło jakieś nieporozumienie, proszę pozwolić mi pozbawić się złudzeń. Tylko dlatego, że młody człowiek postanawia zrobić karierę, pisząc sprośną literaturę, to niekoniecznie znaczy, że ów młody mężczyzna jest seksualnym maniakiem, chętnym do uczestnictwa w akcie sodomii.

- Natychmiast przestań. Z pewnością nie myślałem o tym, o czym mógłbyś myśleć, że myślałem.

- Myślę, biorąc pod uwagę pana wypowiedź, że kariera w jakiegokolwiek dziedzinie literatury jest prawdopodobnie nie dla pana.

I jako karę za pyskowanie dostał cios w głowę, który nim zachwiał.

- Wybacz - powiedział George. - Ale naprawdę się o to prosiłeś.

- Właśnie, sir. Przemoc jest elokwencją nieuków, zawsze to mówię. I zawsze bezpieczniej jest okazać ją mniejszym od siebie.

- Naprawdę już dosyć - upomniał go George. - Siedź tu cicho, dopóki sprawy na dole się nie uspokoją i ogień zostanie ugaszony. Potem zejdziemy i zajmiemy się własnymi sprawami. Rozumiesz?

- Tak, sir. - Pucybut wreszcie się uspokoił.

Ale nie do końca.

Wiercił się niemożebnie, czepiając się wszystkiego dookoła. George westchnął w duchu i zaczął rozglądać się wokół. Gdzieś w oddali dostrzegł kolorowy błysk ponad srebrnymi szczytami statku. Niewielki błysk czerwiem między całą tą srebrzystością. Osłonił oczy przed blaskiem zachodzącego słońca i wpatrzył się w to intensywnie. Potem powiedział

chłopcu, żeby został na miejscu, a sam potruchtał przez obszerną powierzchnię.

Siedziała sobie bardzo wygodnie. Obok niej stał otwarty kosz piknikowy. Na dwóch talerzach leżały świeżo przygotowane kanapki. Doskonały wybór ciast. Kiedy George się zbliżył, uśmiechnęła się do niego i uniosła kieliszek z szampanem.

- Miałam nadzieję - powiedziała Ada Lovelace, podając George'owi wino z bąbelkami - że jeśli ktokolwiek będzie na tyle pomysłowy, żeby się wspiąć wyżej, zamiast zeskoczyć na dół, to tym kimś będziesz ty.

Uśmiechnął się szeroko, przyjął kieliszek i upił szampana.

- Jak miło znów cię spotkać - powiedział. - Masz coś przeciwko, żebym wypił z tobą herbatę?

Lecz George nie miał szansy napić się herbaty, gdyż kolejna eksplozja i fala uderzeniowa zbiły go z nóg.

## 20

Leżąc na plecach na szczycie statku powietrznego, George patrzył na niebo. Słońce powoli zachodziło i wylaniały się gwiazdy. Dostrzegał pojawiającą się Wenus, mrugała do niego tajemniczo...

I wtedy w jego uszy uderzył okropny ryk.

- Co znowu? - jęknął, a potem: - Kiedy to szaleństwo wreszcie się skończy?

- Myślę, że już wkrótce. - Ada Lovelace pomogła George'owi unieść się do pozycji siedzącej, a potem znów naląła szampana do jego niemal pustego kieliszka.

- Ten hałas? - Trzepnął dłonią bok głowy, w drugiej trzymał mocno kieliszek, żeby szampan mu się nie wylał. - Co to był za straszny ryk? - I nie czekając na odpowiedź, zadał kolejne pytanie: - Co się dzieje?

- „Imperatorowa Marsa” odlatuje - wyjaśniła Ada, ostrożnie nalewając szampana. - A odpowiedź na twoje pierwsze pytanie „Co to był za straszny ryk?": Włączył się system obronno-odwetowy statku. Wynalazek pana Tesli uzyskany za pomocą wstecznej inżynierii technologii marsjańskiej. Zwany promieniem cieplnym.

- Co? - George, osłupiały, próbował znaleźć jakiś sens w tym wszystkim, co działo się wokół niego.

Gdyby stał w miejscu, które zapewniałoby mu trzystusześcdziesięciostopniowy widok na to, co działo się niżej, zobaczyłby, że wielki statek powietrzny był teraz otoczony ścianą ognia. Drzewa w Central Parku płonęły. Snajperzy anarchistów, a być może Chrześcijańskich Fundamentalistów, zeskakiwali z gałęzi, paląc się. Skoczkowie, którzy ocaleli, klepali się, próbowali ugasić palące się ubrania. A wielki statek wznosił się w niebo. Wyżej, wyżej i jeszcze wyżej. To było niemal niepokojące.

Liny cumownicze naciągnęły się i zerwały, „Imperatorowa Marsa” skoczyła w niebo potężnym łukiem. Ogień z jej dział runął w dół, przeleciał przez Central Park, uderzył w otaczające go wysokie biurowce.

Ada Lovelace przyłgnęła do George'a, co wielce go ucieszyło. „Imperatorowa Marsa” wzniosła się wysoko i odpłynęła, ciągnąc za sobą ścieżkę ognia.

George i Ada pozostali na górze statku. Patrzyli, jak Nowy Jork zmniejsza się za rufą,



a płomienie stają się bladą poświatą, która już zniknęła w nadchodzącym zmierzchu.

- Jestem pewien - powiedział George - że spłonęła duża część Nowego Jorku.

Wzruszyła ramionami:

- Oni to zaczęli.

Co przypomniało George'owi pucybuta, i zastanawiał się, czy ocalał.

- Jeśli myślisz o mnie, to ze mną wszystko w porządku, szefuniu - powiedział chłopiec. Właśnie siedział bezpiecznie przy koszu piknikowym Ady i zajadał się keksem.

- To jest szaleństwo. - George był wstrząśnięty. - To wszystko jest szaleństwem.

- Nie sądzę, żeby załoga, która wystrzeliła promień cieplny, chciała dokonać takich zniszczeń - stwierdziła Ada. - Jakkolwiek w tym całym podnieceniu mogli nieco stracić kontrolę.

- Skąd wiesz o tym promieniu cieplnym?

- Znam każdy centymetr statku. Mieszkam na nim, od kiedy został wystrzelony. Na tym statku jest ukrytych wiele tajemnic, ale żadna nie jest tajemnicą dla mnie.

- Jesteś najbardziej niezwykłą młodą kobietą - zauważył George. - Myślisz, że jest wystarczająco bezpiecznie, żebyśmy mogli zejść na dół?

- Myślę, że tak. Ale obawiam się, że dzisiejszy pokaz w Kinematicu zostanie odwołany.

Pokład spacerowy stracił wiele ze swego uroku. Ranni leżeli na leżakach. Inni, którzy przeszli po stanie bycia rannym w stan bycia martwym, byli przykryci ręcznikami i kocami. Wokół unosiły się jęki i atmosfera żałoby, i wszelkie ślady poprzedniej radości zniknęły bez śladu. Ci, którzy chodzili, przeważnie robili, co mogli, by opiekować się tymi, którzy nie mogli, ale pokład emanował aurą strefy wojny, zdecydowanie posępnej.

George'owi z trudem udało się uchwycić wzrok kelnera od win, który starał się uniknąć kontaktu wzrokowego z kimkolwiek i sprawiać wrażenie tak małego, jak to możliwe.

- Wiesz, co się dzieje? - spytał George tego gościa. - Wracamy do Londynu?

- Nie sądzę, sir. Następny przystanek to San Francisco, a z tym wiatrem będziemy mieli dobry czas.

- Kontynuujemy podróż? - zdumiał się George.

- Zgodnie z tym, co mówi kapitan, tak. - Kelner od win przybrał profesjonalny wyraz twarzy. - Ludzie zapłacili mnóstwo pieniędzy za tę wycieczkę, sir. Nie możemy ich zawieść, prawda?

- Co? - sapnął George. - Nie zawieść ich? Ilu poniosło śmierć, jeśli mogę spytać?

- Śmierć? - Kelner od win skrzywił się. - Śmierć? Śmierć jest takim brzydkim słowem, nieprawdaż? Ja preferuję termin „pasażerowie niejedzący”.

- Ilu poniosło śmierć? - George zażądał odpowiedzi.

- Sądzę, że dzisiaj wieczorem będzie około stu osiemdziesięciu pustych miejsc w jadalni, sir. Bardzo możliwe, że będę mógł zaferować panu i pana uroczej towarzysze lepsze miejsce. Stolik lorda Brentforda stał się dostępny. Siedzi tam tylko jego małpi kamerdyner, ale jestem pewien, że nie będziecie mieli nic przeciwko, żeby go z nim podzielić.

George zmierzył kelnera wzrokiem od dołu po sam czubek głowy. To była bezczelność, czyż nie? Zupełnie jak w wypadku pucybuta. Służba na tym statku jak widać gardziła pasażerami.

- Tak - powiedział George. - Nazywam się lord George Fox i stolik lorda Brentforda będzie doskonały. Poprowadź nas tam natychmiast, dobry człowieku, i przynieś nam butelkę bąbelków.

Ludzie w jadalni też nie wyglądali najlepiej. Ci, którzy nie byli naprawdę nadpaleni, mieli czerwone twarze, z wyglądu jakby spalone od słońca - uboczne ofiary pokładowego systemu obronno-odwetowego.

Większość wydawała się być w szoku. Prawdę mówiąc, tylko niewielu tak naprawdę jadło.

Kelner od win uprzejmie podsuswał i poprzysuswał krzesła. George i Ada uśmiechnęli się do niego.

- Przynieś szampana - powiedział George.

Kelner odpłynął bez pośpiechu.

George wzruszył ramionami na użytek Ady.

Jednakże Ada tego nie widziała. Przelatywała przez welinowe karty menu, śliniąc się przy tym. Jakkolwiek raz spojrzała na George'a.

- Mogę zamówić cokolwiek? - spytała.

- Cokolwiek chcesz - odparł. - Cokolwiek chcesz.

A potem pomyślał o zapłaceniu rachunku. Co przywiodło mu na myśl profesora Coffina. Co sprawiło, że pomyślał, jakąż on, George, musi być okropną osobą, że nie pomyślał o profesorze wcześniej. A co, jeśli nie żył?

- Och nie - powiedział. - To straszne. Jestem okropnym towarzyszem.

- Naprawdę? - Ada nie odrywała oczu od menu.

- Mój towarzysz podróży, profesor, może być martwy, a ja siedzę tutaj z tobą i...
- On nie jest martwy.
- Znasz go? Wiesz, o kim mówię?
- Ten krętacz, który dziś rano zabrał cię do Amerykańskiego Muzeum Barnuma.
- Co? - zdumiał się George.
- Wyślizgnęłam się ze statku zaraz za tobą. Widziałam, jak wsiadaliście do dorożki.

Słyszałam, jak on mówił dorożkarzowi, dokąd ma jechać.

- Amerykańskie Muzeum? - George przeszukiwał zakamarki mózgu, ale nie wygrzebał żadnych wspomnień z Amerykańskiego Muzeum.

- To wszystko jest bardzo dziwne - powiedział. - Ale skąd wiesz, że profesor nie jest martwy?

- Właśnie idzie w naszą stronę. Jak myślisz, powinnam sobie pójść?

- Z pewnością nie. Tak naprawdę nie akceptuję kłamstwa, ale nie zaprzeczę niczemu, co mu powiesz. Obojętne, czy zechcesz podnieść swój status społeczny do „jaśnie pani” czy cokolwiek.

I George uśmiechnął się do Ady, ona uśmiechnęła się do George'a, a potem oboje uśmiechnęli się do profesora.

- Trattara tam tam. - Sunąc tanecznym krokiem, skłonił się głęboko. - Jesteś w dobrym zdrowiu, młody George'u, niech będą dzięki wszystkim świętym. Szukałem cię, przeczesywałem cały statek, w strachu, że mogłeś wypaść. A ty czujesz się dobrze i w towarzystwie pięknej młodej kobiety siedzisz przy stoliku lorda Brentforda. Dobry wieczór, Darwin.

Małpi kamerdyner lorda Brentforda zabelkotał w odpowiedzi.

- Czuję się dobrze - potwierdził George - i jestem szczęśliwy, widząc, że pan również, a to jest...

- Ada Fox - przedstawiła się. - Jestem siostrą George'a.

- Siostrą? - Profesor Coffin, aż odchylił się zaskoczenia. - Siostrą George'a? Nigdy nie opowiadałeś mi o żadnej siostrze. To jest dla mnie wielka niespodzianka.

- Nie większa niż dla mnie - odparł George. - Co znaczy, oczywiście, że nie wiedziałem, iż moja siostra jest na pokładzie statku. Nie jesteśmy bliską rodziną. Siostra przybyła do Ameryki, szukając pracy jako...

- Tancerka - uzupełniła Ada „Fox”.

- Matematyczka? - powiedział George.

- Szampana, sir? - spytał kelner od win. - Czy wasz złowieszczy dziadek dołączy do

stolika na kolację?

- Co powiedziałaś? - Profesor Coffin zmierzył kelnera wzrokiem.

- Pytam, czy szanowny dziadek, mianowicie pan, sir, dołączy do młodego jaśnie pana na kolację.

- Zdecydowanie tak - powiedział profesor Coffin i, odrzucając do tyłu poły marynarki, opadł na krzesło.

Szampan lał się strumieniami. Zamówiono i zjedzono wspaniały posiłek, konwersacje stawały się coraz bardziej wesołe i przynajmniej przy stoliku lorda George'a wszyscy bawili się doskonale.

- Możemy zatrzymać małego kamerdynera? - spytał George profesora. - Wydaje się, że jest teraz sierotą.

Coffin wykrzywił się pociesznie.

- Oczywiście. Czy ty i twoja siostra mieliście w dzieciństwie jakieś zwierzaki?

- Tak - powiedziała Ada.

- Nie - powiedział George.

Oboje powiedzieli to jednocześnie.

- Co znaczy - wyjaśnił George - że tak, Ada miała, ale nie, ja nie miałem.

- A jakiego zwierzaka miałas?

- Psa - powiedział George.

I:

- Kota - powiedziała Ada.

I znów powiedzieli to razem.

- To był kot - wyjaśnił George. - Jakkolwiek w dużej mierze wyglądał jak pies. Zazwyczaj wyprowadzałem go na smyczy i ludzie myśleli, że to pies.

- Wszystko staje się coraz jaśniejsze. - Profesor uśmiechnął się znacząco.

- George mówi mi, że bierze go pan na Wielką Podróż. - Ada uśmiechnęła się pięknie do profesora. - Tyle mi o panu opowiadał. Ma do pana wielki szacunek.

- Oczywiście, że tak - zapewnił George.

- A ja do ciebie - rzekł profesor, przyglądając się Adzie bacznie. - Lecz myślę, że powinienem was, młodych, pozostawić samych. Macie sobie zapewne wiele do opowiedzenia. Zobaczyłem przy tamtym stoliku pana Charlesa Babbage'a; nie wygląda na znużonego. Chciałbym mu zadać pewne pytania. Jeśli mi wybaczycie. - Profesor wstał z krzesła, przycisnął kilka razy serwetkę do ust, skinął ręką Adzie, ukłonił się sztywno,

odwrócił i odszedł.

- On naprawdę jest miłym facetem - powiedział George, odprowadzając go wzrokiem.

Ada Lovelace wolno pokręciła głową. Zwróciła swoje piękne, zielone oczy na George'a i patrzyła na niego długo i intensywnie.

- Nie wiem, czy mógłbyś zaufać takiemu niekwantytatywnemu czemuś, co znane jest jako „kobieca intuicja”.

Wzruszył ramionami i wypił łyka szampana.

- Cóż, w takim razie szczerze ci to doradzam - powiedziała Ada Lovelace. - Twój towarzysz, George, jest bez wątpienia najbardziej złym człowiekiem, jakiego miałam kiedykolwiek nieszczęście napotkać.

# 21

- Och nie - krzyknął George, zszokowany. - Mylisz się co do profesora.

Darwin, małpi kamerdyner, dolał szampana do kieliszka George'a i ten podziękował mu za to.

- Zaufaj mi - przekonywała Ada. - Wiem, że ciebie wykorzystałam, i przeprosiłam cię za to. Jesteś wyjątkowo miłym młodym mężczyzną i uważam nas teraz za przyjaciół.

- Przyjaciele - zgodził się George, jedynie leciutko zgrzytając zębami.

- Dlatego możesz mi zaufać, kiedy mówię, że profesor to zły człowiek. Oprócz wbudowanej intuicji kobiety mają też inną, raczej nieszczęsną właściwość.

George prawie powiedział: Cykl menstruacyjny? Powstrzymał się jednak, wiedząc, że jeśliby to zrobił, musiałby zachować się jak dżentelmen i wyskoczyć przez burtę.

- Niemal hipnotyczną fascynację i nieprzeparty pociąg do niegodziwych mężczyzn - sprecyzowała Ada. - Dla kobiet źli mężczyźni są, jak mogłabym to określić, atrakcyjni seksualnie.

Darwin, małpi kamerdyner, ukrył twarz w dłoniach.

- Przykro mi, chciałabym, żeby tak nie było. Ale tak jest, i ponieważ profesor Coffin działa na mnie niemal jak bożek miłości, to biorąc pod uwagę jego wygląd, który jest wręcz odstręczający, znaczy, że jest wcieleniem szatana, potworem.

- Nie. - George kręcił głową. - Opiekuj się mną. Zależy mu na mnie. Traktuje mnie niemal po królewsku.

- Naprawdę? Rzeczywiście tak jest?

- Tak, naprawdę. - George pociągnął łyk szampana. - I finansuje naszą podróż z własnej kieszeni. Nie zapłaciłem za nic.

- Naprawdę? Wiesz, kiedy po raz drugi usłyszałam twoje imię?

- Nie. Ale to jest dziwne pytanie. Pierwszy raz, jak sobie przypominam, było to wtedy, kiedy ci je powiedziałem. W noc koncertu w Kryształowym Pałacu.

- Właśnie. - Upiła szampana. Płyn odbił się w jej oczach. - Drugi raz to było wtedy, gdy wykrzykiwali go różni handlarze z różnych wozów handlowych, które pędziły w stronę „Imperatorowej Marsa”, wznoszącej się z Królewskiego Portu Kosmicznego.

- Ach. Pamiętam to.

- Miałam bardzo dobry widok z mojego gniazda w łodzi ratunkowej. Handlarze wyglądali na zdenerwowanych.

- Ach - powiedział George po raz drugi. - W rzeczy samej, byli zdenerwowani.

- I wykrzykiwali twoje nazwisko, a nie profesora.

- Wyjaśnił mi to. - Upił szampana. - Potrzebował użyć mojego arystokratycznego tytułu, żeby dostać kredyt u krawców i szewców, wytwórców przyborów toaletowych i lasek królewskiej jakości, i...

- A nie przyszło mu do głowy, żeby samego siebie nazwać lordem Coffinem?

- Ach - powiedział George po raz trzeci. - Ale on sprzedał wszystko, żeby kupić bilety na statek.

- Żeby wziąć cię w Wielką Podróż? To było z jego strony bardzo szczodre. Można by powiedzieć, że niemal altruistyczne.

- Można by - zgodził się George.

- Zakładając, że to prawda. I że nie ma w tym żadnych ukrytych motywów. Że profesor nie chce czegoś w zamian. Czegoś, co tylko ty możesz mu dać.

George jęknął.

- Wszystko przekręcasz. On jest dobrym człowiekiem. Opiekuje się mną.

Przy stoliku znów pojawił się kelner od win.

- Mam nadzieję, że wszystko jest zgodnie z państwa życzeniami - powiedział tonem, w którym George wyczuł brak szczerości. - Tylko że to był raczej ciężki dzień dla niektórych z nas, i chciałbym wpełznąć do mojej badziewnej drewnianej koi, która mi się przynależy, i złapać dwie godziny snu, zanim znów zostanę wezwany na służbę.

- Oczywiście - powiedział George.

- No więc jest kwestia rachunku - napomknął kelner od win.

- Być może profesor Coffin go pokryje - zasugerowała Ada.

- Obawiam się, że nie, madame. Właśnie spotkałem tego dżentelmena, kiedy kupował absynt dla pana Charlesa Babbage'a. Powiedział, że pan podpisze rachunek za kolację, lordzie George.

George zamówił kolejnego szampana. I kufel piwa dla Darwina.

- Więc - rzekł do Ady. - Zły człowiek, tak myślisz?

- Obawiam się, że tak, George. Przykro mi, ale to prawda.

- Sprawy ostatnio rzeczywiście wyglądają ciut dziwnie. - George podał słomkę Darwinowi, który miał problemy z piwem. - Załoga staje się coraz bardziej gburowata, nawet

obawiam się buntu, no i ta straszna przemoc, a w dodatku gubi mi się czas. Moja pamięć jest poszatkowana.

Ada uniosła pięknie zarysowaną brew.

- Jaki naprawdę jest cel waszej podróży? Czego naprawdę chce od ciebie profesor?

George Fox westchnął i rozejrzał się. Nie wiedział, co powinien powiedzieć.

- Mnie możesz powiedzieć prawdę. Jak mogłabym ci zaszkodzić?

- Nie sądzę, żebyś ty mówiła mi całą prawdę - odparił George.

- Być może od czasu do czasu daję się ponieść przesadzie - powiedziała, trzepocząc rzęsami. - Być może puszczam wodze wyobraźni w opowieściach, ale to dziedziczne. Zupełnie poza moją kontrolą.

- Tak jak twój pociąg do nikczemnych mężczyzn?

- Owszem. To rodzinne. Na pewno poczułbyś się zaskoczony, gdybyś usłyszał nazwisko mojego ojca.

- Dziwne, ale chyba nie - powiedział George.

- Lord Byron - powiedziała Ada Lovelace.

Darwin, małpi kamerdyner, pośpieszył do George'a i zaczął go oklepywać wielką kraciatą serwetką. A to dlatego, że George rozlał szampana na swoją kamizelkę.

- Lord Byron? Nie sądzę.

Ada Lovelace pogrzebała w swojej wyszywanej cekinami wieczorowej torebce i wyciągnęła złożoną kartkę wyciętą z gazety. Podala ją George'owi, który ją odwinął i głośno przeczytał, co na niej stało.

## **CÓRKA POETY ZNIKNEŁA**

Czytał dalej:

Wczoraj zgłoszono zniknięcie córki słynnego poety i niepoprawnego libertyna George'a Gordona Byrona. Dochodzenie prowadzone przez głównego detektywa Scotland Yardu, inspektora Lestrade'a, jak dotąd jest bezowocne. Istnieje przekonanie, że rodzina panny Ady może zatrudnić słynnego detektywa konsultanta pana Sherlocka Holmesa.

- I jest tu fotografia - powiedział George. - To twoja fotografia.

Uśmiechnęła się do George'a i wyjęła mu z ręki gazetową wydzierkę.



- Pan Sherlock Holmes znajdzie cię - stwierdził George. - Jest najlepszym detektywem na całym bożym świecie.

- On się boi wysokości - powiedziała Ada. - Po tej sprawie przy Wodospadach Reichenbacha z profesorem Moriartym - kolejnym złym profesorem, zauważ - nie znosi wysokości. Dlatego wykorzystałam do ucieczki środek transportu, który leci najwyżej ze wszystkich.

- Żeby znaleźć pracę w Ameryce jako matematyk? - spytał George.

- Żeby posmakować przygody. - W jej oczach zamigotał zielony ogień. - Jestem damskim odpowiednikiem poszukiwacza przygód. Poszukiwaczką przygód. Żyjemy w ekscytujących czasach, George'u Fox, i mamy szczęście, że jesteśmy młodzi.

- Dzisiaj nie było zbyt wiele szczęścia - zauważył. - Przykro mi, że psuję naszą rozmowę, ale o ile wiem, zmarło dziś prawie dwieście osób, i kto wie, ile jeszcze w Nowym Jorku.

- Niezbyt wiele. Ale podsłuchałam, jak ludzie przy tamtym stoliku mówili, że Amerykańskie Muzeum Barnuma spłonęło do szczętu.

- Ojej. Chciałbym je odwiedzić. Słuchaj, wszystko to jest okropne. Ci ludzie, którzy zginęli, nie byli jakimiś kmiotkami, to byli utytułowani szlachcice.

- I to sprawia, że ich życie jest bardziej wartościowe?

- Nie. Nie o to mi chodzi. Każde życie jest równie wartościowe.

- Nawet życie obcych? - Ada odwróciła głowę w stronę grupki Wenusjan, którzy właśnie pojawili się w wielkiej jadalni i teraz sadowili się wokół stolika.

George wpatrzył się w nich.

Byli wysocy i cudowni, z białymi lokami ufryzowanymi wysoko, ze wspaniałymi kośćmi policzkowymi i złotymi oczami. Przypomniawszy sobie, jak Ada powiedziała mu, że Wenusjanie ją przerażają, i George rozumiał, że ich „obcość” może sprawiać, że Ziemianie czują się przy nich nieswojo. Do tego stopnia, że Chrześcijańscy Fundamentalisci chcieli zabić tych na pokładzie „Imperatorowej Marsa”.

Wenusjanie przy stole wydawali się pełni rezerwy, jakby odseparowani od wszystkiego. Jeśli wcześniejsze wydarzenia w jakiś sposób na nich wpłynęły, nie było tego widać. Ułożyli swoje perfumierki przed sobą na stole i zaczęli się modlić w swoim języku.

- Zimni - wyszeptała Ada. - Zimni jak ryby, w ogóle nie mają emocji.

- To wszystko mnie martwi - powiedział George.

- Co by się stało, gdyby Chrześcijańskim Fundamentalistom udało się dzisiaj zamordować tych Wenusjan? To mogłoby się rozwinąć w, jak mógłbym to określić,

międzyplanetarny konflikt, tak samo jak w międzynarodowy. Podróżują przecież pod opieką królowej Wiktorii, jak wszyscy na pokładzie.

- I wszyscy ludzie są równi, nieważne, z jakiej rasy pochodzą?

- Oczywiście - odparł. - Jak może być inaczej?

- I nieważne, na jakiej planecie się urodzili? Nie przypominam sobie, żeby Marsjanie przybyli tu, głosząc pokój całej ludzkości.

- Ci Marsjanie byli obłąkani, lecz, dzięki Bogu, są już martwi.

- George. Jesteś uroczym mężczyzną. Zależy ci na wszystkich. Ale ten świat, i nie wątpię, że każdy inny, nie jest zaludniony tak miłymi istotami jak ty. Ludzie są bigotami, religijnymi czy rasowymi lub jednymi i drugimi. Przyznaję, nie lubię Wenusjan. Nie chcę ich zabijać, lecz prawdę mówiąc, chciałabym, żeby ich tu nie było. Budzą we mnie niepokój. Wiem, że coś zamierzają.

- Cóż, ja nie wiem. Myślę, że to, co się dzisiaj stało, było wstrętne. Uważam, że ten statek powinien wrócić do Londynu, gdzie będzie można odpowiednio pochować martwych ludzi. I...

- A co z tobą, George'u Fox? Co z tobą?

- Nie wiem. Zasiałaś we mnie pewne wątpliwości. Już nie wiem, co mam myśleć.

- Być może pomogłoby ci nieco więcej szampana.

George Fox pogłaskał się po imponującej brodzie.

- Być może - zgodził się.

Wieczór minął niemal przyjemnie. George z sukcesem próbował przymknąć oko na nieco nadpalonych współbiesiadników i powściągliwych Wenusjan, którzy, jak zauważył, nie jedli, pili jedynie wodę. Ada Lovelace była wspaniałą i dowcipną rozmówczynią, i kiedy George patrzył w jej zachwycające zielone oczy, mógł jedynie myśleć, jakim jest szczęściarzem, że może siedzieć, w tym momencie, przy tym stoliku w towarzystwie tak pięknej kobiety.

George zrobił, co mógł, by wyrzucić z myśli wszystko, co nie dotyczyło Ady. I okazało się, że nie jest to takie niemożliwe.

W końcu podpisał horrendalny rachunek, bez napiwku, zwolnił Darwina, małego kamerdynera, na noc i poszedł z Adą Lovelace na spacer po promenadzie.

Na pokładzie nie było już rannych i martwych, i znów wszystko wokół, oblane księżycowym światłem, wyglądało jak z obrazka.

- Nie podejmiemy zbyt blisko do balustrady - zdecydował George. - Zeszłej nocy wypadł przez nią pijany gość.

- Stało się tak po tym, gdy się z kimś szamotał; spadając, odbił się od mojej łodzi ratunkowej.

- Cóż - powiedział George - lepiej bądźmy ostrożni. To piękna noc.

Księżyc świecił z usianego gwiazdami nieba, niżej kłębiły się chmury. George i Ada spacerowali po pokładzie, ramię przy ramieniu, czuli ogarniający ich spokój.

I kiedy Ada uniosła do góry twarz do pocałunku, George pocałował ją czule.

## 22

Nieprzyjemne pobudki już nie dziwiły George'a, więc kiedy potężne uderzenia w drzwi kabiny wyrwały go ze stanu uśpienia, nie narzekał zbyt głośno. Właściwie wcale nie narzekał; nie miał na to siły. Łagodnie zsunął nogi poza krawędź hamaka, ujął głowę w dłonie i jęknął cicho. Miał straszliwego kaca.

Nagła myśl sprawiła, że spojrzał do tyłu na hamak, lecz myśl ta była próżna, jako że nie znalazł tam śpiącej Ady Lovelace, ze śliczną rudowłosą głową na poduszce i szmaragdowymi oczami zamkniętymi w spokojnym śnie.

Zatoczył się do drzwi i uchylił je nieco, a w szczelinie pojawiła się uśmiechnięta twarz pucybuta.

- Niech mnie kule biją, szefuniu - powiedziały usta należące do tej twarzy. - Wygląda pan jak wypluty, bez dwóch zdań.

- Czego chcesz? - spytał George ponuro.

- Zostałem wysłany, żeby zastukać do wszystkich pasażerów - powiedział pucybut żwawym tonem. - Przykro mi, że pan spałeś.

- Nie jestem człowiekiem gwałtownym - udało się powiedzieć George'owi - ale ty z pewnością nadwerężasz moją cierpliwość.

- Kapitan chce panu coś powiedzieć - oznajmił pucybut. - Nie tylko panu, oczywiście, lecz wszystkim na pokładzie. Za pół godziny w sali koncertowej będzie wielkie spotkanie. Kapitan przeprasza za wszelkie niedogodności, lecz byłby wdzięczny za obecność.

George zamknął chłopakowi drzwi przed nosem i poszedł poszukać szklanki wody.

Sala koncertowa na „Imperatorowej Marsa” była repliką wnętrza teatru Hackney Empire. Co z pewnością wzbudzi zainteresowanie u przyszłych historyków architektury, jako że teatr Hackney Empire nie został wybudowany do roku 1901<sup>5</sup>.

Ponad rzędami krzeseł wznosiły się trzy balkony, wspaniałe i wymyślne w całej swojej rokokowej ozdobności. Muzy i cherubiny, anioły i demony, maski komedii, tragedii i innych

---

<sup>5</sup> To kolejny dowód, że nie można ufać historii.

takich. Kępy owoców, kolumn i kwiatonów ozdabiały szczyty fałszywych świątyń stojących po obu stronach sceny.

Kiedyś George widział w Hackney Empire występ Little Ticha - jego legendarny Taniec Wielkiego Trzewika. I kiedy ktoś raz widział coś takiego, nic więcej już go nigdy nie zaskoczy.

W kapiącym od złocień foyer George spotkał kelnera od win, który obsługiwał go poprzedniego wieczoru. Kelner trzymał podkładkę z ozdobnym mosiężnym klipem na górze. Do podkładki była przyczepiona lista nazwisk.

- Och - powiedział kelner bez entuzjazmu. - To ty.

- A to ty. W kolejnej roli. Jak widzę, jesteś wszechstronny.

- I kolejne role czekają - oznajmił kelner od win tonem znanym - i przez wszystkich nie lubianym - bo zrzędlwym. - Połowa załogi wyskoczyła w Nowym Jorku, więc jestem przepracowany.

- To wiele wyjaśnia, biorąc pod uwagę, jak mógłbym to ująć, twoje nastawienie - zauważył George. - Gdzie mam usiąść? Gdziekolwiek?

- Och, nie. Siedzenia są wyznaczone zgodnie ze statusem. Ty siedzisz... - Przesunął palcem w dół listy.

- W tylnym rzędzie.

- W tylnym rzędzie na parterze? - spytał George.

- W tylnym rzędzie na jaskółce.

Jeśli kiedykolwiek w tej nazwie najwyższego balkonu był zawarty jakiś humor, to z pewnością niezauważalny dla tych, których nie stać na nic innego niż siedzenie „na jaskółce” i którzy musieli wdrapywać się po tyłu schodach, żeby znaleźć się tak daleko od sceny.

George wchodził do góry na uginających się nogach. Chciało mu się jeść, marzył o śniadaniu. Kiedy dotarł do swojego miejsca, był nie tylko skacowany, ale i zrzędlwy - lecz z pewnością nie rozczarowany, kiedy zobaczył Adę Lovelace, która siedziała między nim a Darwinem, małpim kamerdynerem.

- Dzień dobry - powiedział George, uśmiechając się odważnie.

- Dzień dobry - odparła Ada.

Małpi kamerdyner nie miał nic do powiedzenia; jedynie dłużył w nosie.

Salę koncertową wypełniały pochrząkiwania i pomrukiwania. George patrzył na ponure twarze, dużo było czerwonych od oparzeń. Miał też widok na królewski balkon, gdzie siedzieli Wenusjanie. Odsunięci i wyobcowani od wszystkiego, elegancy i efektowni.

W fosie nie było orkiestry, a kiedy mat gwizdkiem zaanonsował kapitana na scenie, nie dostał oklasków.

Kapitan miał na sobie mundur wyjściowy, cały w ozdobnych, skręconych złotych sznurach na królewskim błękitcie. Spodnie były ekstrawagancko szerokie, falbaniaste, buty do kolan wyczyszczone na błysk. Na głowie tkwił korkowy hełm tropikalny z wysokim kołnierzem ze srebrnymi goglami na szczycie.

- Lordowie, damy i dżentelmeni, eklezyjaści z Wenus i mieszczenie z Jowisza - zaczął, uprzejmie odchrząknawszy, i obdarzył wszystkich profesjonalnym uśmiechem. - Nazywam się kapitan Bigglesworth i jestem głównym kapitanem „Imperatorowej Marsa”. - Przerwał w nadziei na oklaski. Ponieważ nie otrzymał żadnych, kontynuował: - Z najgłębszym żalem muszę poinformować, że z powodu niefortunnego incydentu w Nowym Jorku, dzieła frakcji szalonych anarchistów, liczba niejeżdżących pasażerów wynosi dwieście dwie osoby.

George gwizdnął cicho. Przez salę przeleciało sapnięcie niezadowolenia.

- Rzeczywiście, to nieodżałowana strata - ciągnął kapitan. - Pełna lista niejeżdżących zostanie wyłożona w holu wielkiej jadalni; zgromadzenie żałobne odbędzie się później. Wysunięto propozycję pogrzebu morskiego, z pełnymi honorami oddanymi żołnierzom i chrześcijańską posługą dla wszystkich, dzięki uprzejmości kapelana statku. Ceremonia odbędzie się o trzeciej dziś po południu, kiedy dotrzemy nad Pacyfik. Zdecydowano, że nie zatrzymamy się w San Francisco, jak było pierwotnie zaplanowane. W świetle ostatnich wydarzeń zostało to uznane za niebezpieczne, i bądźmy całkowicie uczciwi - mówi się, że mieszkańcy Zachodniego Wybrzeża Ameryki są gwałtowni i ekscentryczni. Czy to nie nasz Charles Rennie Mackintosh powiedział: „Jeśli przekreślisz Amerykę na bok, to wszystko, co nie jest przymocowane, spadnie do Kalifornii”?

Znów przerwał, być może w nadziei na śmiech. Lecz skoro nic takiego się nie stało, kontynuował:

- Będziemy lecieć dalej, do naszego następnego portu w planie podróży: rajską wyspę Hawaje. Przekonacie się, że tamtejsi mieszkańcy są wyjątkowo przyjacielscy, chętni do sprawiania przyjemności i oddani radosnym zachciankom. Przydarzył się nam niefortunny incydent, lecz nie pozwolimy, aby stanął nam na przeszkodzie. Jesteśmy Brytyjczykami i posiadamy to. - Wskazał na swoją sztywną górną wargę. - Niech przeszłość pozostanie w przeszłości, a my odbywajmy podróż życia. Co na to powiecie?

Oklaski były uprzejme, przeleciały po sali jak zmarszczki na jeziorze, ale przeleciały, i były to oklaski.

George tylko pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Więc to już koniec? - powiedział do Ady. - Przedstawienie musi trwać?

- To brytyjski sposób na życie - odparła.

- Więc - ciągnął kapitan - dotrzemy do Hawajów jutro wieczorem, miejmy nadzieję na czas, by zobaczyć zachodzące słońce. Powiedziano mi, że to wyjątkowo piękny widok. Tubylcy na Hawajach mają niezwykle zwyczaje, a jeden z nich to wieczorny rytuał zachodzącego słońca. Wierzą, że wulkan na ich wyspie urodził słońce, a jest to wiara, której korzenie sięgają świtu ich cywilizacji. Grecy, którzy odwiedzili Hawaje tysiąc lat wcześniej, nazwali je *Umbilicus Mundi* - Pępek Świata.

George opuścił salę koncertową jeden z ostatnich. Z jaskółki było tak samo daleko w dół, jak w górę, a przed nim schodziło mnóstwo ludzi.

Kiedy dotarł do foyer, z zaskoczeniem dojrzał profesora Coffina, który podskakiwał w miejscu i wyglądał na wielce zadowolonego.

- Co za wspianiała wiadomość, mój chłopcze. - Uścisnął dłonie George'a. - To prawdziwe przeznaczenie, czyż nie? Twoje przeznaczenie.

- Nie bardzo wiem, o czym pan mówi - powiedział George.

- *Umbilicus Mundi* - zapał profesor, i to było całkiem udane pianie. - Pępek Świata, mój chłopcze.

- To nic mi nie mówi.

- Och, nie, z pewnością. Ale jest to właśnie cel naszej podróży, mój chłopcze. To na Hawajach znajduje się obiekt naszych poszukiwań.

- Obiekt waszych poszukiwań? - spytała Ada.

- Ach! - krzyknął profesor. - Trattara tam tam. Nie zauważyłem tu pani, panno Fox, schowanej za bratem.

- On jest takim dużym chłopcem, a ja jedynie małą dziewczuszką.

- Właśnie. Cóż, chodź, George, mamy wiele do omówienia.

- Może pan mówić przy mnie - powiedziała Ada. - George nie ma tajemnic przed swoją siostrą, prawda, George?

- Tak? - Profesor spojrzał na Adę twardo. - Cóż, jestem pewien, że musi się pani zająć kobiecymi sprawami, które wymagają natychmiastowej uwagi.

- Więc nie ma nic, czym musiałabym kłopotać swojej ślicznej główki?

- W rzeczy samej. Więc chodź, George.

- Mam pewne obawy, profesorze - rzekł George. - Niektóre sprawy mnie niepokoją.

Palce profesora Coffina przesuwały się po kieszonce kamizelki, gdzie trzymał smukłą fiolkę z bezbarwnym płynem.

- Jeśli pani nam wybaczy, droga lady, zamienię jedynie kilka słów na osobności z twoim bratem i zwrócę go jak nowego.

- Co za dziwny dobór słów - skomentowała Ada Lovelace.

- Cóż, niech tak będzie, chodź, George.

George Fox podrapał się po brodzie i ułożył twarz w wyraz pełen wątpliwości.

- O co ci chodzi, chłopcze? - spytał profesor.

- O nasze poszukiwania. Mam wątpliwości.

- Więc chodź, George, proszę, i wszystko sobie wyjaśnimy.

- George nie czuje się najlepiej. - Ada ścisnęła jego dłoń. - Ciągłe jest zdenerwowany tym, co stało się wczoraj.

- Bardzo zdenerwowany - zgodził się George.

Profesor Coffin przeskakiwał z nogi na nogę.

- Być może George i ja spotkamy się z panem na lunchu, profesorze - dodała.

Zaciśnięte na główce laski knykcie profesora Coffina pobielały.

- Tak, w rzeczy samej. Cóż, nie ma znaczenia, to może poczekać. - Patrzył długo i twardo na Adę Lovelace. - Do Hawajów dolecimy dopiero jutro wieczorem, i kto wie, co się może zdarzyć do tego czasu?

Kłaniając się głęboko, odwrócił się na pięcie i szybko odmaszerował.

Ada odetchnęła głęboko. Jej dłoń w ręce George'a drżała.

- Obawiam się - powiedziała nikłym głosem - że właśnie zdobyłam śmiertelnego wroga.



## 23

Profesor Coffin nie pojawił się na lunchu, nie pojawił się też na herbacie. Podczas popołudniowego pogrzebu George i Ada złożyli uszanowanie tym, którzy odeszli, i George patrzył ze zdziwieniem, jak ciasno owinięte płótnem ciała były przrzucane przez barierkę ochronną na pokładzie spacerowym i spadały, spadały prosto w fale oceanu.

Pod nimi rozpościerał się Pacyfik. Nieskończona przestrzeń błękitu złamana jedynie potężnym cieniem statku powietrznego. Zachwycała szybkość okrętu. Był zdolny w jeden dzień przemierzyć całą Amerykę. George być może znów oddałby się marzeniom, gdyby Ada nie dała mu sójki w bok i zaproponowała, by zrobili coś ekscytującego, co zajmie im myśli.

- Darwin i ja myśleliśmy o kasynie - powiedziała.

Darwin rozciągnął wargi w małpim uśmiechu i uniósł do góry małpi kciuk.

- Kasyno? - powiedział George. - Ale ja nie mam pieniędzy.

- Ja mam - odparła Ada. - Darwin także ma. Przejął nadzór nad ruchomym dobrem jego zmarłego właściciela.

- Bardzo przedsiębiorcza małpa - zauważył George i pomyślał, że jeśli wszystko inne zawiedzie, to on i profesor mogliby tak niezwykłą małpę pokazywać wdzięcznej publiczności.

Kasyno na „Imperatorowej Marsa” niemal nie dawało się opisać. Udekorowane w stylu zwanym erotyczno-egzotycznym, spychało w cień pokoje kąpielowe kardynała La Motte'a czy uroczo łagodny i pełen gracji buduar markizy du Deffand. Było wypełnione przedmiotami wyjątkowej jakości, a na ścianach pyszniły się freski, które nie zawstydziłyby nawet opactwa Thelemy Rabelais'go.

George miał spuszczone oczy i starał się poruszać z gracją i pewnością siebie między kolumnami, które wyrastały z podłogi niczym hymny pochwalne zmysłowych orgii.

Ada popatrzyła na George'a.

- Masz czerwone policzki.

Syknął na nią uciszająco.

- Te obrazy są naprawdę obsceniczne. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powinno znajdować się na statku.

- Jak widać nie odwiedziłeś jeszcze Nymfarium.

- Nie wiem nawet, co to znaczy - wyszeptał.

Powiedziała mu do ucha kilka słów.

- Nie! - George poczerwieniał tak mocno, jak jeszcze nigdy. - To skandaliczne! Nie.

- Bogatym nie wolno odmawiać ich przyjemności - skomentowała Ada. - Ale sztuka, którą tu widzimy, jest piękna, przynajmniej ja tak myślę. To dzieło pana Aubreya Beardsleya, zaprojektował mnóstwo wachlarzy dam, które zapewne widziałeś.

- W co będziemy grać? - spytał nagle George. - Tak naprawdę nie znam się na hazardzie.

- Najpierw przejdźmy się trochę i zobaczymy, co się nam spodoba - zdecydowała Ada. - Popatrz, Darwin już znalazł drogę do stolika z durniem.

- Durniem?

- Nie mów mi, że nie wiesz, jak się gra w durnia. Wszyscy wiedzą, jak się w to gra.

- Dureń? - powiedział George. - W kasynie? Dureń?

- Tu jest Dureń - odparła Ada, a potem zaczęła wskazywać palcem. - Tam widzę Wilki i Owce, a tu Kółko i Krzyżyk, Wąż i Drabina, Zimno-Gorąco, Pchełki, Szczęśliwa Rodzina, Bierki. A tam Słówka. Muszę się przyznać, że nigdy jakoś nie mogłam zrozumieć zasad Słówek.

- Ale to są gry dziecięce - zaprotestował George. - Zakładałem, że będzie tu ruletka, poker, pontoon.

- Nigdy o nich nie słyszałam. Zobaczmy, jak Darwin sobie radzi.

Darwin, małpi kamerdyner, radził sobie doskonale przy stoliku z Durniem. Wygrał pięć rund po kolei, ale potem przegrał do krupiera, w którym George rozpoznał natychmiast nikogo innego jak kelnera od win - ostatnio ciągle na niego wpadał.

- Jak się nazywasz? - spytał George. - Tak często się spotykamy, że chyba powinienem zwracać się do ciebie po imieniu.

Kelner od win/krupier miał na sobie złoty turban i pasującą doń szatę. Wygląd pracowników kasyna był niezwykle. Pomachał na George'a dłonią w rękawiczce i nakazał milczenie.

- Nie mogę teraz rozmawiać, sir...

- Dureń! - zawołał Darwin.

I:

- Dureń! - zawołał krupier.

- Tym razem wygrała małpa - stwierdził George.

- Przeszkodził mi pan - obruszył się krupier. - Proszę nie mówić do mnie, kiedy gram,

ja...

- Dureń! - zawołał Darwin jeszcze raz.

- Zdecydowanie wygrał i tę rundę - powiedział George.

- Sir, muszę prosić, aby pan nie rozmawiał przy stoliku - zdenerwował się krupier - ponieważ ja...

- Dureń! - zawołał Darwin jeszcze raz.

- To nie był Dureń! - krzyknął krupier. - To była dwójka i trójka. Nie można oznajmiać Durnia na dwójkę i trójkę.

- To były dwie dwójki - wtrącił George. - Położyłeś tę trójkę po tym, gdy małpa ogłosiła Durnia.

- Nie zrobiłem tego, ja...

- Dureń! - zawołał Darwin.

- Przestań! - Krupier rzucił karty na stół. - Nie mogę skoncentrować się na grze, kiedy ktoś nieustannie mi przeszkadza. To skandal.

- Przepraszam - powiedział George. - Nie chciałem cię zdenerwować.

- Mam już tego wszystkiego dosyć. - Krupier kopnął stolik do Durnia, uderzając się w palce u stopy, i wykonał zabawny taniec na jednej nodze.

- Nie denerwuj się - uspokajał go George.

- Dureń! - zawołał Darwin jeszcze raz i bardzo głośno.

- Rezygnuję! - wrzasnął krupier. - Masz, zabieraj wszystkie pieniądze, nic mnie to nie obchodzi. Mam dosyć. - I rzucił stosiki żetonów w stronę Darwina, zerwał z głowy turban, cisnął go na ziemię i wybiegł z kasyna ponury jak chmura gradowa.

George gapił się za nim, po czym obrócił się do stolika z Durniem, zatarł dłonie, gotów do przejęcia obowiązków rozdającego.

- Och, przepraszam, sir, ale to niemożliwe. - Do stolika podszedł inny młody człowiek w liberii kasyna i odsunął żetony poza zasięg George'a. - Ten chłopak dostanie, na co zasłużył. Proszę przyjąć przeprosiny za jego zachowanie, sir, ale co można oczekiwać, kiedy zatrudnia się Austriaków?

- Austriaków? - zdziwił się George. - Nie miał austriackiego akcentu.

- A, proszę mi powiedzieć, jak brzmi austriacki akcent?

- Touche - odparł George. - Nie poznałem jego nazwiska.

- Nazywa się Hitler - odparł nowy krupier. - Adolf Hitler, nieznośny bachor. Nic dobrego z niego nie wyrośnie, proszę zapamiętać moje słowa.

George uśmiechnął się do Ady, a ona odwzajemniła uśmiech.

- Jestem pewien, że z tego wszystkiego wynika dla nas jakaś lekcja - powiedział George. - Ale nie mam bladego pojęcia, co to mogłoby być.

- Lubisz grać w Kulki? - spytała.

- Z całą pewnością tak - odparł.

I tak spędzili przyjemną godzinę, a może dwie. Jakkolwiek było parę momentów nieco mniej przyjemnych. Na przykład kiedy Darwin został przyłapany na oszukiwaniu w Klasy i został wyprowadzony z kasyna. Albo kiedy wkrótce potem wrócił z czymś o wiele mniej przyjemnym w swojej owłosionej ręce i rzucił to w twarz przerażonemu pracownikowi kasyna nadzorującemu grę w Klasy.

George i Ada spojrzeli w inną stronę. George zasugerował, że może powinni opuścić kasyno.

Znalazłszy się znów na pokładzie spacerowym, leżąc na leżakach, z koktajlami i ciastami, George wznosił toast i podziękował Adzie za najbardziej zajmujące i zabawne popołudnie.

Błysnęła zielonymi oczami i wróciła do liczenia pieniędzy.

- Całkiem nieźle poszło ci w kasynie - powiedział. - Twoje umiejętności w Szczęśliwej Rodzinie wydają się nie mieć sobie równych. Zdobyć tę ostatniej puli było prawdziwym triumfem. Myślałem, że krupier wygra, i pewnie by się tak stało, gdyby udało mu się złożyć całą rodzinę Piekarzy. Wydaje się, że po twojej stronie było także i szczęście.

- Tak się wydaje - zgodziła się Ada. I kiedy nadal liczyła pieniądze, George nieco posmutniał, zobaczywszy, jak z jej koronkowego rękawa wypada kilka kart. Jedną był Pan Bułeczka, syn Piekarzy.

Darwin, małpi kamerdyner, podbiegł do nich w podskokach.

- Mam nadzieję, że umyłeś ręce. - George spojrzał srogo na niego.

Małpi kamerdyner uśmiechnął się szeroko i sięgnął po ciastko.

- Muszę iść i upudrować nos - powiedziała Ada.

- Nie pozwól Darwinowi zjeść więcej ciastek - czekoladowa ekierka jest moja.

Wstała z leżaka i uśmiechnęła się do George'a, a potem ucałowała go w policzek.

- Lubię z tobą przebywać, George. I bardzo cię lubię.

Patrzył, gdy odchodziła, i w jego oku pojawiła się mała łza. Gdyż George Fox wiedział bez żadnej wątpliwości, że jest zakochany w Adzie.

Gdzieś daleko zagrzmiało coś jak burza. Na horyzoncie ciemniały wielkie chmury. I nagle w powietrzu pojawił się chłód, George skulił ramiona i potarł o siebie dłońmi.

Zastanawiał się, co też przyniesie im przyszłość.

Damskie toalety na „Imperatorowej Marsa” były wyjątkowo luksusowe. Lustro z ciętego szkła i umywalki ze sztucznego marmuru, armatura z mosiądzu i miedzi. Przy bardziej specyficznych wymaganiach, jak zapinanie i rozpinanie gorsetów, pomagała pracująca tu kobieta, „pomocnica w kobiecych potrzebach”, kolokwialnie nazywana „babcią klozetową”. Tego akurat popołudnia babci klozetowej nie było, lecz Ada Lovelace, wyszkolona w obsłudze własnego gorsetu, jej nie potrzebowała.

Weszła do kabiny i zrobiła, co panie zazwyczaj robią.

Pociągnęła za rączkę z kości słoniowej Patentowanej Sanitarnej Ceramicznej-Miski-Grzmocącej Ruperta Fairglassa, poprawiła ubranie, żeby wyglądać przyzwoicie, i wynurzyła się z kabiny.

Stała oko w oko z profesorem Cagliostrem Coffinem.

- Widzisz, Darwin - powiedział George do małego kamerdynera - to mógłby być najwspanialszy ze światów, gdyby tylko ludzie bardziej opiekowali się sobą nawzajem, niż byli wobec siebie wstrętni.

Darwin skinął włochatą głową. Jakkolwiek jego myśli były daleko, daleko stąd.

- Na przykład ty sam - dywagował George. - Pomyślałbym, że wolałbyś być w dżungli, huśtając się na drzewie z krewniakami.

Darwin, który urodził się w Brentford i wolał ubierać się w liberię i nosić rękawiczki, niż latać na golasa po drzewach, nie miał nic do powiedzenia.

- Jesteś dyskryminowany, gdyż nie jesteś człowiekiem - ciągnął George. - Ludzie patrzą na ciebie z góry. Nie ja, oczywiście, ale inni ludzie, wierz mi. Wszyscy są podejrzliwi wobec wszystkich, i jeśli ktoś jest trochę inny, to go traktują podle. - George miał na tym punkcie obsesję, a skoro Darwin nie wysuwał obiekcji wobec jego diatryby, mówił dalej. - Podobno uczestniczę w świętych poszukiwaniach. Za sprawą proroctwa. Wydaje się, że moje przeznaczenie zostało ustalone. I może jest to prawda. Ale im bardziej poznaję ten świat, tym mniej mi się podoba. Nie sądzę, aby ta podróż sprawiła mi przyjemność.

- Nie cieszysz się z podróży?

Na dźwięk tych słów George spojrzął do góry, by ujrzeć uśmiechającego się profesora.

- Jesteśmy niemal u celu, chłopcze. Zaufaj mi, wszystko będzie dobrze.

- Zaufanie? - powiedział w odpowiedzi George. - Mam problemy z zaufaniem.

- Za dużo myślisz, mój drogi. Zbyt wiele koncentracji cerebralnej podwyższa poziom

stresu i niepokoju. Idź za moim przykładem i zacznij wyglądać na zadowolonego. - Profesor wykonał krótki taniec. - Jesteśmy grupką szczęśliwych podróżników, i aby osiągnąć cel, musimy odsunąć na bok dzielące nas różnice. Czyż nie zgodzisz się ze mną, droga Ado?

George spojrział za profesora. Nie zauważył, że Ada wróciła.

- Zgadzam się ze wszystkim, co pan powie, profesorze Coffin - odpowiedziała Ada Lovelace z jakimś odległym spojrzeniem w oczach. - Musisz ufać temu dżentelmenowi, George, on chce dla ciebie wszystkiego najlepszego.

George zagapił się na Adę.

- Ale? - wystękał.

- Myliłam się. Jestem tylko głupią dziewczyną. Profesorowi można całkowicie zaufać. Cokolwiek wymyśli, jest to dla nas najkorzystniejsze.

Profesor Coffin uśmiechnął się.

- Cokolwiek wymyślę, jest najkorzystniejsze.

## 24

Wieczór okazał się jeszcze mniej zabawny niż popołudnie.

Ada Lovelace przestała iskrzyć energią. Uroczą dziewczyną siedziała przy stole zmarłego lorda Brentforda, odzywając się tylko, kiedy ktoś się do niej zwrócił, a i wtedy jedynie monosylabami. George był wytrącony z równowagi tak drastyczną zmianą jej zachowania i ciągle pytał, jak się czuje, czy nie jest chora.

- Wszystko w porządku - odpowiadała za każdym razem.

Ale George zupełnie nie był przekonany.

Burza, która trzaskała na horyzoncie, teraz szalała wokół nich i kapitan nie był w stanie unieść statku ponad chmury. Oświetlana błyskawicami „Imperatorowa Marsa” tonęła w deszczu.

Po wielkiej jadalni przetoczył się ostry głos kapitana Biggleswortha, wydostający się z wielkiej, podobnej do megafonu mosiężnej tuby, połączonej rurami komunikacyjnymi z mostkiem.

- Moi lordowie, damy i dżentelmeni, eklezyjaści z Wenus, mieszczenie z Jowisza. Aktualnie przechodzimy przez obszar lekkiej mżawki. Możecie państwo odczuć niewielki dyskomfort. Proszę pozostać wewnątrz pomieszczeń, z dala od pokładu spacerowego. Cieszcie się posiłkiem. Dzisiejszą wieczorną rozrywkę zapewni wam Guru Gurami, hinduski swami, który przedstawi słynną hinduską sztuczkę z liną oraz inne pokazy subkontynentalnej metafizycznej transsubstancjacji. Wykorzystując transperegrynację pseudokosmiczną...

Lecz niewielu go słuchało. Gromy grzechotały szybami okien i wstrząsały sztućcami, wielki statek chwiało się niespokojnie, turbiny wizgotały i drżały.

Młody pan Hitler, z dramatycznie czarnym podbitym okiem, usługiwał przy ich stole. George zamówił jedynie prostą zapiekankę z ryby-miecza, Ada powiedziała, że nie jest głodna, a profesor Coffin zatarł dłonie i zamówił większość dań z menu.

Darwin wybrał wino z karty win, ale tylko profesor Coffin był zadowolony z jego wyboru.

- Rozchmurz się, młodzieńcze - powiedział do swojego posepnego towarzysza. - Wkrótce dotrzemy do Hawajów i chociaż nie oczekuję, że będziemy podziwiać jakikolwiek

zachód słońca nad wulkanem, to będziemy blisko osiągnięcia naszego celu. Nie wyczuwasz tego, George? Ja to już czuję.

- Bardzo przepraszam, profesorze, ale ostatnio wiele spraw mnie niepokoi. A teraz ten sztorm i Ada, która wygląda tak smutno...

- Sztorm minie. - Coffin klasnął dłońmi. - Ada wyjdzie ze swojego stuporu. Prawda, moja droga? Uśmiechnij się do swojego brata. Zrób to dla mnie teraz.

Na twarzy Ady pojawił się uśmiech. Jednak brakowało mu przekonania.

- Być może powinnaś położyć się na koi - doradzał George. - Prześpij sztorm.

- Kapitalny pomysł. - Profesor Coffin już wstawał.

- Odprowadzę młodą damę. Na którym pokładzie jest jej kabina?

- Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że będzie lepiej, jeśli zostanie tutaj, gdzie mogę ją mieć na oku - stwierdził George.

- Być może - zgodził się profesor. - Ach, popatrz, nadchodzi „numer popisowy”.

„Numer popisowy” miał na sobie złotą szatę, całkiem podobną do tych, w które byli ubrani pracownicy kasyna statku. Jednak na głowie miał większy turban, wysadzany mnóstwem pereł. A na stopach parę trzewików z długimi, zawiniętymi do góry noskami, które są popularne u dżinów.

Ze środka jadalni odsunięto kilkanaście stolików i szybko zmontowano małą okrągłą scenę. Hinduski swami Guru Gurami wspiał się na scenę. Ukłonił się wszystkim, nikt mu nie odpowiedział na powitanie, klasnął w dłonie i zniknął.

Tak po prostu.

W wielkim kłębie dymu.

- Nie najciekawsza ze wszystkich sztuczek - rzekł profesor - aczkolwiek jest w niej jakaś zwięzłość, więc bądźmy za to wdzięczni.

- Sir? - Tuż przy uchu Coffin usłyszał głos. Profesor odchylił się w szoku.

- Proszę wybaczyć, że tak z zaskoczenia - powiedział Guru Gurami, indyjski swami, jako że to był on - ale potrzebuję na scenie asystenta. - Wyświadczyłby mi pan ten honor i zgodził się?

Profesor Coffin zebrał się w sobie, a przecież tak rzadko cokolwiek było w stanie nim wstrząsnąć.

- Nie ja. Mam chorą nogę, kula z muszkietu podczas kampanii afgańskiej. Ale po Bożym Narodzeniu będzie jak nowa.

- Mam co do tego pewne wątpliwości; lecz jeśli nie pan, to może pana uroczą wnuczka?



- Moja co? - zachnął się Coffin.
- W takim razie ty, sir - powiedział swami do George'a.
- Nie bardzo - wyjąkał George. - Czekam na zapiekankę i...

Rozległ się ogłuszający trzask gromu i statek podskoczył. Kieliszki pospadały na podłogę, niektóre damy zemdlały.

- Myślę, że to doświadczenie cię uwzniośli. - Swami pomógł George'owi podnieść się z krzesła. - Rozruszajmy towarzystwo, niech zapomną o szalejącym na zewnątrz sztormie.

Sztorm się rozszalał. Na mostku kapitan przywarł do koła sterowego. Mechanicy przekreślali zawory, kontrolowali stan ciśnienia w wielkich mosiężnych zbiornikach, naciskali potężne wajchy, sprawdzali migające potencjometry. Błyskawica rozcięła niebo na pół i wielki statek się zatrzęsł.

George stał na scenie, niemal umierając z zakłopotania.

- Czy kiedykolwiek wcześniej się spotkaliśmy, młodzieńcze? - spytał swami.
- Nie, sir. Nie znam pana.
- No właśnie, synu - pochwalił swami. - Dobrze wiedzieć, że przejąłeś nieco pięknych manier od twojej matki i ode mnie.

Swami uśmiechnął się do publiczności. Publiczność go zignorowała.

- Co za żalosna banda sztywniaków - wyszeptał do George'a. - Wolałbym grać w piątkowe wieczory w Glasgow Empire.

- Czy nie możemy już się do tego zabrać? - spytał George. - Zapiekanka mi wystygnie.
- No dobrze. - Swami po raz kolejny zwrócił się do pasażerów jedzących kolację. - Dobrzy ludzie - zawołał - zaszczycie mnie swoją uwagą, proszę. Przedstawiam wam najdoskonalszą ze wszystkich metafizyczną manifestację. Eliptyczną nawigację przez otchłan eteru. Poliformiczną endochromatyczną mineralizację, utylizowanie przypadkowo odkrytej...

- Pan to wymyśla na poczekaniu - wyszeptał George do swamiego. - Nic z tego nie ma sensu.

- Oczekujesz sensu, prawda, George? W samym środku piekielnego sztormu?

A piekielny sztorm rósł z minuty na minutę.

- Zaraz, chwileczkę. Nie powiedziałem panu mojego imienia.
- Jesteś George Geoffrey Arthur Fox - powiedział Guru Gurami, hinduski swami. - Jesteś na świętej wyprawie.

- Och, nie, no naprawdę. Rozgryzłem pana grę. Profesor pana podpuścił, prawda?

Powiedział panu moje imię. Nie zrobi pan ze mnie głupca.

- Ten człowiek jest wcielonym diabłem. - Głos swamiego syczał do ucha George'a. Ale to nie był głos swamiego. Głos Macmoystera Farla. - Uważaj, George - powiedział głos Farla. - Uważaj, kogo obdarzasz zaufaniem.

- I rozkazuję ci, unieś się! - Głos, który był już głosem swamiego, grzmiał z potężną siłą.

George nagle poczuł się bardzo dziwnie, jakby odcięty od samego siebie. Był tu, a jednocześnie jakby go nie było.

George zawołał:

- Co ty mi robisz? - A potem już tylko krzyczał:

- Coooooooooooo!

Jako że nie stał już na scenie. Unosił się w powietrzu. Parę osób, które rzeczywiście obserwowały pokaz, znieruchomiało. Widelce pełne pyszności zastygły w pół drogi, kieliszki zatrzymały się tuż przy ustach.

- Ojjjj - jęczał George Fox. - Opuść mnie na dół. Nie podoba mi się tu w górze. Wcale a wcale!

Ale George wznosił się coraz wyżej. Pod sam sufit z wymalowanymi freskami. Pod kryształowe żyrandole. A uczujący, którzy to widzieli, teraz tręcali łokciami swoich współbiesiadników. Tręcanie łokciami było ostatnim krzykiem mody.

Ze swojego niespokojnego lotu George zauważył grupkę jowialnych Jowiszan, siedzących przy stole; radośnie chichotali. I kiedy tak wisiał w powietrzu, otwarcie zaprzeczając doskonale znanemu prawu grawitacji, przemknęło mu przez myśl, jak bardzo te istoty różniły się od Wenusjan. Mieszkańcy Jowisza, wielcy i radośni, sądząc po ich hałaśliwym śmiechu, przetaczali się po Ziemi, wyraźnie nie mając na myśli nic złego. George zastanawiał się, czy Ziemianie nienawidzili ich tak samo jak Wenusjan? Jakkolwiek oczywiście nie wszyscy Ziemianie, ale...

- Na pomoc! - krzyknął George. - Na pomoc!

Grupka Jowiszan krzyczała radośnie.

Profesor Coffin klaskał w dłonie. Ada gapiała się w osłupieniu. Darwin, małpi kamerdyner, skrzeczał i podskakiwał. Młody pan Hitler splunął w czyjaś zapiekankę.

- Na dół, proszę, teraz - zawołał George do swamiego. - Mam już dosyć, dziękuję bardzo.

I kiedy George cierpiał na wysokościach, podziwiany przez jednych, przez większość jednak ignorowany, piorun strzelił w statek, który zachybotał się i zaczął przechylać na lewą

burzę.

Stoły i krzesła, biesiadnicy i kelnerzy, wszystko nagle zostało wprawione w ruch. Porcelanowa zastawa się stłukła, goście przewrócili się do góry nogami, spadające kieliszki się roztrzaskały, chaos rozkwitł w pełnej krasie. Kolejny wielki rozbłysk i statek zaczął przechylać się na prawą burzę. Krzesła, stoły, ludzie i wszystko ruszyło z powrotem. Wysoko, zamknięty jakby w kokonie ochronnym przeciw nagłym żądaniom grawitacji, George przyglądał się temu z przerażeniem. Ludzie byli rzucaeni tam i z powrotem jak lalki w gigantycznym pudełku z zabawkami. Z sufitu spadł żyrandol, posągi upadły i roztrzaskały się.

- Ściągnij mnie na dół! - wrzeszczał George. - Ściągnij mnie na dół!

Ale Guru Gurami, hinduski swami, odturlał się pod stołem. George dostrzegł Adę Lovelace, która zjeżdżała na tacy kelnera, i profesora Coffina, trzymającego się bocznej ścianki prowizorycznej sceny jak tonący chwytając się liny.

Rozbłyski piorunów, huk grzmotów, a potem straszny, zgrzytliwy dźwięk. Bardziej przerażający niż trzaski sił natury na niebie, dźwięk ten był produktem torturowanej maszyny, która od wysokiego pisku przeszła do niszczącego wrzasku.

I wtedy po raz kolejny przez megafon rozległ się głos kapitana.

- Damy i dżentelmeni, ee..., lordowie, damy i dżentelmeni i eee - doświadczamy pewnych problemów z elektrycznymi turbinami. Zamierzamy...

I jego głos zgasł.

I znów wszyscy bez wyjątku ruszyli na lewą burzę, skręcali się okropnie, wrzeszczeli i walczyli.

Głos kapitana powrócił.

- Żałujemy, że będziemy zmuszeni dokonać pozaplanowego lądowania. Niestety, nadal jesteśmy dziesięć mil morskich od rajskich Hawajów...

I znów głos zanikł.

Od końca statku dobiegł ryk straszliwej eksplozji.

Turbina po prawej burcie oderwała się i poleciała w dół, do oceanu.

- ...uprasza się pasażerów, aby udali się do łodzi ratunkowych - rozległ się głos kapitana, by ucichnąć na zawsze.

W wielkiej jadalni zgasły światła.

„Imperatorowa Marsa” spadała.

## 25

Fatalnie rozpoczęta dziewicza podróż statku powietrznego właśnie dobiegała końca. A był to gorzki i smutny koniec. Wspaniała kopuła statku turystycznego pogrążała się i tonęła w straszliwym sztormie, jego zbiorniki gazu były rozszarpane, zaczepty turbin złamane i płonące.

Rzucali się i chwyтали jeden drugiego, walczyli jak stracone dusze w jednym z mniej radosnych niższych kręgów piekła Dantego, oszalały tłum w wielkiej jadalni szukał ratunku w łodziach ratunkowych. Credo: „kobiety i dzieci pierwsze”, niezbyt wielu znalazło tu wyznawców.

George z przerażeniem patrzył, jak żyjący wraz z martwymi są przierzucani z miejsca na miejsce jak w jakimś widmowym *dance macabre*.

Gdzie jest Ada? Żyje? I gdzie jest profesor?

Szarpał się na próżno, szukając sposobu na uwolnienie się od magicznej siły, która trzymała go w górze. Ale było tak, jakby tkwił wewnątrz niewidzialnej bańki, ta chroniła go przed obrażeniami, a jednocześnie pozbawiała możliwości udzielenia pomocy komukolwiek podczas tej potwornej katastrofy. „Imperatorowa Marsa” nagle stanęła na sztorc. Pasażerowie i załoga, Ziemianie i ci z innych planet, stoły, krzesła i wszystkie akcesoria eleganckiej jadalni, do których dołączyły teraz scena, fortepian, posągi, filary i co tam jeszcze, wszystko to ruszyło w ostatnią okropną podróż przez podłogę jadalni, przez okna prosto na pochłonięty sztormem pokład spacerowy.

A ponad tym wszystkim płynął George, zaskakująco wygodnie, biorąc pod uwagę apokaliptyczne okoliczności. Sunął, chwiejąc się łagodnie, lekki jak bańka mydlana tworzona przez dziecko z mydlanej mieszaniny. Wypłynął na zewnątrz i wzbił się wysoko w niebo.

Nietknięty przez burzę, niezmoczony przez deszcz, mimo to tkwiący na granicy szaleństwa, bił pięściami w wewnętrzną ścianę swojego niewidzialnego więzienia, raz za razem wołając imię Ady Lovelace. I kiedy tak płynął coraz dalej od statku, widział jego straszliwy koniec. Oświetlony rozszerzającymi się płomieniami pożarów i okropnymi rozbłyskami błyskawic, „Imperatorowa Marsa”, bulwiasta, przełamana niemal na pół, wbiła się w zburzony ocean. Ludzie walczyli o miejsce na łodziach ratunkowych i przeładowane

łodzie zrywały się z zaczepów. Zniszczenie było gigantyczne, pokłady zapadały się, kabiny rozrywały. George patrzył, jak sala koncertowa przewróciła się do góry nogami, wyrzucając z siebie siedzenia i balkony w spienione fale.

I George Fox odwrócił twarz, gdyż nie mógł już tego znieść.

Na krótko przed świtem sztorm stracił na sile, przestał wyć i miotać się z furją. Huragan ucichł, pioruny odeszły, grzmoty przestały wzbudzać strach. Ocean uspokoił się i nad błękitną przestrzenią rozblęskły promienie słońca.

George obudził się z niespokojnego snu i zorientował się, że jest zupełnie sam.

Sam jeden na pięknej plaży, wolny od niewidzialnego kokonu. Jego palce dotykały srebrzystego piasku, ciepłe promienie słońca pieściły jego imponującą brodę. Uniósł się na łokciach, jako że leżał na plecach. Obrzucił wzrokiem idylliczne otoczenie, uśmiechnął się do siebie i wtedy przypomniał sobie, co się stało.

Twarz George'a zachmurzyła się, żołądek zacisnął w bolesny węzeł. Powoli wstał i zawołał Adę, lecz był całkiem sam. Przed nim nieskończone błękitne morze; za nim dżungla.

Oslonił oczy przed blaskiem wczesnego słońca i wpatrzył się w odległy horyzont. Szczątki, ciała, łodzie ratunkowe? George widział jedynie błękit.

Czy był jedynym rozbitkiem ocalałym przed morskim grobem? Cudem uratowany za sprawą magii, albo może Boga? Myśli George'a rozszalały się - jak do tego doszło? Czy to, co się stało, było jego winą? Czy aby nie jest przeklęty? Współczesny Jonasz przynoszący nieszczęście wszystkim, których spotka?

Opadł na kolana i złożył dłonie do modlitwy.

- Błagam, Boże - modlił się - ocal Adę. Wyślij moją duszę do piekła, ale błagam, ocal Adę.

Gdzieś w dżungli zaskrzeczała małpa, wytrącając George'a ze stanu skupienia. Czy Darwin został wyrzucony na brzeg żywy? Małpi kamerdyner mógłby się okazać niezwykle użyteczną istotą dla morskiego rozbitka na bezludnej wyspie.

Lecz wtedy myśli George'a jeszcze bardziej się pomieszały. A jeśli to nie była bezludna wyspa? Dodając dwa do dwóch, George otrzymał całkiem odpowiednią czwórkę, z której wynikało, że jeśli wyspa nie jest bezludna, to z całą pewnością musi być zamieszkaana. Przez kanibali!

- Och, proszę, ocal mnie, dzieciątko Jezu - modlił się George Fox, nagle pobożny. Wtedy żołądek George'a zaburczał, mieszając w myślach George'a jeszcze bardziej; przypomniał mu, że poprzedniego wieczoru ominęła go kolacja, i teraz był ekstremalnie

głodny.

Opadł smętnie na piasek i ukrył twarz w dłoniach.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, a przyływ łagodnie lizał złocistą plażę.

George podniósł się na nogi i otrzepał z piasku. Potrzebował jedzenia. Potrzebował wiedzieć, jak duża jest ta wyspa i co może mu zaoferować. A najbardziej potrzebował wiedzieć, czy Ada Lovelace dotarła na brzeg żywa i zdrowa.

I wtedy jego myśli zaczęły rozgrywać scenariusz, w którym tylko Ada zostałaby wyrzucona na brzeg, i na wyspie byłiby jedynie oni dwoje. Ta myśl podniosła go na duchu. Mógł sobie wyobrazić, jak budują dom na drzewie, aby w nim zamieszkać, oczywiście korzystając z usług małpiego kamerdynera. Być może nawet założyliby rodzinę. A potem zostaliby uratowani i zawiezieni do Londynu, gdzie tantiemy ze sprzedaży książki o ich przygodach pozwoliłyby im żyć wygodnie do śmierci w pięknym domu w Mayfair.

Uśmiechnął się szeroko i pogłaskał się po imponującej brodzie. Potem odetchnął głęboko i pomaszerował wzdłuż brzegu.

- Mój krok - powiedział do nikogo innego jak do siebie - ma około jednego metra. Więc jeśli policzę moje kroki, będę mógł określić obwód wyspy, kiedy wrócę do punktu wyjścia. - W tym myśleniu była zawarta pewna logika i George'a to cieszyło, więc, licząc głośno w myślach, dziarsko szedł plażą.

Gwizdał najnowszy przebój burlesek: „Tato, nie skacz z dachu, bo zrobisz dziurę w piachu”. Niedawno widział w teatrze rewiowym demonstrację patentowanego woskowego fonografu pana Thomasa Edisona - cuda współczesnej nauki akustycznej, na którym można było nagrać na obracających się woskowych cylindrach muzykę, a potem odegrać ją, nakładając na nie igłę połączoną z mosiężnym rogim. W tamtym czasie George naprawdę myślał o tym, że jeśli kiedykolwiek zostanie porzucony na bezludnej wyspie, to chciałby zabrać ze sobą osiem woskowych cylindrów - zakładając, że miałyby już Biblię i dzieła zebrane Szekspira.

George włókł się - teraz już się włókł, dziarski krok odszedł w zapomnienie. Doliczył się trzech tysięcy kroków, i miał już dosyć. I nagle porzucił liczenie, a jego nogi znów zaczęły poruszać się żwawo. Przed nim na plaży leżał wrak. Rzucił się biegiem w jego stronę przepełniony nadzieją.

Ta nadzieja jednakże nie została spełniona i George zatrzymał się jak wryty. Z pewnością na plaży leżał wrak, i to całkiem spory. Ale nie był to szczątek „Imperatorowej Marsa” - ten był stary i zardzewiały.

Galeon?, pomyślał George. Być może. Statek piracki ze skrzynią pełną skarbów?

Przez ostatnie godziny rozbiegane myśli George'a stworzyły najróżniejsze scenariusze. Kanibale i domek na drzewie. On i Ada jako Adam i Ewa i woskowanie bezludnej wyspy. Ale to akurat było nieoczekiwane.

To było coś zupełnie innego.

Ostrożnie podszedł do tego czegoś. Nie dlatego, że obawiał się o swoje bezpieczeństwo, lecz bardziej z czystego zdumienia.

To było to, o czym myślał, że jest, prawda?

Zniszczony, starożytny, pokryty skorupiakami, leżący na tropikalnej plaży, z całą pewnością znajdował się tu od bardzo długiego czasu, ale na pewno był tym, o czym on myślał, że jest.

- To jest statek kosmiczny - powiedział George w oszołomieniu. - Starodawny statek kosmiczny.

Nie miał wątpliwości, że to jest dokładnie to. Starodawny statek kosmiczny, który uległ katastrofie. Na oko kilkusetletni. Całkiem duży, jego większa część była zanurzona w piasku, a jeszcze większa pod narastającym przyptywem. Wielkością mógł dorównać marsjańskiemu okrętowi wojennemu lub statkowi handlowemu z Jowisza.

Marsjański okręt wojenny? Myśli George'a znów zawirowały. Marsjanie zjadali ludzi, to była rzecz znana i dokąd można uciec na wyspie?

- Nie - powiedział George. - Od dawna już są martwi. Albo uratowani, prawdopodobnie uratowani.

- Można coś odzyskać ze statku kosmicznego? Żołądek George'a zawarczał nagłaco. Pewnie żadnego jedzenia, George doszedł do wniosku, a on naprawdę potrzebował coś zjeść.

Myśli o jedzeniu nie opuszczały go od chwili, gdy zaczął iść wzdłuż brzegu morskiego. Lecz jakoś nie miał ochoty wejść do dżungli, wiedział, że dżungle są przerażające. Znał ich straszliwy potencjał. Odkrywcy z imperium od zawsze prowadzili pionierskie ekspedycje do takich dżungli jak ta tutaj. Wielu przepadło bez wieści. W dżunglach kryły się małe brązowe ludziki z nosami przebitymi kośćmi i dmuchawkami przy ustach. Cudacznicy tubylcy strzelali do ciebie zatrutymi strzałkami. Gotowali i zjadali twoje smakowite części. Pomniejszali twoją głowę i wieszali na ścianie. Cóż, mogli tak samo zjeść załogę tego statku kosmicznego. Więc z George'em poradziliby sobie szybko, i on o tym wiedział.

- Jestem ugotowany - powiedział George. - Przeklęty i ugotowany.

I znów opadł na piasek, schował twarz w dłoniach i rozplakał się.

I prawdopodobnie siedziałby tak dalej na tropikalnej plaży, szlochał i skarżył się na

swój los, gdyby coś nie położyło temu kresu.

To było bardzo nagle coś i George nie zauważył jego nadejścia. Uderzyło go w sam czubek głowy i zważyło na ziemię jak drzewo.

Kiedy George Fox znów obudził się w okolicznościach, które nie wzbudziły w nim zachwytu, zupełnie nie był tym zaskoczony. Zaczynał się już przyzwyczajać. Jedynym logicznym rozwiązaniem problemu, jakie przyszło mu do głowy, było, żeby w ogóle przestał zasypiać. Spanie prowadziło do budzenia się, a budzenie się do kłopotów.

George obudził się otoczony kłopotami, co wyprowadziło go w stan przygnębienia.

Udało mu się co prawda westchnąć w myślach „Co znowu”, lecz kiedy się zorientował, jak sprawy stoją, spojrzął na nie z fatalistycznego punktu widzenia i nie robił zamieszania. Znajdował się w wiosce tubylczej, na polanie w środku dżungli. Pierścień glinianych chat otaczał centrum wioski, gdzie leżał George. A wokół niego tańczyły małe brązowe ludziki z nosami przebitymi kośćmi.

Styl ich tańca był mu całkiem nieznany, lecz podziwiał emanującą z niego żywotność. I pewnie okazałby swój podziw oklaskami, gdyby udało mu się uwolnić ręce. Ale nie mógł uwolnić rąk, gdyż były mocno przywiązane do boków. Najpewniej przygotowywano ucztę, George wyczuwał zapach zupy. Zupy warzywnej, smakowicie egzotycznej.

Wciągał w nozdrza woń zupy, jako że był niej bardzo blisko. Właściwie w samym jej środku.

W kotle do gotowania.



## 26

W takich okolicznościach wielu wolałoby o litość. Błagaliby dręczycieli o uwolnienie. Lecz George przybrał swój najodważniejszy wyraz twarzy i nie wyrzekł ani słowa. Przecież w końcu miał układ z Bogiem.

Modlił się, żeby dobry Bóg wziął jego życie w zamian za życie Ady.

Prawda, wkrótce potem zmienił prośbę na błagalne: „Och, proszę, słodki Jezu, ocal mnie”. Ale z Wszechmogącym nie można się bawić, i jeśli On w swojej nieskończonej mądrości uznał, że umowa jest umową, to nie ma odwrotu.

Poruszył się niezręcznie. Robiło się gorąco.

- Mam nadzieję, że tubylcy zakończą moje nieszczęsne życie, zanim gotowanie zacznie się na serio - powiedział George, być może zwracając się do Boga. - Jakkolwiek czytałem gdzieś, że im straszniejsze męczeństwo, tym większa nagroda czeka w niebie na męczennika. Nie, żebym uważał się za męczennika, oczywiście. Przyznaję, że nie byłem najlepszym chrześcijaninem i bardzo za to przepraszam. Au - ała!

Tubylec, z kością w nosie i bez wątpienia z dmuchawką zostawioną w chacie, podrzucił kilka kolejnych kawałków drewna do ognia pod kotłem.

Inni tubylcy wyciągali w stronę ognia patyki z nabitymi na nie czymś, co wyglądało jak marshmallow.

- Dobre jako przystawki - zauważył George. Po czym powrócił do swojej jednostronnej pogaduszki z Bogiem.

- Próbowałem być dobrym człowiekiem - ała! - kontynuował. - Nie sędę, abym kiedykolwiek - auu - świadomie wyrządził - jej, to boli - komukolwiek krzywdę i właściwie byłem na czymś w rodzaju świętej wyprawy. Myślę, że powinienem porozmawiać o tym z tobą osobiście, ale ja - och - och - ała - aaaaaa...

I na tym skończyła się rozmowa George'a.

- Na pomoc! - wrzasnął z całych sił. - Niech mi ktoś pomoże, pro...

I tubylec z kością w nosie i procą w chacie, jako że był za młody na posiadanie dmuchawki, wsadził jabłko, lub tropikalny ekwiwalent tego owocu, prosto w usta George'a, stawiając tamę wrzaskom ich przyszłej kolacji.

George rzucał się w kotle, jak tylko mógł, co nie znaczyło zbyt wiele. Był w zbyt wielkim bólu, żeby móc wykrzesać z siebie choćby jedną klarowną myśl potrzebną do przyszłej dyskusji z Wszechmogącym.

Dziwne rzeczy wypełniają głowę, kiedy jest się przekonany, że życie zbliża się do końca. Możliwości są niemal nieskończone. Skrucha za grzechy przeszłości. Żal, że nie zrobiło się tego, co powinno się było zrobić. Myśli o tych, których kochaliśmy, i tych, których nienawidziliśmy. Myśli o tym, że życie jako takie jest niesprawiedliwe. No i zwłaszcza myśli o Bogu.

Dość nieczęste myśli, jak można by przypuszczać, dotyczą ironii.

- To cholernie ironiczne - zamruczały myśli w głowie George'a, jako że nie miały szans na wydostanie się z jego ust. - Jestem bardziej głodny, niż byłem kiedykolwiek, a skończę jako posiłek.

I być może był gdzieś w tym jakiś morał, ale całkowicie umknął biednemu George'owi.

Tubylcy kontynuowali swój kolacyjny taniec, słońce świeciło z wysoka, a dookoła rosła dżungla w całej swojej krasie.

George co prawda wrzeszczał w środku, że jego niedola wkrótce się skończy.

Ale wiedział też, że jego życie prawie się już skończyło.

Nie zauważył więc, kiedy pierwszy tubylec wrzasnął i padł na ziemię. Nie zauważył też drugiego, trzeciego i czwartego. To, że dzieje się coś dziwnego, dotarło do niego, dopiero kiedy wszyscy tubylcy uciekli, wyjąc szaleńczo.

I miał niewyraźne wspomnienie włochatych postaci, które wpadły do wioski, miotając kokosami. I jednej postaci, noszącej na głowie pokryty solą fez, która wyciągnęła go z kotła.

George Fox otworzył oczy szeroko i ujrzał anioła.

- Cóż - powiedział - przynajmniej poszedłem do nieba.

I rzeczywiście mógłby powiedzieć coś w tym stylu, gdyby był w stanie mówić, ale jako że usta nadal miał zatkane jabłkiem, nie mógł.

Ale jabłko zostało wreszcie wyciągnięte i George ujrzał demona. Wcale nie poszedł do nieba, ale w całkiem inne miejsce.

Demon powąchał jabłko, a potem odgryzł kawałek. Anioł, znów pojawiwszy się przed oczami George'a, zapytał:

- George, czujesz się dobrze?

George zamrugał, jak każdy by to zrobił w takich okolicznościach, a potem powiedział:

- Ada...

I zamilkł.

Kiedy tym razem się obudził, ujrzał Adę, patrzyła na niego z niepokojem. Uświadomił sobie, że leży na posłaniu z trzciny wewnątrz glinianej chaty. Na glinianej ścianie wisiała dmuchawka, tuż obok pomniejszonej głowy.

- Ada - powiedział George. - Ada, ty żyjesz.

- I ty także. Jakkolwiek niewiele brakowało.

- Ale jak? - spytał, a ona mu wyjaśniła jak.

- To wszystko było zbyt wariackie. Absolutnie szalone. Te straszne rzeczy, które działy się w wielkiej jadalni z ludźmi rzucanymi dookoła, jakby byli niczym. I ty, wiszący w powietrzu w magicznym bąblu - jakim cudem?

George tylko pokręcił głową.

- A potem była ta obłąkana walka przy łodziach ratunkowych. Ludzie tłoczyli się na nich, było ich za dużo, i nie wiedzieli, jak uwolnić łodzie od wraku. I jak doskonale wiesz, ja byłam doskonale zaznajomiona z jedną z łodzi, więc biegłam do niej, jak mogłam najszybciej. Miałam ją tylko dla siebie, a potem pojawił się Darwin, niosąc nieprzytomnego profesora. I oczywiście nie mogłam go tam zostawić, ponieważ on jest takim dobrym człowiekiem i zawsze wie, co jest najkorzystniejsze.

George tego nie skomentował i Ada opowiadała dalej.

- Odczepiłam łódź i bardzo mocno wiosłowałam.

- Ty wiosłowałaś?

- Profesor czuł, że tak będzie najkorzystniej.

George zacisnął zęby.

- Łódź nie była zbyt zatłoczona. Byłam tylko ja, Darwin, profesor i młody pan Hitler, kelner od win.

- Ach. Jestem szczęśliwy, że akurat jemu nie stało się nic złego.

Ada popatrzyła na George'a znacząco i kontynuowała opowieść.

- To było naprawdę okropne, George - powiedziała. - Widziałam, jak odlatujesz w siną dal, i nic nie mogłam zrobić. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że będziesz bezpieczny. Myślę, że niewielu ludzi ocalało z katastrofy. Co najwyżej pół tuzina łodzi. Widziałam łódź z Wenusjanami i inną z tymi grubymi Jowiszanami. Śmiali się jak szaleni, cieszyli się każdą

minutą. Ale potem „Imperatorowa” zatonięła i sztorm trwał godzinami. Kiedy nadszedł świt, zobaczyliśmy wyspę i przybiliśmy do brzegu. Ocalały tylko jeszcze trzy inne łodzie, jak myślę, a może inne dotarły do innych lądów. Rozbiliśmy obóz na plaży, a potem profesor powiedział, że będzie najkorzystniej, jeśli wejdę do dżungli i zdobędę trochę żywności. Darwin poszedł ze mną i natknęliśmy się na plemię małp. One nas tutaj przyprowadziły, i tutaj znaleźliśmy ciebie w kotle. To tak naprawdę cała moja opowieść. Co o niej myślisz?

- Myślę, że jestem pod wrażeniem. - George usiadł i obmacywał różne części swojego ciała. - Myślę, że w większości jest prawdziwa.

- W całości jest prawdziwa - obruszyła się Ada.

- I dlatego jestem pod wrażeniem. Jeszcze nie tak dawno prawdopodobnie wymyśliłabyś jakąś niezmierną historyjkę.

- Cóż, już tego nie robię. Nie wobec ciebie.

- Cieszę się z tego. I jestem ci bardzo wdzięczny za uratowanie mi życia.

Ada uścisnęła George'a, co naprawdę zabolowało biednego chłopaka.

Okazało się, że nie był tak bardzo poparzony - prawdopodobnie to było zasługą cech ochronnych jego doskonałego garnituru, który niestety zbiegł się nieco w wodzie z kotła i teraz przypominał bardziej stroje z teatrzyków wodewilowych.

Ada podała George'owi jedzenie i picie, i za to też był jej wdzięczny.

- Czy ktokolwiek wie, gdzie jesteśmy? - spytał, zajadając marshmallow. - Nie przypuszczam, żeby ocalał któryś z pilotów statku razem z mapą i kompasem?

- Słyszałam pewne dziwne opowieści, zwłaszcza wśród turystów z Jowisza. Okazuje się, że w tkaninę marynarek mają wplecioną mapę Ziemi, i podsłuchałam, jak mówią, że tej wyspy nie ma na ich mapach.

- Więc naprawdę się zgubiliśmy - rzekł George, pijąc z połówki kokosa. - Jeśli nie ma jej na mapie, znaczy, że leży z dala od tras morskich.

- Myślę, że to jest oczywiste. Tubylcy-kanibale nie są mile widziani w pobliżu resortów turystycznych. A to jest prawdziwa rajska wyspa. Pan Thomas Cook byłby prawdopodobnie bardzo szczęśliwy, móc dodać ją do swojej oferty.

- Cóż, jako że zostałem ocalony przed straszliwą śmiercią, a ty znów jesteś przy mnie, czuję, że mogę pozwolić sobie na optymizm - nie zginiemy tutaj z głodu. Tubylcy jakoś sobie radzili, a kiedy my sobie z nimi poradzimy, i nam się uda przeżyć.

- Poradzić sobie z nimi - to znaczy wytłuc ich? - spytała Ada.

- Wiesz, że jestem wielkodusznym człowiekiem. W żadnym razie bigotem, rasistą i nie życzę nikomu nic złego. Ale te diabelskie pomioty chciały mnie ugotować. Nie sądzę, żebym

opłakiwał ich stratę.

- Więc powinniśmy ich wytepić i przejąć wyspę?

- Cóż. - George zamilkł. - Jeśli tak to ujmujesz...

- Och, nie zrozum mnie źle - przerwała mu. - Nie mam nic przeciwko temu. Możemy nawet pomyśleć, żeby kilku z nich zasolić i odstawić, żeby zjeść ich później.

Usłyszawszy to, George zaniemówił i poczuł, że właśnie skończył kolację.

Jednak nie mógł w żadnym razie zaprzeczyć, że perspektywa życia na rajskiej wyspie z Adą Lovelace miała w sobie nieodparty urok. Niemalże jak Adam i Ewa w ogrodzie Edenu. Musiałby jedynie wytrzymać, uśmiechając się szeroko, kiedy by wycinano w pień tubylców. Nie było wyjścia, trzeba to zrobić dla wspólnego dobra.

Będzie dobrze, pomyślał George. I podziękował Bogu za ocalenie. Ostatnio wszystko było takie brutalne. Ale też to, co się wydarzyło, doprowadziło go do tego miejsca, tutaj. Na przepiękną wyspę, razem z Adą. To zdecydowanie była wola boska. To, co Bóg dla niego zaplanował. I wszystkie wątpliwości, jakie miał w swoim krótkim życiu co do istnienia Boga, zniknęły.

George stał się wierzącym.

George rzeczywiście odnalazł Boga.

Więc pomodlił się chwilkę i podziękował Bogu za wszystko. Za uratowanie Ady od utonięcia, a jego samego od kotła. Wygląda, doszedł do wniosku, że to wszystko było tak naprawdę boskim planem - George został tu zesłany, by on i Ada mogli żyć w nowym raju jako nowi Adam i Ewa.

- Jestem ci ogromnie wdzięczny - powiedział - za wszystko, co dla nas zrobiłeś, za danie nam nowego raju. Powiedziałbym nawet, że ten jest lepszy niż pierwszy - dodał - bo nie ma w nim okropnego węża.

- George, czy ty się modlisz? - zapytał głos profesora Coffina.

## 27

- To naprawdę cudowne, że znów cię widzę. - Profesor Coffin zatańczył swój mały taniec. - Bałem się, że straciłem cię na zawsze, lecz oto znów jesteśmy razem. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

- W rzeczy samej - powiedział George. I: - Tak. - A także: - W rzeczy samej - jeszcze raz.

- Ufam, że nie jesteś ranny? Żadnych permanentnych zniekształceń?

- Jestem poniekąd podgotowany, ale przeżyję.

- Wspaniale, naprawdę - wykrzyknął profesor.

- Twoje ciało musi więc zażyć trochę snu, jako że jutro rozpoczynamy wielki marsz.

- Wielki marsz? - spytał George. - A co to za wielki marsz?

- Do świątyni, młodzieńcze. Do Jej świątyni.

- Chyba mi coś umyka - stwierdził George. - I, jak widać, coś zdecydowanie istotnego.

- Trattara tam tam, zatem. - Profesor Coffin uklonił się. - Oczywiście, drogi chłopcze, zapewne nie miałeś okazji przyjrzeć się topograficznym i w istocie archeologicznym anomalom, kiedy byłeś transportowany do tej wioski.

- Trzepnęli mnie w głowę.

- Właśnie. Widzisz, w samym sercu tej wyspy wznosi się wielki wulkan, a na jego krawędzi wznosi się coś jeszcze - świątynia, mój chłopcze - świątynia Sayito.

- To założenie nie ma podstaw - odparł George. - To może być jakakolwiek stara świątynia.

- Tak, można by tak pomyśleć, prawda? Jednakże złapany nieco wcześniej tubylec wypowiedział to imię bez większej zachęty.

George pominął to milczeniem. Profesor posiadał niezwykły talent do przekonywania.

- Więc - kontynuował profesor - wyruszymy, gdy tylko wstanie świt. Będą nam towarzyszyć mieszczanie z Jowisza. Przylecieli na Ziemię, żeby zapolować na tygrysy, a ja zasugerowałem, że mogą znaleźć tygrysy w dżungli na tej wyspie.

George westchnął cicho i pokręcił głową.

- Żadnego smutku, mój miły towarzyszu. Jowiszanie zapewnią nam ochronę przed

tubylcami i kto wie, czymkolwiek jeszcze.

- A co gorszego może być na tej wyspie od tubylców?

- Schwytany przez nas tubylec wydawał się obawiać najbardziej czegoś, co ukrywa się na zboczach wulkanu. Ale poprowadzi nas tam jako przewodnik. Wyjaśniłem mu, jak potrafiłem, że wiem, co jest dla nas najkorzystniejsze.

Profesor Coffin życzył George'owi dobrego snu. Poklepał go łagodnie po ramieniu i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

- Czeka nas niezwykle ekscytujący dzień, zobaczysz - powiedział.

I George nie miał żadnego powodu, aby w to wątpić.

Profesor odszedł i George, tym razem przy akompaniamencie odgłosów żyjących w dżungli bestii, które tworzyły wielce niepokojące tło, pomodlił się, jak powinien każdy dobry chłopiec, a potem zapadł w sen.

Ekspedycja wyglądała na bardzo profesjonalną, przynajmniej pod względem ekwipunku. Śpiwory i koszyki piknikowe, hamaki i siatki ochronne. Butelkowana woda i suche racje prowiantowe, piwo i pudełka cygar. Namioty i specjalne parasole, a także wielkie, profesjonalne karabiny ciepne, zwane blasterami. Składane brezentowe wygodki. Tropikalne kapelusze korkowe, czerwone i niebieskie.

George dostał taki kapelusz, turkusowy, z doskonałej jakości mosiężnymi goglami do dżungli.

- Skąd się wzięły te wspaniałe rzeczy? - spytał profesora. - Nie wierzę, że wszystko to zostało wyrzucone na brzeg.

- Jak zapewne zauważyłeś, mieszkańcy Jowisza są bardzo radosnymi gośćmi - wyjaśnił profesor. - Jednym z powodów tej ich nieustannej radości jest, że zawsze są przygotowani. Na wszystko, naprawdę. Ich podstawowym mottem jest „być dobrze przygotowanym znaczy być przygotowanym najlepiej”. Pierwsi dotarli do łodzi ratunkowej. Do łodzi, którą wcześniej załadowali tymi rzeczami „na wszelki wypadek”.

- Tak, są mistrzami planowania - zgodził się George, nakładając kapelusz korkowy. - Jak wyglądam?

- Absurdalnie - odparł profesor. - Ale ochroni twoje włosy przed moskitami, a kark przed słońcem. Wiesz, w tym kapeluszu i skurczonym ubraniu mógłbyś zrobić furorę jako komik na scenie Hackney Empire.

- Profesorze - powiedział George, prowadząc impresaria w spokojniejsze miejsce, gdzie mogliby porozmawiać bardziej konfidencjonalnie. - Naprawdę pan myśli, że

znajdziemy Sayito w tej świątyni?

- Jestem o tym absolutnie przekonany, mój chłopcze.

- I wierzy pan, że ona jest boginią, tak?

Coffin wzruszył ramionami.

- Wierzę jedynie w to, że czymkolwiek ona jest, jest wyjątkowa. I jeśli wrócimy z nią do cywilizowanego świata, przyniesie nam fortunę.

- W takim rozumowaniu widzę jednak pewien błąd. Kimkolwiek czy czymkolwiek ona jest, może nie życzyć sobie nam towarzyszyć:

- Przekroczymy ten most, kiedy do niego dotrzemy. Jestem poniekąd pewny, że uda mi się ją przekonać. George, nie jesteśmy tu przypadkowo. Wszystko, co się zdarzyło, zostało wcześniej zaplanowane. Wszystko to jest przeznaczeniem. Twoim przeznaczeniem.

- Ale dlaczego? Dlaczego ja?

- Nie mam żadnych wątpliwości, że wreszcie to się wyjaśni ku ogólnej satysfakcji.

Jednak George nie był tak do końca przekonany.

- Jesteś gotowy do drogi? - spytał profesor.

- Bardziej już chyba nie będę - odparł George.

- I zrobiłeś co trzeba, a potem umyłeś ręce?

- Co? - George był tym komentarzem oburzony.

- Naprawdę nie chciałbyś poczuć przymusu w środku dżungli - wyjaśnił profesor Coffin. - Jest tam zbyt wiele gniazd czerwonych mrówek albo straszliwych ryb, które mogłyby podplynać do twojego zadka, gdybyś chciał załatwić interes w rzece...

- Dosyć, profesorze, proszę! - jęknął George. - Zrobiłem co trzeba, dziękuję bardzo.

Profesor Coffin uniósł brew.

- I umyłem ręce. Proszę przestać.

Schwytany tubylec, zabezpieczony w talii mocną liną z obawy, że jakieś przyszłe okoliczności mogą namówić go do opuszczenia jego pozycji, poprowadził ich przez dżunglę. Za nim szło dwóch Jowiszan, wielkich i uzbrojonych, z tym samym zadaniem, co i lina. Potem była Ada i Darwin, potem George i profesor, a za nimi czterech mieszczan z Jowisza - dwaj ostatni, niosący wielkie, profesjonalne blastery, szli tyłem.

- Dopóki nie zostaniemy zaatakowani z boków, mamy wszelkie szanse na przeżycie - powiedział George.

Profesor Coffin nic nie powiedział.

Czekały ich trudy wspinania się w górę, w każdym sensie tego słowa. Kolesie z Jowisza, chociaż pełni entuzjazmu i woli walki, nie byli przystosowani do górskich



wspinaczek. Jowisz to wspaniała, wielka planeta z większą grawitacją niż na Ziemi, w konsekwencji czego Jowiszanie odznaczali się bardziej solidną budową. I jakkolwiek wylądowawszy na Ziemi, doświadczali pewnej lekkości kroku, wkrótce ta korzyść znikła z powodu gargantuicznych ilości ziemskiego jedzenia, jakie pochłaniali.

George nie bardzo wiedział, co o nich myśleć.

Na pewno byli bardziej ludzcy niż eklezjaści z Wenus. Wydawało się, że naprawdę kochają życie. Śmiali się, śpiewali, dokazywali i śmiali się jeszcze bardziej. I gdyby nie pewne subtelne różnice - brak palca wskazującego, długość płatków uszu, bliski rozstaw oczu - wyglądem nie różniliby się od ludzi.

I wydawało się, że religia nie ma dla nich znaczenia. Przyjeżdżali, handlowali, wydawali pieniądze, jakie zarobili na handlu, a potem wracali do domu.

Byli rozkoszą rasistów.

George przyglądał im się, gdy sapali, dyszeli i wspinali się wyżej i wyżej.

Co godzinę robili przerwę i siadali, by odpocząć. George usiadł blisko Ady, która pozbyła się swojego zwykłego stroju do podróży i teraz miała na sobie jedynie kamizelkę, gorset i pumpy; wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać poszukiwaczka przygód. Razem obrzucali dżunglę podejrzliwym wzrokiem. To naprawdę był raj, soczystozielone drzewa, srebrny piasek, a za nim wspaniała ocean.

- Powiedz mi - powiedział George, czy wciąż masz tę swoją kobiecą intuicję?

- Mam nadzieję. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ ja czegoś takiego w ogóle nie posiadam, mam bardzo złe przeczucia co do tego, jak to wszystko się skończy.

- Profesor wie, co jest...

- Przestań.

- Czy wszystko jest cudowne jak wiosenny poranek? - spytał profesor, przysuwając się bliżej. - Wydawało mi się, że powiedziałeś „przestań”, młodzieńcze.

- Wszystko jest w porządku. - George uniósł korkowiec i wytarł z czoła pot. - Jak pan myśli, kiedy dojdziemy do szczytu?

- Jeśli nic nam nie przeszkodzi, pewnie za godzinę. Jakkolwiek przez ostatnią godzinę idą za nami małe brązowe ludziki z kośćmi w nosach.

George'em wstrząsnął okropny dreszcz.

- Przypuszczam, że chcą, żebyśmy oddali im naszego przewodnika.

- A nas wsadzić do kotłów. Ale to nie tubylcy są zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa.

- Nie? Co, w takim razie?

- Spójrz do góry. Wysoko w niebo.

George spojrzał na promienne niebo.

- Nałóż gogle, George - poradził profesor.

George opuścił swoje gogle z kapelusza i przyjrzał się niebu. Potem uniósł gogle i spytał bardzo cicho:

- Co to jest?

- Mam na ten temat dwie opinie. I nie wiem, którą wybrać.

Ada Lovelace także spojrzała do góry, założyła gogle i zagapiła się.

- Och, jej - powiedziała. - Nie wierzę w to.

- Niezależnie od tego, czy one pasują czy nie do twojego systemu wierzeń - stwierdził Coffin - to nie ma większego znaczenia. Krążą nad nami i są bardziej przerażające niż najgorsze koszmary.

- Sępy? - spytał George. - Czy wielkie nietoperze? Z pewnością jakieś straszliwe stworzenia.

- Ach, w twoich goglach nie ma powiększających obiektywów. To ani sępy, ani nietoperze, młodzieńcze. To albo harpie, albo pterodaktyle.

George osłupiał.

Ada niemal zemdląła.

- Tylko pomyśl - mówił profesor - gdybyśmy mogli przywieźć jednego żywego do Londynu. Słyszałem opowieści o wyspie, na której żyje gigantyczna małpa. O ile wiem, nazywają ją Wielkim Kong Dongiem, ale to pewnie tylko bajka. Te jednak - wskazał na niebo - wyglądają całkiem realnie. Jeśli nas zaatakują - a mam przeczucie, że tak się stanie - musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby któreś złapać w sieć.

George Fox przewrócił oczami.

- Pan nigdy nie pozwoli, żeby okazja się panu wyślizgnęła z rąk, prawda, profesorze?

- Jestem profesjonalistą, George. Do plecaka, który niesiesz, wsadziłem pół tuzina pomniejszych głów. Kmiotki zapłacą krocie, żeby zobaczyć je w Londynie.

- Fuj! - krzyknął George, zdzierając z siebie plecak.

- To są ludzkie głowy.

- Jako żywo, George. - Roześmiał się. - W istocie, ruszajmy wszyscy żywo, a wkrótce tam będziemy.

Po kolejnej półgodzinie wspinaczki cała grupa znalazła się na trawiastym wzniesieniu,

kilkaset metrów poniżej szczytu.

- Och, tak, w istocie, w istocie - mruzczał profesor. - Co o tym sądzisz, George? Co o tym sądzisz?

Nad nimi wznosiła się świątynia. Obszerna konstrukcja przylepiona do krawędzi wulkanu. Kiedyś George widział rysunek pałacu Potala w Tybecie, i ta budowla tutaj była podobnie niezwykła. A przecież jeszcze bardziej zdumiewająca. Złote dachy wyginały się pod ekscentrycznymi kątami; wieżyczki, podobne do pereł, były pomniejszone przez zawrotną perspektywę. Ten budynek był gotycki, był chiński, był hinduski, japoński, jawajski i balijski, a także tajwański. A niektóre części zaskakująco upodobniały go do pawilonu księcia regenta w Brighton. Były tu posągi wielu bogów, żydowskich, pogańskich. Symbole wykute w kamieniu. Heksagram Salomona, koło cierpienia Böhme, lazurytowe sigile alchemików. Trynitarnie Niebo Fludda zamknięte w świętym trójkącie. Koło w kwadracie Pitagorasa. „Drzewo Pansofii” różokrzyżowców. Dziesięciokrotnie złożone sfery wszechświata Hermesa Trismegistosa. Wszystko to, i jeszcze więcej, wykute w kamieniu oblanym promieniami słońca.

- To mnie przeraża - powiedział George. - Jesteśmy w świętym miejscu i nie przybyliśmy tu, by się modlić. Musimy zawrócić, profesorze. Nie wolno nam iść dalej.

- Och, absolutnie nie - odparł profesor Coffin.

- Pewnie jesteśmy pierwszymi cywilizowanymi ludźmi, którzy pojawili się w tym miejscu od tysięcy lat. Nie możemy zawrócić, kiedy jesteśmy tak blisko. Moje całe życie prowadziło do tego momentu, George, i twoje także. To jest nasze przeznaczenie, rozumiesz mnie? To jest twoje przeznaczenie.

George popatrzył twardo na profesora, którego oczy, ocienione rondem przeciwsłonecznego kapelusza, wydawały się lśnić od wewnątrz, rozświetlone jakimś mrocznym ogniem.

- To jest złe - stwierdził stanowczo George. - Bardzo złe. Nie jesteśmy przygotowani, żeby tam wejść.

Ręka profesora Coffina sięgnęła do kieszonki kamizelki.

- George, odejdź ze mną na bok na chwilę - rzekł.

## 28

Odszedł na bok z profesorem, mimo że niezbyt chętnie. I kiedy impresario objął go ramieniem, strząsnął je. Uprzejmie.

- No, co, George - powiedział Coffin. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Czuję się nieźle. Nie chcę zostawić Ady samej, nie z tymi dzikimi stworzeniami krążącymi po niebie.

- To będzie tylko chwilka. Chciałbym ci coś pokazać. Właściwie, chciałbym, żebyś coś powąchał.

- Powąchał? Nie rozumiem.

Profesor Coffin sięgnął do kieszonki kamizelki i wyjął smukłą szklaną fiolkę z zakrętką.

- To nie zajmie więcej niż chwilę. A wtedy wszystko będzie w porządku...

Ale George powiedział:

- Nie - i to bardzo głośno, i przepchnął się obok profesora. - Nie mogę zostawić Ady. Pokaże mi pan to później.

Profesor Coffin patrzył, jak chłopak wraca do swojej ukochanej.

- Bądź pewien - mruknął - że pokażę ci to później.

Ada Lovelace, wyglądając ślicznie, popijała wodę z mosiężnego bukłaka. Jej szmaragdowe oczy popatrzyły w górę na George'a, kiedy do niej podszedł.

- Między tobą a profesorem wszystko jest dobrze? - spytała.

- Tak - odparł George, dość ostro, i usiadł obok niej.

- On chce wejść do świątyni. Ale ja nie.

- Więc dlaczego nie poczekaś tu na niego? Bądź co bądź, on wie, co jest naj...

Przerwał jej w pół słowa.

- Ada. Nie wiem, co ten człowiek ci zrobił, ale na pewno coś ci zrobił. Twoja nagła całkowita zmiana podejścia do niego jest bardzo podejrzana. Takie młode damy jak ty nigdy tak się nie zachowują.

Spojrzał Adzie głęboko w oczy.

- On ci coś zrobił?

Ada przybrała zamyślony wyraz twarzy; nadal była to śliczna twarz, niemniej jednak zamyślona.

- Coś się stało - powiedziała powoli. - Coś w toalecie dla dam na pokładzie „Imperatorowej Marsa”. Ale to wrażenie jest odległe i zamazane. Jakbym straciła niektóre wspomnienia.

Dwa plus dwa dało George'owi cztery.

- To samo zdarzyło się mnie. Za każdym razem byliśmy w towarzystwie profesora.

- Tak. - Zielone oczy Ady zrobiły się ogromne. - Profesor. On był... - ale nie dokończyła.

Zamiast tego wrzasnęła z całych sił, i odepchnęła George'a na bok.

Ekspedycja nagle została zaatakowana.

Z nieba rzuciły się na nich te straszne bestie. I kiedy tak zlatywały i nurkowały na odkrytą przestrzeń wzniesienia, było jasne, że to ani nie harpie, ani pterodaktyle.

- To latające małpy - wrzasnął George. Chwycił swój plecak z pomniejszonymi głowami, zaczął nim wymachiwać na atakujących.

Darwin, małpi kamerdyner, wykazując mądrość, która udowadniała istnienie ewolucyjnego połączenia między małpą a człowiekiem, umknął i skrył się na skraju dżungli.

Profesor Coffin zaczął rzucać kamieniami.

Jowialni Jowiszanie unieśli swoją potężną broń.

Latające małpy naprawdę były straszliwe, ze swoimi wstrętnymi czerwonymi twarzami i wielkimi skrzydłami nietoperzy. Ubrane w małe kamizelki i wielkie workowate spodnie, mamrotały i syczały jakieś przerażające słowa.

- Myślę, że one nas przeklinają - krzyknął George do Ady. - Ukryj się między drzewami. Postaram się je zatrzymać.

Ada uciekła tam, gdzie chował się Darwin, podczas gdy George wciąż wymachiwał plecakiem.

Co, chociaż niekoniecznie było czynnikiem odstrasającym, z pewnością zadziałało jako odwrócenie uwagi.

Jednakże to Jowiszanie zademonstrowali prawdziwy pokaz siły.

Unieśli swoją broń w stronę atakujących małp i niebo przecięły promienie energii.

- Te strzelby z pewnością usuwają w cień Królewskich Muszkieterów - powiedział z aprobatą profesor Coffin. - Och, litości!

Latająca małpa, która zbliżyła się za bardzo, została rozniesiona na atomy tuż przed jego nosem.

- Niewiele zostanie z tygrysa - rzekł profesor, biegnąc w stronę kryjówki Ady. - Chodź, George - zawołał. - Zostawmy to koleśiom z kosmicznymi gnatami.

I tak jak powiedział, koleśie z kosmicznymi gnatami rzeczywiście robili znaczącą wyrwę w atakujących ich z powietrza stworzeniach. Latające mały eksplodowały pod dotknięciem straszliwych promieni. Jak się okazało, wobec technologii obcych ucieleśnione mityczne stworzenia nie miały żadnych szans.

George'owi zaświtała myśl, że być może leży w tym jakiś morał, to jest jakaś lekcja, którą należałoby poznać, lub coś innego, lecz owa myśl przeleciała tak szybko, jak George mknął, wyjąc, do kryjówki.

Śmiejący się głośno mieszkańcy Jowisza ustawili się w kręgu, z plecami skierowanymi do środka. I pluli niszczącym ogniem na atakujących ich wrogów.

- Myślę, że wygramy tę potyczkę. - George dotarł do schronienia i opadł na ziemię obok Ady i profesora.

- Być może udałoby się ich przekonać, żeby jednemu strzelili tylko w skrzydło - powiedział profesor Coffin. - Naprawdę jestem zszokowany i oszołomiony potęgą ich siły ognia.

- Ale wygrywamy tę bitwę - zauważył George.

- I przypuszczam, że tylko to ma znaczenie. Jakkolwiek... - I tu George zamilkł.

- Jakkolwiek? - spytał profesor.

- A co to jest? - powiedział George i wskazał palcem.

W oddali tworzyła się potężna czarna chmura. Kłębiła się, zajmowała coraz więcej nieba. Kiedyś George spędził przyjemny wieczór na plaży w Brighton, obserwując ogromne stada szpaków, które bawiły się ponad West Pier. Ta chmura była poniekąd podobna. Podobnie pikowała i skręcała się.

- Nie! - krzyknął. - Latające mały, tysiące!

Myśliwi z Jowisza też je dostrzegli. I zorientowawszy się, że będą przewyższeni liczebnie ponad wszelką rozsądną, i w istocie nierozsądną, nadzieję na zwycięstwo lub przeżycie, złamali szyk i pomknęli na skraj dżungli.

Stworzenia opadły w dół jak stado szarańczy, zaczerniając niebo. George przez chwilę zastanowił się, skąd też one wszystkie się wzięły, jako że z pewnością taka mała wyspa nie jest w stanie ich wyżywić nawet przez jeden dzień. Lecz po raz kolejny była to przelotna myśl. George miał ważniejsze sprawy na głowie.

- Uciekajmy głębiej w dżunglę - krzyknął. - Wszyscy, szybko, już!

- Ach - odezwał się profesor. - A może nie.

- Nie? - George przygotował się do ucieczki. - Ada, chodź.

- George, nie, nie rób tego. Tubylcy, patrz. - Profesor Coffin wskazał palcem.

No i oczywiście, jako że nieszczęścia chodzą parami, w dżungli aż roiło się od małych brązowych twarzy z kośćmi w nosach.

- Tubylcy! - krzyknął George. - Tysiące!

- Wygląda - powiedział profesor Coffin - że mieszkańcy naszej wioski poszukali pomocy w większości okolicznych wiosek. Co ustawia nas niejako między młotem a kowadłem, jak sądzę.

- Nie lubię mówić „A nie mówiłem” - powiedział George.

- Więc uprzejmie nie mów, to w najmniejszym stopniu nie polepszy naszej sytuacji.

Nagle znaleźli się w całkowitych ciemnościach, latające małpy zaczerniły niebo. I te piekielne naczelnopadły w dół, zapewne mając niezbyt przyjazne intencje. Jowiszanie, teraz już nie tak jowialni, przedzierali się przez dżunglę, patrzyli spod oka na tubylców, kierując na nich broń.

Latające małpy dotarły do czubków drzew, rozrywając pokrywę liści. Tubylcy unieśli swoje dmuchawki.

Rozpoczęła się potężna bitwa.

Schwytni w sam jej środek, bez żadnej broni, i z niewielką nadzieją, George tulił się do Ady, ona tuliła się do George'a, a Darwin tulił się do profesora.

- Jesteśmy zgubieni! - krzyczał profesor. - Nie tak miało być. Zrób coś, George. Ocal nas wszystkich.

- Ja? - krzyknął George, kiedy wokół jego uszu zagwizdały przelatujące zatrute strzałki, a promienie ciepłe z blasterów podpaliły dżunglę. - Dlaczego ja?

Wtedy latająca małpa skradła mu korkowy kapelusz.

Jeśli okropne wydarzenia w wielkiej jadalni spadającej do oceanu „Imperatorowej Marsa” przypominały sceny z „Piekle” Dantego, to obecny chaos bardziej pasował do rozgorączkowanej wyobraźni Hieronymusa Boscha po ciężkiej nocy spędzonej w barze na picciu piętnastowiecznego ekwiwalentu absyntu.

Wrzaski, przekleństwa, odgłosy rozrywania i rozdierania małp.

Straszliwe zniszczenie siane przez każdą okropną broń.

Wojenny zaśpiew tubylców i syk wydmuchiowanych strzał.

Strach i płomienie, krew i śmierć zagościły na wyspie.

Na oceanie błękitu pod letnim słońcem.

- Do świątyni - krzyknął profesor Coffin. - Zażądajmy azylu. To nasza jedyna nadzieja.

- Nie wiem, co robić - odkrzyknął George.

- Zaufaj profesorowi - powiedziała Ada.

George Fox w rozpaczy wyrzucił pięści do góry.

I to, co mogło zdarzyć się najgorszego, właśnie się zdarzyło.

Nagle wszyscy go opadli, drapali i szarpali. Jego dłoń została wyrwana z dłoni Ady i kiedy spojrzął do góry, otepiały od przerażenia i śmiertelnego strachu, kilka małp z wrzeszczącej hordy chwyciło Adę i uniosło ją ku niebu.

- Nie! - wrzasnął George. - Niech ktoś zastrzeli te potwory!

Ale myśliwi z Jowisza byli zajęci czymś innym.

George walczył, żeby wyrzucić poza machające skrzydła i chwytające szpony, które teraz skupiły się na nim, i zobaczył, jak Ada zostaje uniesiona w górę, a potem wniesiona przez jedno z okien do wieżyczki z perły.

- Tędy - krzyczał profesor. - Tutaj, George, chodź ze mną.

I profesor Coffin pociągnął George'a za sobą do czegoś, co wyglądało jak jakaś wielka królicza jama, i wepchnął go do niej głową do przodu.

Było tam ciemno i śmierdziało łajnem. A kiedy coś się w niej poruszyło, George prawie umarł na miejscu z absolutnego przerażenia. Lecz chwyciła go przyjazna dłoń i Darwin zagulgotał coś niezrozumiale prosto do jego ucha. Wyżej rozległy się straszliwe odgłosy walki. I trwało to tak godzinami. George skulił się i zaczął się kiwać. Profesor Coffin ukrył twarz i modlił się na swój sposób.

Być może upłynęły długie godziny, jako że George stracił poczucie czasu. Ale kiedy wreszcie nastąpiła cisza, profesor Coffin wyjrzał z kryjówki i, upewniwszy się, że jest już bezpiecznie, wyszeptał do George'a, żeby za nim poszedł.

George posłuchał.

I zobaczył rzeź. Drzewa zmienione w poczerńiałe kikuty. Rozszarpane ciała, dwóch mieszkańców Jowisza martwych. A nad wszystkim unosił się widmowy fetor śmierci.

- Mój Boże - wyszeptał George. I nic więcej nie był w stanie powiedzieć.

Profesor Coffin przeszukał kieszenie, wyciągnął pudełko cygar, z niego cygaro, odgryzł jeden koniec i wypluł. Podpalił zapalką i odetchnął głęboko, uspokajając się.

Darwin skierował do profesora nagłać dźwięki i profesor podzielił się z małpą cygarem.



- Wszystko jest stracone - powiedział George, kiedy udało mu się wydać z siebie głos.  
- Wszystko jest stracone.

Profesor Coffin otworzył usta, po czym je zamknął.

- Ale - George spojrzał do góry, do wznoszącej się wyżej świątyni - ona może jeszcze żyć.

- Ona? - rzekł profesor. - Bogini? Ta ona?

- Mam na myśli Adę - wyjaśnił George. - Te stworzenia zaniósł ją do świątyni przez okno w tej wysokiej wieży. - Wskazał palcem. - Ona może być żywa. Muszę ją znaleźć.

- Znaleźć ją? - I profesor Coffin uśmiechnął się. To nie był przyjemny uśmiech, więc odwrócił twarz, by George go nie zobaczył. - Znaleźć Adę - powiedział. - Gdzieś w świątyni. O, tak. Tak będzie najkorzystniej.

## 29

Wieże z pereł lśniły w popołudniowym słońcu, tak jak i złote dachy. Wśród tej migotliwej mgły wspinali się George, profesor i małpa Darwin, każdy pochłonięty swoimi myślami - posepnymi myślami o tym, co ich czekało.

Wszyscy byli uzbrojeni i chociaż George instynktownie wyczuwał, że nie powinno się wchodzić do jakiegokolwiek świątyni, nieważne, jakiej religii, z bronią przy boku, w tej chwili wszystkie jego myśli dotyczyły Ady Lovelace.

On i profesor targali ze sobą długie nieziemskie blastery, które zabrali martwym Jowiszanom. Darwin trzymał dmuchawkę. Do podartej kamizelki miał przyczepionych kilka ładownic pełnych zatrutych strzał i wiele bukłaków z wodą.

Ubranie George'a wyglądało jeszcze gorzej. Komicznie skurczony garnitur był brudny, włosy potargane, twarz ubłocona, a z czoła ściekał strużkami pot, zbierał się na czubku wystającej brody i spadał ciężkimi kroplami. Coffin wyczuł, że George nie jest w najlepszym nastroju i lepiej nie zaczynać z nim blahej rozmowy.

Powyżej nich strzelała wysoko w niebo wspaniała świątynia. Wokół nagiej skały ciągnęła się poszarpana ścieżka pielgrzymów. Żar był nie do zniesienia. Ale oni, choć posepni i zmęczeni, nie poddawali się.

Wreszcie George przerwał milczenie.

- Uratujemy Adę. Jeśli nadal żyje, uratujemy ją. Nic więcej. Nic nie chcę od Japońskiej Dziewczyny Płaszczki. Ta cała wyprawa od samego początku była przeklęta.

Profesor Coffin skinął w zamyśleniu głową. Od ręki mógł wygłosić wiele kazań o duchu walki Brytyjczyków. O tym, że potężne imperium zostało stworzone dzięki wysiłkowi szlachetnych mężów. Nigdy się nie poddawali, tak jak teraz oni dwaj i małpa, żeby na końcu osiągnąć chwałę, na którą z całą pewnością zasługują. Jednakże trzymał te kazania dla siebie.

- Cokolwiek powiesz, mój chłopcze - powiedział.

George Fox rzucił okiem na towarzysza. Doskonale potrafił rozpoznać kłamstwo, kiedy je usłyszał.

Wdrapywali się wyżej i wyżej, bali się, że spadną, kiedy fragmenty wąskiej ścieżki

kruszyły się pod ich stopami i zlatywały daleko w dół, w rozciągającą się pod nimi dżunglę. I cały czas obawiali się ataku latających małp, jako że z pewnością nigdy wcześniej nie byli aż tak bezbronni.

- Prawie jesteśmy na miejscu - powiedział profesor Coffin. - Darwin, idź naprzód i zobacz, czy jest bezpiecznie.

Małpi kamerdyner przewrócił oczami, a potem wolno pokręcił głową.

- Uparty łajdak. - Profesor Coffin uniósł zaciśniętą pięść.

Darwin przyłożył do ust dmuchawkę i skierował ją na profesora.

- Bez urazy, staruszk. - Profesor zmusił się do szerokiego uśmiechu. - Oczywiście ja pójdę pierwszy.

- Ja pójdę pierwszy - oświadczył George. - Jeśli cokolwiek wejdzie mi w drogę, zabiję to.

W jego głosie była taka determinacja, że profesor Coffin zapytał go jedynie, czy wyłączył bezpiecznik w swojej wielkiej strzelbie.

George potwierdził i ruszył do przodu.

Przed wejściem do wspaniałej świątyni rozciągał się plac wycięty w skale i wyłożony różowym marmurem. Na płytkach marmuru leżała cienka warstwa wulkanicznego kurzu, po której od wieków nie stapała ludzka noga.

Wrota świątyni były z tropikalnego drewna, w którym nieznany artysta wyrzeźbił najbardziej fantastyczne stworzenia. Bestie przypominające trójnożne krokodyle wiły się między lwami o rybich głowach i wężami z ludzkimi twarzami.

George parł naprzód, za nim szedł profesor Coffin.

- Czy kiedykolwiek widziałeś takie straszdyła? - spytał. - Nienaturalne i wstrętne, plugastwo z bezdennej otchłani.

- Odpowiednim określeniem jest nie z tego świata. Te stworzenia nie pochodzą z Ziemi.

Oczy wyrzeźbionych istot były zrobione z cennych klejnotów. Profesor podszedł blisko, żeby napawać się ich widokiem.

- One same w sobie stanowią fortunę - rzekł. Z namysłem.

- Kiedy Ada będzie bezpieczna, może pan robić, co zechce. Nie obchodzi mnie to. - George popatrzył do góry, powyżej potężnych drzwi świątyni, na pionowe kamienne ściany, pomalowane na sposób starożytnych Teb. Lecz nie było na nich profilów podobnych do Ramzesa II, raczej wizerunki pięknych kobiet. Jakkolwiek czas zatarł rysy ich twarzy.

George Fox przycisnął ramię do jednego skrzydła drzwi świątyni i pchnął. Drgnęło

lekko, po czym uparcie odmówiło otworzenia się.

Cofnął się i znów spojrzał do góry.

- W żaden sposób nie otworzymy tych drzwi na siłę.

- W takim razie odsuń się, George - profesor Coffin uniósł swoją wielką strzelbę - a ja wysadzę naszą drogę do środka.

George popatrzył na profesora złym wzrokiem.

- Jestem zdesperowany - rzekł. - Ale taki nieopanowany wandalizm może nie być konieczny. Patrz - tu chyba jest coś na kształt skrzynki pocztowej.

- To jest ambrazura wotywna - wyjaśnił Coffin.

- W średniowiecznej Europie miały takie wszystkie kościoły. Trędotatym i tym z ospą nie wolno było wchodzić do kościołów, więc wrzucali swoje grosze właśnie przez te otwory, a w zamian księża ich błogosławili. Oczywiście, z bezpiecznej odległości.

- Obojętne, co to jest - George'a nie poruszyła wiedza profesora - ale można się przez to przecisnąć, zeskoczyć w dół i otworzyć drzwi od środka.

- Ani ty, ani ja się tu nie zmieścimy - zauważył profesor.

- Darwin... - zawołał George.

Małpi kamerdyner nie okazał najmniejszego entuzjazmu. Nawet kiedy profesor Coffin wygłosił mu prosto we włochatą twarz kazanie o wojowniczych Brytach i tworzących imperium bohaterach.

- Tyle bananów, ile będziesz mógł zjeść - obiecał George.

- Kompletny nowy strój, włącznie z fezem i getrami.

Darwin popatrzył z namysłem na George'a. I wyiskał z siebie jedną czy dwie pchły.

- Obiecuję - dodał George, rysując palcem na sercu krzyż.

Darwin wyciągnął ramię i potrząsnął ręką George'a. Po czym odłożył dmuchawkę, zdjął ładownice i bukłaki, wydał z siebie kilka szybkich, niezrozumiałych dźwięków, potruchtał do drzwi świątyni i przecisnął się przez ambrazurę wotywną.

George Fox wstrzymał oddech i wypowiedział w myślach modlitwę. Miał nadzieję, że nie wysłał Darwina na zatracenie. Ale w jaki inny sposób mogliby wejść? George przyłożył ucho do drzwi i wsłuchał się. Dźwięki zmagania? Poruszenie rygla?

I George upadł do tyłu, kiedy wielkie drzwi się otworzyły.

Jęczały dramatycznie na starożytnych zawiasach, ale przesuwwały się z łatwością. George ponownie ustawił się w pozycji pionowej i podziękował Darwinowi za jego wysiłki. Ten z dumą przeszedł obok George'a, wziął dmuchawkę, ładownice i jeden bukłak.

- Weź je wszystkie, proszę - powiedział George.

Darwin wziął je wszystkie.

We wnętrzu świątyni panowała ciemność, z wyjątkiem przestrzeni oświetlonej promieniami słonecznymi wpadającymi przez na wpół otwarte drzwi.

George otworzył całkiem najpierw jedno skrzydło drzwi, potem drugie. Słońce oświetliło podłogę zrobioną z turkusowego, wspaniale inkrustowanego intrygującymi wzorami, symbolami, sigilami i słowami. Jeśli to rzeczywiście słowa, nie były znane George'owi, a nawet profesorowi, który przecież dużo podróżował i był w różnych świątyniach.

- To po japońsku, jak pan myśli? - spytał George.

Profesor Coffin pokręcił głową.

- Gdzieś widziałem takie symbole. Mam jednak wrażenie, że nie w świątyni.

- Cóż, nie obchodzi mnie to. - George uniósł strzelbę. - Chcę tylko Ady.

Ruszyli wszyscy trzej do przodu, powoli, ostrożnie. Jako że każdy, kto czytuje opowieści awanturnicze, wie, że w takich miejscach jest pełno śmiertelnych pułapek. Źle postawiona stopa na ukrytym guziku skutkuje strzałą wystrzeloną z niewidocznej wnęki albo wielkim kamiennym wahadłem uderzającym z góry. Podłogi, które otwierają się, żeby wrzucić nieostrożnego badacza na sterzące w dół zaostrome pale, żeby dołączył do rzeszy szkieletów swoich nieostrożnych poprzedników.

Jako dziecko George namiętnie czytywał takie opowieści. Tak jak i profesor, jakkolwiek Darwin niekoniecznie.

Dookoła wyglądało tak jak w każdej wielkiej katedrze - Notre Dame, Salisbury czy św. Pawła. Gotyckie wachlarzowe sklepienie, murowane kratownice okienne i kopuła ozdobiona gwiazdami i wyobrażeniem Boga na wysokościach. Lecz czy to Bóg czy może bogini? Ze względu na wysokość i złe oświetlenie stwierdzenie tego okazało się niemożliwe.

Nie było tu ani ławek kościelnych, ani żadnych innych siedzeń.

Jedynie ogromna przestrzeń inkrustowanej podłogi i ściany, które wznosiły się i wznosiły.

- Zastanawiam się, co to jest - wyszeptał profesor Coffin, a jego wyszeptane słowa rozeszły się łagodnym echem w przepaścistej przestrzeni świątyni, kiedy przyciągnął spojrzenie George'a do czegoś, co uwypuklało się przed nimi.

Z pewnością było ogromne i znajdowało się w najodleglejszym końcu olbrzymiego holu katedry, przykryte czymś w rodzaju budowlanego pokrowca, przez co nie mogli rozpoznać, co to jest.

- Pogański bożek? - zasugerował George. - Bez wątplenia jakieś okropieństwo.

Cała trójka poruszała się do przodu, z największą ostrożnością. Dwóch testowało

każdy krok. Trzeci trzymał dmuchawkę przy ustach i miał tak wytrzeszczone oczy, że aż było widać białka.

- Powinniśmy zajrzeć, co się kryje pod pokrowcem? - spytał profesor.

- Nie moje zmartwienie - burknął George. - Szukam schodów, żeby dotrzeć na szczyt, gdzie zaciągnęli Adę. I szczerze mówiąc, nie widzę żadnych drzwi, a pan?

Coffin pokręcił głową.

- Może pod pokrowcem?

George popatrzył z ukosa w jego stronę i rozejrzał się wokoło. Wydawało się, że jedynymi drzwiami w przepastnej komnacie były te, przez które weszli. Ale z pewnością muszą być i inne.

- No to niech pan zagląda - zachęcił profesora. - Trzeba pociągnąć za pokrowiec.

- Zajrzyj, Darwin - powiedział profesor. - Zrób, o co prosi ten miły człowiek. Założę się, że da ci więcej bananów.

Darwin zamyślił się, przechyliwszy głowę na bok. Odłożył broń oraz flaszki z wodą i powoli poszedł do przodu.

Tkanina przykrywająca to monumentalne coś nie była jakąś szorstką budowlaną szmatą, lecz jedwabną materią najwyższej jakości, o delikatnym wzorze. Wyglądała jak przepiękny gobelin, żywe kiedyś kolory z upływem czasu zbladły. Obrazki znajdowały się na panelach, niemal jak w broszurowych komiksach. Epicka saga stworzona rękami utalentowanych artystów, z pewnością dzieło wielu pokoleń.

Małpi kamerdyner ujął jedwab włochatymi rękami i pociągnął. Okrycie rozdarło się, dźwięk zabrzmiał jak krzyk cierpienia, i niezliczone metry jedwabiu opadły na małpę.

Darwin zaczął się szarpać, z wysiłkiem uwolnił się i cofnął.

George i profesor spojrzeli do góry, sparaliżowani tym, co stało przed nimi.

To był posąg bogini. Lecz ona była niepodobna do reszty bogiń. Nie była boginią łowów jak Diana ani starożytną rzymską królową miłości Wenus, Afrodytą dla Greków czy Bel dla Babilończyków. To nie była ani Freya, bogini piękna wikingów, ani Ix Chel, Pani Tęcza we wczesnym imperium Majów. Nie była Ona Anu, celtycką boginią płodności, no i z pewnością nie była dziewiczą matką Chrystusa.

Żadna z nich nie była tą boginią, chociaż w jakiś sposób przedstawiała je wszystkie.

George próbował ogarnąć ten cud przed oczami. Statua zrobiona ze złota i srebra, brązu i miedzi, i lapis-lazuli. Skrzydła anioła i ogon syreny, ramiona rozłożone w geście błogosławieństwa, twarz uniesiona ku niebu. Na szczycie brązowych loków tkwił hełm w samurajskim stylu, srebrzysty dysk z sierpem księżycy i wyobrażeniem płaszczki.

Profesor Coffin pokręcił głową i zagwizdał przez zęby.

George tylko się gapił, urzeczony tym cudem.

Wokół przechylonej do tyłu, smukłej, złotej szyi zwieszało się wiele naszyjników i wisiorków z klejnotami, ozdobionymi symbolami bóstw - hinduskich, dżinizmowych, judaistycznych, chrześcijańskich, taoistycznych, szintoistycznych, wszystkie jedno na drugim.

George próbował objąć to umysłem. A potem dostrzegł coś jeszcze.

- To Ona - wyszeptał profesor Coffin. - Rybie łuski, symbol na hełmie. To Japońska Dziewczyna Płaszczka, nie ma żadnych wątpliwości.

George aż zakłósał się na obcasach.

- Ale czy pan tego nie widzi?!

- Widzę to - rzekł stanowczo profesor Coffin. - Widzę to. I tak, biorę to w posiadanie w imieniu imperium brytyjskiego. Oczywiście miałem nadzieję na jakąś żyjącą istotę, ale to jest lepsze od jakiegokolwiek dzieła Zachodu. To naprawdę będzie największą atrakcją wszech czasów.

- Nie - powiedział George. - Pan tego nie widzi.

- Widzę, mój chłopcze, uwierz mi, że widzę.

- Twarz - powiedział powoli George Fox.

- Złota - odparł profesor Coffin. - Ze szmaragdami wielkości męskiej pięści zamiast oczu, otoczona miedzianymi lokami.

- Twarz - powtórzył George. - Twarz bogini. To twarz Ady Lovelace.

## 30

Profesor Coffin przyjrzał się wspaniałemu posągowi. Spoglądał od posągu na George'a i z powrotem. Podobieństwo do Ady było niesamowite. Położył dłoń na ramieniu George'a i poczuł ból tego młodego mężczyzny.

- Z pewnością jest pewne podobieństwo - powiedział łagodnie. - Ada jest piękną młodą kobietą.

- I ja muszę ją znaleźć. - Znaleźć ją i jakiś sens w tym wszystkim.

Darwin, małpi kamerdyner, nagle zaczął podskakiwać i wydawać jakieś skrzeczące dźwięki.

- Cicho, gadatliwa małpo. - Profesor udał, że strzela do Darwina ze strzelby.

- On próbuje nam coś powiedzieć - rzekł George.

- Co się dzieje, Darwin? Pokaż nam.

Małpa niemal tańcząc podeszła do podstawy posągu, gdzie spoczywały pokryte łuskami stopy bogini. Na tej podstawie została wyrzeźbiona podobizna potężnej księgi, na niej wyryto jej tytuł. Symbole pochodziły z nieznanego języka, ale George instynktownie wiedział, co znaczą.

- Księga Sayito - rzekł.

Darwin jeszcze kilka razy podskoczył i uderzył włochatymi kostkami dłoni w wielką, wyrzeźbioną księgę.

Rozległo się głuche echo. Dochodzące ze środka.

- Pozwól mi zobaczyć. - George podszedł bliżej.

- Ach, tak, niech pan zobaczy, profesorze.

Coffin szybko podszedł do George'a i patrzył, jak młodzieniec przesuwa palcami po brzegach wyrzeźbionej księgi.

- To są drzwi. Okładka musi się otwierać jak drzwi.

- George, odsuń się. - Profesor uniósł broń.

- W żadnym razie nie wystrzeli pan z tego w pobliżu posągu - powiedział George ostrzegawczo. - Wydaje się, że Darwin nieźle sobie radzi z drzwiami. Możesz to otworzyć, Darwin?



Małpi kamerdyner przesunął kciukami po wyłogach kamizelki i skłonił się, po czym odwrócił do podstawy posagu. Zrobił coś i odsunął się. Okładka książki otworzyła się na oścież.

George podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się temu, co zrobiła małpa.

- Ach - rzekł. - Przekreśliłeś klucz. Naprawdę powinienem to dostrzec. Gratulacje.

Profesor Coffin także podszedł i zajrzał do środka. Zapalił zapalniczkę i wsunął ją w otwór.

- Schody. Prowadzą w dół, ale ty chciałeś iść do góry.

- Chodźmy i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzą. - George ujął profesora za łokieć. - Pan ma ogień, więc to pan powinien iść pierwszy.

- Darwin... - zaczął profesor.

Ale Darwin odsunął się na bok.

- W takim razie poprowadzę - rzekł Coffin. - I pamiętaj o naszym układzie - wszystko dzielimy pół na pół.

- Nie chcę niczego oprócz Ady - odparł George. - I chcę ją całą.

Schody prowadziły do dołu, jak każde schody, które nie prowadzą do góry. W dół, w dół, i jeszcze trochę w dół, nieomal porażając tym, że tak starannie prowadziły w dół.

- Będzie najkorzystniej - powiedział Coffin, trzymając przed sobą ogień, kiedy tak schodził w dół bez końca - jeśli nie poinformujemy innych ocalałych rozbitków ze statku o naszym odkryciu. Myślę, że najkorzystniej będzie, jeśli zatrzymamy to dla siebie. Z pewnością zechcą opuścić wyspę jak najszybciej i nie będą mieli ochoty, żeby tu wrócić.

- Nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy - powiedział George. - Tej wyspy nie ma na mapach.

- Na pewno nie na współczesnych mapach, mój chłopcze. Ale jest na mapie. Na mapie, którą widziałem kiedyś w Bibliotece Brytyjskiej.

- A co pan tam robił?

- Szukałem potwierdzenia autentyczności pewnej zdobytej przeze mnie książki. Pewnego rękopisu. Sztuki, prawdę mówiąc. „Romea i Julii” Szekspira.

- Udało się panu zdobyć oryginalny manuskrypt Szekspira?

- Tak sądziłem. Ale okazało się, że to nie była prawda. Szef Literackich Antyków zidentyfikował pismo - nie należało do Szekspira.

- A to pech - powiedział George tonem, który potwierdzał, że naprawdę tak myślał.

- Okazało się, że to pismo niejakiego Francisca Bacona - wyjaśnił profesor. - Szef Literackich Antyków był tym bardzo poruszony. Zapłacił mi dwa razy więcej, niż

zamierzałem zażądać.

- Niech pan się tu na moment zatrzyma. Oczywiście, nadal idąc w dół tymi schodami. Chce mi pan powiedzieć, że miał w posiadaniu manuskrypt, który udowadniał, że to Francis Bacon pisał Szekspira?

- Nie twierdzą tego stanowczo. - Kiedy mówię, że to było pismo niejakiego Francisa Bacona, nie znaczy, że to naprawdę było pismo niejakiego Francisa Bacona. Bardziej, że pismo tak bardzo przypominało pismo tego człowieka, że z łatwością mogło być za takie uznane.

- To było fałszerstwo!

- Wolę termin „fantazyjne przekształcenie”. Ludzie uwierzą w to, w co chcą uwierzyć.

- Gdzieś w tym jest jakiś morał, prawda? - powiedział George.

- Wykorzystałem ten przypadek, żeby zilustrować pewien przypadek. Ujrzałeś na posągu twarz Ady Lovelace. Ja nie.

- To była jej twarz.

- Być może. A kiedy wrócimy z posągiem do Londynu, umysły kmiotków zobaczą w jej twarzy to, co będą chcieli. Możemy pokazywać Adę razem z posągiem, może ubraną tak jak bogini.

- W żadnym wypadku.

- Cóż, możemy na ten temat podyskutować.

- Nie możemy. Niech mi pan uwierzy. A tak czy inaczej, najpierw musimy opuścić wyspę, o której chwilę wcześniej powiedziałem, że nie ma jej na mapach.

- Jest na mapie, którą widziałem w Bibliotece Brytyjskiej. - Profesor Coffin powachlował twarz. - Powietrze cuchnie.

- Niech mi pan opowie o mapie. - George westchnął. - Niech mi pan powie, co wie.

- Według mitów - zaczął profesor - na początku czasu powstały trzy wielkie cywilizacje. Jedna pochodzi od dzieci Adama i Ewy. Skupiona najpierw wzdłuż brzegów Eufratu, później rozszerzyła się na całą planetę. Wszyscy jesteśmy dalekimi potomkami Adama i Ewy. Lecz istniały jeszcze dwie inne cywilizacje. Być może nie do końca pobłogosławione przez Boga, być może nie były tworamami Boga. A może nie naszego boga, lecz jakiegoś innego. Te dwie cywilizacje istniały na innych kontynentach, oddzielonych od siebie wieloma milami morskimi. Jedna z nich, na Atlantyku, to Atlantyda. Druga na Pacyfiku, tutaj, to Lemuria.

- Jesteśmy na Lemurii? - spytał George.

- W Lemurii, jak się obecnie wydaje. Ale tak, właśnie tak uważam. To resztki Lemurii,

maleńka część zatopionego kontynentu.

- To opowieść tak samo dobra jak każda inna - powiedział George. - I mam szczerą nadzieję, że te schody jakoś doprowadzą nas do Ady. Jeśli dotrzemy jedynie do ślepej ściany na samym dole, to wspinanie się do góry będzie bardzo nieprzyjemne. Z pewnością potrwa parę godzin.

- Być może małpi kamerdyner weźmie nas na barana.

Darwin uszczypnął profesora w pośladek.

- A może nie - zgodził się profesor. - Ale, ale - widzę przed nami światło. I co ty na to, George?

I nagle schody po prostu się skończyły. Dotarli tam, dokąd prowadziły.

George, profesor i Darwin wpatrzyli się. Profesor zamknął zapalniczkę i trzy pary oczu dostosowały się do miękkiego światła zmierzchu, dwie pary ust otworzyły się szeroko i wciągnęły drżący oddech.

- Podziemne miasto - wyszeptał George.

- Lemuria - powiedział profesor.

- I jeszcze coś. - I George wykonał przed sobą kilka gestów. Gestów, za którymi podążył wzrok profesora.

Nie było tu zatopionych ruin. Żadnych zburzonych świątyń, zawałonych gruzem dróg. To nie było miasto, które rozpadło się na kurz, żeby tworzyć feerie spekulacji w umysłach współczesnych archeologów. Prawda, to było starożytne miasto, ale pełne życia.

Kwitło w jaskini tak przepastnej, że wydawała się prawdziwym pustym jądrem Ziemi. Wysokie, smukłe wieże wyrastały tak wysoko w stronę sufitu, że wzrok nie sięgał ich szczytów. A między wieżami poruszały się powietrzne pojazdy o bardzo zaawansowanej konstrukcji.

Konstrukcji nie z tej Ziemi.

- Och, jej - powiedział profesor Coffin. - Tram-ta- ram-tam, tram-ta-ram-tam-tam-tam.

- Dlaczego pan tak dużo tramtaratuje? - spytał George.

- Ponieważ wszystko nagle stało się przerażająco jasne, mój drogi towarzyszu.

- To proszę, niech pan wykorzysta okazję i mnie oświeci, bo z całą pewnością tkwię w ciemnościach.

- Symbole, na podłodze sali w świątyni. Powiedziałem ci, iż miałem wrażenie, że skądś je znam. Że gdzieś już je widziałem, ale nie w świątyni.

- Dalej - ponaglił go George. - Niech mi pan powie.

- Przypomnij sobie, jeśliś łaskaw, naszego drogiego zakonserwowanego przyjaciela

Marsjanina. Kiedy odbierałem go ze Szpitala Londyńskiego, widziałem tam wiele artefaktów obcych, nad którymi przeprowadzał badania chirurg sir Frederick Treves. Pomędzy nimi znajdowało się coś, co uważano za „instrukcję obsługi” jednego z marsjańskich statków wojennych. Te symbole były identyczne, George. To podziemne miasto zaludniają ocalali Marsjanie.

George objął umysłem ogrom tej informacji, po czym powiedział:

- Chwila, moment. To jest starożytna cywilizacja. Symbole inkrustowane na podłodze świątyni nad nami, posąg bogini - wszystko to jest starożytne. Pan chce mi powiedzieć, że Marsjanie byli oryginalnymi mieszkańcami Lemurii?

- Mogę jedynie spekulować na bazie tego, co mówią mi moje oczy. W prasie opublikowano zdjęcia marsjańskich miast. Spójrz na wieże, George, i na pojazdy powietrzne. To marsjańskie konstrukcje. Nie ma wątpliwości.

- Naprawdę nie wiem, co mam myśleć. Sugeruje pan, że pierwsi Marsjanie narodzili się na tej planecie? Że mieszkali na Lemurii, a kiedy pochłonęły ją fale oceanu, utonęli razem z nią i od tamtej pory żyją tutaj?

- Coś podobnego, choć może niedokładnie.

- Sądzę, że chociaż jest to wielce wyczerpujące, powinniśmy wrócić po naszych śladach i kontynuować poszukiwania Ady na wyższych kondygnacjach.

- Będę tuż za tobą, młodzieńcze, a może nawet tuż przed tobą.

Darwin wydał z siebie skrzeczące i piszczące dźwięki.

- Tak, jestem pewien, że się zgadzasz. - George chciał go poklepać po ramieniu. Ale Darwin nie czekał na poklepanie. Darwin się wycofywał.

- Nie ma potrzeby się najeżać - powiedział George.

- Wiesz przecież, że jestem twoim przyjacielem.

Ale wtedy George zobaczył, że także profesor Coffin się wycofuje. I spoglądając w dziwne mdłe światło, zobaczył dlaczego.

Coś się do nich zbliżało. Coś mocno uzbrojonego.

To coś skierowało swoją ogromną broń na George'a i zagulgotało w obcym języku.

Nieludzki język tego czegoś poruszał się w głowie przypominającej pancerz kraba, poniżej której wiło się i zwijało mnóstwo macek. Stworzenie zagulgotało coś jeszcze, zawarczało, jakby coś rozkazywało.

George Fox odrzucił broń i powoli uniósł ręce, patrząc, jak podchodzi do niego Marsjanin z blasterem.

# 31

- Nakaszlaj na niego, George - krzyknął profesor Coffin. - Daj mu trochę swoich bakterii.

George zamierzał odpowiedzieć, że ten akurat Marsjanin prawdopodobnie już dawno temu wykształcił w sobie odporność na ludzkie bakterie. Jednak dalsza konwersacja między nim a profesorem została zduszona przez jeszcze bardziej naglące gulgotanie Marsjanina, czemu towarzyszyło gwałtowne machanie bronią.

- Tak - powiedział George. - Rozumiem, że chciałbyś, byśmy z tobą poszli.

Marsjanin zbulgotał bardzo głośno i wskazał na schody.

- Chyba to znaczy, że ty także - zawołał George do Darwina.

Darwin wyjrzał, zwiesił głowę i potruchtał do George'a.

Marsjanin warknął i znów machnął bronią. Dwóch mężczyzn i małpa ruszyli do przodu przed swoim strażnikiem.

- Powiedz mi więc, młodzieńcze - wyszeptał profesor Coffin. - Jaki plan ci się lęgnie w głowie?

- Mnie? Plan? - dodał. - Lęgnie? - dodał jeszcze.

- Oczywiście, mój chłopcze. Z pewnością to ty jesteś pobłogosławiony przez Wszechmogącego. Idziesz tam, gdzie Los cię prowadzi. Wypełniasz swoje przeznaczenie.

- Myślę, że ma pan rację, mówiąc, że idę tam, gdzie mnie prowadzą - powiedział George. - Byłem prowadzony. Nad niczym nie mam kontroli.

- Ocalisz nas wszystkich - zapewnił go profesor. - Czyż przepowiednia nie mówi, że los wszystkich planet zależy od ciebie?

- I nie czuję się z tym specjalnie pewnie. - George zwiesił głowę, opierając imponującą brodę na piersi.

Za nimi Marsjanin ślizgał się i pełzał, od czasu do czasu niepotrzebnie popychał ich monstrualną bronią.

- Oni naprawdę śmierdzą, nie sądzisz? - wyszeptał profesor. - Żywi czy martwi, cuchną jak ścieki w ciepły letni dzień.

- Właściwie - odszeptał George - zastanawiam się, czy tutaj, w tym miejscu oni wiedzą, że Mars jest teraz martwym światem.

- Lepiej nie wspominać o tym podczas rozmowy z nimi, takie jest moje zdanie. -  
Profesor zamyślił się.

- Gdyby udało nam się przywieźć do Londynu któregoś z tych koleśków żywego, to mogłoby przyciągnąć mnóstwo kmiotków.

George Fox uniósł głowę i pokręcił nią.

- Niewiarygodne.

- Wierzę w ciebie, George. Zatriumfujemy, jestem tego pewien. Nie dotarliśmy tak daleko, żeby - och, jejku...

I kiedy George zobaczył to, co profesor zobaczył, też powiedział:

- Och, jejku.

Weszli do właściwego miasta. Po każdej stronie wznosiły się smukłe, wysokie wieże. Było tu coś na kształt centralnego placu, do którego wiodły płytkie schody, jako że Marsjanie poruszali się, pełzając.

W centrum placu wyrastała piramida schodkowa jakby żywcem wyjęta z królestwa Inków. Ale ta nie była zbudowana z cegieł, lecz z ludzkich czaszek.

- No, to jest absolutnie zniechęcające - powiedział George.

Profesor Coffin skinął głową w zamyśleniu.

- Zwyczaje żywieniowe Marsjan nigdy nie były specjalnie ujmujące. Miejmy więc nadzieję, że Darwin zachowa się zgodnie z oczekiwaniami i uratuje cię z kotła w ostatniej sekundzie.

Ale Darwin nie przypominał w tym momencie anioła wolności i ratunku. W jego chybotliwym kroku wyraźnie można było odczytać depresję i żal. Wyglądał na totalnie przytłoczoną małpę.

- Wszystko będzie dobrze - rzekł pocieszająco profesor Coffin. - Jakoś wszystko będzie dobrze.

- Niech mi pan wybaczy, że nie podzielę pańskiego optymizmu - odparł George. - Nie czuję się teraz dobrze i mam nikłą nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze będę czuł się dobrze.

Na centralnym placu było wielu Marsjan.

Bulgotali coś i wskazywali swoimi mackami i szczypcami.

Jedni byli wielcy, inni mali. A niektórzy tak pośrodku.

Ale wszyscy tak samo paskudni.

Wszyscy tak samo śmierdziel.

Wszyscy zjedliby towarzysza, tak jak ktoś mógłby zjeść rybę z frytkami.

George szedł naprzód w ponurym milczeniu, czując za sobą lufę wielkiego gnata

Marsjanina. Profesor Coffin zorientował się, że jego stopy straciły swój taneczny krok, a Darwin mamrotał coś jak neandertalczyk i rozglądał się wokół ze zmarszczonymi brwiami i skrzywioną twarzą.

Posuwali się naprzód, z ulgą mijając piramidę z czaszek. Pchnięcie blastera skierowało ich w dół szerokiej alei, gdzie z cichym świstem poruszały się dziwne, bezkonne pojazdy. Przewożą Marsjan tam, gdzie akurat chcieli pojechać i czymkolwiek się zajmować.

- Jedno z takich nieźle wyglądałoby na promenadzie - rzekł profesor. - Jeśli jakoś udałoby się nam dobić targu z tymi gośćmi, w którym nie byłoby mowy o naszej wizycie w ich żołądkach, sytuacja mogłaby być dla nas korzystna.

- Ach - powiedział George, kiedy marsjański dręczyciel nagle szarpnął nim, profesorem i Darwinem, żeby się zatrzymali. - Wydaje się, że dotarliśmy do celu.

- Być może do hotelu. - Profesor nie tracił ducha.

- Popychanie nas lufą blastera może po prostu jest ich sposobem na doprowadzenie do apartamentu zarezerwowanego dla gości honorowych.

George nie skomentował tej wypowiedzi.

Przed nimi wznosił się wysoki, czarny budynek. Marsjanin popychał ich nagle do środka.

W środku było ciemniej niż na zewnątrz, a smród Marsjan wręcz oszalał. George i profesor zaciskali nosy i przyglądali się wszystkiemu spod oka.

Stali w westybulu o czarnych ścianach, podłodze i suficie. Wysoko nad nimi widać było ścianę ze szkła oraz niezwykłą maszynę.

Przypominała silnik parowy z wieloma zaworami, kołami i wielkimi kulami regulatorów. Była też tam duża mosiężna trąbka, na podobieństwo systemu komunikacyjnego na „Imperatorowej Marsa”, z wieloma gałkami, pokrętłami i zaworami ciśnieniowymi, i wszystko to radośnie się poruszało.

- Całkiem ładna rzecz - stwierdził profesor. - Zakładając, oczywiście, że nie jest to przyrząd do torturowania.

- Podobają mi się te żłobione zaczepy montażowe - powiedział George.

- A mnie dwuszpicowe plomby na zwichrowanych obręczach. - Profesor z aprobatą pokiwał głową.

Obaj zgodzili się, że wypolerowane obudowy mechanizmów poruszających się ruchem tłokowym są - z punktu widzenia estetyki - niezwykle ciekawe, wyrazili jednak żal, że brakuje tu zaworu wentylacyjnego, dzięki któremu ta maszyna byłaby prawdziwą doskonałością.

Bez wątpienia kontynuowaliby sprzeczkę na temat siodełka do siedzenia na panelu sterowniczym, dyskutowaliby o wielu instrumentach, które wskazywały, że ta intrygująca machina może być zasilana legendarną obecnie transperegrynacją pseudokosmicznej antimaterii, gdyby nie Marsjanin, który trzepnął George'a po głowie.

- To nie było konieczne! - krzyknął George. - Tylko podziwiałem tłoki na skrzyżowanym napędzie łańcuchowym.

- Uważam - szeptał profesor Coffin - że sekret tkwi w tym, żeby wiedzieć, kiedy przestać.

Marsjanin majstrował teraz przy tej niezwyklej maszynie macką czy dwoma oraz parą szczypiec, co wprawiło w ruch kolejne niezwykle elementy, czemu towarzyszyły okazjonalne kłęby pary. Bulgotał teraz coś głośno do mosiężnej trąbki i potem zamilkł, jakby czekał na odpowiedź.

Która nadeszła chwilę później w formie nieco mniej bulgoczących słów.

Profesor Coffin wsłuchiwał się uważnie.

- Japoński - stwierdził.

George popatrzył na cudowną maszynę.

- To tłumaczy języki.

- Kiedyś wystawiałem jej mniejszą wersję - przypomniał profesor. - Gadająca głowa, mówiła bardzo wyraźnie dzięki manipulowaniu zaworów ciśnienia powietrza i dobranymi piszczałkami drewnianych instrumentów. Urządzenie nazywało się Cerebralnym Prognozą i...

Profesor Coffin otrzymał cios w głowę, który nim porządnie zachwiał.

- To nie było konieczne! - zawył.

Niesamowita maszyna teraz zgrzytała i jęczała. Było słychać kliknięcia subtelnych regulacji, szmery strojenia i przestawiania różnych rzeczy.

- Witam pana, sir. - Z mosiężnej trąbki wydostał się mechaniczny głos. - W czym mogę być pomocny?

- No właśnie - rzekł profesor. - I co ci mówiłem? Zostaniemy przywitani jako znużeni wędrowcy i zaoferują nam tu wszystko co najlepsze.

Zwrócił się do maszyny.

- Nazywam się król Coffin - zaanonsował. - Jak mówią moi poddani, a jest ich wielu, dobry król Coffin. Jestem tu w misji handlowej, aby podzielić się z wami zasobami mojej szcudrej ziemi w zamian za małą błyskotkę czy dwie.

Chwila milczenia, a potem nastąpiło wirowanie kół i klikanie różnych części.



- Dokumenty - rozległ się głos z mosiężnej trąbki.

- Dokumenty? - zdumiał się profesor. - Co ma znaczyć ta rozmowa o dokumentach?

- Dokumenty kontraktów i zezwolenia na podróż. Wiza wjazdowa do Lemurii, oczywiście razem z listami rekomendacyjnymi z pieczęciami autoryzacyjnymi co najmniej trzech wysłanników dyplomacji, którzy zaświadczą o waszej uczciwości i dobrym charakterze, i znają was co najmniej...

- Zaraz, chwileczkę - powiedział profesor Coffin. - Należę do domu królewskiego; nie potrzebuję tego rodzaju nieistotnych dokumentów.

- Nawet jeszcze nie zacząłem wyliczać nieistotnych dokumentów - odparł mechaniczny głośnik. - Potrzebujecie także zezwoleń na import żywności, nie wspominając o wprowadzeniu do Lemurii niesklasyfikowanego włochatego chłopca.

- Niesklasyfikowanego włochatego chłopca?

- Już mówiłem, nie wspominając o tym.

Nastąpiła chwilka ciszy. Darwin przerwał ją pogardliwym prychnięciem.

- I gdzie są twoje medale? - spytał głos.

- W moim pałacu? - zasugerował profesor Coffin.

- Pielgrzym bez medali? - Głos, jakkolwiek monotony i pozbawiony modulacji, wydawał się jednak coraz bardziej ponury.

- Medale wotywny? Ach, rozumiem - powiedział profesor. - Naturalnie, jako pielgrzymi, którzy przebyli pół planety, aby skłonić się przed boginią, zdecydowanie mieliśmy wiele wotywnych medali. Jednak nasza podróż na każdym kroku obfitowała w zagrożenia. Byliśmy raz za razem atakowani. Nasze bagaże zostały ukradzione.

Gdyby George miał na głowie kapelusz, z pewnością uchyliłby go teraz przed profesorem. Impresario umiał szybko myśleć.

Marsjanin nachylił się obok profesora i zabulgotał coś do maszyny.

- Broń? - spytał głos. - Zostaliśmy poinformowani, że nie tylko nie przeszliście przez kontrolę imigracyjną w kraterze, ale także próbowaliście przeszmuglować broń do Lemurii.

- Ach. Jak widać, zaszło nieporozumienie. - I rzucił na George'a spojrzenie pełne desperacji.

- Niech pan na mnie nie patrzy - odparł George. - Bardzo dobrze panu idzie. Tylko tak dalej.

Nastąpiło klikanie, wirowanie, przesuwanie się kół zębanych, wypuszczanie wspaniałych kłębow pary. Potem usłyszeli kolejne słowa wypowiedziane zimnym, monotonnym tonem.

- Szczegóły waszego zaniedbania w dostarczeniu właściwych i odpowiednich dokumentów, nielegalne wejście do Lemurii, szmugiel broni, nelicencjonowany import niesklasyfikowanego włochatego chłopca - te oraz wiele innych wykroczeń i złamań protokołu, niektóre poważne, inne kapryśne i niesprawiedliwe, lecz sprowokowane potwornością i skalą występków, zostają teraz wbite na kartę i wprowadzone do Patentowego Regulatora.

George Fox tylko wywrócił oczami.

- Nie potrzebujemy przepowiedni Cerebralnego Prognosty, żeby wiedzieć, co się teraz stanie - rzekł.

- Egzekucja - powiedziała machina.

- Żadnej niespodzianki - odparł George.

- Publiczna egzekucja, po której nastąpi rytualne rozczłonkowanie i rozdanie mięsnych kawałków społeczeństwu.

- Zaraz, moment - krzyknął profesor Coffin. - To jest absolutnie niedopuszczalne!

Nastąpiła chwila ciszy, po czym głos odezwał się ponownie.

- W istocie. Przepraszam. Taka liczba wykroczeń przeciążyła system wprowadzania danych. Wyrok powinien stwierdzać najpierw tortury, potem rytualne rozczłonkowanie, a potem egzekucję i rozdanie mięsnych kawałków.

- Protestuję - zaprotestował profesor Coffin. - Żądam powtórnej oceny, możliwości apelacji wobec każdego osobnego oskarżenia przed sądem składającym się z równych mnie. Żądam obecności akredytowanego prawnika. I...

Kolba karabinu wymierzyła mu straszliwe uderzenie i posłała go na podłogę.

- Zanieś swojego towarzysza w zbrodni do przeznaczonej wam celi - powiedział do George'a głos z maszyny. - Kiedy wróci mu przytomność, poradź mu, żeby więcej nie protestował, bo inaczej odetniemy mu język od jego głowy.

George Fox przybrał posępny wyraz twarzy i zebrał profesora z podłogi. Sytuacja wyglądała obecnie na niemożliwie beznadziejną. Co sprawiło, że George zrobił się niemożliwie smutny.

Zakwaterowanie było co najmniej tragiczne. Żadnego barku z darmowymi napitkami. Ciemno, mokro, ponuro, śmierdząco. Gdyby kiedykolwiek ta cela znalazła się w „Przewodniku Dżentelmena Podróżnika po Celach Więziennych Świata”, nie dostałaby nawet pół gwiazdki.

George siedział nabzdyczony w smrodzie i mroku. Od czasu do czasu z jego ust wydobywały się prychnięcia i syki. Wszystko to było wskaźnikami ekstremalnej irytacji i furii.

Profesor Coffin bawił się swoim złotym zegarkiem kieszonkowym. Zdobył go na pokładzie „Imperatorowej Marsa”, w miejsce zegarka George'a, który zwrócił chłopcu. Ten piękny przedmiot nie tylko wydzwaniał godziny, ale działał przez pięć całych dni bez nakręcania.

Nie wiadomo, jak długo by działał, gdyby się go naprawdę nakręciło.

Wewnątrz pokrywki były wygrawerowane słowa:

*Nicoli Tesli*

*Od wszystkich z Naukowego Gabinetu Cieni*

*26 lipca 1895 roku*

Profesor Coffin przystawił zegarek do ucha.

- Jesteśmy w tej celi już od dwunastu godzin - powiedział do George'a.

- I nienawidziłem każdej minuty - odparł George.

- Nie miałem pojęcia, że jedna małpa może chodzić do toalety aż tak często.

- On jest poniekąd zdumiewającym sikaczem - zgodził się profesor Coffin. - Co w żaden sposób nie poprawia nastroju. Ale...

- Niech pan nawet nie zaczyna - przerwał profesorowi George. - Jeśli powie mi pan jeszcze raz, że wszystko dobrze się skończy, rzucę się na pana i skrucę mu kark gołymi rękami.

- No, no, George. Wszystko będzie dobrze. Ale jesteś nie w humorze. Mam tutaj coś,

co podniesie cię na duchu.

- Sięgnął do kieszonki kamizelki, żeby wyciągnąć smukłą szklaną fiolkę. - Och, nie - zaskrzeczał. - Nie ma jej.

- Nie ma? Czego nie ma?

- Czegoś bardzo wyjątkowego. Czegoś, co mogłoby nam pomóc stąd uciec. W trakcie tego wszystkiego, co się nam wydarzyło, musiała wypaść mi z kieszeni.

- Niech mi pan powie o tym czymś.

- Teraz to nie ma znaczenia.

- Nie - sprzeciwił się George - jako że wkrótce umrzemy straszną śmiercią. Więc jakie ma znaczenie, jeśli mi pan powie?

- To było coś, co zdobyłem na pokładzie statku powietrznego. Coś, co się nazywa Aromatem Niewiedzy.

George pokiwał głową i pogłaskał imponującą brodę.

- Zapach, o którym myślałem, że jest mitem. Jeden wdech i wdychający staje się całkowicie zgodny. Cokolwiek się mu powie, żeby zrobił albo pomyślał, on to zrobi lub pomyśli.

Profesor Coffin pewnie dodałby coś więcej, ale nagle nie był w stanie powiedzieć cokolwiek. Ręce George'a zacisnęły się wokół jego gardła, a on sam patrzył na niego strasznym wzrokiem, kiedy nim potrząsał.

- Ty przekłeta Świnio! - wrzeszczał George. - Wreszcie wszystko rozumiem! Mój zagubiony czas. Całkowita zmiana opinii Ady wobec ciebie.

Profesor Coffin zaczął się miotać. Chociaż był żwawy jak na swój wiek, nie miał jednak szans z George'em.

Darwin usiadł prosto i zaskrzeczał. Stał się samozwańczym sędzią.

- W porządku - powiedział George. - W porządku.

- Łokciem odsunął na bok gadającą małpę i odrzucił impresaria na podłogę.

- Tak mi przykro, George - wyrzucił profesor, kiedy znów udało mu się wydobyć z siebie dźwięk. - Możesz myśleć o mnie źle. Ale zrobiłem to z najlepszych motywów...

- Zdobycia dla siebie bogactwa.

- I twojego także. Pół na pół.

- Przynajmniej do chwili, kiedy dostałbyś to, co chciałeś. I wtedy prawdopodobnie namówiłbyś mnie na jeden wdech aromatu i wmówił mi, że w ogóle nie interesuje mnie zabranie moich pięćdziesięciu procent.

Profesor Coffin naprawdę starał się, żeby jego słowa: - Przysięgam, że nie miałem

czegoś takiego na myśli - zabrzmiały przekonująco.

George jednak nie był przekonany.

- Między nami koniec - rzekł. - Nasza spółka już nie istnieje. Jeśli jakimś cudem przeżyję i jakimś cudem znajdę Adę, wrócę razem z nią, jakimś cudem, do Anglii i podejmę porządną pracę.

- Ha - powiedział profesor, z niejaką trudnością, jako że gardło go bolało. - Nie gadaj głupot, mój chłopcze. Podobała ci się każda minuta. Podniecenie i przygody.

- Podobała mi się każda minuta? - George niemal zaniemówił. - Straciłem już rachubę, ilu ludzi zginęło na „Imperatorowej Marsa”. A potem tubylcy. A potem latające małpy, a teraz to.

- Ale wciąż żyjesz - zauważył profesor. - I czy kiedykolwiek przedtem naprawdę czułeś się tak żywy? Znajdziesz swoją miłość, George. Ja to po prostu wiem, i jeśli wrócisz do Anglii i weźmiesz szanowaną pracę, nieustannie będziesz sobie przypominał owe przygody i łaknął tej podniety.

George Fox prychnął, założył ramiona na piersi i pogрузzył się w posepny milczeniu.

Nie dostali wieczornego posiłku, ani nawet śniadania.

Na co, jak uważał George, zasługuje każdy skazaniec. No i, jeśli mieli skończyć w kotle do gotowania, z pewnością podtuczenie ich było logicznym działaniem.

Z zewnątrz dobiegły ich odgłosy pełzania Marsjanina. Intrygujące koła zębate zamka zostały wprowadzone w ruch i rygle wsunęły się w ponure drzwi celi.

- Najwyższy czas - powiedział profesor Coffin.

- Bez wątpienia list z przeprosinami od jakiejś paskudy z Ministerstwa Imigracji. Albo możliwe, że nasze śniadanie.

George Fox zacisnął zęby i pięści.

Do celi wsunęła się lufa strasznej broni Marsjanina. Razem z nią pojawiły się bulgoczące krzyki ponaglenia.

- Chyba nadszedł nasz czas - rzekł George posepnie.

- Darwin, masz moje najszczerze przeprosiny. Ocaliłeś mi życie, a ja w zamian znów je odrzuciłem. Razem z twoim, czego bardzo żałuję.

Małpi kamerdyner potrząsnął dłonią George'a.

Po czym ich trójka opuściła celę.

Na ulicach Lemurii unosiła się atmosfera karnawału. Pomiedzy budynkami powiewały

flagi.

Gdzieś grała muzyka.

Nierozpoznawana przez ziemskie ucho, wydająca się bardziej nieharmonijnym brzęczeniem, z akompaniamentem grzechotów. Ale miała pożądaną wpływ na całkiem duży tłum, który stał wzdłuż ulic. Marsjanie machali swoimi mackami i szczypcami, a uliczni handlarze sprzedawali z kolorowych wózków marsjańskie piwo.

Profesor Coffin pomachał im radośnie. Niektórzy z tłumu odmachali mu.

Jednakże profesor nie uważał za rozsądne powiedzenie George'owi, iż zachowuje resztki przekonania, że wszystko skończy się szczęśliwie.

George Fox kroczył sztywno, a Darwin truchtał. Za nimi ślizgał się uzbrojony po zęby Marsjanin.

Ani George'a, ani profesora zupełnie nie zaskoczył ostateczny cel ich wędrówki, którym okazała się piramida z czaszek na centralnym placu.

George rozejrzał się wokół z desperacją. Musiał być jakiś sposób, żeby mógł uciec. Cóż, żeby oni mogli uciec. Nie chciał, żeby coś złego stało się Darwinowi. Może uda się wskoczyć do jakiegoś nisko lecącego pojazdu. Być może przybędą ocalali Jowiszanie i uratują ich w ostatniej chwili. Być może Darwin ma coś schowanego w swoim włochatym rękawie.

Być może.

Albo, być może, George po prostu tu umrze. Umrze w tym podziemnym mieście. Umrze i zostanie zjedzony, lub na odwrót. A jego czaszka dołączy do tej góry czaszek. Będzie kolejną bezimienną ofiarą, martwy w odległym miejscu.

George chciał być razem z Adą.

George chciał wrócić do Anglii.

George Fox pomyślał o swych rodzicach.

George zatęsknił za swoją mamą.

Ponaglany bronią obcego, szedł do góry po płaskich stopniach. Krok za krokiem, wyżej i wyżej, mając po obu stronach czaszki.

Na samym szczycie, płaskim jak taras, stał Marsjanin słusznego wzrostu. Przed nim był stół, a na nim zestaw narzędzi przeznaczonych wyłącznie do zadawania cierpienia.

Lub też, być może, do szlachtowania mięsa.

I rozdawania go.

George spojrzął do tyłu. Profesor dołączył do niego, tak jak i Darwin.

Marsjanin z bronią znów coś zabalgotał.

- Intruzi, rebelianci, obrazoburcy...

Słowa wybuchły z wspaniałej maszyny tłumaczącej, którą przytoczono na kółkach do stóp piramidy.

Po tych słowach nastąpiły wzmocnione marsjańskie bulgotania, co, według George'a, było prawdopodobnie marsjańskim tłumaczeniem angielskich słów. A potem:

- Mówimy do was w waszym języku, żebyście zrozumieli całe zło swojego postępowania. I to, że to wasza impertynencja, bezceremonialność i lekceważący stosunek do oficjalnych dokumentów doprowadziły was do otrzymania kary.

Po czym nastąpiła bulgocąca wersja tych słów.

- Jest to tragiczne, że właśnie w takim czasie, kiedy spełniają się nasze proroctwa, wy nie przybyliście do nas jako błagalni pielgrzymi uzbrojeni we wszystkie konieczne w tych okolicznościach formularze i oficjalnie zatwierdzone wizy.

Profesor Coffin westchnął i wzruszył ramionami.

- Spełniające się proroctwa? - mruknął George.

- Doczekaliśmy się wreszcie czasu wielkiej radości - kontynuował głos. - I dlatego jest wysoce właściwe, że staniecie się częścią naszej uroczystości. Skłońcie się teraz i ukryjcie swoje twarze przed cudem, na którego nie jesteście godni spojrzeć.

- O co tu chodzi? - spytał George.

Lecz o nic więcej spytać już nie mógł. Chyba jedynie prosić Boga, żeby przebaczył mu wszystkie występki.

Ogromny Marsjanin ze stołem pełnym narzędzi tortur chwycił George'a mackami i zbił go z nóg. Inne macki chwyciły Darwina i profesora. Zawijały się wokół ich ust, dusiły okrzyki o litość, trzymając skazańców swoją niewyobrażalną siłą.

- Śmierć niewiernym! - krzyknął mechaniczny głos. A potem znów wybuchł wstrętnym bulgotaniem.

Błyskawicznie poruszające się macki sięgnęły po upiorne narzędzia tnące, lśniące diabelskie rzeczy z ostrzami jak korkociągi.

Tłum Marsjan zaczął radośnie wiwatować.

Narzędzia tortur opadły na pozbawioną radości trójkę.

Całą przestrzeń rozdarł potężny krzyk. Straszliwy bulgocący wrzask.

Tłum Marsjan zastygł w ciszy. Narzędzia tortur zatrzymały się w pół ruchu.

Po kolejnym strumieniu bulgotów macki się wycofały.

George nagle był wolny i z trudem chwycił powietrze przez ściśnięte płuca. Jego bębrenki niemal pękały od wszechogarniającej ciszy. Powoli zaczął się podnosić na nogi. Profesor, jak zauważył, robił to samo. Darwin kuczał na piętach.

Marsjański oprawca odkładał swoje straszliwe instrumenty.

Profesor Coffin spojrział na George'a i wzruszył ramionami.

Rozległy się kolejne wzmocnione przez głośniki bulgoty. Olbrzymi kat opadł na wyłożoną posadzkami podłogę i zaczął jęczeć błagalnie.

Ze swojego dogodnego miejsca obserwacji na szczycie piramidy George widział niezliczonych Marsjan - opadali na swoje kolanopodobne części ciała i pochylali straszliwe głowy.

Z maszyny tłumaczącej wylały się kolejne rozkazy - te bulgoty najwyraźniej były rozkazami. Z trudem, jako że pozycja na kolanach była bardzo niewygodna, tłum cofnął się.

George spojrział w dół na istotę, która wydawała rozkazy przez wspaniałą maszynę tłumaczącą, i ujrzał wielki cud.

George ujrzał cud, o którym wcześniej wspomniał mówca. Cud, na który nie byli godni spoglądać.

Cud, który się zmanifestował w czasie, „kiedy proroctwa się spełniają”.

Cud ubrany był w szatę ze złota i srebra, brązu, miedzi i lapis-lazuli. Miał skrzydła anioła i hełm podobny do samurajskiego, na nim półksiężyc.

Twarz istoty była złota, oczy iskrzyły się najczystsza zielenią, a uroczą twarzyczkę otaczały lśniące miedziane loki.

- To ona - krzyknął profesor Coffin i uklonił się ekstrawagancko. - To Japońska Dziewczyna Płaszczka w swojej własnej postaci.

George zorientował się, że także się kłania, chwiejąc nieco. Jako że z głodu kręciło mu się w głowie i był na wpół oszalały ze strachu, udało mu się wymówić jedynie trzy krótkie



słowa, zanim zemdłał.

- To jest Ada - powiedział i ogarnęła go ciemność.

Obudził się na grzesznie wygodnym łóżku, z poduszkami z łabędziego puchu i w jedwabnej pościeli. Powietrze przenikała woń egzotycznych perfum, pod ręką miał tacę z wykwintnymi zakąskami - George'owi wydawało się, że jest w raju.

- Umarłem - krzyknął, kiedy obudził się z tym uroczym obrazkiem przed oczami. - I dzięki ci, Boże, że nie poszedłem do tego złego miejsca.

- Ty naprawdę odnalazłeś religię - powiedział głos.

I kiedy George spojrział na osobę, która się odezwała, w oczach pojawiły mu się łzy.

- Ada, Ada - to jesteś ty.

- Z pewnością jestem.

Ada nachylała się nad George'em, wycierając mu czoło lawendową wodą. Wyprostowała się, okręciła i zaczęła tańczyć jeden z tych prowokacyjnych tańców, które zawsze są popularne w teatrzykach muzycznych.

George przyglądał się temu z aprobatą i prawdopodobnie nawet by zaklaskał, kiedy skończyła, i poprosiłby o powtórkę, gdyby nie ogarniające go mdłości i burczenie w żołądku.

- Och, tak. - Ada przerwała swoje rozkoszne, zmysłowe ruchy. - Musisz być bardzo głodny. Zajmę się tym.

Odwróciła się i odplynęła, prawdziwa królewna z bajki w całej swej wspaniałości paradnej szaty, w rzeczy samej prawdziwa bogini.

George usłyszał dobiegające z maszyny translacyjnej bulgoty i powarkiwania. Ada wróciła do niego i usiadła obok na fantastycznym łóżku.

- Wkrótce dostaniesz śniadanie. A kiedy będziesz jadł, opowiem ci o wszystkim. To naprawdę cudowna historia.

Śniadanie, oczywiście, było przepyszne. A jak mogło być inaczej? Z pewnością to ambrozja. Pożywienie, jakim raczą się bogowie.

Ada Lovelace spróbowała tego i owego ze złotych talerzy, ustawionych przed nią na niskim rzeźbionym tureckim stoliku.

Oboje siedzieli na tapicerowanych pufach.

- Darwin czuje się dobrze? - spytał George.

Przytaknęła, a potem na jej twarzy pojawił się ból.

- Ten hełm jest strasznie ciasny - powiedziała - ale uważałam, że byłoby nieroztropnie

wspomnieć, że nie jest mojego rozmiaru.

George wciąż jadł.

- Nie zamierzasz zapytać o profesora? - spytała Ada.

Pokręcił głową i przelknął.

- W ogóle mnie on nie obchodzi.

- Zły człowiek - stwierdziła Ada.

George podniósł wzrok.

- Dzięki Bogu, odzyskałaś rozsądek. Wiem, co on nam zrobił.

- Zatrął nas w jakiś sposób.

- Zatrął nas tym. - George wyjął z kieszonki swojej kamizelki smukłą szklaną fiolkę z zakrętką. - Aromat Niewiedzy. Kazałem Darwinowi wyjąć ją z kieszeni profesora. A profesor zwierzył mi się z tego, co zrobił, kiedy myślał, że już nie ocaleje.

- W ogóle tego nie pamiętam. - Ada zadrzała.

- I obawiam się, co ten straszny człowiek mógłby mi zrobić, kiedy on i ja byliśmy sami.

Twarz George'a Foksa przybrała dziki wyraz.

- W porządku - uspokoiła go Ada. - Już nie ma nad nami mocy. Jesteśmy bezpieczni.

George nalał sobie coś i upił łyka.

- Jesteś pewna, że mi się to nie śni?

- Zastanawiałam się, czy ja przypadkiem nie śnię. Ale nie. Czy chciałbyś usłyszeć moją historię?

- Bardzo. - George rozsiadł się wygodniej.

- Ta wyspa jest świętą wyspą - zaczęła Ada Lovelace. - Świętą dla każdej religii, na tej planecie i na innych. Posąg bogini w świątyni nad nami jest stary jak sam czas. To najświętszy obiekt w całym wszechświecie. Księga Sayito bogini jest tutaj, i ja ją czytałam. Pozwól mi wyjaśnić to wszystko. Latające mały przyniosły mnie tutaj - nie po to, żeby mnie skrzywdzić, lecz aby uratować z zagrożenia w czasie walki. Tubylcom nie wolno być w pobliżu świątyni. Ich zadaniem jest strzec niższych zboczy. Świątyni strzegą mały. Marsjanie, którzy tu mieszkają, wszystko widzą. Przynajmniej wszystko na wyspie. Mają poukrywane kamery, które przesyłają tu obrazy. Zobaczyli mnie. I rozpoznali we mnie Sayito, Japońską Dziewczynę Płaszczkę.

- Ale przecież naprawdę nie jesteś Nią - powiedział George. - A może jesteś?

- Oczywiście, że nie jestem - zapewniła go. - Jakkolwiek w jakiś sposób ją przypominam. Moje oczy, moje włosy. I pamiętaj, na tej wyspie od ponad tysiąca lat nie

stanęła stopa kobiety. Ich proroctwa mówią, że Sayito przybędzie. Łatwo o pomyłkę.

- Hm - mruknął George całkiem głośno. Czasami zbiegi okoliczności pojawiają się w zbyt dogodnym terminie, żeby były tylko zbiegami okoliczności.

- Latające małpy zniosły mnie do wieży i zostałam przywieziona w dół windą. I mówię ci, George, byłam przerażona, krzyczałam twoje imię, naprawdę. Miasto pełne Marsjan pod powierzchnią naszej własnej planety? To przerażające. Lecz poprowadzono mnie do translatora i powiedziano mi, że jestem boginią i że to wszystko jest moje, jako że mój powrót wypełnił część proroctwa.

- Niewiarygodne - rzekł George Fox, i miał wrażenie, że nie bez powodu. - A co z tymi proroctwami?

- Zostałam zabrana do wewnętrznej świątyni. Nad nami jest wielka świątynia, w której nie byłam.

- Ja byłem. Jest bardzo duża, z pięknym posągami, który naprawdę wygląda tak jak ty.

- W takim razie bardzo bym chciała to zobaczyć. Zostałam zaprowadzona do wewnętrznej świątyni. Wykąpano mnie rytualnie, co nie bardzo mi się podobało, bo ci śmierzący Marsjanie zachowywali się podczas mycia trochę zbyt intymnie. Potem zostałam przyodziana w szaty bogini, które naprawdę mi się podobają. Ale komu by się nie podobały? Pomalowano mnie na złoto i pokazano świętą Księgę Sayito.

- Nie wiem, co mam o niej myśleć - rzekł George. - O tym i o wielu innych sprawach. Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, powiedziałaś mi, że Księga Sayito była Wenusjańską Biblią. Co mają z nią wspólnego Marsjanie?

- Dokładnie nad tym się zastanawiałam, George. Ale to wszystko jest w księdze. Widzisz, księga jest rękopisem, napisanym uniwersalnym językiem, który może być zrozumiany przez każdego, niezależnie od rasy. To jest magiczna książka, George. Z pierwszej magii. Pokazano mi ją, a ja ją otworzyłam, lecz kiedy zaczęłam czytać, przeczytałam pierwszy rozdział Genesis. I pomyślałam, to nie może być prawda, to jest Stary Testament. Więc przerzuciłam kilka stron do tyłu i to, co zaczęłam czytać, było zupełnie czymś innym. Zupełnie inny mit o stworzeniu. Tym razem to był mit marsjański.

- Naprawdę chciałbym zobaczyć tę księgę.

- I zobaczysz. Ale pozwól mi mówić dalej. W tym micie nie ma początku, żadnego Stworzenia, są zwykłe cykle, które się powtarzają wciąż, i wciąż, i wciąż. Ta wersja, którą przeczytałam, opowiadała o walce między dwoma królami i dwoma wielkimi miastami. Córka jednego króla i syn drugiego zakochali się w sobie. I aby dzielić ze sobą tę miłość, uciekli razem. Zabrali ze sobą wielką księgę wiedzy i odlecieli ze swojej planety na statku

kosmicznym.

- I przybyli tutaj? Cóż, na plaży widziałem starożytny statek kosmiczny. Ta historia jest więc prawdziwa?

- Tak uważam. Statek kosmiczny się rozbił, a oni wspięli się na szczyt wulkanu i znaleźli świątynię Sayito, która, George, zawsze tu była. Nikt jej nigdy nie zbudował, ona zawsze tu była.

George miał pewne wątpliwości co do logiki tej sytuacji, ale całym sobą pragnął, żeby Ada mówiła dalej.

- Znaleźli świątynię, otworzyli księgę u podstawy posągu...

- Właśnie tak tu weszliśmy - wtrącił. - Przepraszam, mów dalej, proszę.

- Zeszli do tych jaskiń i tu pozostali. Adam i Ewa tego świata. Mieli ze sobą księgi wiedzy, nauki, matematyki, inżynierii. Ich dzieci, dzieci ich dzieci, dzieci dzieci ich dzieci zbudowały to potężne miasto.

- Ale skąd Księga Sayito tu się wzięła? - spytał George.

- Wyjęli ją z rąk posągu bogini.

- Proszę, mów dalej.

- Już niewiele więcej jest do powiedzenia. W księdze znajdują się proroctwa stwierdzające, że pewnego dnia bogini wróci w żyjącym ciele, aby uwolnić ich z więzienia.

- Z jakiego więzienia?

- Och, oni nie mogą opuścić jaskiń - wyjaśniła Ada.

- Powietrze wyżej jest dla nich trujące. Umarliby, tak jak umarli wszyscy ich bracia Marsjanie, którzy zaatakowali Ziemię.

- Więc w jaki sposób mogą być uwolnieni ze swojego więzienia? Zamierzają wrócić na Marsa?

- Nie mogą. Statek kosmiczny, którym przylecieli księżniczka i książę, jest nie do naprawienia, a poza tym jedynie na Marsie można znaleźć pewne minerały konieczne do zasilenia systemu napędu.

- Mnóstwa rzeczy dowiedziałaś się z tej księgi - zauważył George.

- Czułam, że powinnam. Nie chciałam zrobić głupiej miny, kiedy ktoś zapytałby mnie o coś, co bogini powinna wiedzieć.

- Niesamowite. Ale powiedz mi więcej o tym spełnianiu się proroctw.

- Ach, tak. To ważna część. Przez stulecia tutejsi Marsjanie budowali coraz więcej i więcej. Mieli książki, z których dowiadawali się, jak to robić. Wzniesli niesamowite miasto. Skonstruowali broń, bezkonne pojazdy i latające maszyny. Budowali i planowali i czekali, aż

proroctwo się wypełni i pojawi się przed nimi żywa Sayito. Wtedy, jak już wspomniałam, będą mogli opuścić swoje więzienie. Podróżować w swoich specjalnie zabezpieczonych statkach wojennych i zniszczyć wszystko, co jest na powierzchni planety. Tak się zdarzy, ponieważ niewierni żyjący w górnym świecie popełnią Wielkie Błuznierstwo, i dlatego będą musieli być ukarani. Śmiercią.

- A czym jest to Wielkie Błuznierstwo? - zapytał George.

- Nie wiem tego na pewno. Ale jego rezultatem będzie kompletne zniszczenie ludzkości, jeśli księga ma w tym rację.

George zakrztusił się pysznymi wiktuałami. Ada poklepała go po plecach.

- Przepraszam - powiedział. - Ale brzmi to bardzo źle.

- Bardzo źle - zgodziła się Ada. - A jeszcze nie wspomniałam o najgorszym. Marsjanie wzniosą się z krateru wulkanu w swoich powietrznych statkach i polecą nad planetą, siejąc śmierć. Wszystko skończy się Apokaliptyczną Bitwą, którą, o ile zdołałam się zorientować, obojętnie, ile razy przelatywałam w przód i w tył Księgę Sayito, kończy się Biblia każdej znanej religii. Apokaliptyczna Bitwa między siłami Dobra i Zła.

- Przynajmniej to wydaje się pocieszające - stwierdził George.

- Nie za bardzo - odparła Ada. - Naturalnie Marsjanie uważają siebie za siły Dobra. W końcu zostaną poprowadzeni na powierzchnię przez samą boginię Sayito. Siły Zła, które popełnią Wielkie Błuznierstwo i zostaną pokonane, pochodzą z, jak to księga opisuje, „siedliska wszelkiego Zła”. Lub, jak inaczej jest nazywane, Londynu.

- O rany, o rany - powiedział George. - To chyba jest najgorsze.

- Niezupełnie. Jest jeszcze jeden szczegół. Przywódca owych sił Zła. W księdze jest nawet nazwany. A jego imię brzmi George.

## 34

- Trzeba to powstrzymać - powiedział George. - I w jakiś sposób my musimy to zrobić.

Uroczą Ada Lovelace dotknęła złotego makijażu na swojej twarzy.

- Pomyślałam sobie, że może byłabym w stanie ich powstrzymać, mówiąc im, że ja, Sayito, przybyłam, przynosząc pokój wszystkim rasom, że już więcej nie może być wojen i zabijania, i że oni muszą zostać tu na zawsze i żyć szczęśliwie.

- Podoba mi się to - stwierdził George. - Ale co z tym, co jest napisane w księdze?

- Myślę, że jako żyjąca bogini mam prawo sprzeciwić się starej księdze, prawda?

Przechylił głowę na bok i zrobił minę.

- I - kontynuowała Ada - właściwie myślałam o zniszczeniu księgi, żeby raz na zawsze z tym skończyć.

- To pewnie nie byłby najmądrzejszy z planów. To właśnie mogłoby się stać tym Wielkim Błuznierstwem, które wywołałoby Apokalipsę.

- Tak myślisz?

- Chyba że to moje przybycie z profesorem jest Wielkim Błuznierstwem.

- Zająłam się już tym. Kiedy odkryłam, że zostałam zaproszona na egzekucję, i że jest to twoja egzekucja, odezwałam się do nich przez tłumacza i powiedziałam im, że ty i profesor byliście moimi sługami. Nie uważają was za błuznierców.

George spojrział w oczy Ady.

- Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy, widząc cię żywą i zdrową, Ado. I bycie boginią z pewnością do ciebie pasuje. Naprawdę na nią wyglądasz. Tak bardzo za tobą tęskniłem i tak bardzo się bałem, że stało ci się coś strasznego. - Westchnął leciutko.

Ada uścisnęła jego rękę.

- Pytanie brzmi: Jak stąd uciekniemy? Oni nie będą bez końca wierzyć, że jestem boginią. A co, jeśli pojawi się prawdziwa bogini?

- Nie sądzę, że jest to możliwe - odparł.

- George, nie pamiętasz, co ci się przydarzyło, kiedy „Imperatorowa Marsa” spadała? Jak leciałeś w magicznym bąblu? To nie było coś zwyczajnego, prawda? To jest jedna z tych

mistycznych rzeczy, które zdarzają się jedynie w czasach końca świata.

- Naprawdę tak myślisz? To prawda, że pojawiłem się tutaj za sprawą przepowiedni i sam myślałem, że uczestniczę w świętej misji.

- I tak samo może się okazać, że podczas Świętej Wojny będziesz przywódcą strony, która przegra.

- Tak się nie zdarzy.

- Nie, jeśli będziemy mogli to powstrzymać.

George popatrzył twardo na Adę Lovelace.

- Mam prawo wierzyć, że wymyśliłaś jakiś plan?

Profesor Coffin, George, Ada i Darwin siedzieli na szczycie piramidy, przeprowadzając naradę wojenną.

- Wcale mi się tu nie podoba - powiedział George do wszystkich.

- Przynajmniej możemy tu rozmawiać, nie obawiając się, że ktoś nas podsłucha - odparła Ada. - Oni łążą za mną wszędzie z translatorem. Mam nadzieję, że jeszcze nie zaczęli mnie podejrzewać.

- Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze - rzekł profesor Coffin. - Co znaczy - kontynuował, zauważając złe spojrzenie George'a - że teraz wszystko jest dobrze i jeśli nasza rozkoszna Ada, której jesteśmy wdzięczni za uratowanie naszego życia, stworzyła jakiś plan, o czym jestem przekonany, już wkrótce się stąd wydostaniemy.

George popatrzył na Adę. Małpa Darwin zrobiła to samo.

- Oto moja propozycja - odezwała się Ada. - Nie jestem z niej specjalnie dumna, lecz mam nadzieję, że uratuje ona ludzkość.

- Z tego należy być dumnym - zauważył profesor.

- Bądź cicho i pozwól jej mówić - warknął George.

- Oczywiście.

- Dziękuję, George. Oto moja propozycja. Tutejsi Marsjanie mają flotę latających statków wojennych. Nie statków kosmicznych, lecz pojazdów, które latają w powietrzu i mogą spustoszyć każdy zakątek planety. Proponuję, żebyśmy przejęli dowodzenie nad jednym z nich.

- Masz na myśli, żeby go ukraść? - spytał George.

- Nie. Powiem im, że chciałabym polecieć statkiem, aby przyjrzeć się obozom naszych wstrętnych wrogów. Zaplanować fortel, et cetera. Polecą z nami marsjański pilot.

- I? - George nie krył ciekawości. - Mów dalej.

- Powiemy tutejszym Marsjanom, żeby czekali na mój powrót. I żeby nic do tego czasu nie robili. Powiem im, że dostaną znak. Ale dopóki nie zobaczą znaku, muszą czekać.

- Ten sygnał może być Wielkim Błęźnictwem - wtrącił George. - A skoro nikt nie wie, co to może być, wtedy nie będą wiedzieli, jeśli się pojawi.

- Podoba mi się to - powiedziała Ada. - Kiedy już będziemy w powietrzu, zapoznamy się z systemem sterowniczym statku, pokonamy pilota i wyrzucimy go do morza.

- To robota dla ciebie, Darwin - stwierdził profesor Coffin.

Darwin w odpowiedzi wyszczerzył na niego zęby.

- Oczywiście wszyscy się do tego włączymy - dodał profesor. - George i ja sam. To będzie bardzo ekscytujące. Jakkolwiek oczywiście możemy jedynie unieruchomić pilota i wrócić z nim żywym do Londynu.

George stanowczo potrząsnął głową.

- Nie, oczywiście, że nie - mruknął profesor Coffin.

- Wyrzucimy pilota do morza - powiedziała Ada. - Wtedy zabierzemy wszystkich ocalałych z „Imperatorowej Marsa”...

- Zupełnie o nich zapomniałem - odezwał się George.

- Mam nadzieję, że nic złego nie stało się młodemu panu Hitlerowi.

Ada mrugnęła okiem na George'a, który niespodziewanie zarumienił się w odpowiedzi.

- Zabierzemy ocalałych - kontynuowała. - I wszyscy wrócimy do Londynu. Oddamy statek Marsjan władzom i podamy im położenie wyspy. Myślę sobie, że jeśli zorganizują atak z elementem zaskoczenia, zrzucą materiały wybuchowe w krater wulkanu, to wszyscy Marsjanie tutaj zginą od jednego uderzenia. I właśnie dlatego nie jestem specjalnie dumna z tego planu. Sądzę jednak, że tak byłoby najlepiej, jeśli ludzkość ma przetrwać.

- Też myślę, że tak byłoby najkorzystniej - zgodził się profesor. - Młoda kobieto, uważam to za wyjątkowo pomysłowy plan. Będzie dla mnie honorem uczestniczenie w jego wypełnieniu.

- Dziękuję. Ale proszę, niech mi pan pozwoli postawić sprawę jasno. George powiedział mi o Aromacie Niewiedzy, więc muszę pana ostrzec. Jeden niewłaściwy ruch, jeden głupi pomysł, a ja, George i Darwin, jak przypuszczam, wrzucimy pana do oceanu. A wtedy może pan sobie sam popłynąć do Anglii.

George popatrzył z dumą na Adę. Jej odwaga była niesamowita. Czy powinien jej wyznać, że bardzo ją kocha?

Może podczas podróży do domu, pomyślał.



- Więc - powiedziała Ada. - Taki jest mój plan. Wszyscy się z nim zgadzamy?

Wyciągnęła rękę z wnętrzem dłoni skierowanym do dołu. George położył na niej swoją dłoń. Profesor Coffin położył swoją na dłoni George'a, a Darwin na rękę profesora. To był wyjątkowy moment.

Wyjątkowy moment zaufania.

Za swoimi plecami profesor Coffin skrzyżował palce. Podczas tak długiej podróży różne rzeczy przecież mogą się zdarzyć.

Wszystko to mogło się wydawać zbyt dobre, żeby było prawdziwe.

Naciągali granice wiarygodności do punktu, w którym wnikali w królestwo fantazji.

I gdyby ten plan został sformułowany przez George'a, to czuł on, że z pewnością plan przybrałby kształt gruszki.

Ada zwołała wielkie spotkanie starszyny Lemurian, urzędników Kościoła Sayito, uczonych znawców księgi. Mówiła elokwentnie poprzez maszynę tłumaczącą, wyjaśniła, że musi udać się w podróż, a oni muszą tu czekać, absolutnie nic nie robiąc, aż objawi się Wielkie Błuznierstwo. Pewien Lemurianin uniósł kilka macek i spytał Adę, że skoro jest ona Sayito i wie wszystko o swojej księdze, to czym dokładnie jest Wielkie Błuznierstwo? Ada, która z pewnością oczekiwała podobnego pytania, jeśli nie dokładnie takiego, odpowiedziała, że Wielkie Błuznierstwo jest tak wielkie, że nawet ona nie jest w stanie go wypowiedzieć. Lecz będzie ono tak wielkie, że z pewnością nikt go nie pomyli z jakimkolwiek mniejszym błuznierstwem, które nie mogło być opisane, i oczywiście rozumiane, jako to prawdziwie Największe Błuznierstwo.

Starszy Lemurianin wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią. Zapytał, czy Sayito zamierza zabrać ze sobą jej sługi. Bo może wołałaby znaleźć sobie nowe sługi i pozwolić, żeby ci starzy zostali zjedzeni.

- Zabiorę ich ze sobą - odrzekła Ada. - Mają dla mnie wartość sentymentalną.

Po tym wszystkim nastąpił okres uctowania. Na szczęście przeważnie w formie wegetariańskiej. Okres oczekiwania, podczas kiedy latający statek zaopatrywano w paliwo i odpowiedni prowiant. Okres, który Ada, George i profesor ledwie przeżyli ze zdenerwowania. A potem odbyła się wielka procesja. Mnóstwo flag i wózków z piwem. Nieharmonijna muzyka i przyjemny spacer do bulwiastego pojazdu powietrznego ustawionego na szczycie straszliwej piramidy z czaszek.

Przez maszynę tłumaczącą wymieniono konieczne uprzejmości.

Ada przekazała mnóstwo błogosławieństw i po raz kolejny zaznaczyła z naciskiem, że nic nie można zrobić, dopóki nie objawi się Wielkie Błuznierstwo. Z gracją przyjęła wielki kosz ogromnych klejnotów jako prezent na odchodne, zacisnęła nos i ucałowała marsjańskiego bobasa.

Po czym ona, George, profesor i Darwin wspięli się po piramidzie czaszek, weszli przez trap do latającego statku i pomachali na pożegnanie.

I modlili się bardzo mocno, kiedy statek unosił się w górę.

Dach na szczycie wulkanu powoli się rozsunał. Pojazd wleciał w niebo najbłękitniejsze z błękitnych. Dach zamknął się, nie pozostawiając śladu po swoim istnieniu.

Przez pokładowego translatora Ada rozkazała pilotowi okrążyć wyspę i zademonstrować możliwości statku. Spędzili na tym przyjemną godzinę. A wtedy Ada zaprosiła pilota na otwarty pokład obserwacyjny, gdzie mogliby razem pospacerować. Ona rzeczywiście szła krokiem spacerowym, podczas gdy on wykonywał mlaszczący ślizg.

Przyciągnęła uwagę pilota do czegoś w oddali. W tym momencie George, profesor i Darwin przerzucili go przez barierkę ochronną i zrzucili do oceanu.

- Bardzo skuteczne działanie - pochwaliła Ada. - Ale czy jeden z was nie powinien kierować statkiem?

Ocalali rozbitkowie z „Imperatorowej Marsa” byli absolutnie zachwyceni, kiedy ich ujrzeli. Nawet twarz młodego pana Hitlera rozświetliła się na chwilę.

- Wszyscy szybko na pokład - zawołała Ada. Przypomniała sobie bowiem, że wyspę obserwują kamery Marsjan, i miała nadzieję, że żadna akurat nie była w tej chwili aktywna.

Wreszcie wszyscy znaleźli się na pokładzie i ruszyli do domu.

Ada i George ucieszyli się, usłyszawszy, że ocalali piloci z „Imperatorowej Marsa” ustalili na mapie położenie wyspy przy pomocy myśliwych z Jowisza, którzy przeżyli atak latających małp i uciekli na plażę.

Na pokładzie było wystarczająco jedzenia, żeby nakarmić wszystkich podczas podróży do domu, i wszyscy zgodzili się, że to Bóg ich ocalił, i że naprawdę są błogosławieni.

Kiedy zapadł wieczór, George pozostawił Darwina przy konsoli sterowniczej i wyszedł z Adą na pokład obserwacyjny.

- Sądzisz, że wszystko skończy się dobrze? - spytał.

- Wierzysz, że jesteśmy bezpieczni?

- Wszystko będzie dobrze. Najgorsze już za nami.

- Tak sobie myślę, że być może powinniśmy zostawić tych Marsjan w spokoju. Nie

zrozum mnie źle, nie lubię ich, chcieli nawet mnie zjeść, ale jeśli nigdy nas nie zaatakują i przez następne tysiąc lat będą czekać na Wielkie Bluźnierstwo, to w czym nam to zaszkodzi?

Ada ujęła George'a za ramię, uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Też tak myślałam. Jesteś dobrym człowiekiem, George. Naprawdę, bardzo kochanym.

Pokład obserwacyjny tonął w księżycowym świetle. Łagodna bryza poszeptywała, wysoko latająca papuga miękko gruchała.

George wziął Adę w ramiona i pocałował.

- Ado - powiedział. - Kocham cię. Wyjdiesz za mnie? Chwila, która potem nastąpiła, wydała się George'owi wiecznością.

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę - odpowiedziała Ada Lovelace.

Trzy dni później marsjański statek powietrzny osiadł na kostce brukowej obszernego Londyńskiego Portu Kosmicznego w Sydenham.

Pasażerowie, wymiętoleni i brudni, pozbawieni arogancji i przekonania co-to-nie-ja, potrząsali dłońmi George'a i Ady i schodzili po trapie, witani zszokowanymi spojrzeniami przypadkowych widzów.

- Darwin. - George spojrział na stojącą blisko małpę.

- Chciałbyś być moim drużbą na ślubie?

- To nie spodoba się profesorowi. - Ada roześmiała się.

- Tyle mnie to obchodzi. - George zrobił niegrzeczny gest.

- Przypuszczam, że musimy porozmawiać z władzami - powiedziała Ada. - Wyjaśnić...

Cóż, właściwie wszystko.

- Zróbmy to więc - odpowiedział George. - A potem weźmiemy dorożkę i przedstawię cię mojej rodzinie. Minęło mnóstwo czasu, od kiedy widziałem ich po raz ostatni. Mam nadzieję, że będą tak samo szczęśliwi, widząc mnie, jak ja, widząc ich.

Razem zeszli po trapie, Darwin truchtał tuż za nimi.

Jednakże nie przeszli więcej niż dziesięć metrów, kiedy za nimi rozległ się pewien dźwięk, który zatrzymał ich w pół kroku i kazał się im odwrócić.

Ten dźwięk to był odgłos silników budzących się do życia.

- Och, nie! - krzyknął George. - Nie ośmieliłby się.

Ale się ośmielił.

I George, Ada i Darwin patrzyli, jak marsjański statek powietrzny, teraz pilotowany przez Coffina, szykuje się do odlotu. Profesor machał do nich przez okna i pokazywał kosz

klejnotów, który Ada dostała jako prezent na odchodne. Statek uniósł się w powietrze, okręcił i zniknął na błękitnym niebie.

Gorliwy biurokrata już się postarał, żeby sprawy nie poszły dokładnie tak, jak George miał nadzieję. To, że on i Ada zostali natychmiast aresztowani i odprowadzeni w kajdankach na przesłuchanie, zupełnie nie spełniło jego oczekiwań na „triumfalny powrót do domu”. Bądź co bądź on i Ada przywieźli do Anglii ocalałych rozbitków z „Imperatorowej Marsa”. Przynajmniej to było warte jednego lub dwóch orderów i herbatki z ciasteczkami u królowej. Z rękami zakutymi w kajdankach i popychani, nie bardzo mogli zachować się z godnością i odpowiednią do okazji formalną sztywnością. A kiedy George został wrzucony do celi więziennej, stał się bardzo zrzędlwym George'em.

Wołał o sprawiedliwość i żądał rozmowy z jakimś wysokim urzędnikiem państwowym. Najlepiej ministrem rządu królewskiego. Wtedy do celi wszedł strażnik kosmodromu w źle dopasowanym mundurze i walnął go napędzaną parą pałką, która była, jak zapewnił George'a, „ostatnią nowinką techniczną”.

George został zaprowadzony do mało ważnego urzędnika kontroli paszportowej. Zdjęto mu kajdanki i pchnięto na krzesło przed zawałonym papierami biurkiem. Strażnik opuścił biuro, informując George'a, że będzie czekał na zewnątrz, więc niech mu nie przyjdzie do głowy, żeby zrobić jakiś numer, bo dostanie za swoje. Mało ważny urzędnik przyglądał się George'owi Foksowi zza biurka.

George został poproszony o okazanie dokumentów.

Wyjaśnił, że żadnych nie posiada.

Wtedy powiedziano mu, że w celu wjechania do Anglii potrzebuje okazać dokumenty umów i zezwolenie na podróżowanie. Wizę wjazdową oraz listy rekomendacyjne, opieczętowane i autoryzowane przez co najmniej trzech dyplomatów, oraz licencję dla niesklasyfikowanego włochatego chłopca, który...

- To jest mała! - zaprotestował George. - Darwin, mój małpi kamerdyner.

Mało ważny urzędnik przesunął paluchem po liście pasażerów „Imperatorowej Marsa”.

- Lord Brentford miał małego kamerdynera o imieniu Darwin - zauważył. - A lord Brentford jest na liście zmarłych. - Popatrzył twardo na George'a i zrobił jakieś notatki

ręcznie napędzanym piórem, które na pewno nie było ostatnią nowinką techniczną.

- Twierdzisz, że ty także byłeś pasażerem na „Imperatorowej Marsa”? - spytał mało ważny urzędnik.

- Tak - odparł George. - Gdzie jest Ada Lovelace?

- Ach, tak. - Mało ważny urzędnik pokiwał głową.

- Twoja współpracownica.

- Moja co?

- Twoja partnerka w zbrodni. Ona też twierdzi, że była na pokładzie „Imperatorowej Marsa”, lecz jej nazwisko nie pojawia się na liście pasażerów.

- Ach - powiedział George. - O, rany - dodał. - Mogę to wyjaśnić - to też powiedział. Ale nie był do końca przekonany, że może. Nie ku usatysfakcjonowaniu tego mało ważnego urzędnika, który bardzo poważnie podchodził do swojej pracy.

- Popatrzcie na siebie - powiedział mało ważny. - Twoja współpracownica ubrana jest jak jakaś lafirynda z burlesek, a ty nie tylko masz na sobie garnitur o dwa rozmiary za mały, ale nawet nie masz kapelusza!

Mało ważny urzędnik zrobił wielką notatkę o tym skandalicznym ubraniowym faux pas.

- Przypuszczam, sir, że jesteś pruskim szpiegiem albo może w istocie jednym z tych amerykańskich anarchistów, którzy, jak zostałem poinformowany przez ocalałych rozbitków, zaatakowali „Imperatorową Marsa” w Nowym Jorku.

- To jest absurd - obruszył się George. - Ada i ja uratowaliśmy tych ludzi. Niech pan zapyta kogoś z nich, powiedzą panu.

- Zapytać ich? - powiedział mało ważny urzędnik.

- Czy pan zupełnie stracił rozum? Ci ocalańcy są członkami arystokracji. Nikt nie zwraca im głowy takimi trywialnymi sprawami.

Na twarzy George'a pojawił się grymas złości. Bo był okropnie zirytowany.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę - krzyknął, nagle widząc małe światełko na końcu czegoś, co wydawało się bardzo długim, ciemnym tunelem. - Moje nazwisko jest na liście pasażerów. Och, w istocie.

- Jest na liście? - spytał mało ważny urzędnik.

- Więc, jak się pan nazywasz?

- Nazywam się George Fox - powiedział George Fox.

- Lord George Fox, więc teraz może mnie pan wypuścić, poczęstować filiżanką dobrej herbaty i pozwolić mi na powrót do mojej arystokratycznej posiadłości. Rusz się, dobry

człowieku.

Mało ważny urzędnik lekko zeszywniał na swoim krześle.

- Lord? - rzekł. - Ty? - dodał. - W takim garniturze i bez kapelusza?

- Jestem ocalałym rozbitkiem z katastrofy statku powietrznego - zaczął narzekać George. - Lecz jestem na liście pasażerów. No już, poszukaj mnie.

Mało ważny urzędnik przewrócił strony. Bardzo powoli je przerzucał. Lecz nagle zastygł i wydał z siebie pojedyncze: - Och.

- Właśnie - syknął George. - W istocie, och. A teraz proszę mnie wypuścić i przynieść herbaty.

- Lord George Fox - przeczytał mało ważny urzędnik i zaczął się uśmiechać.

- Wspaniale - powiedział George. - I ja jestem zadowolony, że jest pan w stanie przyjąć obiektywne stanowisko i ujrzeć zabawną stronę w swoich wątpliwościach dotyczących mojej osoby.

Mało ważny urzędnik spojrzał na niego.

- Nic z tych rzeczy. Widzi pan, mam tutaj - i unióś do góry to, co tu miał - nakaz aresztowania lorda George'a Foksa, wydany przez Policję Okręgową w Penge na żądanie kilku krawców i innych wytwórców ubiorów, którym rzeczony lord George Fox nie zapłacił za usługi, zanim zaokrętował się na „Imperatorową Marsa”.

Mało ważny urzędnik zaintonował listę oskarżycieli.

- Johnathan Crawford, Ubrania dla Wyższych Sfer. Elias Mainwaring, Królewskie Laski i Parasole. Louis Vuitton - wytwórca najlepszych waliz podróżnych. - I jeszcze kilkunastu innych, o których George całkiem zapomniał, i nie miał szczególnej ochoty na ponowne z nimi spotkanie.

George Fox jęknął i jego imponująca broda opadła na piersi.

- Złapaliśmy pana, sir, mówiąc w żargonie „Gazety Policyjnej”, „na gorącym uczynku”.

George zajęczał głośnie.

- Czy chce pan coś powiedzieć na swoją obronę, zanim zawołam strażnika, żeby zaprowadził pana z powrotem do celi?

George aż cały się spiał, próbując wymyślić cokolwiek.

- Muszę pana prosić o opróżnienie kieszeni - rzekł mało ważny urzędnik. - Wydaje się, że strażnik zapomniał pana przeszukać. Nie możemy pozwolić, aby wyciągnął pan skądś jakieś wytrychy i nam uciekł, prawda?

George pokiwał głową.

- Przypuszczam, że nie - zgodził się.

Poszperał w kieszeniach i wyciągnął kilka skromnych przedmiotów, swój złoty zegarek, chusteczkę do nosa i inne drobiazgi. Ułożył je przed sobą na mniej zatłoczonym fragmencie biurka mało ważnego urzędnika.

- To wszystko?

- Wszystko! - George posepnie skinął głową.

Mało ważny urzędnik przesunął palcem między rzeczami George'a, coś wziął i spytał:

- A co to jest?

George przyjrzał się temu, co trzymał w dłoni mało ważny urzędnik. Smukła szklana fiolka zamknięta na zakrętkę.

- Ach. - Na ustach George'a wykwit! leciutki uśmiezek.

- Naprawdę muszę cię zapytać - odezwała się Ada Lovelace, kiedy ona i George zostali odwiezieni z Królewskiego Londyńskiego Portu Kosmicznego nie w policyjnej furgonetce, lecz w całkiem przyjemnym pojeździe ciągnionym przez dwa dobrze dobrane czarne wałachy - jak ci się udało to osiągnąć?

- Pomachaj mało ważnemu urzędnikowi - powiedział George. - On życzy nam szczęścia i powodzenia.

Ada pomachała.

- Ale w jaki sposób?

- Urok? - zasugerował George. - Siła osobowości? A może sprawiedliwość?

Pocałowała George'a w policzek.

- A więc nie Aromat Niewiedzy - rzekła. - A na to właśnie bym stawiała.

Przez chwilę wspólnie dzielili przepelniającą ich radość i George postanowił zapamiętać tę chwilę.

- Więc, mój odważny poszukiwaczu przygód i przyszły mężu. Dokąd się udajemy?

- Cóż, oboje mamy na sobie łachmany, jesteśmy bez grosza, więc mamy tylko jedno wyjście.

- Żebrać na moście Londyńskim? - mruknęła Ada.

- Z pewnością nie.

- Nie. - George skrzywił się. - Zrobimy to, co robią wszystkie nastolatki w tym stuleciu, a co zapewne będą robić także podczas kolejnych nadchodzących stuleci, kiedy mają kłopoty finansowe. Idą do mamy i taty.

Ada Lovelace skrzywiła twarz tak samo jak George.



- Do twoich czy moich? - spytała w zamyśleniu.
- Z powodu stanu naszych ubrań, myślę raczej o twoich - powiedział.

Czasami pojawiają się straszne problemy z datami. Z odpowiednim skojarzeniem dat, z zapamiętaniem ich. George bez kłopotu zapamiętał, że Ada Lovelace była córką lorda Byrona. Powiedziała mu, że nią jest, i widział nawet wycinek z gazety. W tamtym czasie George jednakże nie wspomniał, że „obrabiał” lorda Byrona w szkole. I że lord George Gordon Byron, szósty baron Byron, urodził się w tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym roku i zmarł w tysiąc osiemset dwudziestym czwartym. I że teraz był rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty piąty, a Ada nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat.

- A propos twojego ojca - powiedział George, kiedy lando przejeżdżało przez ładne miasteczko Penge, mijając, tak się akurat złożyło, nowy komisariat policji.

- Zgodnie z książkami historycznymi i tablicą nagrobną w Kwaterze Poetów w opactwie Westminster, lord Byron zmarł w tysiąc osiemset dwudziestym czwartym.

- A dokładnie to co chcesz przez to udowodnić? - spytała.

- To było siedemdziesiąt jeden lat temu. A jednak twierdzisz, że jesteś jego córką i masz nawet na potwierdzenie wycinek z gazety.

- No i?

- Wyglądasz na nieco młodszą niż siedemdziesiąt jeden lat.

- Pochlebca.

W doskonałym świecie, pomyślał George, wszystkie sprawy zostałyby rozwiązane. I to rozwiązane zadowalająco. Dobro zostałoby nagrodzone za jego dobroć, a zło odpowiednio ukarane. Pytania uzyskałyby tak potrzebne im odpowiedzi. Szczeniaczki nigdy by nie dorastały, a planeta Ziemia płynęłaby przez kosmos na skrzydłach radości.

- Nie masz zamiaru mi tego wytłumaczyć, prawda?

- Najmniejszego, kochany - odparła dziewczyna.

Ada podała fiakrowi nazwę modnej ulicy w Mayfair i zażądała, żeby ich tam zawiózł. Dobrane czarne wałachy truchtały, pogoda była przyjemna, tereny wiejskie ustąpiły miejsca przedmieściom, a w oddali majaczył się Londyn.

- To była naprawdę niezwykła przygoda - powiedziała Ada. - Dobrze się bawiłeś, George?

- Prawdę mówiąc, teraz, kiedy wróciliśmy zdrowi i bezpieczni do Londynu, przypuszczam, że tak.

- Przypuszczasz, że tak?

- Zdecydowanie tak. - Uścisnął dłoń Ady. - Czasami było przerażająco. Ale spotkałem ciebie. I odnalazłem swoje przeznaczenie. Zobaczyłem posąg Sayito, obiekt starszy niż czas i najświętszy w całym wszechświecie. Jakkolwiek nie udało mi się zobaczyć księgi, chociaż proroctwo stwierdzało, że ją zobaczę. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. To naprawdę była niezwykła przygoda.

- Nie będziesz znów szukał pracy u profesora Coffina?

- Ten łajdak! - Twarz George'a wykrzywił grymas.

- Jestem pewien, że kiedy sprzeda te klejnoty, które należały do ciebie, porzuci swoje cyrkowe życie, pójdzie na emeryturę i będzie opływał w dostatki do końca życia.

- Gdyby na tym świecie była sprawiedliwość, wtedy on nigdy nie odnalazłby szczęścia w swoich złych uczynkach. Ale ani on mnie nie obchodzi, ani klejnoty. Tylko ty mnie obchodzisz.

George poczuł w gardle ucisk. Nigdy wcześniej nie był tak szczęśliwy.

Lando jechało do modnego Mayfair i George miał wielkie nadzieje co do przyszłości.

## 36

George był pod wielkim wrażeniem Byronów, którzy tłumnie zamieszkiwali przestronne pokoje i wydawali się do szpiku kości artystami, estetami i ludźmi generalnie radosnymi.

Dom wydawał się poniekąd zaniedbany, ale ściany były jaskrawo wymalowane zgodnie ze stylem, który akurat stawał się bardzo modny: Sztuka brytyjska, inaczej zwana Prymitywem. Talentu w tych malunkach nie było za grosz, ani też nikt tego nie oczekiwał, chodziło tylko o zapal.

Przyglądał się freskowi w holu, który entuzjastycznie zachwalał radości onanizmu. George'a nieco to zaskoczyło, ale bądź co bądź były to lata dziewięćdziesiąte. *Fin de siècle*.

W domu było wręcz zatrzęsienie Byronów, a przynajmniej George odnosił takie wrażenie. Niektórzy przychodzili, inni wychodzili, ale większość zalegała na wygodnych otomanach, pykali z opiumowych fajek i od czasu do czasu wykonywali leniwy gest, by dać znać, że puste szklaneczki wymagają ponownego napełnienia absytem.

Taki, jak to określił pan Oscar Wilde w jednym ze swoich powiedzonek, „styl życia”, George mógłby uznać nawet za godny polecenia. Zwłaszcza dla siebie samego po tych wszystkich niedawnych zmiennych kolejach losu.

Jeśli jednak chodzi o związki rodzinne między Adą a owymi Byronami, mógł się jedynie domyślać. Większość nazywała ją „drogim dzieckiem” i czule ją całowała.

Ku zdziwieniu i jednocześnie zadowoleniu George'a, jego skurczony garnitur nie wywołał drwiących komentarzy ani też pogardy. Wręcz przeciwnie, otrzymał dużo komplementów za swój nowatorski wygląd: „To taki zgryźliwy komentarz do naszego społeczeństwa, mój drogi, triumf ironii”; pytano go, czy to „ostatni krzyk mody” i gdzie można taki garnitur zakupić.

George poczuł się z Byronami jak w domu, a i oni przyjęli go jak swojego.

Ada nie traciła czasu i natychmiast podkreśliła swoją obecną pozycję. Zebrała razem tych Byronów, którzy byli w stanie się poruszać, i oświadczyła im, co się teraz stanie. Zamierza wyjść za George'a tak szybko, jak tylko da się to zorganizować. George także jest pisarzem (ta wiadomość poniekąd go zaskoczyła), ale dopóki nie otrzyma swojej pierwszej zaliczki od wydawcy, musi tu mieszkać. To oświadczenie nie wywołało żadnych obiekcji,

więc dodała, że obecnie ona i George są bez grosza, jako że wszystko, co posiadali, przepadło podczas katastrofy „Imperatorowej Marsa”.

To akurat musiała szerzej wytłumaczyć tym Byronom, którzy rzadko zwracali uwagę w gazetach na strony z najnowszymi doniesieniami.

Ponieważ jest, jak jest, kontynuowała Ada, będzie potrzebowała zaliczki z jej posagu, aby kupić konieczne rzeczy George potrzebuje bardziej konserwatywnych ubrań, żeby złożyć wizytę wydawcy. A ona, jakkolwiek jej osobiście by to nie przeszkadzało, to jednak nie może paradować po ulicach Londynu ubrana jedynie w kamizelkę, gorset i pantalon.

Kilku Byronów głośno wciągnęło powietrze w płuca, kiedy Ada wspomniała o posagu. Dodała, że naturalnie taki posag to niewiele więcej jak bardzo krótkoterminowa pożyczka, jako że wielka zaliczka, którą George otrzyma od wydawcy, zostanie rozdana między jego nową rodzinę.

W końcu Byron o imieniu lord Billy wypisał czek.

A Byron o imieniu lady Elsie pożyczyła Adzie suknie.

Dzień lub dwa później George i Ada poszli na herbatę do słynnego hotelu Ritz. Zapowiedź ich nadchodzącego ślubu została zamieszczona w rubryce towarzyskiej „Timesa” i George pożyczył pieniądze z posagu Ady, aby kupić jej pierścionek zaręczynowy. Nie był jakoś wyjątkowo drogi, ale całkiem ładny

George i Ada siedzieli w eleganckim pawilonie herbacianym w Ritzu, który był umeblowany w stylu orientalnym: czarny lakier, biała emalia, chińszczyzna i wykwinny perkal.

George miał na sobie ciemny, elegancki garnitur poranny - zapłacił za niego gotówką u krawca, z którym wcześniej nie miał kontaktu. Ada była ubrana w rozkoszny strój z ciemnoczerwonego aksamitu. Szeroka spódnica z tiurniurą, delikatna pelerynka i pikowany stanik, miniaturowy kapelusik z maleńkimi popołudniowymi goglami.

Spoglądała na pierścionek zaręczynowy i ciągle uśmiechała się do George'a.

- O której masz spotkanie, mój drogi?

Wyjął swój złoty zegarek i spojrzął na cyferblat.

- Za godzinę - odparł. - O wpół do piątej.

- I wiesz, co masz powiedzieć?

- Oczywiście, że wiem. - Postukał w stosik kartek.

- Napisałem krótkie streszczenie naszych przygód. Nie wspominając oczywiście o niczym, co mogłoby nas wprawić w zakłopotanie. I zaakcentowałem szczególnie ekscytującą

stronę wydarzeń.

- A wspomniałeś o podziemnym mieście Marsjan?

George machnął dłonią w geście niepewności.

- Nie mogę się zdecydować, czy sprzedać tę książkę, o ile w ogóle mogę ją sprzedać, jako fikcyjną powieść przygodową, czy też opowieść z prawdziwego życia. Nie wiem, czy w ogóle byłoby właściwe użycie słowa „Marsjanie”.

- Może po prostu Lemurianie - podsunęła Ada. - Katastrofa „Imperatorowej Marsa”, ucieczka przed kanibalami i latającymi małpami, odkrycie najświętszego obiektu w całym wszechświecie oraz zaginionej cywilizacji - myślę, że w tej książce jest tyle niezwykłości, że nawet nie trzeba wspominać o Marsjanach. Musisz ocenić reakcję wydawcy, kiedy będziesz mu o tym opowiadał. Wykorzystaj swoją intuicję.

- Moją intuicję? Być może to ty powinnaś pójść do wydawcy.

- George, mnie na pewno nikt nie uwierzy. Potraktowano by mnie jak głupiutką dziewczynę. Wydawcy są mężczyznami i lubią wydawać książki innych mężczyzn. Pójdzie ci dobrze. Wszystko będzie dobrze.

- To nie jest jedno z moich ulubionych zdań. Ale wszystko będzie dobrze.

Cieszyli się ciastkami i racuchami, popijanymi pyszną herbatą Twining Afternoon oraz szklaneczką czekoladowego porto, które miało pchnąć George'a w odpowiednim kierunku.

Dokładnie o czwartej trzydziści George wszedł do biura Leonarda Smithersa. Był to dzentelmen cieszący się reputacją wydawcy lubiącego bardziej pikantny typ literatury. Publikował prace Aubreya Beardsleya, Oscara Wilde'a, Maksa Beetbohma i złowieszczonego Aleistera Crowleya. George uznał, że właśnie on opublikuje jego opowieść.

Spotkanie nie trwało długo. Leonard Smithers był mężczyzną o określonej reputacji. Mężczyzną, który spożywał swoje lunchy przeważnie w postaci płynnej. Mężczyzną, który używał do zwycięzania w dyskusji latających obiektów. Raczej gwałtowny gość.

Kiedy George opuścił biuro, pół godziny po tym, jak do niego wszedł, uczynił to nieco chwiejnym krokiem. Sprawy nie potoczyły się dokładnie, jak tego oczekiwał.

Z pewnością George otrzymał zaliczkę. I w dodatku bardzo dużą zaliczkę. Czekał, który teraz powiewał między jego palcami, zawierał kilka zer. Ale George czuł się nieco zasmucony tą zaliczką.

Pan Smithers nie był pod wrażeniem opowieści George'a, niezależnie od tego, czy miała to być fikcja czy opowieść prawdziwa. Wiedział co nieco o okultyzmie, jak powiedział George'owi, i był świadom legend otaczających Japońską Dziewczynę Płaszczkę. Jeden z

jego autorów, pan Crowley, napisał kiedyś książkę o tej bogini. Matka bogiń wszystkich matek bogiń. Matka samego Boga, jak to przedstawiają niektóre religie. Między znawcami wiedzy tajemnej oraz wśród członków rządu szeptano, że eklezjaści z Wenus wysłali ostatnio ekspedycję na poszukiwanie posągu tej bogini. Że właściwie znali położenie wyspy, na której ona się znajduje. Ale szukają jej także Jowiszanie. Powiedział też, że staje się to sprawą polityczną, która może doprowadzić do incydentu międzyplanetarnego, i że Ministerstwo Obrony rozesłało „Okólnik Cenzorski”, zakazujący wspomniania o tych sprawach w prasie, magazynach i książkach.

George wysłuchał tego z wielkim zaskoczeniem.

Wtedy pan Smithers zasugerował, iż George został przysłany tu przez konkurencyjnego wydawcę, mającego nadzieję, że pan Smithers opublikuje coś, co zakończy jego działalność za sprawą wizyty Dżentelmenów w Czerni, którzy zamknęliby jego biuro i zabrali go Bóg wie gdzie.

Pan Smithers zapytał George'a, czy jest mu znajomy termin „teoria konspiracji”. George powiedział panu Smithersowi, że owszem.

I wtedy George powiedział, że jeśli problem tkwi w tym, że nie wolno opublikować niczego o Japońskiej Dziewczynie Płaszczce, to jemu to pasuje i byłby szczęśliwy móc poprawić swój rękopis i zamienić jej imię na Kantońską Dziewczynę Karpia.

W tym momencie pan Smithers, porządnie już zawiany i toczący pianę z ust, otwarcie oskarżył George'a o pracę na rzecz Dżentelmenów w Czerni i rzucił popielniczką prosto w jego głowę.

Kiedy więc George kroczył ulicą Threadneedle w stronę Banku Angielskiego, gdzie zamierzał otworzyć konto i wpłacić pieniądze z czeku pana Smithersa, szedł nieco chwiejnym krokiem. I ogarnięty smutkiem.

To nic przyjemnego, kiedy wydawca rzuca w twoją głowę popielniczką i wrzeszczy, żebyś trzymał się od niego z daleka. Cóż, gdyby nie to, że George był w posiadaniu smukłej fiołki pełnej bezbarwnego płynu zamkniętej na zakrętkę, nie dostałby żadnej zaliczki.

Dlatego też George niespecjalnie śmiał się, idąc do banku, lecz troszkę się uśmiechał, kiedy myślał o Adzie i zbliżającym się dniu ślubu.

- Kantońska Dziewczyna Karp? - powiedziała Ada Lovelace podczas intymnej kolacji dla dwojga w kuchni domu Byronów.

- Nie miałem wyboru - odparł George. - Nie chcę, żeby pan Smithers wpakował się w kłopoty. Wydaje się, że zrobiła się z tego sprawa polityczna.

- Cóż, oczywiście, że tak, George. Nie sądzisz, że każda rasa we wszechświecie chciałaby znaleźć najświętszy obiekt w całym wszechświecie? Znaleźć i przywieźć na swój własny świat?

- Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób - przyznał George. - W takim razie sądzisz, że gdyby Wenusjanie wiedzieli, gdzie ten obiekt jest, spróbowaliby go ukraść?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Pamiętaj, że czytałam Księgę Sayito. Zgodnie z wenusjańską wersją, posąg najpierw znajdował się na ich planecie i został skradziony przez ikonoklastów.

- Naprawdę chciałbym przeczytać tę księgę.

- Cóż. Sugeruję, abyśmy raczej nie wspominali o świątyni na wyspie. A teraz zmieńmy temat na bardziej przyjemny. Kiedy zamierzasz zaprowadzić Darwina do krawca, aby wziął jego wymiary na garnitur drużby?

- Jutro - odparł George. - Jeśli uda mi się go odczepić od fajki z opium. Wydaje się, że zadowolił się tu bardziej jako gość niż kamerdyner. Już nic nie chce dla mnie zrobić.

- Ach, więc nie słyszałeś. W „Tatlerze” pojawił się anons - lord Brentford pozostawił większość swojej fortuny Darwinowi. Kiedy w Syon House zakończy się zmiana wystroju wewnątrz, Darwin się tam przeprowadzi.

- To dla Darwina oznacza szczęśliwe zakończenie.

- George wznosił toast za szczęście małpy kieliszkiem czerwonego wina. - Na czym polega ta zmiana wystroju?

- Różana szkółka w wielkiej oranżerii zostaje wyrwana z korzeniami i zastąpiona drzewami bananowymi.

Darwin, małpi ekskamerdyner, wydawał się bawić przymiarkami do garnituru drużby. Przerzucał kartki katalogu krawca i dał znać, że chciałby mieć także tweedową marynarkę myśliwską i pasujące do niej pumpy, lniany garnitur, kapelusz panamę i dwie piżamy z czerwonego jedwabiu.

Krawiec, który był stałym czytelnikiem „Tatlera”, otworzył Darwinowi konto, a potem przyciągnął jego uwagę do nowego stylu kapeluszy, przeznaczonych dla dżentelmenów wymagających nakryć głowy nieco bardziej skromnych pod względem wielkości.

Dni biegły jeden za drugim, i dzień ślubu zbliżał się wielkimi krokami.

I kiedy George obudził się pewnego ranka, okazało się, że właśnie nadszedł.

George tymczasowo zamieszkał z Darwinem w posiadłości zmarłego lorda Brentforda, jako że narzeczony nie powinien mieszkać w tym samym domu co narzeczona. Nawet jeśli jej

rodzina należy do bohemy. Drzewa bananowe zostały już zasadzone, a George nawet pomógł zainstalować w sali balowej kilka lin do wspinania się i umieścić w gabinecie zmarłego lorda pewną liczbę małych pustych tekturowych pudeł, aby Darwin mógł wsadzać w nie głowę, kiedy najdzie go ochota.

George zjadł śniadanie, wykąpał się i ubrał w swój najlepszy garnitur.

Taktownie odczepił Darwina od pudełka, do którego małpa poczuła romantyczne przywiązanie, i pomógł mu włożyć jego wspaniałą strój.

Sprawdzając swój wygląd w holu w wielkim lustrze, którego Darwin jeszcze nie obrzucił łańcem, skinęli zgodnie głowami. Wyglądali jak prawdziwi bogacze.

Ceremonia miała się odbyć w Świętym Pawle. Niedokładnie w samej katedrze - lecz w kawiarni za rogiem. Tak robili to artyści. Tak robiła to rodzina Byronów.

George naprawdę nie miał nic przeciwko temu, mimo że wciąż był pobożny. Naprawdę stał się wierzącym. Czuł jednak, że Bóg go zrozumie. Wszak Bóg ocalił zarówno jego, jak i Adę. George doświadczył jego łaski.

Powóz zmarłego lorda Brentforda był staromodnym koczem o wielkich kołach. Emanował jednak godnością, zaprzężony w konie czystej krwi.

Darwin zwolnił woźnicę i nalegał, że zajmie jego miejsce. George nie podszedł do tego pomysłu entuzjastycznie, ale, przekonywał sam siebie dość rozsądnie, on i Ada zaszedli razem już tak daleko, że nic nie jest w stanie przeszkodzić im w zawarciu małżeństwa.

- Na wszelki wypadek jedź bardzo powoli - powiedział Darwinowi, kiedy wspinali się do powozu.

Darwin uniósł swój małeńki kapelusz, a potem porządnie trzepnął batem konie.

Jechali przez Brentford, Kew, Chiswick i Hammersmith. I mnóstwo ludzi zatrzymywało się, żeby podziwiać widok.

George unosił kapelusz, pozdrawiając gapiów, i rozsiadł się na wygodnych skórzanych siedzeniach. Jakoś do tej pory nie spowodowali wypadku.

Problem zaczął się w pobliżu mostu Hammersmith. Było tam mnóstwo powozów i omnibusów, dorożek, facetów na bicyklach i parowych automobili. I wszystko to zebrało się w jednym miejscu i zakorkowało.

- Mamy coś, żeby zatrzeć? - spytał George.

Darwin zerknął w stronę stożka końskiego nawozu leżącego na drodze.

- Nie! - krzyknął George. - Żadnego rzucania. Tylko trąbienie.

Ale nie mieli nic do trąbienia, i chociaż wielu innych miało, i trąbili na potęgę, ruch na drodze nie poruszał się nawet o centymetr, co bardzo martwiło George'a.



- Nie wolno nam się spóźnić - powiedział do Darwina. - Zastanawiam się, może moglibyśmy odczepić te konie i pogalopować wzdłuż chodnika?

Darwin spojrział na niego z wielkim podekscytowaniem, George zabrał się więc do dzieła.

Już prawie odczepił konie, kiedy pojawił się londyński konstabl.

- Jakies kłopoty, sir? - spytał konstabl.

- Spieszę się na swój ślub - wyjaśnił George. - A cały ruch drogowy znieruchomiał. Chcę pojechać konno wzdłuż kanału ściekowego. Czy to wywoła jakiś problem?

- To nie byłoby po sportowemu, sir, prawda? - rzekł konstabl. - Chciałby pan od razu znaleźć się na czele kolejki. Tymczasem niektórzy czekają tu już całą noc. Nie przyjmą z zadowoleniem pana próby przepchnięcia się.

- Próbuję dostać się na mój ślub. A za czym oni tak w ogóle stoją?

- No jak to, sir. Z pewnością nie chce mi pan wmówić, że pan nie wie, sir? Gdzie pan był, w kosmosie? - I roześmiał się. Z całego serca.

- Cieszę się, że jestem powodem pańskiej radości, ale ostatnio byłem zajęty organizowaniem mojego ślubu. To jakieś wydarzenie sportowe czy królewskie?

- Z pewnością jej wysokość weźmie w tym udział. Wszak jest to wydarzenie, które zdarza się tylko raz w życiu.

George odczepił już konie i teraz wspinał się na ogiera.

- Cóż, jestem pewien, że to musi być coś strasznie ekscytującego, lecz zupełnie mnie nie interesuje. Muszę pojawić się na własnym ślubie.

- Będziesz pan pluł sobie w brodę, jeśli tego nie zobaczysz, sir - powiedział konstabl. - To będzie w Londynie tylko przez tydzień, zanim ruszy w objazd po największych stolicach świata. Bilety kosztują gwineę za sztukę, ale warte są każdego pensa, jak słyszałem.

- Jestem pewien, że tak jest, ale ja już muszę jechać.

Jednakże posterunkowy przytrzymał wodze konia.

- Mówią, że ona jest najpiękniejszą rzeczą w całym stworzeniu - oznajmił. - Przywieziona do Londynu przez największego na świecie odkrywcę i archeologa. Po pokonaniu straszliwych przeciwności, zdobył ją dla imperium.

- Najpiękniejsza rzecz? - powiedział George powoli. - Zdobył ją dla imperium?

- Profesor Cagliostro Coffin - wyjaśnił konstabl. - Bohater imperium. Wkrótce będzie lordem Coffinem, kiedy otrzyma szlachectwo z rąk królowej w nagrodę za przywiezienie do Londynu posągu Japońskiej Dziewczyny Płaszczki.

## 37

- Na miłość boską, nie! - krzyknął George. - On ukradł jej posąg!

- Niech pan się uspokoi, sir. - Konstabl wciąż mocno trzymał wodze konia. - „Ukradł” to takie wstrętne słowo. Jeśli jest się brytyjskim archeologiem i zdobywa się przedmioty o historycznym znaczeniu, aby przywieźć je do cywilizowanego świata, to technicznie rzecz biorąc, nie jest to kradzież.

George zagapił się na konstabla.

- Nie masz pojęcia, jakie to jest okropne - powiedział.

- Nie, sir, ale wkrótce się dowiem - zamówiłem kopię książki lorda Coffina. Opisał swoje ekscytujące, odważne działania. Jak skonstruował latający statek i wyruszył na poszukiwanie przygód. I o tym, jak zainstalował broń na promienie ciepłne na pokładzie statku, dzięki której mógł zabić wszystkich kanibali i latające małpy na wyspie, zanim uwolnił posąg. Jak...

Lecz George usłyszał już dosyć.

- Darwin - krzyknął tak głośno, aż małpa za nim podskoczyła. - Z drogi - wrzasnął i uderzył piętami w lśniąco boki konia czystej krwi. - Zaraz, chwila, sir - sprzeciwił się konstabl, próbując się utrzymać na nogach, jako że koń zaczął go ciągnąć za sobą. - Nie może pan po prostu pojechać...

Lecz jego hełm uderzył w bok powozu, a on sam opadł na ziemię bez przytomności.

George wykrzykiwał: - Wio! - I: - Leć jak wiatr! - A także: - Dowieź mnie do kościoła na czas! - I inne zachęty mające na celu przyspieszenie konia. Wreszcie, uwolniona od kajdan powolnego powozu, wspaniała bestia ruszyła z kopyta, nie potrzebując dodatkowych zachęt, i pognęła wzdłuż chodnika.

Damy i dżentelmeni, pchające wózki nianie, dzieci z lalkami i obręczami, jeden czy dwa szpice oraz Biff, cyrkowy niedźwiedź - wszyscy zaczęli odskakiwać, uchylać się, chybotliwie odsuwać i wykonywać inne ruchy na wszystkie strony, aby zejść z drogi pędzącego konia.

Małpa Darwin przylgnęła do George'a i gadała coś radośnie. Ponury George trzymał się kurczowo wodzy konia, mając świadomość, że nigdy tak naprawdę nie nauczył się jeździć

konno, a co więcej, nigdy wcześniej nie siedział na jego grzbiecie.

Koń z łatwością przeskoczył płomiennie-brązowe barierki, stojące mu na drodze, a także sprzedawcę lodów Hokey-Pokey. Dziecko roznoszące ulotki odskoczyło na bok, a ulotki rozsypały się chmurą kartek, która otoczyła twarz George'a. Złapał tę, która zasłoniła mu oczy, i spojrzał, co było na niej napisane.

### **Japońska dziewczyna płaszczka**

NAJWSPANIALSZA ATRAKCJA WSZECH CZASÓW

### **Znalezisko znakomitego profesora archeologii**

NAJWSPANIALSZY BOHATER IMPERIUM PRZEDSTAWIA  
NAJBARDZIEJ STAROŻYTNY I NAJŚWIĘTSZY  
POSĄG WE WSZECHŚWIECIE

**Tylko przez jeden tydzień \* 1 gwinea wszystkie Klasy \*  
otwarte 24 godziny**

ZACHODNIA NAWA \* KATEDRA ŚWIĘTEGO PAWŁA

Odetchnął drżąc i mocniej uderzył piętami w boki konia.

George spóźnił się na ślub. Mimo to pojawił się wcześniej niż Ada. Lecz wkrótce uroczą dziewczyną przybyła, wyglądając promiennie w ślubnej sukni w stylu prerafaelickim. We włosach miała wpięte dzikie kwiaty i jedwabne ozdoby, które mogły ozdabiać lady Ginewrę, kiedy poślubiła króla Artura.

- Przyjechałeś na koniu. Jakie to romantyczne.

- Słyszałaś, co on zrobił? - krzyknął George. - Ukradł posąg. Ukradł najświętszy obiekt w całym wszechświecie.

- Tak - odparła Ada grobowym tonem. - I, jak z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę, jest to właśnie owo Wielkie Błuznierstwo. Nie muszę ci mówić, jakie będą tego skutki.

- Więc co zrobimy?

- Cóż. Nie wiem jak ty, ale ja zamierzam wyjść za mąż.

- Co? - George osłupiał. - Co?

- Jeśli Marsjanie zaatakują - powiedziała Ada, opuszczając welon - to mam nadzieję, że zrobią to po ceremonii. Zdajesz sobie sprawę, ile ta suknia wymagała przymiarek?

George Fox powoli skinął głową, a potem wzruszył ramionami.

- Więc - Ada stuknęła George'a między żebra - zamierzasz się ze mną ożenić czy nie?

George Fox odpowiedział:

- Zdecydowanie tak - i podał jej ramię.

Ceremonia odbyła się bardzo podobnie do stylu, w jakim George przybył tu na koniu. To znaczy szybko. Zatrudniony urzędnik, wielbny Schnorer, wydawał się nieco zawiany i strasznie mu się śpieszyło.

- Najwyraźniej - powiedział lord Billy Byron do George'a, kiedy szedł w jego stronę, lekko się chwiejąc - ma bilet na pokaz owej Wielkiej Atrakcji za rogiem, w Świętym Pawle. Japońska Dziewczyna Węgorz czy jakaś inna głupota. Jedziecie na swój miesiąc miodowy w jakieś miłe miejsce?

George Fox znacząco zacisnął zęby. Wielbny Schnorer z pośpiechem zaczął odprawiać ceremonię.

Kawiarnia była całkiem przyjemna, umeblowana w stylu zwanym eklektycznym. Inaczej mówiąc, było w niej naprawdę wszystkiego po trochu. Drewniane podłogi dobrej jakości, kolonialne krzesła z trzciny, tureckie stoliki do kawy, wiklinowe talerze z owocami. George nie mógł powstrzymać się od myśli, że to wszystko po prostu wybuchnie płomieniem nie do opanowania, kiedy uderzą Marsjanie. Stał, przestępując z nogi na nogę. Czuł, że musi zacząć działać. Coś zrobić. Cokolwiek. Cokolwiek, żeby powstrzymać potencjalną apokalipsę, która już wkrótce mogła się rozpocząć.

Myśli George'a były teraz poniekąd ogłupiałe. Podzielone na pół wzdłuż linii priorytetów. Właśnie brał ślub. W istocie, za kilka chwil naprawdę będzie żonaty. Potem skupi się na tym, co koniecznie trzeba zrobić. I w tym właśnie miejscu pojawiał się problem wyboru.

Skonfrontować się z profesorem Coffinem? Zażądać zwrotu posagu i zmusić go do tego?

Czy też zająć się zmysłowymi radościami, jakimi cieszą się świeżo poślubieni podczas miesiąca miodowego?

George właściwie nie był prawiczką. Pracował w wielu cyrkach, gdzie spotyka się

dziewczęta, których raczej nie przedstawia się rodzicom. A Ada, jak przypuszczał, także ma swoją przeszłość. Zwłaszcza jeśli naprawdę miała co najmniej siedemdziesiąt jeden lat...

George z wysiłkiem powstrzymał wirujące myśli, które najwyraźniej wymykały się spod kontroli. Najpierw ślub, potem konsumowanie małżeństwa. Potem ocalenie świata od bardzo gorzkiego końca.

Zadowolony, że przynajmniej ustalił swoje priorytety w obliczu dość poważnie rozpraszających okoliczności, na żądanie wielebnego Schnorera wsunął obrączkę na palec Ady i pośpiesznie wypowiedział słowa przysięgi.

Kiedy ceremonia się zakończyła, dzieci Byronów rozrzuciły płatki róż. Ciocie, wujkowie i różni inni uwolnili butelki szampana z korków. Nagle pojawił się dżentelmen, który był właścicielem kawiarni, i zapytał, co też oni sobie wyobrażają, że robią to na terenie jego posesji.

- To oni tak naprawdę nie zarezerwowali tego miejsca? - spytał George swojej żony. Swojej żony! Uśmiechnął się szeroko z dumą.

- Myślę, że było to, używając powiedzonka pana Wilde'a, „cięcie kosztów”. Widzę, że wielebny wychodzi - muszę zamienić z nim słówko na zewnątrz.

George Fox wzruszył ramionami, ucałował żonę i uśmiechnął się, a potem jeszcze bardziej się uśmiechnął.

- Jak się czujesz, młodzieńcze, będąc mężem tak uroczej dziewczyny? - spytał lord Billy Byron.

- Wspaniale. Mam tylko nadzieję... - I przerwał. Co mógłby powiedzieć temu człowiekowi? Że wkrótce Londyn doświadczy groźby kolejnego zniszczenia przez Marsjan? Że częściowo jest to jego wina? Poczul dreszcz. Być może konsumowanie małżeństwa powinno być jednak odłożone.

W jego dłoń ktoś wcisnął kieliszek szampana, a on przyjął go z wdzięcznością.

Lady Elsie zamachała na George'a swoim wachlarzem.

- Proszę, nie myśl o mnie jako o osobie pruderyjnej - rzekła.

- W żadnym razie - odparł George, zdumiony uwagą.

- Chodzi o to, że twój druhna kopuluje z drzewkiem w doniczce.

George czekał na powrót Ady. Właściciel kawiarni postanowił sobie z nim pogawędzić.

- Właściwie jest mi przykro, że nie byłem na pana ślubie. Słyszałem od mojego

kierownika, że był całkiem zabawny. Pijany wielebny i inne takie.

- Trzeba było tu być, żeby to docenić - odparł George.

- Znam Byronów całkiem dobrze - kontynuował właściciel kawiarni. - Typowe szlachciury. Kiedy tylko mogą, unikają sięgania do kieszeni.

- Dla mnie byli bardzo szczodrzy - powiedział George.

- Zastanawiam się, czy którykolwiek z nich zabuli na bilety na Wielką Atrakcję. Założę się, że nie. Ja musiałem stać całą noc w kolejce, żeby zdobyć swój. Dlatego przyjechałem tak późno.

- To interesujące - mruknął George.

- Przypuszczam, że nie będziecie chcieli siedzieć tu zbyt długo - mruknął właściciel kawiarni; trącił znacząco łokciem George'a i puścił lubieżnie oczko. - Masz tu młodą rozbrykaną klaczkę, która wymaga ujeżdżenia.

- Właściwie - powiedział George - jest to coś, o czym chciałbym porozmawiać z panem na osobności.

W tym momencie wróciła Ada i uśmiechnęła się ciepło do George'a.

- Zostało dla mnie trochę szampana? - spytała stojącego w pobliżu Byrona.

Stojący w pobliżu Byron pokręcił głową.

- Osuszyliśmy wszystko do cna.

- Ja swojego nie tknąłem - powiedział George. - Proszę, wypij ze mną.

- Mój szlachetny rycerz na białym rumaku. - Ada, biorąc kieliszek z dłoni George'a, uniosła go w toaście.

- Za mojego odważnego i szlachetnego męża.

Upił z kieliszka i wkrótce naczynie było puste. Wtedy spojrzał na Adę.

- Jak myślisz, co powinniśmy teraz zrobić?

- A co ty myślisz? W końcu ty jesteś teraz głową rodziny.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał George zdumiony. - Teraz jestem twoim panem?

Ada pokiwała głową.

- Ta myśl cię ekscytuje?

Rumieniec, który wykwitł na policzkach George'a, zdradzał, że owszem.

- Myślisz, że powinniśmy udać się teraz do łóża małżeńskiego? - Ada ścisnęła ramię George'a.

- Ta myśl przeszła mi przez głowę.

- Razem z pewnymi innymi?

- Dotyczącymi profesora? Tak.
- Myślę, mój drogi, że obowiązek powinien przeważać nad przyjemnościami. Musimy skonfrontować się z profesorem. Musimy zażądać zwrotu posagu.
- Dokładnie tak myślałem.
- I dlatego potrzebujemy tego. - Pokazała coś George'owi.
- To bilet na pokaz posagu - stwierdził George, przyjrzawszy się. - Ale jak...
- Zamieniłam na zewnątrz parę słów z wielbnym Schnorerem. Musiałam go tak mocno uderzyć, żeby stracił przytomność.
- Cudowna dziewczyno - powiedział George. - Popatrz na to. - I tym razem on jej coś pokazał.
- Ty także masz bilet.
- W rzeczy samej. I teraz sugeruję, abyśmy pożegnali się z wszystkimi, zanim wielbny lub właściciel kawiarni odzyskają przytomność.

Niektórzy członkowie podekscytowanego i ciągle rosnącego tłumu rzeczywiście uprzejmie przepuścili George'a i Adę, kiedy ci przepychali się na czoło kolejki. Niektórzy nawet pozdrawiali szczęśliwą młodą parę, a mały kominiarczyk zaśpiewał im fragment „Starego Bambusa”, kiedy przeciskali się obok niego.

Uprzejmość ta jednakże została wystawiona na próbę, gdy sprzedawcy pamiątek i rozdawcy ulotek, którzy machali plakatami zachwalającymi wspaniałość tego, co wszyscy mieli zobaczyć, zaczęli konkurować o uwagę ze sprzedawcami pasztecików, lemoniady, gutaperkowych lalek, słodkich laseczek, słomkowych psów, portretów zdjęciowych jej wysokości królowej i erotycznych pocztówek. Między ulicznymi lampami chwiały się liny z chorągiewkami, a nad głowami krążył natychmiast rozpoznany przez George'a i Adę, lemuriański statek powietrzny, grający podniosłe hymny, nagrane na woskowych cylindrach, a nadawane przez mosiężne megafony.

- Źle - powiedział George do Ady. - To wszystko wygląda bardzo źle.

Ślubny stroik kwiatowy spadł z jej głowy. Włosy miała potargane, a jedwabną suknię pogniecioną. W oczach George'a wyglądała tak rozkosznie jak nigdy wcześniej i modlił się, z całkiem dużą dozą desperacji, jakkolwiek z niewielką nadzieją na sukces, że wszystkie sprawy dotyczące Japońskiej Dziewczyny Płaszczki zostaną pomyślnie rozwiązane, zanim nadejdzie wieczór i czas na pójście do łóżka.

- Proszę nas przepuścić! - krzyknął George. I w chwili boskiej inspiracji, która doprawdy powinna oświecić go wcześniej, dodał: - Mamy wziąć ślub w południowej nawie katedry i już jesteśmy spóźnieni. Proszę nas przepuścić!

Nianie w tłumie zagruchały do nich słodko. Młode osiłki mrugnęły do George'a. Lecz teraz przynajmniej szli do przodu, więc George zaczął wykrzykiwać kolejne podobne kłamstwa i przeciskał się dalej.

Przed nimi wyrastała katedra, wypełniająca niebo dzieło Wrena. Wspaniały portyk z koryntiańskimi kolumnami, ponad którymi wznosiła się imponująca kopuła, druga co do wielkości po kopule Michała Anioła w Bazylice św. Piotra w Rzymie.

Bliźniacze wieżyczki, które wyrastały po obu stronach portyku, były inspirowane



rymskim kościołem Świętej Agnieszki, dzieła Borrominiego. Wspaniałe kamienne rzeźby całkowicie obsrało dzikie ptactwo, londyńskie gołębie.

Potężny płócienny baner obwieszczający pokaz, marszczył się łagodnie na lekkim wietrze.

## **Najwspanialszy Cud Świata** **Japońska Dziewczyna Płaszczka**

George patrzył na to z goryczą.

- Jakim cudem uzyskał zezwolenie na wystawienie posagu w katedrze? - spytał Adę. - Czy słowo „Diabeł” nie powinno odstraszyć kościelnej hierarchii?

- Przypuszczam, że poszedł od razu na samą górę - odparła Ada, uderzeniem łokcia torując sobie drogę.

- Audjencja u jej wysokości. Nie wiem, jak to zrobił, ale zrobił.

- Jesteśmy już prawie na samym przedzie - powiedział George. - Jak myślisz, powinniśmy po prostu dołączyć do kolejki?

Ada już dołączyła, więc George wślizgnął się obok niej.

- Hej, ty - zaprotestowała dama w słomkowym kapeluszu. - Czy ty się wypychasz przede mną?

- Mamy specjalne bilety - wyjaśnił George. - I jak pani może rozpoznać po naszym wyglądzie, jesteśmy członkami wyższej klasy.

- Tralala. A ja tu myślałam, że jesteś nikim więcej niż zarozumiałym wieprzem, który udaje, że jest kimś więcej, niż jest.

- Nic nie może być dalszego od prawdy. - George przekrzywił głowę, żeby zobaczyć, jak daleko jeszcze do drzwi. - Jestem lordem, a to jest moja szlachetna żona.

- Cóż, niech wszyscy święci chronią nas od skrofulów, dymienicy i paraliżu, syfilisu, gangreny i artretyzmu. A ja myślałam, że jesteś nikim innym jak młodym George'em Foksem, który wolał uciec z domu, niż uczciwie pracować każdego dnia przy warzywach i owocach, jak jego ojciec i dziadek pracowali przez całe lata.

- Mama - powiedział George.

- Jesteś bardzo niedobrym chłopcem - ofuknęła go matka. - Ale jak widać, całkiem nieźle sobie radzisz. Mógłbyś pożyczyć mi pół korony?

Ale wtedy tłum skokiem ruszył do przodu i George stracił matkę z oczu.

- Kto to był? - spytała Ada.

- Myślę, że moja matka. Jakkolwiek mógł to być także mój tata.
- Żądanie Ady, aby to wyjaśnił, zaginęło w potężnym ruchu tłumu.
- Trzymaj się mnie mocno, George! - krzyknęła.
- Nie możemy być teraz rozdzieleni.

Wewnątrz katedry było chłodno, spokojnie i prawie cicho. Wszystkich otoczył szept pełen admiracji, kiedy przechodzili przez wielki łuk wejścia. W powietrzu unosiła się słaba woń kadzideł, mieszająca się z zapachem starego drewna, pasty do polerowania mosiądzu, obitych skórą klęczników, woskowych świec i tym wyjątkowym aromatem, który istnieje jedynie w kościołach.

George zauważył ze zdumieniem, że kościelne ławki zostały odsunięte pod ściany i wzniesiono „wewnętrzną świątynię”, w której umieszczono cudowny posąg. Jednakże nie wyglądała ona jak święte dzieło, bardziej jak cyrkowy namiot, zrobiony z płótna rozciągniętego na rusztowaniach, z wymalowanymi na nim symbolami różnych religii.

Wyżej George zobaczył coś jeszcze i dotknięciem łokcia zwrócił na to uwagę Ady. Stała tam grupka Wenusjan, być może około tuzina, wszyscy wysocy i wyprostowani, ze strusimi piórami białych włosów wyrastającymi ponad ich ponurymi twarzami, i perfumerkami zwieszającymi się łagodnie z ich długich szczupłych palców. Niemal już doszli do płóciennego namiotu i stali nieruchomo jak marmurowe posągi.

- To wszystko bardzo źle się skończy, jeśli chcą zdobyć statuę dla swojego ludu - powiedział George.

Ada kiwnęła głową.

- I popatrz tam.

George spojrzał i zauważył grupę istot przycupniętą na galerii powyżej stali chóru.

- Mieszczanie z Jupitera - mruknął. - Rozpoznaję w nich ocalałych rozbitków z grupy, która towarzyszyła nam w drodze na wulkan.

- Ruszcie się - burknął kościelny z poźółkłą twarzą i głęboko osadzonymi trupimi oczami. - W kolejce są tysiące osób, które chcą zobaczyć to, co muszą zobaczyć. Pośpieszcie się i nie wstrzymujcie ich.

George i Ada dali do przodu kilka kroków. George zawołał do kościelnego:

- Sir, czy mogę zająć chwilę pańskiego czasu?

Kościelny podszedł bliżej i skinął swoją poźółkłą głową.

- Mężczyzna, który przywiózł ten wielki cud do Anglii...

- Profesor Coffin, wielki badacz i bohater imperium.

- Tak - powiedział George. - Ten sam. Czy znajduje się przy posągu?

- W istocie, tak. - Głowa kościelnego kiwała się jak u szalonego kanarka.

- Więc siedzi wewnątrz namiotu?

- W świętej kaplicy, tak.

- Czy mogę zapytać o coś jeszcze? - I zaczął pytać, zanim jeszcze otrzymał pozwolenie. - Jaka jest pańska osobista opinia o posągu? Jest pan człowiekiem wiary. Czym według pana on jest?

- To Sayito - odparł kościelny. - Każdy prawdziwie wierzący chrześcijanin, który studiował apokryfy, słyszał o Sayito. Mojżesz otrzymał wiedzę o Sayito, kiedy dostał Dziesięć Przykazań od Boga na górze Syjon. Historia mówi, że kiedy zszedł z góry i dotarł do Izraelitów wielbiących spizowego cielca, rzucił na ziemię kamienne tablice, włącznie z rękopisem podyktowanym mu przez Boga. Ten rękopis to była Księga Sayito. I została złożona z kawałków, i mówi się, że nadal istnieje, napisana w uniwersalnym języku zrozumiałym dla każdego.

- Więc czym według pana jest Sayito? - spytał George.

- Matką Boga. Babcią Chrystusa. Klękamy w tej wielkiej katedrze i wielbimy Boga Wszechmocnego. Ale Bóg wszechmocny wielbi Sayito.

Przez ciało George'a przeszedł zimny dreszcz, a jego zęby zaszczękały.

- Dziękuję za pański czas, sir - powiedział George do kościelnego i razem z Adą ruszyli do przodu.

- Nie przypuszczam - szeptał George do Ady - że w twojej nadzwyczajnie pięknej główce formuje się jakiś plan?

- Myślę - odszepała mu Ada - że to jest bardzo duże witrażowe okno.

- Bardzo duże - powiedział George. - I słynne ze swojej wielkości.

- Wystarczająco duże, żeby, być może, zmieścił się w nim czubek statku powietrznego. Powiedzmy, że ktoś zechce tu wlecieć takim statkiem, być może tym, który krąży wyżej, przyczepić liny do posągu, unieść go wysoko w niebo i polecieć szybko do świątyni.

- To jest niesamowity plan - stwierdził George.

- Jednakże przewiduję pewną liczbę trudności. Lecz bez wątplenia ty także, i bez wątplenia masz także plan, jak poradzić sobie z tymi trudnościami.

- Nie bardzo - odparła Ada. - Powiedziałam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy, w nadziei, że to ciebie zainspiruje. Och, popatrz, to chyba nasza kolej.

Grupa Wenusjan weszła do „wewnętrznej świątyni”, zobaczyła, co było do

zobaczenia, wykonała kilka pośpiesznych, niepewnych ukłonów przed świętym posągiem i została szybko wyprowadzona przez dwóch krzepkich „obrońców”. Wyszli z „wewnętrznej świątyni” w czasie, kiedy George i Ada do niej wchodzili. Wyraz ich twarzy był pozbawiony zwykłego spokoju.

Piękny posąg otaczały płonące pochodnie. Płomienie odbijały się tęczowymi blaskami wokół złotej bogini. Wyglądała jeszcze piękniej, niż kiedy George zobaczył ją pierwszy raz. Lecz w uniesionej do góry twarzy było coś, czego George wcześniej nie widział - jakiś smutek, bezbronność.

Ada Lovelace wstrzymała oddech i podświadomie dygnęła przed świętą rzeźbą.

- Och, George - wyszeptła. - Ona naprawdę wygląda zupełnie jak ja.

- Patrzcie, patrzcie - odezwał się znajomy głos.

- Czyż to nie mój drogi przyjaciel i towarzysz podróży, George? I jeśli moje zmysły mnie nie oszukują, ożenił się z uroczą Adą.

George spojrział do góry w stronę płacht płóciennych służących jako sufit. Tam, między wyniosłymi rusztowaniami, stało coś w rodzaju tronu, przywiązanego dla bezpieczeństwa i zawierającego postać o podejrzanej reputacji, inaczej mówiąc, profesora Cagliostro Coffina.

- Ty Świnio - powiedział George prosto. Lecz czasami proste słowa mówią bardzo wiele.

- Tak się nie mówi o byłym partnerze w interesach. Widziałeś te tłumy, George? Tysiące kmiotków. Zanim tydzień się skończy, będę milionerem. A za sześć miesięcy...

- Możemy nie mieć tych sześciu miesięcy! - zawołał George. - Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? Popełniłeś Wielkie Błuznierstwo. Marsjanie może nawet w tej chwili wylatują przez krater wulkanu w swoich wojennych statkach, żeby zabić nas wszystkich.

- Och, proszę, George, mógłbyś choć trochę mi zaufać. - I profesor Coffin roześmiał się. - Nie jestem głupcem. Nie będzie żadnego ataku Marsjan. Wulkan jest, jak by to określić, poniekąd pełen. Zanim wróciłem na wyspę, kupiłem wiele, wiele skrzyń z materiałami wybuchowymi. I jeśli jacyś Marsjanie ocaleli mimo potężnej kamiennej lawiny, całe lata zajmie im wykopanie się spod skał.

- Ty potworze! - krzyknęła Ada.

- No co ty, moja droga - zaprotestował profesor.

- Przywiozłem do Londynu najwspanialszy skarb w całym wszechświecie. Jej wysokość wynagrodzi mi to szlachectwem. Moja autobiografia, jak przypuszczam, przez lata całe będzie na szczycie bestsellerów. Potwór, mówisz? Ja? Z pewnością nie. Jestem

profesorem Coffinem. Bohaterem imperium.

George Fox zaniemówił.

Ada warknęła na siedzącego wysoko mężczyznę.

- Chciałbym jeszcze z wami pogawędzić - zawołał profesor Coffin - lecz tylu ludzi stoi w kolejce, pragnąc ujrzeć mój skarb, że choć bardzo żałuję, musicie wyjść.

- Jeszcze tu wrócę. - George potrząsnął uniesioną pięścią. - Jeszcze o mnie usłyszysz.

- Och, wręcz przeciwnie. - Profesor Coffin wychylił się ze swojego tronopodobnego krzesła. - Nadal nie rozumiesz. Teraz stąd wyjdiesz, ale już nie wrócisz. Nie mogę pozwolić, abyście łązili wokół, rozpowiadając o mnie kłamstwa. Przykro mi, że muszę wam to powiedzieć, George'u i Ado, ale to jest ostateczne pożegnanie.

Profesor Coffin klasnął w dłonie.

- Panowie - zawołał.

Po obu stronach posągu pojawiły się dwa podejrzane typki, a żaden z nich nie był krzepkim obrońcą.

- Pozwólcie mi przedstawić wam moich współników w interesach - zawołał profesor Coffin. - Ten dzentelmen to Bermondsey Bob, pięściarz słynny z zadawania okrutnych ran.

Bermondsey Bob uśmiechnął się szatańsko i uklonił z lekka. Był wielki, muskularny i miał dłonie wielkości świątecznego indyka.

- A to jego towarzysz Limehouse Lenny, Śmiejący się Lepidopterolog.

- Lepidopterolog? - powiedział George.

- Facio musi mieć jakieś hobby - warknął Limehouse Lenny z silnym cockneyowskim akcentem. - Jeśli nie chce dziabnąć ciała i wrzucać małych dzieci do studni.

- Właśnie - zgodził się George.

- Pokaż mu swoją brzytwę do podcinania gardła, Lenny - krzyknął profesor Coffin.

Limehouse Lenny pokazał swoją brzytwę. To była bardzo duża brzytwa.

- Pan Bob i pan Lenny teraz was stąd wyprowadzą. - Profesor Coffin wstał ze swojego krzesła i uklonił się nieznacznie. - Proszę, nie opierajcie się. To dopiero byłoby bluźnierstwo, gdybyśmy musieli rozlać krew na świętej ziemi. Żegnaj, George'u, żegnaj, Ado. Już więcej się nie spotkamy.

## 39

Ada i George zostali wyprowadzeni z wewnętrznej świątyni. Popychani, przeszli przez kamienny korytarz i wyszli przez małe drzwi na katedralne podwórkę, zaskakująco ciche, biorąc pod uwagę tysiące ludzi, którzy tłoczyli się przed głównym wejściem. Małeńka wyspa spokoju na środku ludzkiego oceanu.

Na samym środku podwórka stał czterokołowy wóz pogrzebowy z zasuniętymi na oknach zasłonami i wysokimi czarnymi piórami w każdym rogu. Do wozu były zaprzężone raczej marnie wyglądające cztery czarne kucyki.

- Włóżcie do środka - zażądał Bermondsey Bob, dając George'owi niejakię pojęcie, jak to by było zostać uderzonym z całej siły jego monstrualną pięścią. - Czeka nas mała przejażdżka.

- Przejażdżka w jedną stronę. - Limehouse Lenny zaśmiał się.

Ada obróciła się do zabójczej dwójki.

- Panowie. Ani przez moment nie wierzyłam, że ktoś taki jak wy, wspaniałe okazy rodu ludzkiego, mógłby skrzywdzić bezbronną kobietę.

- Byłabyś głęboko zaskoczona tym, do czego jesteśmy w stanie się zniżyć. - Bermondsey Bob uśmiechnął się złowieszczo.

- Zwłaszcza ja - dodał Limehouse Lenny. - Jestem totalnym świrem.

Ada mrugnęła na Lenny'ego.

- Jesteś bardzo przystojny - powiedziała.

Śmiejący się Lepidopterolog, dziobaty brutal ze złamanym nosem, z jedynie kilkoma zębami, które nie były poczerniałymi pniakami, i jednym okiem, o którym mógł powiedzieć, że jest jego własne, przyjrzał się z zainteresowaniem uroczo potarganej kobiecie.

George spojrział na Adę z oburzeniem, ale ona jedynie ścisnęła mu dłoń.

- Dla takiego piękniusia jak ty zrobiłabym niemal wszystko - powiedziała do Lenny'ego.

- A co ze mną? - spytał Bermondsey Bob.

- Och, ty także. - Ada zatrzepotała wspaniałymi rzęsami.

Bandziory z East Endu wydały z siebie zwierzęce pomruki.

- Być może wewnątrz powozu - powiedziała Ada.

- Pojedynczo? Czy razem?

Szczęka George'a leżała już na jego piersi.

- Czy mogę dostać moje perfumy, kochanie? - spytała Ada.

- Co? - wyrzeźił George.

- Moje perfumy, kochanie. Masz je w kieszonce kamizelki. Ta smukła szklana fiolka bezbarwnego płynu z zakrętką.

- Ach - powiedział George. - Tak - dodał. - Tu jest, proszę, weź.

I wyciągnął z kieszonki smukłą szklaną fiolkę zawierającą Aromat Niewiedzy.

- A ja to wezmę - wydarł się Bermondsey Bob, wyrywając fiolkę z dłoni George'a. - Profesor ostrzegł nas, że możesz to mieć, i że najkorzystniej będzie ci to zabrać, kiedy pojawi się taka sposobność.

George Fox był zdesperowany.

- Kiedy wygłaszałeś tę swoją małą przemowę, nie użyłeś akcentu - zauważyła Ada.

- Nie - zgodził się Bob. - Gadamy tak tylko dla efektu. Eastendersi nie mówią w taki sposób między sobą, tylko do obcych. Lecz ani ja, ani mój, żeby użyć terminu Oscara Wilde'a, „partner życiowy”, obecny tu Lenny, nie zamierzamy dać się zrobić w jakieś seksualne migdalenie się z tobą w powozie.

- Prędzej dałbym się utopić w łyżce wody - wtrącił Limehouse Lenny.

- Więc - kontynuował Bob - żadnych więcej nonsensów. Do powozu i do rzeki - gdzie zostaniecie obciążeni kamieniami i odesłani jako pokarm dla rybek.

- O kurczę, panoczku - powiedział Limehouse Lenny.

- W istocie, mój przyjacielu. - I Bermondsey Bob zaczął popychać Adę i George'a do środka powozu.

Weszli do środka. Limehouse Lenny wspiął się na kozioł i mocno ujął bat.

George nigdy nie zrozumiał, jakim cudem powozowi udało się uniknąć tłumów i niemal natychmiast dostać się na otwarte ulice. A ponieważ firanki w oknach były zasunięte, nigdy się nie dowie, czy jego najbliższe spekulacje, gdyby jakiegokolwiek wysuwał, okazałyby się prawdą.

George i Ada siedzieli w powozie na bocznym siedzeniu. Ada, tuląc się do swojego ukochanego, wyglądała zupełnie jak dama w potrzebie, a George z całych sił starał się zachować kamienny wyraz twarzy, jak na bohatera imperium przystało, jednak przez większość czasu żałośnie przegrywał.

Naprzeciwko nich siedział Bermondsey Bob, czyszcząc paznokcie.

- Nie przypuszczam - wyszeptał George do Ady - że masz jeszcze jakieś plany?

Pokręciła ze smutkiem głową.

- Żadnych. Oddajmy sobie jednak sprawiedliwość. Czuję, że, by użyć kolejnego powiedzenia pana Wilde'a, „wycisnęliśmy tę sytuację jak cytrynę do ostatniej kropli”.

- Nie bardzo mam ochotę zakończyć moje życie jako pokarm dla rybek - wyszeptał George. - I z pewnością nie będę patrzył spokojnie i pozwalał, żeby cię skrzywdzili. Coś wymyślę.

- Jak myślisz, niebieski czy purpurowy? - spytał Bermondsey Bob.

- Słucham? Co?

- Mówiłem do twojej żony - odparł Bermondsey Bob. - Purpurowy czy niebieski na mój frak i dodatki? Kiedy profesor uda się do pałacu, żeby otrzymać szlachectwo, Lenny i ja będziemy mu towarzyszyć jako osobista eskorta. Zastanawiałem się, jaki kolor będzie właściwy dla mojego przydziewku.

- Z pewnością czarny - powiedziała Ada przez zęby.

- Och, nie, kochanie, czarny jest już niemodny. Mówi się, że purpurowy będzie nowym czarnym, ale nie jestem pewien. Purpurowy uwidoczni żyłki na moim nosie.

- Jesteś pewien, że obaj zajmujecie się właściwą profesją? - zagadnął George. - Nie byłbyś szczęśliwszy, pracując, powiedzmy, w teatrze?

- Nie, dzięki, kochanie. Zbyt wiele pałęta się tam starych dam.

Powóz podskoczył na pokrywie wjazdu i rozmowa się urwała.

Potem powóz znów parę razy podskoczył i nagle ostro skręcił w prawo. Ada znalazła się na kolanach George'a, a Bermondsey Bob stracił pilnik do paznokci.

- Co tam się dzieje, do kurki wodnej? - zażądał odpowiedzi, wróciwszy do ciężkiego akcentu.

Z góry dobiegł głos jego partnera.

- Jakiś totalny szaleniak w swoim aucie parowym ciągle w nas uderza.

- Trzepnij batem konie, Lenny - zawołał Bermondsey Bob. - Przegonimy ten brzęczący parowy samochód.

Limehouse Lenny zaciął batem konie i George opadł na siedzenia.

Bermondsey Bob uniósł firankę z okna w rogu i wyjrzał na zewnątrz.

- Nie ma nic lepszego niż dobry wyścig między końskim zaprzęgiem a bezkonnym autem, żeby udowodnić wyższość koni - rzekł.

- Ten człowiek jest pełen sprzeczności - zauważyła Ada. - Przypuszczam, że miał bardzo nieszczęśliwe dzieciństwo. - I... Och! - krzyknęła Ada, podrzuciona w powietrze.



Jako że ciągle przyspieszali, coraz więcej było podskoków i uderzeń.

- Zepchnij to z drogi! - krzyknął Bob do Lenny'ego.

- Próbuję! - odwrzasnął Lenny, próbując.

Wyścig rozgorzał na dobre, jakby sam diabeł miał zabrać przegranych. Przez lekko uniesione zasłonki George ujrzał przebłyski samochodu na parę. To był raczej smukły pojazd z wypolerowanego metalu i szklaną kopułą na górze. Nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego, i podziwiał nowoczesny projekt auta oraz jego zdolność dotrzymania kroku galopującym koniom.

Lenny strzelał z bata, pokrzykiwał i wrzeszczał.

Bob sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął mały rewolwer.

George zamierzał zauważyć, że strzelanie do samochodu parowego nie byłoby zbyt sportowe, lecz zrezygnował i skupił się na przyciskaniu do siebie Ady, kiedy powóz podskakiwał na kocich łbach.

Jakimś cudem dotarli do mostu Tower, który wyglądał w dużej mierze na wyludniony. Jak widać, cały Londyn zebrał się wokół katedry św. Pawła, pragnąc ujrzeć cud wszech czasów.

Powóz wjechał na most, z parowym autem u boku. Auto skręciło i uderzyło w bok powozu, który uderzył w barierkę mostu. W powietrze wleciały chmury iskier, kiedy koła otarły się o metal. Lenny szarpnął lejcami koni i powóz zepchnął auto na bok.

Bermondsey Bob otworzył okno i wychylił się na zewnątrz z pistoletem w dłoni. Wyrzelił, ale kula ominęła parowy samochód, następna trafiła, odbijając się rykoszetem.

George i Ada wymienili jedno spojrzenie. Po czym każde z nich chwyciło nogę Boba i wyrzuciło go przez okno.

Rezultat tego działania byłby zadowalający, gdyby Bob po prostu spadł na drogę. Niestety, tak się nie stało.

Udało mu się chwycić jedną ręką drzwi powozu, a stopami zaczął kopać w parowy samochód, który nadal z łatwością pędził tuż obok.

Wyrzucenie Boba wyrwało ciąg przekleństw z gardła Lenny'ego, który teraz próbował wyciągnąć swój pistolet. Jednakże jego wysiłki były utrudnione przez totalny chaos wydarzeń. Powóz podskakiwał i chwiało się, kiedy samochód na parę uderzał go raz po raz, przyciskając go do mostu, co wywoływało kolejne chmury iskier. A Bob w jakiś sposób został chwycony między przód auta i...

Wydawało się, że była taka chwila, kiedy wszystko pograżyło się w ciszy. Akcja spowolniła z zamazanego szaleństwa do najwolniejszego z ruchów. Boczne koło powozu

wpadło w coś, co wyrwało je z osi. Powóz uniósł się i znów opadł, niszcząc koński dyszel i uwalniając konie, które ruszyły do przodu w pięknym, baletowo powolnym skoku.

Bermondsey Bob stracił chwyt na drzwiach powozu, i w istocie stracił życie, kiedy w bardzo elegancki sposób wsunął się pod koła auta. Wydostające się z parochodu pulsacyjnie kłęby pary wydawały się w tym transcendentalnie nieskończonym momencie wyrazem boskiego gniewu.

A potem prędkość powróciła razem z odgłosem uderzenia, kiedy powóz się przewrócił.

George i Ada wywinęli koziołka, potem odwróconego koziołka, i potem jeszcze jednego. Limehouse Lenny został wyrzucony z siedzenia jak z katapulty, przeleciał przez balustradę mostu, prosto do przelewającej się w dole Tamizy. Strasznie po drodze wrzeszczał, ale umilkł razem z pluskiem.

Powóz zatrzymał się z chrzęstem. Przed nim zatrzymał się parochód.

Szklana kopuła na szczycie auta uniosła się i odsunęła na bok. Ze środka wyszło dwóch mężczyzn. Stanowczych mężczyzn o grobowych minach, ubranych na czarno z okularami pinze-nez z przyciemnionymi szklami. Podeszli do leżącego na boku powozu, z nadal kręcącym się jednym przednim zwichrowanym kołem, wspięli się po boku powozu i zajrzeli do środka przez otwarte drzwi.

- Wszyscy są w porządku? - spytał Dżentelmen w Czerni.

Kłęb zmiętego nieszczęścia, jakim stali się Ada i George, poruszył się boleśnie. George wystękał:

- Niech nam ktoś pomoże. - I ktoś pomógł.

Zostali wyciągnięci z powozu z wielką ostrożnością i postawieni na drodze.

- Czy mogę spytać - powiedział George, do głębi wstrząśnięty tym, że Dżentelmen w Czerni otrząpywał go z kurzu - dlaczego właściwie to zrobiliście? - I uniósł pięści, gotowy do walki.

- Aby uratować wasze życia - powiedział drugi Dżentelmen w Czerni. - Czy mam rację, zakładając, że rozmawiam z panem George'em Foksem?

- Tak - odparł George. - Ale jak...

- I z panią Adą Fox?

Ada dygnęła, prawie się przewracając.

- Prawie nas zabiliście! - krzyknął George.

- Prawie, ale nie całkowicie - odparł Dżentelmen w Czerni. - I tak właśnie powinno być, nie sądzi pan?

George nie bardzo wiedział, co ma myśleć. I jego zakłopotanie w najmniejszym stopniu się nie ulotniło, kiedy kolejne zdanie Dzentelmena w Czerni jeszcze bardziej namieszało mu w głowie.

- Pan i pani Fox - rzekł on. - Premier życzy sobie z wami porozmawiać.

# 40

Pan Gladstone po raz kolejny zasiadł w sekretnym pokoju w Westminsterze.

I po raz kolejny po obu jego bokach usiedli anonimowi faceci o mrocznej, pogrzebowej aparycji.

Po ich prawej stronie rozgościł się wielki Charles Babbage. Wciąż miał czerwoną twarz, wciąż owijały go metry tweedu, ale już nie wyglądał tak radośnie. Naprzeciwko Charlesa siedział Nikola Tesla z jedną ręką na temblaku. Obok pana Tesli siedział mężczyzna o twarzy dziecka, wspinający się po szczeblach kariery typ o nazwisku Winston Churchill. A naprzeciwko niego zajmował miejsce pan Silas Faircloud, królewski astronom.

Dżentelmen w Czerni zapukał lekko w drzwi, poczekał na zaproszenie, a kiedy je otrzymał, wepchnął do środka George'a i Adę Foksów.

George Fox popatrzył wzdłuż stołu. I rzeczywiście siedział tam pan Gladstone.

- George Fox, jak przypuszczam - rzekł. I przedstawił resztę obecnych.

- Sir. - George Fox skinął głową.

- A to jest pańska urocza małżonka?

Ada Fox dygnęła ślicznie.

- Co my tu robimy, George? - wyszeptała do męża.

- Jeśli oboje będziecie tak uprzejmi i zajmiecie miejsca przy stole, wszystko wyjaśnię - powiedział premier, którego zmysł słuchu był wyjątkowo rozwinięty.

Przy końcu stołu były dwa wolne miejsca. George wysunął krzesło dla Ady, a potem sam usiadł.

- Cieszę się, że pan do nas dołączył, panie Fox - powiedział pan Gladstone. - Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji i będziemy wdzięczni za każdą pomoc, jakiej może nam pan udzielić.

- Pomoc? - zdziwił się George. - Ależ, oczywiście. Lecz w czym mogę wam pomóc?

- To jest bardzo skomplikowana sprawa - rzekł pan Gladstone. - Ale spróbuję ją wyjaśnić najlepiej, jak potrafię, i w najprostszych terminach, jak to możliwe. Najpierw muszę was poprosić, abyście przysięgli, że to, o czym będziemy rozmawiać, nie opuści tego pokoju.

- Oczywiście - zgodził się George. - Czy macie Biblię?

- Mamy coś więcej.

Pan Gladstone dotknął guzika dzwonka, który znajdował się przed nim na stole. Wkrótce potem na dębowej ścianie za nim rozsunał się panel i pojawił się Dzentelmen w Czerni, niosąc coś owiniętego w czerwoną aksamitną tkaninę. Przeszedł przez sekretny pokój, a potem położył to coś na stole przed George'em i zabrał tkaninę w taki sposób, jakby był magikiem.

- Voilà!

George zagapił się na to, co przed nim leżało. Lśniło jak klejnot rzadkiej urody. Jak skarb faraona, uchwycony w promień lampy poszukiwacza skarbów. Było nieco większe od przeciętnej kieszonkowej Biblii, lecz emanowało aurą absolutnie bezcennej jakości.

- Księga Sayito - powiedział. - Wyobrażałem sobie, że jest trochę większa.

Ada patrzyła na cudowną księgę. Okładka ze złota była wysadzana klejnotami.

- Jest identyczna z tą, którą czytałam w Lemurii - powiedziała. - To jest Księga Sayito.

- Księga Sayito - powtórzył pan Gladstone. - Według naszych informacji istnieje przynajmniej pięć innych egzemplarzy. Ale z tego, co wiem, może ich być tysiące, nawet miliony rozsypanych po wszystkich zamieszkałych światach w całym wszechświecie.

- O mój Boże. - Tylko to George był w stanie z siebie wydusić. Mimo to delikatnie położył dłoń na okładce świętej księgi i przysiągł zachować tajemnicę.

Ada zrobiła to samo.

Pan Gladstone kontynuował.

- Jak już pan wie, panie Fox, słońce nigdy nie zachodzi nad imperium brytyjskim. Dwie trzecie tego świata znajduje się pod naszą kontrolą, tak jak i planeta Mars.

George skinął głową z namysłem i zastanawiał się, co będzie dalej.

- Jak wie pan także - ciągnął pan Gladstone - po nieudanej inwazji Marsjan imperium brytyjskie przeniosło wojnę na Czerwoną Planetę i pokonało tam Marsjan. Przed jej wysokością królową Wiktorią stanęli ambasadorowie Wenus i Jowisza i rozpoczęła się era międzyplanetarnego handlu i pokojowej wymiany. Jednak nie wiedział pan, panie Fox, że rząd brytyjski, a przynajmniej kilku jego członków, na długo zanim najechali nas Marsjanie, był świadomy przebywania na naszej planecie ludzi z Wenus i Jowisza. Do śledzenia ich poczynań powołano tajny gabinet zwany Ministerstwem Przypadkowych Odkryć, który także zajmował się zjawiskami nadnaturalnymi, paranormalnymi i tym podobnymi. Celem ministerstwa było, że tak powiem, zwiększenie szans przetrwania i obrony imperium. Jeśli magia i temu podobne rzeczy naprawdę istnieją i działają, wtedy imperium powinno móc z nich korzystać. Z pewnością zgodzi się pan?

- Oczywiście - odparł George.

- Ministerstwo zatrudniło media duchowe, astrologów, wróżbitów, przepowiadaczy przyszłości. Niektórzy okazali się szarlatanami i zostali zwolnieni. Inni, na przykład pan Macmoyster Farl i jego ojciec, byli autentyczni i dzięki nim zdobyliśmy mnóstwo użytecznych informacji. Te media sądziły, że komunikują się ze zmarłymi. Jednakże tak naprawdę otrzymywali telepatyczne przekazy od eklezjastów z Wenus. Nie będę zanudzał pana szczegółami. Sedno sprawy leży w tym, że od tysięcy lat eklezjaści czegoś poszukiwali, czegoś, co twierdzili, zostało im ukradzione.

- Japońska Dziewczyna Płaszczka - rzekł George. - Posąg Sayito.

- Dokładnie, panie Fox. Księga leżąca przed panem jest jednym z rękopisów napisanych językiem uniwersalnym. To Biblia niezliczonych ras, zarówno w tym Układzie Słonecznym, jak i gdzie indziej. Poszukiwania Wenusjan doprowadziły ich w końcu na Ziemię. Telepatycznie przekazali plany pewnej maszyny. Czy zechciałby pan kontynuować, panie Babbage?

- Owszem - odparł pan Babbage. - Witam cię ponownie, kochana Ado.

- Kochana Ado? - zdziwił się George.

- Spotkałam pana Babbage'a podczas naszego lotu z wyspy, George. Rozmawialiśmy o matematyce. Myślę, że zamierza mnie zatrudnić do pracy nad jego nową Maszyną Różnicową.

- Będę zaszczycony - rzekł pan Babbage. - Ale wróćmy do naszej opowieści. Pan Phineas Barnum wyłożył pieniądze na zbudowanie tej maszyny, nazwano ją Maszyną Hieronymusa. Urządzenie to, jak mi powiedziano, mogło działać jako komunikator ze zmarłymi. Tak naprawdę było lokalizatorem. Wysłało strumień energii wokół całego świata, aby zlokalizować posąg Sayito. Nie pytajcie mnie, jak ta maszyna działała. Muszę się przyznać, że zrozumienie zasad jej działania przekracza moje możliwości zrozumienia. Jednakże wysłana przez nią energia dotarła do Marsa. I jak moglibyście oczekiwać, mieszkańcy Marsa także uważali Księgę Sayito za swoją własną świętą księgę. I wierzyli, że posąg został skradziony z ich planety. Więc zaatakowali Ziemię, żeby go odzyskać.

- Pewne rzeczy z tej historii już wiedziałem - wtrącił George. - Ale z pewnością nie wszystkie.

- Ten skarb - powiedział pan Gladstone - w tej chwili znajduje się w katedrze św. Pawła. Gdzie nadal będzie się znajdował, o czym mogę was zapewnić...

- Profesor Coffin zamierza objechać z nim cały świat - poinformował go George.

- Profesor Coffin - odparł pan Gladstone - obecnie jest uważany za bohatera imperium.

Lecz obaj wiemy, że tak naprawdę jest łądakiem. Panie Fox, pan Macmoyster Farl przepowiedział, że to pan odnajdzie Sayito, prawda?

- Tak, sir - przyznał George.

- Pan opowiedział o prorocztwie profesorowi, a on sfinansował ekspedycję poszukiwawczą?

- Myślał, że Ona jest żyjącą istotą. Chciał ją wystawiać. W tej chwili jest oczywiście zadowolony, że Ona nie jest żyjącą istotą, więc on nie musi ani jej żywić, ani jej płacić.

- Lecz jak rozumiem, pojawiły się pewne komplikacje.

- Mówi pan o Marsjanach zamieszkujących Lemurię? - spytał George.

- Owszem - powiedział pan Gladstone. - Profesor Coffin nie do końca przemyślał sprawę mieszkańców wyspy. Prześlizgnął się wokół problemu, jak śliski gad, jakim z pewnością jest.

- Ale czego oczekujecie ode mnie? - spytał George.

- Mogę powiedzieć wam wszystko, co wiem, o żyjących tam pod ziemią Marsjanach. I mogę wam powiedzieć jedno - jeśli będą w stanie opuścić wyspę, opuszczają ją, i będą chcieli zniszczyć nas wszystkich.

- Ponieważ uważają posąg za swoją własność?

- W rzeczy samej. - George kiwnął głową. - I wyczytali w Księdze Sayito, że są siłami Dobra, a my jesteśmy siłami Zła, i że oni zniszczą nas w potężnej apokalipsie.

- Tego właśnie się obawiałem. - Pan Gladstone wyjął z kieszeni olbrzymią, czerwoną, kwiecistą bawełnianą chustkę do nosa i otarł nią czoło. - Muszę przyznać, że jesteśmy w niezłych tarapatach. Dzisiaj posąg odwiedziła grupa Wenusjan...

- Widzieliśmy ich - wtrącił George.

- I także grupa Jowiszan.

- Ich też widzieliśmy - George znów się odezwał.

- Obie grupy udały się natychmiast do swoich ambasad na Grosvenor Square. I obaj ambasadorzy przysłali do mnie listy. - Pan Gladstone uniósł owe listy, po czym wypuścił je z palców. - W obu tych listach zawarte jest żądanie zwrotu posągu.

- Trudna sprawa - zgodził się George. - Przypuszczam, że powinien pan prawdopodobnie zwrócić posąg Wenusjanom. Jowiszanie wydają się rasą z natury o wiele mniej fanatycznie religijną.

Pan Gladstone kiwnął głową.

- Nie - powiedział.

- Nie? - zdumiał się George.

- Właśnie, nie. Czy naprawdę pan uważa, że badacze imperium brytyjskiego nie poszukiwali Sayito? Mnóstwo ludzi różnego kalibru jej szukało. Sir Richard Burton, profesor Challenger, doktor Livingstone, Allan Quatermain. Wszyscy jej szukali, i żadnemu się nie udało. Pan jednakże odniósł sukces. Jak pan to wyjaśni?

- Czystym szczęściem - powiedział George. - Lecz wszelkie szczęście dawno już opuściło tę posepną sytuację. Z wyjątkiem spotkania Ady, oczywiście.

- Musi być jakiś powód - upierał się premier - dlaczego to właśnie pan miał ją znaleźć. O ile wiem, przepowiednia pana Macmoystera Farla szła mniej więcej tak... - Pan Gladstone pogrzebał w leżących przed nim notatkach. - „Na twoich barkach spocznie przyszłość planet”.

- Tak - potwierdził George. - Bardzo dobrze pamiętam ten fragment.

- Pytanie brzmi - powiedział pan Gladstone. - W jaki sposób możemy wykorzystać twoje barki?

- Z pewnością zrobię wszystko, co mogę, żeby pomóc - odparł George. - Jeśli chcecie mojej rady, to oddajcie posąg albo Wenusjanom, albo Jowiszanom. Niech oni sami załatwią to między sobą. Gdziekolwiek poza tą planetą.

- W pańskich słowach zapewne tkwi mądrość i będę o nich pamiętał - rzekł pan Gladstone. - Lecz na razie, i w dającej się przewidzieć przyszłości, najświętszy obiekt w całym wszechświecie pozostanie tam, gdzie jest jego miejsce. W katedrze Świętego Pawła w Londynie, w samym sercu brytyjskiego imperium.

George Fox zagryzł górną wargę. Ada pochyliła się ku niemu i uściśnęła jego dłoń.

- Panie premierze - odezwała się. A pan Gladstone skinął głową. - Naprawdę myślę, że powinien pan posłuchać słów mojego męża. Być może decyzja mogłaby zapaść przez podniesienie rąk tu obecnych?

- Są jeszcze jakieś sprawy, o których musimy porozmawiać? - spytał pan Gladstone pana Babbage'a.

Ada Fox założyła ramiona na piersi.

- No, naprawdę! - powiedziała.

- Potrzebujemy wszystkich informacji, jakich pan Fox może nam udzielić w kwestii sił bojowych Marsjan zamieszkujących Lemurię - powiedział pan Babbage. - Wszystko będzie pomocne. Rozumiem, że obecny tu pan Faircloud postawił w stan gotowości obserwatoria astronomiczne na całym świecie, aby „obserwowali niebo”.

- Owszem - odparł pan Faircloud. - Jeśli cokolwiek pojawi się na orbicie planety, zostanie zauważone.

George wstał i zaprotestował.



- I co wtedy zrobimy? - spytał. - Broń Marsjan jest potężniejsza i nowocześniejsza od naszej. Kto wie, jakiego rodzaju promienie śmierci i zabójcze fale posiadają Wenusjanie?

- Cały czas trwają negocjacje - powiedział pan Gladstone.

- Negocjacje dotyczące czego? - spytał George.

- Młody człowieku. Ja jestem premierem Anglii. Ty nie będziesz żądał odpowiedzi ode mnie.

- To jest całkowite szaleństwo - powiedział George. - Wszyscy zostaniemy zabici.

- Sprawy muszą iść powoli przez odpowiednie kanały dyplomatyczne - oświadczył premier. - Ambasadorzy Wenus i Jowisza wysunęli pewne żądania. Muszą zostać rozpatrzone, przedyskutowane, poprawione i przejrane jeszcze raz. Muszą zostać sformowane odpowiednie komitety, żeby przedyskutować procedury. Obszar dyskusji i negocjacji musi zostać poszerzony. Takich spraw nie wolno pośpieszać. Żadna decyzja nie może zostać podjęta pośpiesznie. Taka jest właśnie natura rządów demokratycznych.

George Fox przewrócił oczami i usiadł.

- Musimy mieć dostęp do wszystkich ważnych informacji - mówił pan Gladstone. - Właśnie dlatego jest pan tutaj: aby nam pomóc, mówiąc nam wszystko. Lecz wielkie decyzje muszą zostać podjęte przez wielkich ludzi. Negocjacje dotyczące posągu mogą potrwać tygodnie, miesiące, lata, dekady nawet. Mnóstwo biurokracji. Trzeba się skonsultować z mnóstwem departamentów. Niech pan nam pozostawi decyzje, panie Fox, a wszystko skończy się jak najkorzystniej. Niech pan zapamięta moje słowa.

George Fox jeszcze raz wywrócił oczyma.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - zawołał premier. Do pokoju wszedł Dżentelmen w Czerni, niosąc na tacy listy.

Premier wziął listy, zwolnił Dżentelmena w Czerni, otworzył koperty, przeczytał listy w milczeniu, po czym odchylił się na krześle.

- Wydaje się - rzekł do wszystkich obecnych, - że nasza dyskusja musi pójść innym torem, jako że... - wyjął z kieszonki zegarek i przyjrzał się cyferblatowi - ...pięć minut temu zarówno Jowisz, jak i Wenus wypowiedziały nam wojnę.

# 41

Pan Winston Churchill podniósł się i uklonił.

Na jego dziecięcej twarzy błąkał się słodki uśmiech, kiedy oznajmiał, że oto skończył się czas pustych słów i że on osobiście zajmie się zagrożeniem ze strony obcych. Natychmiast. I zakończy to jeszcze przed pójściem spać.

George całym sobą przyklasnął tej ramie czasowej.

- Panie Gladstone - powiedział pan Churchill - czy mogę być tak śmiały, by zaproponować, żeby podniósł mnie pan do rangi najwyższego dowódcy wojsk lądowych, morskich i powietrznych, żebym mógł rozstrzygnąć sprawy gładko i zdecydowanie?

Pan Gladstone prawie się nie zawahał.

- Oczywiście, sir.

- Cała odpowiedzialność spadnie na mnie. - Pan Churchill wyjął cygarnicę. Wyciągnął z niej doskonale cygaro hawańskie i wsunął go w kącik ust. - Mam już opracowane plany na taką sytuację jak ta. Inwazja Marsjan złapała nas z gatkami wokół kostek, że tak powiem. Proszę o wybaczenie za tę metaforę, droga pani.

Ada uśmiechnęła się do pana Churchilla. Co za uroczy człowiek, pomyślała. Byłoby miło go troszkę przytulić.

- Tym razem - oznajmił pan Churchill - jesteśmy gotowi.

- Jesteśmy? - spytał pan Gladstone. - Pierwsze słyszę.

- Minęło dziesięć lat od inwazji Marsjan - kontynuował pan Churchill; zapalił cygaro i wydmuchał wielkie kłęby dymu w stronę Ady.

Co za okropny gbur, pomyślała. Zmieniając swoją wcześniejszą niewypowiedzianą na głos opinię.

- Podczas tych lat - mówił pan Churchill - zainicjowałem strategię obrony. Z pomocą obecnych tu panów Tesli i Babbage'a.

- Panowie? - rzekł premier.

Pan Tesla powiedział:

- Broń Marsjan była lepsza od naszej, ponieważ zastosowali zasady jonizacji, wykorzystując krzyżową polaryzację beta cząsteczek poprzez transperegryzację

pseudokosmicznej antymaterii.

Pan Babbage przytaknął.

- I bardzo duże zooniczne armaty - powiedział. - To wszystko jest bardzo zaawansowane technicznie.

Pan Gladstone znów otarł czoło.

- Ostateczny wynik wygląda tak - pan Churchill wypuścił kłęby dymu na wszystkich - że mamy do dyspozycji najbardziej niszczącą broń ciepłą, której możemy użyć przeciwko jakiegokolwiek armii inwazyjnej.

- I brytyjscy podatnicy za to zapłacili? - spytał pan Gladstone.

- Sir - odparł pan Churchill - brytyjscy podatnicy płacą za wszystko.

Pan Gladstone kiwnął głową i zapytał pana Churchilla, czy mógłby poczęstować go cygarem. Tak samo zrobili pan Babbage oraz pan Tesla.

Ada, która robiła się coraz zieleńsza na twarzy, spytała, czy może ktoś otworzyłby okno. Ale pan Babbage zwrócił jej uwagę, że w tajnym pokoju nie ma okien. Co znaczyło, że przynajmniej on zauważył jej pytanie.

- Proszę, niech pan kontynuuje, panie Churchill - powiedział pan Gladstone.

- Stalowy pierścień wokół centrum Londynu. Wokół całego miasta umieszczono w tajnych lokacjach stanowiska ogniowe. Mogą zostać obsadzone załogą w bardzo krótkim czasie.

- Niech pan to zrobi. - Pan Gladstone kiwnął głową. - Doskonałe cygaro - dodał.

- Dziękuję, sir. Mamy również nowe przenośne bronie lądowe. Na przykład parowy czołg Moloch, Typ Piąty o straszliwej sile rażenia. Flotę uzbrojonych statków powietrznych stacjonujących na aerodromie w Croydon. Nasi pozaziemscy napastnicy dostaną więcej, niż prosili. Jaki kurczak, taki kark, jak sędzę.

- W kwestii kurczaka? - spytał pan Gladstone. - Nie bardzo rozumiem.

- To takie powiedzonko - wyjaśnił pan Churchill.

- W dzisiejszych czasach wszyscy mają jakieś. Pan Wilde „Nie mam nic do oclenia z wyjątkiem mego geniuszu”. Little Tich mówi: „Tak, pani Merton, to tylko wieprzowa kiełbaska”. Ja sam pracuję na takim: „Nigdy w dziejach ludzkich wojen tak liczni nie zawdzięczali tak wiele tak nielicznym. Jaki kurczak, taki kark”.

- Bardziej podoba mi się ten o kiełbasce - oznajmił pan Gladstone. - Lecz proszę uprzejmie, niech pan wymyśla tyle powiedzonek, ile pan chce, jeśli robi pan, co należy.

- Cóż, dziękuję, panie premierze. - Pan Churchill skłonił się jeszcze raz, lecz teraz właściwie nie był widoczny spoza kolumny dymu z cygara. - Czy mogę poprosić - zawołał

przez kłęby - żeby każdy z poziomem dostępu poniżej A-Zero opuścił pomieszczenie, jako że musimy przedyskutować niezwykle tajne sprawy.

- Przypuszczam, że chodzi o nas - powiedziała Ada, kaszląc okropnie.
- Poczekamy na zewnątrz - zgodził się George, również wypluwając płuća.

Błękitny dym podążył za nimi w korytarz. Dżentelmen w Czerni zamknął drzwi i stanął przed nimi, trzymając w dłoni wielki pistolet.

Ada przestała kaszleć i powachlowała sobie twarz.

- Co powinniśmy teraz zrobić? - spytała George'a.
- Wyjść stąd. Nie wiem, na ile można zaufać przechwałkom pana Churchilla, ale wiem jedno.
- To znaczy? - George ujął jej ramię i poprowadził ją korytarzem do wyjścia.
- Ten budynek musi być bardzo wysoko na liście celi, zarówno dla sił wojskowych z Wenus, jak i Jowisza. Czas więc go opuścić - powiedziała Ada Fox. - Pośpieszmy się, kochany George'u, proszę.

Z zimnego i odosobnionego świata Westminsteru George i Ada weszli do Londynu skąpanego w ciepłych promieniach słonecznych. Londynu cieszącego się potęgą imperium. Dumnego z jego osiągnięć. Pewnego, że zawsze będzie zwycięzcą.

Oto był Londyn w gorączce świętowania. Doprowadzony niemal do szaleństwa przez przybycie najświętszego obiektu w całym wszechświecie. Ten Londyn nie bał się niczego. Ten Londyn był Anglią. A Anglia była wieczna.

George objął ramiona żony.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - W jakiś sposób wszystko skończy się dobrze.
- Podbiegł do nich obszarpany gazeciarz z gazetami.
- Specjalne wydanie, panoczku! - krzyknął.
  - Wszystko o posągu, prawda? - zwrócił się do niego George.
  - Nieee. Nowiny o wojnie.

George kupił gazetę i przeczytał

## **WOJNA**

wielkimi, rzucającymi się w oczy literami. A potem poważny artykuł informował mieszkańców Londynu, że, niestety, istnieje teraz stan wojny między Wielką Brytanią a

siłami Wenus i Jowisza, które uformowały „bezbożne przymierze” i „Imperium Zła”. Londyn jednakże jest bardzo dobrze broniony. Lecz aby zagwarantować bezpieczeństwo jego obywateli, rząd byłby zobowiązany, gdyby obywatele udali się do miejsc zapewniających większe bezpieczeństwo - mianowicie na perony nowo wybudowanego Londyńskiego Podziemnego Systemu Transportowego - gdy tylko usłyszą syreny przeciwlotnicze.

- Syreny przeciwlotnicze? - zdziwiła się Ada. - Co to są syreny przeciwlotnicze? Jakiś rodzaj śpiewającej damy w stroju pilota i w szpilkach?

- Hm - mruknął George z namysłem. - Jestem pewien, że się dowiemy. Ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Myślę, że pan Churchill jest raczej człowiekiem czynu niż słów - powiedziała Ada. - Nie sądzę, że tym razem dyplomacja mogłaby tu coś poradzić.

Stanął w miejscu i spojrzeli do góry na Big Bena. Zegar właśnie wybijał czwartą.

- Myślę, że czas na herbatę - uznała Ada Fox.

- Herbata? - zdumiał się George. - W takiej chwili?

- A jaka chwila mogłaby być lepsza?

Szli ramię w ramię ulicami Londynu, oboje świadomi, jak bardzo cenne jest otaczające ich miasto. Każda wystawa sklepowa, kawiarnia, restauracja czy pub nagle wydawały się skarbem, który trzeba hołubić. I każde w jakiś sposób delikatne, ich istnienie równie wątłe jak istnienie mydlanej bańki.

- Myśl, że to wszystko może być zniszczone, przyprawia mnie o mdłości - odezwał się George.

- Na pewno herbata ci na to pomoże.

I kiedy szli dalej, zobaczyli, że ludzie wczytują się w najnowsze wydania gazet, wskazują na nie, unoszą pięści w niebo. A kiedy przechodzili obok wzburzonych londyńczyków, docierały też do nich fragmenty rozmów.

- Nigdy nie ufałem tym Wenusjanom.

- Dziwaczne towarzystwo. W ogóle nie powinno ich się tu wpuszczać.

- Przylecieli, zabierali nam nasze kobiety i naszą pracę.

- Wysłać ich z powrotem na ich planety.

- Zlikwidować to towarzystwo. Rozszerzyć imperium brytyjskie.

George trzymał Adę mocno za ramię. Zatrzymali się przed Lyons Corner House.

- Chodź - powiedziała Ada. - Usiądziemy i porozmawiamy. Może coś wymyślimy.

Wnętrze herbaciarni podziałało na Adę i George'a jeszcze gorzej. Uprzejmi ludzie

spokojnie rozmawiający przy herbacie. Kelnerzy, dobrze ubrani i z dumą wykonujący swoją pracę. Kwartet smyczkowy grający popularne melodie. Palmy w donicach i wykrochmalone białe obrusy na stołach. Zwyczajność, która nagle stała się tak bardzo cenna za sprawą strachu, że wkrótce może im zostać odebrana.

Zaprowadzono ich do stolika, gdzie usiedli i przyjęli popołudniowe menu.

Zamówili herbatę.

- Myślę właśnie - powiedział George - nad twoimi planami, o których wspomniałaś w przelocie, kiedy byliśmy w katedrze, pamiętasz, o przejęciu statku i porwaniu posągu. Ten plan coraz bardziej mi się podoba. Co o tym myślisz?

- Myślę... - Ada zamilkła. - Co to tak dudni?

Na stołach widelce i noże zadrżały. Oprawiony portret królowej Wiktorii spadł ze ściany. Kwartet smyczkowy ucichł. Dudnienie narastało, aż zęby zaczynały boleć.

George Fox skoczył na równe nogi.

- Trzęsienie ziemi! - wrzasnął.

Co być może nie było najlepszym pomysłem.

Elegancyjni klienci kawiarni jednocześnie zerwali się od stolików i w pośpiechu ruszyli ku drzwiom, gdzie wszystkie ciała naraz zaczęły się gnieść i ścisnąć.

- Tylne drzwi, jak myślisz? - spytała Ada, kiedy dudnienie robiło się coraz silniejsze.

- Nie. Tylko popatrz na to.

Nagle stało się oczywiste, co było źródłem dudnienia. Za wysokim frontowym oknem Corner House pojawił się gigantyczny wehikuł, pękaty, zbudowany ze stali z wieloma nitami. Ponad wielką uniesioną wieżyczką, z której wysuwały się dziwnie wyglądające lufy broni, powiewała flaga imperium. Wysokie kominy wypływały z siebie dym i parę. Żelazne koła kruszyły kostkę brukową. A na tym potężnym pojeździe wojskowym jechali żołnierze królowej, w czerwonych kurtkach ze świeżo wypolerowanymi, błyszczącymi guzikami. Ludzie, którzy utknęli w drzwiach herbaciarni, zaczęli wiwatować. Kto tylko mógł sięgnąć do kapelusza, podrzucał go w górę.

- To, jak przypuszczam, jest parowy czołg Moloch, Typ Piąty - powiedział George.

- A za nim jest tego więcej - zauważyła Ada.

I było tego więcej. O wiele więcej. Wielkie wojskowe pojazdy toczyły się na żelaznych kołach.

George i Ada wrócili do stolika. Kelner przyniósł im herbatę.

- Bardzo proszę o wybaczenie, łaskawa pani - rzekł, kiedy nalewał herbatę trzęsącą się dłonią. - Będę musiał obsłużyć panią szybko, zanim odejdę i się zaciągnę. Czy pan do mnie

dołączy, sir? - spytał George'a. - Razem możemy zaciągnąć się do Elektrycznych Muszkieterów Królowej i walczyć za królową, kraj i imperium.

- Zastanowię się nad tym. Lecz, jak pan zapewne rozpoznał po naszych strojach, dzisiaj się pobraliśmy i mamy pewne plany na później.

- Tak, oczywiście, sir. - Kelner nalał herbaty do filiżanki George'a, po czym uklonił się i odszedł.

- Sprawy rozwijają się z zastraszającą szybkością - zauważył George.- Być może rzeczywiście wszystko się skończy przed nocą - mruknęła Ada.

George powiedział, że chciałby w to wierzyć, a potem przyciągnął Adę bliżej.

- Muszę ci się z czegoś zwierzyć.

- Mam nadzieję, że nie podzielasz gustów Oscara Wilde'a?

- Nie! - krzyknął George. - Z pewnością nie. Ale wziąłem coś. Coś, czego nie powinienem wziąć. Czuję jednak, że powinienem.

- Więc już wiem, gdzie podziały się moje zapasowe pantalony.

- Nie. Bądź poważna, proszę. To jest bardzo ważne.

- I wyciągnął z kieszeni to coś. - Ukradłem to.

Ada dotknęła tego czegoś.

- Księga Sayito.

- Musiałem ją wziąć - wyjaśnił George. - Proroctwo mówi, że ją przeczytam. Być może w tej księdze jest coś, co nas uratuje.

Uśmiechnęła się do niego:

- Ufam ci.

Lecz wtedy rozległ się straszliwy dźwięk. Dźwięk, jakiego Londyn jeszcze nie słyszał. Potworne wycie, długie, przerażające, ostre i natarczywe. Szarpało nerwami wszystkich ludzi i zaciskało ich zęby.

Klienci herbaciarni, którzy wrócili do stolików, znów się podnosili, spanikowani.

- Co to za wstrętne wycie? - spytała Ada George'a.

- Obawiam się, że to syrena przeciwlotnicza - odparł George.

- Och, nie! - krzyknęła Ada. - To niemożliwe. Jest o wiele za wcześnie.

W istocie, wydarzenia zaczęły zachodzić z najbardziej niepokojącą prędkością. Wypowiedzenie wojny. Wydania specjalne gazet. Przybycie Molochów Typu Piątego. Wyjące jak banshee syreny przeciwlotnicze. Naprawdę, zbyt szybko.

- Co zrobimy? - spytała Ada George'a. - Uciekniemy na stację metra?

- Nie - odparł. - Raczej nie. Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Nigdy nie było żadnych wątpliwości co do tego, że Ada będzie towarzyszyć George'owi. Użył jedynie takiej uprzejmej frazy. Wziął Adę za rękę i kiedy klienci herbaciarni Lyonsa przecisnęli się przez drzwi na ulicę i z krzykiem biegli ku najbliższemu wejściu do londyńskiego metra, on i Ada ruszyli naprzód, przyspieszając kroku; co rusz spoglądali z lękiem w niebo.

Później w gazetach napiszą, że prawdziwa armada magoniańskich chmuromkrętów przez kilka tygodni tkwiła na orbicie wokół Ziemi. Że myśli o zaplanowanej inwazji od dawna skrywały się wewnątrz białowłosych głów goszczących na naszej planecie Wenusjan. Że eklezjaści, którzy byli na pokładzie nieszczęsnej „Imperatorowej Marsa”, przez cały czas szukali Sayito. Te sprawy mogły być ujawnione. Lecz pan Churchill oraz pozostali zasiadający w centrum dowodzenia powinni o nich wiedzieć dużo wcześniej.

W centrum dowodzenia w bunkrze głęboko pod ulicami Londynu pan Churchill siedział rozparty w wiklinowym fotelu. Palił cygaro. Przy jego łokciu stała szklaneczka porto. Na kolanie siedziała małpa.

- Darwin, złaź, jeśli łaska - powiedział. - I proszę, nie wpinaj chorągiewek na mapę wojenną, dopóki ci nie powiem.

Były małpi kamerdyner zmarłego lorda Brentforda, bliski kumpel pana Churchilla, został wezwany przez rząd, aby odnalazł George'a. Używając specjalnego siódmego zmysłu, z którego małpy są znane, Darwin zamiast George'a odnalazł starego przyjaciela swojego nieodżałowanego zmarłego właściciela, pana Winstona Churchilla. A skoro nic innego nie



zaplanował na popołudnie, postanowił potowarzyszyć panu Churchillowi do centrum dowodzenia.

Darwin wyciągnął papierośnicę z monogramem z kieszonki kamizelki swojego garnituru drużby i wyjął Spanish Shawl, perfumowanego papierosa.

Rozległ się dziwny świszczący dźwięk. Pan Churchill sięgnął po tubę komunikacyjną. Podziemny sztab główny powinien być zaopatrzony w nowy system telekomunikacyjny pana Tesli, lecz pan Churchill wydał wszystkie fundusze na sprzęt wojenny. Więc tuby komunikacyjne musiały wystarczyć, a było ich dużo, jako że każda miała połączenie z innym tajnym ważnym miejscem. Nadawca na drugim końcu tej akurat tuby, z której wydostawał się ów świszczący dźwięk, znajdował się w punkcie obserwacyjnym na szczycie Kryształowego Pałacu na wzgórzu Sydenham. Musiał być obdarzony wyjątkowo silnymi płucami i potężnym głosem.

- Panie Churchill - dobiegł uszu Churchilla jego głos.

- Nie tak głośno - powiedział pan Churchill. - Nie ma potrzeby krzyczeć.

- To punkt na wzgórzu Sydenham, sir - odezwał się głos ponownie, tym razem nieco ciszej. - Z południa nadlatują magoniańskie chmuromkręty, sir. Naliczyłem prawie dwadzieścia, ale może ich być więcej.

- Ach - powiedział pan Churchill. - Zamierzają zniszczyć kosmodrom. Darwin, jeśliś łaskaw, wepnij dużą żółtą chorągiewkę na mapie wojennej w miejscu Królewskiego Londyńskiego Portu Kosmicznego.

Darwin postawił coś na żądanym miejscu.

- Ach - powiedział pan Churchill jeszcze raz. - Cóż, myślę, że na razie to wystarczy. - I znów odezwał się do tuby komunikacyjnej. - Otwórzcie ogień z dział Kryształowego Pałacu, gdy tylko chmuromkręty znajdą się w zasięgu rażenia.

- Tak jest, sir - odpowiedział głos. I to by było na tyle.

Starzy generałowie w swoich przesadnie paradnych mundurach pokręcili brandy w wielkich bulwiastych kieliszkach i popatrzyli na pana Churchilla, oczekując rozkazów. Jako że żadne nie padły, znów pograżyli się w rozmowach.

Darwin possał swojego papierosa. Nad Sydenham niebo robiło się coraz mroczniejsze.

Wydawały się niemal przezroczyste. Subtelne, delikatne kształty. Żagle kruche jak płetwy tropikalnych ryb. Wątle nadbudówki. Ale chmuromkręty Magonian płynęły przez nieruchome błękitne niebo późnego popołudnia w ścisłej formacji, po prostych trajektoriach, prowadzone pewną dłonią sterników. Czy naprawdę te statki zwane Anielskim Wiatrem

poruszały się jedynie za sprawą woli, mocy wiary? A może dzięki jakiemuś subtelnemu eterycznemu fluidowi? Jakiejś wszystko przenikającej uniwersalnej sile, która jeszcze znajduje się poza ludzkim zrozumieniem, nawet takich luminarzy nauki jak pan Tesla i pan Charles Babbage? Jak?

Na niewypowiedziany rozkaz dwa chmuromoty wyłamały się z szyku, spłynęły w dół, nabrały solidności i lecąc nisko, skierowały się do Królewskiego Portu Kosmicznego.

Ich załogi nie mogły być świadome warkotu mechanizmów. Napędzanych parą tłoków, które rozsuwały żelazne drzwi. Dwie fontanny przed Kryształowym Pałacem zaprzestały swoich wodnych pokazów. Wypuszczające z siebie strumienie wody posągi zadrżały i odsunęły się na bok. Z głębi wysunęły się uzbrojone platformy. Na widoku pojawiły się mosiężne lufy armat na promienie ciepłe.

Strzelcy założyli gogle celownicze. Dopasowali ustawienia ostrości i odległości. Dostali rozkaz: „Ognia!”.

Z mosiężnych luf wytrysnęły promienie krwistoczerwonej energii, przeleciały w dół zbocza wzgórza, ponad kosmodromem, i prosto na nisko lecące chmuromoty. Płomienie ogarnęły wspaniałe pojazdy. Ich żagle skurczyły się, spieczone. Potworne zniszczenie. Buchając kłębami dymu, zniszczone i rozdarte, chmuromoty spadły z nieba na kostkę brukową lądowisk i zginęły w morzu ognia.

Pierwsza krew poszła na konto imperium królowej.

Damy i dżentelmeni, zażywający popołudniowego spaceru na trawnikach przed Kryształowym Pałacem, wiwatowali entuzjastycznie. Wieści o rozpoczęciu się Drugiej Wojny Światów jeszcze nie dotarły do przedmieść.

„Wspaniała rzecz”, wołali dżentelmeni w tweedach. Zakładając, że jest to niezaplanowana popołudniowa rozrywka. „Co za genialny pokaz” i „Bardzo przekonujący”, a także „Mówię wam, będzie tego więcej”.

Ogromny, widmowy pojazd, być może statek flagowy floty, pochylił dziób i wypuścił deszcz kryształowych kul. Spadły w dół jak napuchnięte kulki gradu. Prosto w wielki szklany hol. Przez całą długość Kryształowego Pałacu przebiegła seria eksplozji, plując ognistym sztormem zniszczenia prosto w błękit nieba. Filary się stopiły, zapadły, rozpuściły się i cud imperium zmienił się w kurz. W ciągu kilku sekund nic nie pozostało.

Kryształowy Pałac przestał istnieć.

Statki wojenne Jowiszan znajdowały się nieco dalej od Ziemi. Miały swoją bazę po ciemnej stronie Księżyca, w miastach-garnizonach, które istniały tam od setek lat. Jowiszanie

byli znani ze swojej radosnej jowialności, co do pewnego stopnia było wynikiem ich zdolności planowania z wyprzedzeniem. Jowiszańskie garnizony znajdowały się po ciemnych stronach księżyców krążących na orbitach wszystkich zamieszkałych planet w Układzie Słonecznym. Włącznie z Marsem.

Informacja o wypowiedzeniu wojny dotarła do garnizonów stacjonujących na marsjańskim księżycu Fobosie dzięki jowiszańskim gołębom pocztowym. Kosmiczny gołąb, gatunek nieznan na Ziemi, zamieszkiwał głębie próżni kosmicznej i został udomowiony przez mieszkańców Jowisza jako idealny sposób na szybkie przesyłanie informacji. Kosmiczne gołębie, posiadające pęcherze lotne wypełnione słonecznym wiatrem, podróżowały z prędkością bliską prędkości światła.

Korpulentni admirałowie jowiszańskich batalionów na Fobosie zaznajomili się z wiadomością, którą właśnie przyniósł szybki kosmiczny ptak, wsiedli do swoich przysadzistych statków wojennych i opadli na bezbronną planetę, aby z łatwością oczyścić ją z Ziemi.

Syreny przeciwlotnicze przerwały swoje piekielne wycie. Londyn był teraz miastem pustych ulic. Widmowym miastem pozbawionym życia. Od czasu do czasu rozlegał się odgłos roztrzaskiwanej szkła, kiedy jakiś szabrownik korzystał ze swojej życiowej okazji.

Wkrótce potem rozległy się strzały, kiedy uzbrojone patrole policji znajdowały swoją zdobycz. Mroczne zjawy poruszały się płynnie w strasznym bezruchu. Konie porzuconych dorożek żuły pracowicie owies w workach na obrok. Ponad głowami krążyły gołębie. W podmuchach łagodnego wiatru wlatywała w powietrze ulotka reklamująca Japońską Dziewczynę Płaszczkę.

George i Ada skryli się w cieniu markizy sklepu mięsnego i patrzyli ponuro na opustoszałe ulice.

- Musimy być bardzo ostrożni - powiedział George.
- Nie chciałbym, żebyśmy zostali przez pomyłkę zastrzeleni jako szabrownicy.
- Więc dokąd idziemy? Jeszcze mi nie powiedziałaś.
- Do katedry Świętego Pawła. Do posągu.
- A potem co?
- Zamierzam go oddać. Być może tak naprawdę nie należy do Wenusjan. Nie sądzę, żeby ona należała do kogokolwiek. Należy do samej siebie. Lecz jeśli pozostanie w Londynie, obawiam się, że sprawy przybiorą gorszy obrót niż podczas inwazji Marsjan.
- Pamiętasz to? Gdzie byłeś, kiedy się to zdarzyło?

- W Londynie, na East Endzie. Nigdy nie widziałem żadnego trójnoga Marsjan. Tylko uciekinierów. Tłumy wlewające się do stolicy w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Pamiętam smutek.

- To nie może się powtórzyć.

- Nie - zgodził się George. - A my jesteśmy w samym środku tego wszystkiego. Ten posąg mógłby pozostać nieodkryty przez „cywilizowany świat” jeszcze przez tysiące lat.

- Takie było przeznaczenie - powiedziała Ada.

- Wszystko jest przeznaczeniem. Nie czuj się winny, George. Jeśli jest coś, co będziesz w stanie zrobić, żeby uratować świat, zrobisz to.

- Przed snem? - spytał George. Z nadzieją.

- Chyba prosimy o zbyt wiele.

- Patrz. - George wskazał palcem. - Dwaj policjanci ze strzelbami. Wślizgnijmy się szybko do bocznej uliczki i pośpieszmy do Świętego Pawła.

- A potem?

- Zakończymy jakoś tę wojnę. Na moich barkach, jak mi powiedziano, spoczywa przyszłość planet. Muszę zrobić co w mojej mocy, by skończyć tę wojnę.

Ada przytaknęła.

- Tak, w istocie.

- Co w niej jest dobrego?

- Absolutnie nic - odparła Ada Fox.

Wieczór nadpływał, jak się wydawało, na skrzydłach letnich wiatrów. Wraz z zachodzącym słońcem ciemniała i wielka kopuła Świętego Pawła. George i Ada szli bocznymi uliczkami, których ponure zubożenie kierowało piórem Gustava Dore. To był Londyn nigdy nieoglądany przez turystów. Mroczne zakazane miejsce pełne zbrodni, biedy i beznadziei.

Gdyby George był bardziej cyniczny, mógłby stwierdzić, że dobrze by się stało, gdyby takie miejsca jak to pochłoniął ognisty oddech kosmicznych statków. Że mogłyby być zniszczone i zapomniane. Wtedy można by wybudować nowe, bardziej humanitarne domy dla biednych.

Lecz takie myśli nigdy nie zawitały do głowy George'a. Dla niego wszystko teraz było cenne. Londyn, biedny i bogaty, życie, a ponad wszystko - Ada.

- Popatrz - wyszeptała Ada. - Ponad Świętym Pawłem; skradziony statek Lemurian wciąż tam wisi.

- Więc być może uda się nam.

Dobiegł ich odgłos odległej kanonady. Ogień z dział, a potem eksplozje, które zbliżały się powoli.

- Cokolwiek możemy zrobić - powiedział George - najlepiej będzie, jeśli zrobimy to teraz.

Magoniańskie chmurokręty zawisły na niebie ponad Penge. Zachód słońca zabarwił przezroczyste żagle. Migotał w złotych oczach podniebnych żeglarzy. Szczupłe palce, kruche jak gałązki, przesuwały się po dziwnych urządzeniach kontrolnych. Błyszczące kule opuszczały się na leżącą niżej wioskę.

Kropla ognia, niesamowita moc i Penge w jednej chwili zniknęło z angielskiej ziemi.

Czerwona ziemia Marsa była czarna i pokryta bliznami. Ziemszy osadnicy martwi lub umierający. Kosmiczny gołąb przyniósł rozkazy i jowiszańskie statki wojenne uniosły się z księżyców i skierowały swoje dzioby w stronę błękitnej planety.

A na samym środku najbardziej błękitnego z oceanów wybuchł potężny wulkan. Ten przerażający wstrząs był skutkiem nie wypływu lawy, lecz broni o potwornej sile. Dzieła macek obcych. I z jego głębi uniosły się w niebo powietrzne statki wojenne. Napędzane pragnieniem zniszczenia wleciały w błękit i ustaliły kurs na Londyn.

# 43

W bunkrze dowodzenia tuby komunikacyjne świszczwały jak nawiedzone i pan Churchill przytykał jedną do każdego ucha. Przekazał informację generałowi Darwinowi, małpie, którą zatrudnił do pomocy w czasie kampanii, aby wpinała i przesuwała kolorowe chorągiewki na wielkiej mapie wojennej na wielkim stole.

Starzy generałowie w swoich przesadnie paradnych mundurach mruzcili i narzekali jeden do drugiego. Wszyscy byli „starymi niegodziwcami”, weteranami wielu kampanii „chorągiewkowych”. Więc to jest ten tak zachwalany „postęp”, o którym tyle słyszeli, tak? Wywłaszczeni przez cholerną małpę z ich ważnego zadania, jakim było wpinanie chorągiewek na wielkiej mapie wojennej!

Owa cholerna małpa, obecnie będąca nie tylko małpą o wysokim statusie społecznym, ale i wysokim stopniu wojskowym, natychmiast obraziła się za to wymierzone przeciwko niej narzekanie i mamrotanie. Ale jako że nie miała daru werbalizacji, wyraziła swoje niezadowolenie za pomocą odchodów.

Być może odpowiedź ta ostatnio była nieco nadużywana, mimo to zawsze sięgała celu.

- Generale Darwin - zawołał pan Winston Churchill. - Kiedy już pan z tym skończy, czy mógłby pan umyć ręce i wpiąć bardzo dużą niebieską chorągiewkę na południe od aerodromu w Croyden?

Generał Darwin zasalutował i poszedł do łazienki.

Na południe od aerodromu w Croyden, na niebie unosił się pękaty pojazd w kolorze miedzi. Opadał ku Croyden z bardzo niepokojącą prędkością, czerwony i rozżarzony, kiedy przelatywał przez warstwy atmosfery. Jak płonący meteor spadający na Ziemię. Potem włączył pneumatyczne hamulce, gwałtownie skręcił i zatrzymał się.

Długość pojazdu tylko przypadkowo nie różniła się od długości niedawno jeszcze istniejącego Kryształowego Pałacu. Dało się też zauważyć pewne podobieństwo w wyglądzie, jako że pojazd nie tylko był lśniący, ale i bulwiasty. Z jego systemu napędowego wypływały fale energii, rozpalały powietrze wokół statku, tworząc efekt migotliwego mirażu.

Rozkazy pana Churchilla, które dotarły przez system tub komunikacyjnych do

strzelców w wieżyczkach armatnich rozsianych po całym aerodromie, w żaden sposób nie różniły się od rozkazów, jakie przekazał wszystkim innym strzelcom we wszystkich innych miejscach.

- Kiedy wróg podejdzie w zasięg rażenia, strzelać bez rozkazu.

Bateria dział w Croyden otworzyła ogień prosto w niebo. Ostrza palących promieni uderzyły w statek wojenny Jowiszan.

Kadłub pękatego statku był jednak zrobiony z wyjątkowo mocnej stali, żeby wytrzymał żar wejścia w atmosferę, więc promienie niewiele mogły mu zaszkodzić.

W tym momencie przez aerodrom przetoczył się dźwięk klaksonu. Wzmocniony głos adiutanta zawołał:

- Start alarmowy, chłopcy, odrzucić klocki hamulcowe.

Kapitan Bigglesworth, który nie poszedł na dno wraz ze swoim statkiem, „Imperatorową Marsa”, został dowódcą szwadronu uzbrojonych statków powietrznych stacjonujących w Croyden. W tej chwili maszerował po bruku pasa startowego z fajką wciśniętą między równe, białe zęby. Równie biały jedwabny szalik furgotał wokół jego szyi. Jeśli jego obfite wąsy w kształcie kierownicy roweru, czarna skórzana pilotka i zrobione na zamówienie mosiężne lotnicze gogle, podarunek od Dogfisha, Marmaduke'a i Gilstrapa, wytwórców gogli dla wyższych sfer, nie dodawały mu w wystarczającej ilości tego czegoś, co sprawia, że mężczyzna wydaje się elegancko ubrany, to z pewnością brak ten wypełniała nowa skórzana kurtka lotnicza z wysokim kołnierzem z owczego runa.

- Pip, pip, chłopcy - zawołał kapitan Bigglesworth, przyswajając nowy i niezwykle żargon Służb Lotniczych. - Bandy ci na piątej, a już jest wpół do ósmej, jaka żyrafa, taki kark, przecie wiecie.

Strzelcy w wieżyczkach uderzyli ogniem w obcy statek. Jowiszanie w odwecie wypuścili smukłe pociski, które ruszyły na poszukiwanie celu. Kapitan Bigglesworth i jego kompania pilotów wystartowali i zaatakowali wroga.

Wróg ucziwości, demon w ludzkiej skórze, profesor Coffin, krążył tam i z powrotem przed posągami. Twarz złotej bogini, piękna i doskonała aż do bólu, teraz wydawała się bardzo smutna. Profesor spojrział do góry na cudne oblicze. Czy w kąciku szmaragdowego oka naprawdę formowała się ła? Z pewnością nie. To tylko zwykłe świetlne złudzenie, nic więcej.

Coffin krążył dalej i mrucał do siebie. Naprawdę nie przyszło mu do głowy, że eklezjaści z Wenus czy mieszczanie z Jowisza posuną się do wypowiedzenia wojny Ziemi.

Wyobrażał sobie, że objedzie z posągiem wszystkie planety. Że na każdym ze światów będzie sławą traktowaną z honorami. Otrzyma ważne odznaczenia. Będzie uroczyście przyjmowany przez królewskie rody. Zabawiany przez wspaniałe nałożnice. Międzyplanetarna wojna była co najmniej męczącą niewygoda.

Lecz wtedy profesor oddał się bardziej optymistycznym myślom. Jeśli imperium brytyjskie zatriumfuje w tej wojnie, tak jak zatriumfowało w ostatniej, to rozszerzy swoje panowanie na zamieszkane światy. Ich lud, podbity i całkowicie podległy, zapłaci za bilety na pokaz. Nadal będzie czekała go fortuna do zdobycia.

- Wszystko obróci się na korzyść - powiedział profesor Coffin. - Wszystko obróci się na korzyść.

- Najlepiej wcisnąć gaz do dechy, chłopcy. I na nich! Zróbcie swoje czarki-marki i tryknijcie moją kulawą ciotunię grzybem na patyku - krzyczał kapitan Bigglesworth, czując, że w nowym żargonie Służb Lotniczych było jeszcze wiele zmarszczek do wyprasowania.

- Ostrzelajcie tych jowiszańskich łobuzów - kontynuował. Znajdowali się wystarczająco blisko.

Niestety, szwadron z Croyden nie był w stanie wyrządzić szkód okrętowi wojennemu z Jowisza. Smukłe pociski wylatywały z jego krągłego podbrzusza, uderzały w angielskie statki powietrzne, strącając je na ziemię. Jowiszański pojazd wydawał się całkowicie odporny i kapitan Bigglesworth już miał zamiar rozkazać strategiczny odwrót, kiedy nadeszła pomoc z najbardziej niespodziewanej strony.

Magoniański chmurokręt ich sił uderzeniowych przeleciał wysoko, ciągnąc za sobą strumienie pary wodnej tworzonej przez jego maszty.

Z trzewi wyleciały kryształowe kule prosto na okręt wojenny Jowiszan. Potężna, oślepiająco biała eksplozja wstrząsnęła całym niebem.

- Brawo, staruszk - krzyknął kapitan Bigglesworth.

- Przyjaciel w potrzebie jest przyjacielem w potrzebie i inne tego typu bzdury.

Kryształowe kule teraz podążyły w jego stronę.

Kapitan Bigglesworth zakręcił kołem sterowym i rozpoczął działanie wymijające.

Działanie wymijające było taktyką raczej nieznaną Marsjanom. Lemuriańscy wojownicy nie znali ani strachu, ani koncepcji poddania się. Ich statki powietrzne, ciężko uzbrojone i wypełnione po brzegi wojownikami pragnącymi walki, całkowitego zniszczenia wrogów i powrotu ich świętego posągu, przeleciały nad San Francisco i pędziły z



nieprawdopodobną prędkością w kierunku Londynu.

A w Londynie George i Ada dotarli do Świętego Pawła. Niebo było już ciemne, kopuła katedry rysowała się na nim ciemniejszą czernią. Ponad kopułą, przyczepiony do mej liną, wisiał lemuriański pojazd, bliźniak tych, które przelatowały nad Ameryką.

George zatrzymał się przed wielkimi drzwiami wejściowymi. Jeszcze raz wziął Adę w ramiona.

- Wiedz tylko to - powiedział. - Cokolwiek mi się stanie, nie zapomnij, jak bardzo cię kocham.

- To brzmi jak czułe pożegnanie.

- Cóż. Tu musimy się rozdzielić. Muszę sam zmierzyć się z profesorem Coffinem.

- Tak? A dlaczego to?

- Z powodu niebezpieczeństwa.

- Och. A ja nigdy nie byłam w niebezpieczeństwie? Bezradna mała kobietka, która musi trząść się ze strachu, kiedy jej duży, odważny mężczyzna załatwia porachunki z wstrętnym bandytą?

Spojrzał na Adę.

- Cóż, warto było spróbować, ale nawet przez chwilę nie sądziłem, że się uda. No to chodź ze mną, bądź cicho i zobaczymy, co możemy zrobić.

Generał Darwin, robiąc rzeczy, jakich nie powinien robić z czerwonymi chorągiewkami, został przywołany przez młodego Winstona.

- Darwin, mój drogi kolego. Jak wiesz, mamy wojnę, i byłbym wdzięczny, gdybyś mógł mi teraz pomóc.

Darwin wyszczerzył zęby, podskoczył i wskazał ręką na mapę.

- Ach, rozumiem - powiedział pan Churchill. - Próbujesz mi coś powiedzieć. Co to jest, chłopcze, małe dziecko w pułapce studni? Grupa Abisyńczyków zamknięta w klozecie?

Generał Darwin przewrócił oczami i powtórzył gesty.

Starzy generałowie, którzy zostali odsunięci od ich obowiązków przesuwania chorągiewek, zebrali się wokół mapy rozłożonej na wielkim stole. Winston podniósł się ze swojego wygodnego fotela i odsunął paru łokciami.

Generał Darwin rozłożył ramiona nad mapą pełną chorągiewek.

- Ach - powiedział pan Winston Churchill, zaciągając się głęboko cygarem. Wypuścił ogromny kłęb dymu, który zasnuł wszystkich wokół. - Rozumiem przyczynę twojego

niepokoju, mój drogi Darwinie. Londyn, jak się wydaje, jest całkowicie otoczony.

I to była prawda, jak tylko prawdziwa może być straszna prawda. Żółte flagi oznaczające siły Wenus zajmowały obszary na południe i wschód. Obszary z błękitnymi chorągiewkami na zachodzie i północy oznaczały siły powietrzne Jowisza.

- Niezły bigos - powiedział pan Winston Churchill. - Ale nie sądzę, żeby to była sytuacja beznadziejna. Jak by powiedzieli nasi amerykańscy kuzyni, wkrótce będzie to „łatwe jak strzelanie do krów w oborze”.

I nie były to próżne słowa ze strony wielkiego militarnego stratega, jako że wokół serca stolicy znajdowało się wiele fortyfikacji wyposażonych w zmodyfikowaną broń fantastycznej natury. Dzieło panów Charlesa Babbage'a i Nikoli Tesli.

Broń elektryczna, pełna zaworów i kondensatorów. I wielu potężnych dźwigni zwiększających moc, które wymagały użycia obu rąk, żeby przesunąć je na właściwe miejsce, co wywoływało mnóstwo elektrycznych wyładowań między stalowymi kulami nad wieżami zbudowanymi z białych ceramicznych izolatorów. Operatorzy w specjalnych goglach z przyciemnionego zielonego szkła podciągnęli do góry te dźwignie mocy, zadziwieni trzaskami wyładowań sił elektrycznych. Inni spoglądali przez teleskopowe obiektywy, które oferowały nocną wizję dzięki pseudokosmicznej antymaterialnej transperegrynacji.

Nad Tamizą bezgłośnie przesunął się jowiszański okręt wojenny, nadlatując od strony Kew. Jego górne, bulwiaste części lśniły w blasku księżyca myśliwego. Wody Tamizy rzucały refleksy na jego uzbrojony brzuch.

Kapitan statku być może zauważył nagłe błyski z przodu. Być może uznał je za światła jakiegoś pojazdu jadącego przez most Hammersmith. Lecz zanim jego błędne rozpoznanie mogło zostać skorygowane i owe błyski uznane za zagrożenie, było już za późno.

Nowe elektryczne oświetlenie Hammersmith ściemniało, kiedy kolosalna ilość energii została zassana z sieci wysokiego napięcia i wyrzucona z niszczącą siłą z futurystycznej broni pana Tesli.

Jowiszański statek kosmiczny, otoczony błękitnymi płomieniami, zaryczał jak jakaś zaskoczona, napuchła istota użądlna przez zabójczego owada. Zakręcił się, przewrócił, zwrócił swój wzdęty brzuch ku niebiosom i wpadł do Tamizy.

Woda spieniła się, zabulgotała i zagotowała. Jowiszański statek eksplodował.

Gapie na moście Hammersmith zaczęli wiwatować.

Wznosili potężne wiwaty i okrzyki: „Niech Bóg chroni królową”.

A królowa była błogosławiona teraz w wielu częściach Londynu. Elektryczne działa

wypluwały z siebie strzały wytworzonych ludzką ręką piorunów prosto w niebo. Uderzały w wiele statków kosmicznych obcych.

Magoniański chmurokręt zadrżał i zmarszczył się. Zapadł się w sobie i umarł. Dowódcy wenusjańscy, od stręczeniu obrotem wydarzeń, pozbyli się swoich spokojnych min, wywarkiwali z furją rozkazy odwrotu i podciągnęli statki wysoko, poza zasięg rażenia.

I stamtąd zrzucali kryształowe kulki, z przerażającym skutkiem.

Kulki spadły na Hammersmith i Shepherd's Bush. Przedstawienie Little Ticha w Shepherd's Bush o ósmej wieczorem zostało grubiańsko przerwane przez całkowite zniszczenie budynku. A obsypany nagrodami architektoniczny triumf, jakim była męska toaleta w parku - ulubione miejsce polowania pana Oscara Wilde'a, kiedy w Empire grano „Bądźmy poważni na serio” - stał się jedynie miłym wspomnieniem.

Dżentelmeni ze Straży Ogniowej Zachodniego Londynu załadowali węgiel do palenisk w ich parowych tenderach. Prawdopodobnie szykowała się bardzo długa noc.

Strażacy wznieśli modły i włożyli wielkie hełmy.

Kopułę katedry Świętego Pawła, być może samą w sobie będącą hełmem wiary, obecnie sporadycznie oświetlały błyski płomieni. Eksplozje powyżej i ryczące pożary poniżej. Chaos wojny zbliżał się coraz bardziej do wielkiej katedry. Za witrażowymi oknami błyski sztucznych piorunów wystrzeliwanych z dział pana Tesli dzieliły niebo i konkurowały ze światłem księżyca.

Wewnątrz wewnętrznej świątyni profesor Coffin, sam jeden, bardzo ciężko pracował. Usunął już płócienne zasłony, które pokrywały bluźnierczy namiot cyrkowy, i stał wysoko na bramie, rozbierając rusztowanie, cały czas kłął pod nosem.

- Przekłęci głupcy! - krzyczał coraz głośniej. - Wszyscy co do jednego, durnie, cholerni głupcy. Niczego się nie obawiaj, moja śliczna - zawołał do statui. - Ochronię cię przed uszkodzeniem. Szybko stąd uciekniemy i udamy się w bezpieczniejsze miejsce.

- Nie - rozległ się stanowczy głos George'a Foksa. - Nigdy tego nie zrobisz.

Profesor Coffin obrócił się i ujrzał w bramie młodego człowieka.

- George. A to ci niespodzianka.

- Tak. - George skinał głową. - Prawdziwa niespodzianka, skoro wysłałeś mnie i moją żonę na śmierć.

- To musi być jakieś nieporozumienie, chłopcze. - Zatańczył z lekka. - Tylko chciałem, żeby ci koleś zamknęli was gdzieś na parę dni. A przy okazji, gdzie oni są?

- Obaj martwi - odparł George. I mówiąc to, uśmiechał się.

- Ach. - Profesor skinął głową. - Bardzo niedobrze.

- Dla ciebie z pewnością. Londyn jest atakowany. Ludzie umierają i to jest twoja wina. Zaproponuję ci wybór, na jaki nie zasługujesz. Opuść teraz katedrę, sam, odejź, a ja nie będę cię zatrzymywał.

- Albo? Jestem zaintrygowany.

- Popełniłeś zbrodnię tak ohydną, że może być za nią tylko jedna kara. Jeśli będziesz stawiał opór i próbował ukraść posąg, przysięgam, że zabiję cię na miejscu.

- Zabijesz mnie! - Coffin zaczął gestykulować teatralnie. - Co za blef, młody człowieku. Nie jesteś skrojony do tak makabrycznych rzeczy. Jesteś jedynie chępliwym chłopcem.

George zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

- Myślę, że nadal nie pojmujesz okropności tego, co zrobiłeś. I mogę zrozumieć, że masz wątpliwości co do mojej szczerości. Więc przetestujmy to. Zejdz teraz z drabiny i opuść katedrę w czasie, gdy będę liczył do dziesięciu, albo ja zrzucę cię z góry na posadzkę.

Profesor Coffin pokręcił głową.

- George, George, George, co się z nami stało? Byliśmy takimi dobrymi towarzyszami podróży. Przeżyliśmy tyle przygód.

- Raz... dwa.... Trzy... - zaczął George, a potem - ...cztery-pięć-sześć...

- Nic się nie da zrobić, mój chłopcze? Musi do tego dojść?

- Siedem - liczył George. - Osiem. - Liczył dalej.

- Dziewięć - nie przerywał liczenia.

I...

Profesor Coffin wyciągnął z kieszeni pistolet.

- Dziesięć, jak przypuszczam - powiedział. I wystrzelił prosto w George'a.

George'a szarpnęło do tyłu. Na twarzy miał wyraz przerażenia, na piersi dymiącą dziurę w ślubnym garniturze. Próbował coś powiedzieć, ale żadne słowo nie przychodziło mu na myśl. Nogi się pod nim ugięły i opadł na deski pod łukiem bramy.

- Nie! - wrzasnęła Ada.

Profesor obrócił się szybko, jako że dziewczyna skradała się tuż za nim.

- Ty też? - rzekł, ale to były jego ostatnie słowa.

Ada wysokim podrzutem nogi wykopała mu z ręki broń, jeszcze raz zamachnęła się stopą i podcięła mu nogi. Coffin stracił równowagę, ramionami zamachał w powietrzu, a potem z krzykiem, który w niewielkim stopniu przypominał krzyk człowieka, spadł na zimną posadzkę. Uderzył w nią z mdlącym, trzaskającym odgłosem łamanych kości i znieruchomiał.

- George! - krzyknęła Ada. Podbiegła do ukochanego i opadła przy nim na kolana. Uniosła jego głowę chwiejącą się na bezwładnej szyi i położyła ją na swoich kolanach. - Mój ukochany George - chlipała. - Kochany, nie umieraj.

George był w stanie jedynie wyszeptać kilka słów.

- Oddaj im posąg - rzekł.

- Wenusjanom? - spytała Ada, ze łzami płynącymi strużkami po policzkach.

- Ściągnij statek - szeptał George. - Przebij się nim przez okno, wyciągnij posąg i daj komukolwiek, komu na tym zależy.

- George, nie umieraj. Nie możesz umrzeć.

- Proszę. Po prostu to zrób. Jeśli możesz.

Za witrażowymi taflami okien magoniańskie chmuropokrety żeglowały wysoko. Wylatywały z nich iskrzące się kulki i spadały w dół. Niektóre części wewnętrznego Londynu stały w ogniu.

- Nie zawiodę cię, George - powiedziała Ada. - Ale, proszę, nie umieraj.

- Zrobię, co będę mógł - wyszeptał George i zemdlał.

Ada łagodnie położyła głowę George'a z powrotem na drewnianą posadzkę. Wstała, przybrała pełen determinacji wyraz twarzy i wydała z siebie atawistyczny wrzask. Potem zerwała z siebie niezliczone warstwy halek i spódnic, ściągnęła żakiet, rozerwała stanik sukni

i przez chwilę stała nieruchomo, Walkiria w gorsecie i pantalonach. Poszukiwaczka przygód. Cudownie potargana.

Wspięła się na rusztowanie, jak najwyżej. Balansując na najwyższych belkach, rzuciła się na skrzydłach modlitwy w kierunku poręczy Galerii Szeptów. Wspięła się na nią bez strachu, a potem przeszła przez maleńkie drzwiczki, prowadzące na zewnątrz kopuły.

Stała tam samotnie pod niespokojnym niebem. Powyżej przesuwiał się jowiszański statek kosmiczny jak straszliwy mosiężny karp. Leciąły ku nim trzaskające elektryczne pioruny z broni Tesli. Skradziony lemuriański statek powietrzny, przywiązany do kopuły ciężką liną, wisiał na wyciągnięcie ręki, niecałe pół metra nad szczytem. Dla takiej damy jak ona dostanie się do niego nie było niemożliwością.

Wiatr uderzył silnie i siedzące wokół Ady w gniazdach gołębie zerwały się do lotu.

Poszukiwaczka przygód w gorsecie i pantalonach otarła oczy z łez. Jej ciało przeniknęło elektryczny dreszcz zaciętej determinacji. Zaczęła wspinać się po kopule.

Była ogromna, Ada nie miała się czego przytrzymać. Całkiem bezpieczne miejsce do zacumowania skradzionego statku. Wspinała się wyżej. Dobiegające z dołu głośnie dudnienie oznajmiało, że Molochy Typu Piątego kierowały swoje działa do góry. Nad jej głową pociski eksplodowały jak pokaz zabójczych sztucznych ogni.

Z pewną satysfakcją zauważyła, że atakujące statki kosmiczne pilnowały, aby wokół katedry Świętego Pawła była szeroka strefa bezpieczeństwa. Ani eklezjaści z Wenus, ani mieszczanie z Jowisza nie mieli zamiaru uszkodzić posagu. Przynajmniej to zapewniało Adzie pewną dozę bezpieczeństwa w czasie wykonywania zadania.

Z połamanymi paznokciami, pokrwawionymi palcami, wreszcie dotarła do szczytu kopuły. Wiatr uderzał w nią teraz jak pejczem, grożąc, że porwie tę kruchą istotkę prosto w niebo. Ale Ada odetchnęła głęboko i zaczęła się wspinać po linie do statku.

- Statki powietrzne? - zdziwił się Winston Churchill. - Flota marsjańskich statków powietrznych?

- Pięć minut temu widziano je nad Nowym Jorkiem - powiedział pan Nikola Tesla. - Wiadomość została przekazana na mój osobisty odbiornik - uniósł smukłe, płaskie mosiężne pudełko z mnóstwem guzików - przez transatlantycki system telekomunikacji bezprzewodowej. Zainstalowałem urządzenia komunikacyjne na Downing Street Dziesięć, w zamku Windsor, pałacu Buckingham i w apartamencie damy o imieniu Lou, którą spotkałem w teatrze muzycznym.

- Imponujące - rzekł Churchill.

General Darwin popatrzył chciwie na mosiężne ustrojstwo..

- Ile jest tych marsjańskich statków? - spytał pan Churchill.

- Mój kontakt policzył pięćdziesiąt, może więcej.

- Tesla pokręcił głową. - Możemy przegrać tę wojnę.

- Wygramy ją - obiecał pan Churchill. - Będziemy walczyć z nimi na plażach, na podwórkach i w bocznych uliczkach. Nigdy się nie poddamy. Jaki kurczak, taki kark. Takie podroby.

- Musimy nad tym nieco popracować - powiedział pan Tesla. - Myślę, że powinienem teraz stąd pójść, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Przez ostatnie miesiące zajmowałem się wehikułem czasu. Myślę, że teraz będzie odpowiedni moment, by przetestować jego możliwości.

- Niech się pan tym zajmie - zgodził się pan Churchill. - A jeśli zadziała, proszę wrócić i opowiedzieć mi o tym.

Pan Tesla niedbale wsunął swoje osobiste urządzenie komunikacyjne do czegoś, co myślał, że jest kieszenią w jego spodniach, zasalutował Churchillowi i wyszedł.

Pan Churchill zachichotał.

- Imponujący spodniowy wyczyn żonglerski - skomplementował małpę. - Pożycz mi uprzejmie ten przedmiot - muszę porozmawiać z królową.

General Darwin rzucił na pana Churchilla jedno z tych staroświeckich spojrzeń.

- Tak, oczywiście - powiedział Winston. - Być może po mojej rozmowie z damą o imieniu Lou.

Świsty tub komunikacyjnych wrzeszczały teraz w wywołującej mdłości harmonii.

Winston Churchill pokiwał głową i zapalił kolejne dymiące cygaro.

W samym oku dymiącego huraganu, w sterowni statku powietrznego, Ada Fox zaznajamiała się po raz kolejny z systemem kontrolnym. Lot statkiem będzie łatwy, jako że marsjański pilot nieświadomie pokazał jej, co i jak. Najpierw trzeba odrzucić cumę przytrzymującą statek. Przesunęła dźwignię, nacisnęła rygiel.

Pojazd uniósł się raptownie. Zajął się skierowaniem go do dołu. Czowała, że może mieć tylko jedną, jedyną próbę. Wbicie statku w okno katedry może przedziurawić pojemnik na gaz. Trzeba bardzo szybko chwycić posąg i wyciągnąć go na zewnątrz. Prawdopodobnie ten plan miał mnóstwo wad. Wad nie do pokonania.

Prawdziwy akt profanacji, zniszczenie pięknego okna, nic nie znaczył dla Ady. Okna, każde okna, mogą być zastąpione. W porównaniu z resztą Londynu okno wydawało się

niewielkim poświęceniem.

Lecz wyciągnięcie posągu było zupełnie czymś innym.

A co, jeśli zostanie uszkodzony?

A jeśli ona przez przypadek go zniszczy?

I wtedy w głowie Ady pojawiła się nagła myśl. Przerażająca myśl. Szalona i desperacka myśl. A co się stanie, jeśli ona z premedytacją zniszczy posąg?

Wysadzi go w powietrze?

Rozwali na maleńkie kawałeczki?

Zniszczy tak, że będzie nie do naprawienia?

Z pewnością wtedy nie będzie już o co walczyć.

Z pewnością wtedy pojazdy obcych po prostu odlecą.

I kiedy Ada sprowadzała statek w dół, cofała się nieco od katedry, przygotowując do potężnego ruchu do przodu przez okno, zastanawiała się, co się stanie, jeśli posąg po prostu przestanie istnieć.

Przecież to, jeśli ktoś pomyślałby o tym na zimno, tylko posąg. Tak jak witraż był tylko oknem.

Wiara religijna, która była uczciwa i głęboka, nie zależała od istnienia jakiegoś wytworzonego obiektu. To prawda, mówi się, że posąg nigdy nie był wytworzony. Że istniał zawsze. Ale to tylko posąg. Prawda? Odetchnęła głęboko kilka razy i spojrzała na układ kontrolny. Wyciągnąć go na zewnątrz czy zmiażdżyć?

Straszny dylemat.

Widziała ten posąg. Widziała jego olśniewające piękno. Jego absolutną doskonałość. Odczuła jego boską aurę. Czy ona, Ada, naprawdę mogłaby zniszczyć coś takiego? Czy ma do tego prawo?

- Albo tak, albo tak - powiedziała Ada. - Coś musisz zrobić.

Wyłączyła hamulce pneumatyczne, wbiła stopę w pedał akceleratora i trzymała się z całych sił, kiedy statek runął do przodu.

I znów nadszedł ten moment. Ciszy i spokoju. Kiedy wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Spokojnie, z dziwną godnością.

Dziób statku wbił się w witraż katedry.

Wizerunki świętych i surowych apostołów. Dzieciątko Jezus w ramionach dziewiczej matki. Bóg wszechmogący w złotych szatach unoszący się w niebiosach. Noe w zadziwiającej arce i Samson burzący filary. Anioły o świcie ludzkości, niebiański projekt architekta. Ewa i Adam w Ogrodzie, kuszeni przez złego węża...



...wszystko wyrażone w tysiącach wspaniałych odcieni witraża, strzaskane przez wejście statku powietrznego. Wirujące odłamki i fragmenty świętych wizerunków, rozdarte i rozbite, roztrzaskane i spadające w dół. Wokół potężnego intruza rozbłysły płomienie niebiańskiego światła. Dziób statku wsuwał się szybko do środka. Silniki zamarły pod dotknięciem dłoni Ady.

Co miało zostać zrobione, musiało być zrobione i kiedy marsjański okręt wojenny docierał do angielskiego wybrzeża, Ada zrzuciła ze statku linę kotwiczną, zsunęła się po niej i znów znalazła się w katedrze.

Zniszczenia były przerażające. Ale Ada mogła myśleć tylko o George'u. To, co musiała zrobić, musiała zrobić bardzo szybko, a potem wrócić do niego i modlić się, żeby nie był martwy.

Zerwała pozostałe płótna z okropnej wewnętrznej świątyni.

Przyjrzała się posagowi, oceniając jego wysokość i to, czy można go wyciągnąć bez uprzedniego zdejmowania z niego rusztowania. I bez zrzucenia rusztowania na George'a.

Będzie miejsce.

Lina łącząca posąg z dziobem statku może, jeśli zostanie pociągnięta odpowiednio ostrożnie, wysunąć posąg z rusztowania, a potem unieść do góry.

Ada pokręciła głową. To wszystko było niedorzeczne, szanse na wyciągnięcie posągu bez zniszczenia go były marne.

Opadła na kolana i zaczęła płakać. Tego po prostu nie da się zrobić.

- Trochę za dużo jak na ciebie, moja droga? - Głos profesora Coffina odbił się echem w wielkim holu katedry.

- Ale dzięki, że zrobiłaś aż tyle. Resztą zajmę się sam.

Profesor Coffin odzyskał swój pistolet. Kuśtykał w stronę Ady z zakrwawioną twarzą, złamaną lewą ręką, przekreconą pod dziwnym kątem.

- Pozwól, że tobą pokieruję - rzekł. - Potrzebna ci lina znajduje się w podstawie posągu. Wyciągnij ją uprzejmie, a ja cię poinstruję, jak ją przywiązać. Dzięki tobie jestem trochę ranny.

Ada zawahała się. Spojrzała wrogo na profesora.

- Być może twój mąż nadal żyje - zapiął szatański impresario. - Bądź jednak pewna, że nie zawaham się zastrzelić cię, jeśli spróbujesz mnie oszukać.

W świetle wysokich świec kościelnych i płonących pochodni otaczających nieruchomą statuetkę pięknej Sayito Ada otworzyła kamienne drzwi w podstawie posągu, wyciągnęła ciężką linę i zrobiła, jak profesor jej kazał. Dokładnie wykonała jego instrukcje.

Poinstruowani, że mają „strzelać bez rozkazu”, strzelcy w całym Londynie skierowali broń w niebo. Wszędzie królował chaos i wielkie pomieszenie. W myślach ziemskich strzelców nie było wątpliwości, że siły obcych nie tylko bombardowały armię imperium brytyjskiego, ale w rzeczy samej i siebie nawzajem. Straszliwa broń błyskała i grzmiała, chmurokręty spadały, bulwiaste statki eksplodowały. Zniszczenie obejmowało coraz większy obszar Londynu, jako że każdy zraniony statek, niezależnie z jakiej planety pochodził, spadał na miasto.

Ada stała poniżej dziobu statku. Spocona, zmierzwiona, całkowicie wyczerpana. Lina została połączona, posąg mógł być teraz wyciągnięty z katedry w ciemną noc.

- Całkiem dobrze, młoda kobieto - pochwalił profesor Coffin. - Jesteś naprawdę bohaterką, i w dodatku naprawdę piękną. Dlaczego nie połączysz swojego losu z moim? Jestem urodzonym awanturnikiem, zupełnie jak ty. Kto wie, co razem moglibyśmy osiągnąć? Jakie cuda moglibyśmy zdobyć.

- Wolałabym raczej umrzeć.

- Dokładnie tego się po tobie spodziewałem. Twój mąż jest martwy, a ty musisz do niego dołączyć.

I powiedziawszy to, skierował swój pistolet na Adę i wystrzelił.

# 45

Ada zamknęła oczy.

Strzał odbił się echem.

Ada nie upadła.

Usłyszała łomot, brzęk metalu.

Otworzyła oczy i oto co ujrzała.

Profesor Coffin leżał bezwładnie na podłodze. Nad nim stał George, patrząc ponuro na leżące ciało.

- Uderzyłem go kijem z rusztowania - powiedział. - Myślę, że go zabiłem, ale prawdopodobnie będzie to dla wszystkich z największą korzyścią.

A potem krzyknął: - Ada! - jako że Ada po prostu zemdląła.

Obudził ją pocałunkiem, tak jak zrobiłby to każdy dobrze wychowany rycerz. Jej powieki zadrżały i zielone oczy otworzyły się.

- George - wyszeptała. - Ty żyjesz. Ty żyjesz. Ale jakim cudem?

- Ocalony przez to. - George wyciągnął z wewnętrznej kieszeni ślubnej marynarki egzemplarz Księgi Sayito. - Jej metalowa okładka odbiła kulę. Jednak siła uderzenia pozbawiła mnie przytomności.

- Księga - wyszeptała Ada. - Cud.

- Z tym to się zgodzę. Doskonale wiem, że nie włożyłem książki do tej kieszeni.

- Och, George. - I objęli się mocno.

Ada powiedziała z oczami pełnymi łez:

- Musisz mi pomóc, George. Razem wyciągniemy posąg na zewnątrz.

- Nie. - Uniósł dłoń wysoko. - Odczep linę. Posągu nie wolno przenieść.

- Czujesz się dobrze? Posągu nie wolno przenieść?

- Miałem objawienie. Ujrzałem światło.

I uśmiechnął się lekko.

Lekkie jak powietrze, szybkie i zabójcze, statki Marsjan zbliżały się do Londynu. Pan

Churchill wyciągnął gwizdki z tub komunikacyjnych. On i generał Darwin wykańczali właśnie drugą butelkę porto i przyglądali się mapie na stole, na której kłębiły się kolorowe chorągiewki, a kilka chwiało się na koniuszku cygara Darwina.

W pomieszczeniu pozostali tylko militarysta i małpa. Starzy generałowie w swoich przesadnie paradnych mundurach już uciekli; pan Tesla był gdziekolwiek, gdzie miał być.

- Jesteśmy udupieni - wybełkotał pan Churchill. - Udupieni do szczytu, jak się okazuje. To będzie źle wyglądało w moich aktach.

Generał Darwin wznosił toast za pana Churchilla.

- Ale ty - kontynuował pan Churchill - jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Generał Darwin pierdnął melodyjnie.

Obaj zaczęli chichotać - i nie mogli przestać.

Ale Marsjanie nie wiedzieli, co to śmiech, pragnęli jedynie zemsty. Zemsty i bezpiecznego powrotu Sayito. Lemuriańskie statki powietrzne nadleciały z zachodu, niszcząc wszystko po drodze. Działa, czołgi, oddziały i brytyjskie statki powietrzne. Także chmurokręty z Magonii i Jowiszan. Zniszczenie było epickie. Wręcz biblijne.

- Objawienie - ciągnął George Fox. - Księga uratowała moje życie, czy tego nie widzisz? To księga to zrobiła. Ocaliła moje życie, ponieważ moim przeznaczeniem jest ją przeczytać. Słowa proroctwa stwierdziły, że przeczytam księgę i że przyszłość planet będzie zależała ode mnie.

- Ale ja nie rozumiem. - Ada tuliła się do George'a.

Ściany wielkiej katedry trzęsły się od fal uderzeniowych eksplozji. Pociski świszczały. Molochy Typu Piątego waliły w niebo. Niebiosa stały w ogniu.

- To jest to, co muszę zrobić - powiedział George.

- Teraz nadszedł czas - czas, kiedy księga powinna być otwarta, a ja mam ją przeczytać.

Wirująca bulwa jowiszańskiego okrętu wojennego uderzyła w kopułę św. Pawła, robiąc w niej potężną wyrwę, i otworzyła katedrę na królujące powyżej Piekło. Na nawy zlatywały listwy, tynk, kamienie i połączane drewno. Nic nie spadło na święty posąg. Nic na Adę i George'a. Powyżej poszarpanej dziury żywioły skręcały się i wiły na firmamencie z ognia. Wewnątrz katedry, przed statua Sayito, panował sakralny spokój.

George Fox otworzył księgę.

Litery na stronicach, oświetlone płonącymi kadzielnicami, tańczyły jak dziwne

hieroglify, mistyczne i osobliwe. Ale w miarę jak na nie patrzył, wyprostowywały się, zmieniały formę, aż wreszcie mógł przeczytać wersy Objawienia świętego Jana Apostoła.

*I doszło do walki na niebie. Michał  
I jego aniołowie rozpoczęli zmagania ze Smokiem;  
Wystąpił do walki także Smok i jego aniołowie.*

Magoniańskie chmurokręty starły się z jowiszańskim statkiem wojennym. Żagle magoniańskich statków drżały jak koniuszki smoczych ogonów. Jakkolwiek ci, którzy stali na ich pokładach, bardzo przypominali anioły.

*I stanąłem na brzegu morza,  
i ujrzałem Bestię wychodzącą z morza.  
Miała dziesięć rogów i siedem głów,  
Na rogach dziesięć diademów,  
A na głowach bluźniercze imiona.*

I lemuriański statek, który wznosił się z wyspy na środku morza, opadł prosto na centrum Londynu. Języki ognia ogarnęły wszystko dookoła. Nadszedł koniec świata.

Ada spojrzała z desperacją na George'a, kiedy nad rozbitym oknem pojawiła się z trzaskiem potężna rysa i przeleciała przez to, co zostało z kopuły. Ryk wojny był ogłuszający. Koniec świata naprawdę nadszedł.

George trzymał księgę w trzęsących się dłoniach i znów zaczął czytać na głos.

*A potem ukazał się na niebie  
znak wielki: Niewiasta obleczona w słońce.  
Miała pod stopami księżyc, a na głowie  
koronę z dwunastu gwiazd.*

George i Ada spojrzeli na statkę Sayito. Na głowie Japońskiej Dziewczyny Płaszczki nie było już hełmu. Zdarzył się wielki cud. Na jej złotych włosach spoczywała korona z dwunastu gwiazd. Poniżej stóp znajdował się sierp księżycy.

Strony Księgi Sayito poruszyły się z własnej woli. Otwierając się na stronie innej ewangelii. Ewangelii nie z tej Ziemi.

*I ona powstanie, kiedy  
usłyszysz święte słowo.  
Na to słowo, przez które  
wszystko jest możliwe.*

- Ona powstanie? - powiedział George. - Co to znaczy? Co to za święte słowo?

Wielka katedra zatrzęsła się, zakołysała w najgłębszych fundamentach, przygotowując się do rozsypania w proch.

- Święte słowo - krzyknęła Ada Fox. - Znam święte słowo. Świętym słowem jest MIŁOŚĆ.

I w samym środku paszczy Piekła, w tej furii na niebie i ziemi, znów nastał ten moment ciszy. Tej świętej ciszy zrodzonej ze świętego słowa.

Nie było już słychać odgłosów bitwy.

Trzasku walących się budynków, huku spadających w ogień statków.

I kiedy George i Ada patrzyli, zastygli w zadziwieniu, zapadając w swoje własne oszołomione milczenie, posąg Sayito poruszył się.

Olbrzymie anielskie skrzydła rozpostarły się szeroko, pióra zalaśniły tęczą barw, iskrząc się jak posypane gwiazdowym pyłem.

Delikatne dłonie bogini dotknęły jedna drugiej, palce zetknęły się, wnętrza dłoni przycisnęły w geście modlitwy. Urocza twarz uśmiechnęła się do George'a i Ady. Szmaragdowe oczy zahipnotyzowały ich wyrazem absolutnej miłości.

Statua - teraz żyjąca bogini - uniosła się w niebo.

I tam, między niebiosami, Sayito przemówiła. W każdym języku, jaki kiedykolwiek istniał i istnieć będzie. Uniwersalnym języku, zrozumiałym dla każdego.

- Wstyd - krzyknęła w każdym znanym języku.

- Wstyd każdemu, kto naruszył pokój. Kto chciał mieć na własność coś, co nigdy nie może być niczyją własnością. Zgładziłabym was za wasze bluźnierstwa, za waszą wzajemną nienawiść, za wasze małostkowe urazy. Powinnam zmieść z powierzchni istnienia cały ten pierścień planet, tak jak zrobiłam to kiedyś, i zrobię to znów. I naprawdę bym to zrobiła, gdyby nie oni.

I Sayito gestem wskazała rozszarpaną wojną katedrę poniżej, i dzięki jej świętej mocy wszyscy wiedzieli, że ona mówi o George'u i Adzie.

*Dwoje dzieci Miłości - rzekła Sayito - ocaliło was wszystkich od mojego gniewu. Traktujcie ich uprzejmie, jeśli kiedykolwiek zapragniecie zbawienia. Ja udaję się teraz na inne światy, lecz pamiętajcie, że przemówiłam, i pamiętajcie, że mnie ujrzeliście, i na zawsze zmieńcie wasze złe postępowanie.*

Księga zatrzęsała się w dłoni George'a, nalegając, by jeszcze raz przeczytał święte wersy.

*I ujrzałem nowe niebo, i nową ziemię,  
Bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły.*

Nocne niebo rozstało się, z jego głębi wypłynęły snopy złotego światła. I kiedy George i Ada patrzyli na to, cała katedra rozświetliła się niebiańską poświatą. A wysoko w górze Sayito, z rozpostartymi skrzydłami, łagodnie chwiejącym się złotym rybim ogonem, wzniosła się w przepastną przestrzeń i wspaniałość złotego światła. I rozległ się dźwięk, jakby anielskich hymnów, a potem światło zbladło i Sayito odeszła.

Widoki i dźwięki powróciły do normalności. Płomienie i ogniste sztormy zdużyły się i powoli zaniknęły. Powyżej statki obcych tkwiły w bezruchu.

A wtedy, bez jednego słowa - bo cóż można było powiedzieć? - kapitanowie i dowódcy statków wojennych obrócili twarze ku niebiosom, unieśli swoje pojazdy ponad chmury i ustawili kursy na rodzime planety.

George i Ada stali przez chwilę, potem uklękli do modlitwy. Księga Sayito w rękę George'a roztopiła się i zniknęła.

Druga Wojna Światów dobiegła końca.

Nie będzie następnej.

Teraz będzie tylko pokój.

# 46

Lord i lady Fox wybrali się powozem na niedzielną przejażdżkę.

Lord George naprawdę chciał sam poprowadzić, ale ich weekendowy gość, generał Darwin, Kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego (w nagrodę za służbę koronie w formie odważnych działań, w których skład wchodziło wspinanie chorągiewek podczas przygniatających sytuacji), ujął cugle i przez wyszczerzenie zębów oznajmił jasno, że to on będzie kierował.

Mimo to była to przyjemna majowa niedziela, dziesięć miesięcy po strasznej wojnie między światami. Lady Fox tuliła na kolanach miesięcznego synka o imieniu Connor.

Było tak, jakby do tej wojny nigdy nie doszło. Tej wojny, która rozpoczęła się od kradzieży bogini i zakończyła się bardzo właściwym *deus ex machina*. Rozpoczęto wielki projekt odbudowy. Wszyscy pracowali razem.

Te okropne slumsy wokół Świętego Pawła już nie istniały. Na ich miejscu zbudowano porządne domy dla biednych. I w całym Londynie naprawiono zniszczenia, opiekowano się ogrodami, okna lśniły, wszystko było jasne i czyste. Ten Londyn, ten nowy Londyn, przyciągał miłość. Wszyscy brali udział w jej ożywieniu.

I wszyscy odczuwali z tego korzyść.

Konie truchtały spokojnie i lord Fox rozparł się wygodnie obok żony i dziecka. W tych dniach było mu dobrze. Był teraz mężczyzną o wysokim statusie społecznym. Królowa w nagrodę za jego udział w uratowaniu imperium obdarzyła go tytułem. Został autorem bestsellerowej autobiografii. Jest mężem pięknej żony. Ojcem cudownego syna.

Popatrzył z dumą na swoją piękną żonę. To ona wypowiedziała święte słowo. Ona, która wyglądała jak Sayito, powiedziała, że tym słowem była miłość.

Na George'a i Adę być może czekają inne przygody.

Ada pracuje teraz dla pana Babbage'a, tworząc logiczne wzory dla jego nowej Maszyny Różnicowej. Ale jej awanturnicza natura burzy się i macierzyństwo tylko nieznacznie przytłumiło to burzenie.

George zastanawiał się, czy aby nie kupić statku kosmicznego, żeby mogli poszukać przygód w galaktyce. Powiedział o tej możliwości generałowi Darwinowi i generał wykazał



chęć zaciągnięcia się na pokład.

Powóz jechał drogą do Hounslow. Trwał tam coroczny jarmark. George Fox powrócił myślami do nie tak odległej przeszłości. Do śmierdzącego zakonserwowanego Marsjanina w zbiorniku. Wszystko to wydawało się odległe w czasie. Od tamtej pory zaszedł daleko.

Darwin zatrzymał powóz i gestem włochatej ręki wskazał na kłębiący się tłum. George spojrział tam i dostrzegł obszarpaną, utykającą postać. Ta postać miała w sobie coś z żebraka, chociaż ubranie, teraz poszarpane, było kiedyś kosztowne. Mężczyzna szedł, utykając, z nisko opuszczoną głową, lecz nie mogło być wątpliwości.

- Profesor Coffin - wyszeptał George.

Ada uniosła głowę.

Profesor pokuśtykał do brudnego namiotu cyrkowego, wszedł do środka i zniknął im z oczu.

Lord George przeczytał napis nad klapą namiotu.

## **PROFESORA COFFINA**

### **SŁYNNY**

### **CYRK PCHEŁ**

- I tak upadają potężni - powiedział. - Jedź dalej, Darwin, jeśliś łaskaw.

Małpa wzięła we włochate ręce cugle. Ale wtedy, jak się wydawało, zaczęła walczyć z jakimś wewnętrznym demonem. Opierać się jakiemuś prymitywnemu pragnieniu, któremu nie dało się oprzeć. Darwin poddał się w tej nierównej walce, sprokurował łajno i przygotował się do rzutu.

George Fox uniósł rękę.

- Nie, nie rób tego. - Sięgnął do kieszonki kamizelki i wyciągnął złotą gwineę. - Rzuć tym.

Darwin chrząknął, ale George był stanowczy.

Darwin rzucił złotą monetą.

- Teraz, proszę, wytrzymaj ręce i zawieź nas z powrotem - powiedział George.

I Darwin to zrobił. Ruszyli galopem.

Koniec